

Idealne małżeństwo. Do czasu jednego pytania...

JEJ OBSESJA

„Ta książka
zachwyciła mnie
absolutnie.
Przeraża
i nie pozwala się
oderwać.
Owładnęła mną
jak obsesja.”
B. A. PARIS,
autorka
Za zamkniętymi
drzwiami

AMANDA ROBSON


AMBER

JEJ OBSESJA

AMANDA ROBSON

**Przekład
MACIEJ PINTARA**



Redakcja stylistyczna
Anna Tłuchowska

Korekta
Barbara Cywińska
Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© BLACKDAY/Shutterstock

Tytuł oryginału
Obsession

Copyright © 2016 by Carolyn Gillis

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6619-0

Warszawa 2018.
Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58
www.wydawnictwoamber.pl

Mojej rodzinie.

Mojemu mężowi, Richardowi Gillisowi, moim synom, Peterowi i Markowi Gillisom, moim rodzicom, Shirley i Peterowi Robsonom, i mojemu bratu i jego żonie, Chrisowi i Carol Robsonom.

Gwałtowny wdech, gdy przysięgli patrzą na zdjęcie miejsca zbrodni. O, dziwna, dziwna fascynacja śmiercią. Ostry zapachu śmierci, który nigdy nie zniknie...

Carly

Jestem pijana, kompletnie urąbana. Mój mąż Rob też. Wyostrzone rysy, łagodzone przez cienie, przysuwają się do mnie nad świeczką na komary pośrodku stolika kempingowego, gdy on uśmiecha się do mnie i napełnia mi kieliszek. Wzdrygam się lekko i podciągam suwak kurtki. Niskie chmury tej bretońskiej nocy przyniosły chłód, który zapowiada mróz. Ale choć mrozu nie będzie w lipcu na południu Bretanii, to podczas tych kempingowych wakacji jeszcze nigdy nie było mi ciepło. Ani razu. Ani w nocy, kiedy leżę skulona pod zbyt cienkim kocem, ani w dzień, kiedy pilnuję naszych dzieci przy nieogrzewanym basenie. Dodatkowa warstwa tłuszczu wyhodowana po urodzeniu trzeciego dziecka nie chroni mnie przed zimnem.

Nasze dzieci śpią w namiocie za nami. Czuję ich ciszę i głębokie szczęśliwe oddechy. Przynajmniej nie muszę śledzić każdego ich ruchu aż do rana, jak w ciągu dnia. Wakacje to już nie wakacje. Po prostu zabieramy dzieci w jakieś inne miejsce, żeby się nimi zajmować. Miejsce, gdzie mam jeszcze więcej roboty.

Wszystko na tych kempingowych wakacjach wykańcza. Stanie przy basenie godzinami i sprawdzanie, czy nie toną. Nuda obserwowania i czekania, aż znajoma główka wyłoni się zza plastikowej palmy lub basenowego delfina. Trzymanie chichoczących brzdąców, kiedy jesteśmy rzucani w dół splątanymi plastikowymi rurami, dopóki zjeżdżalnia nie wypłuje nas do wody z taką siłą, że prawie łamiemy sobie kręgosłupy. Wieczne grillowanie – zmywanie przypalonej mazi z blachy do pieczenia. Jeśli o mnie chodzi, teraz jest najlepsza pora doby: dzieci są w łóżku i mam Roba dla siebie.

Bo właśnie to lubię. Mieć Roba dla siebie. Pobraliśmy się trochę ponad dziesięć lat temu, więc byliśmy sami przez kilka lat, zanim

urodziły się dzieci. Poznaliśmy się w klinice, kiedy ja miałam praktykę pielęgniarską, a on lekarską. Nigdy nie zapomnę jego widoku, jak idzie do mnie przez oddział, i jego pierwszego uśmiechu. Ktoś patrzący z boku na pewno uznałby nasz związek za niezgodny. Niektórzy z naszych znajomych mówią, że nigdy się nie posprzecza. Jak im się to udało? Dlaczego my się kłócimy? Moja matka mówi, że to dlatego, że tak nam zależy. Wszystko jedno. Dzień bez burzliwej dyskusji jest nieudany.

Dzisiaj w nocy, siedząc naprzeciwko mojego męża z nadmiarem alkoholu buzującego we krwi, znów szukam zaczepki.

– Jaką inną kobietę chciałbyś mieć, gdybyś mógł? – słyszę własny bełkot.

– Żadną – odpowiada równie bełkotliwie.

– Nie wierzę ci. Powiedz mi, to i ja ci powiem – naciskam.

Rob siedzi w milczeniu.

– No, dalej – mówię. – Musimy być szczerzy, żeby jakoś ułożyć nasze stosunki.

Patrzy na mnie i odstawia plastikowy kieliszek na metalowy stolik.

– Ale my nie musimy układać naszych stosunków, Carly.

– Ja myślę, że musimy.

Zielone oczy błyszczą szmaragdowo.

– Nie chcę wiedzieć, o kim fantazjujesz.

– Ale ja chcę wiedzieć, o kim ty fantazjujesz.

Napięcie mięśni szczęki.

– O nikim nie fantazjuję.

– Nie wierzę ci. – Urywam. – Tak czy owak, nie muszę wiedzieć, o kim fantazjujesz. To po prostu gra. Wymień imię kogoś, kogo bardzo lubisz.

Wzrusza ramionami.

– Bardzo lubię Jenni.

– Jenni?

Jenni. Zwolenniczka porodów naturalnych. Jenni. Łagodna i spokojna, o sarnich oczach. Bezgraniczna dobroć.

– A ty?

Nie odpowiadam.

Kempingowe wakacje trwają, ale nie jest lepiej. Dwudniowy małżeński kac nie pomaga. Basen i pogoda są coraz zimniejsze. Chmury zbierają się i wiszą nad wybrzeżem. Uwalniają mgłę z morza, a ona przywiera do lądu i sprawia, że nasz nocny spacer ścieżką na urwisku do najbliższej restauracji to po prostu samobójstwo. Deszcz zaczyna padać we wtorek wieczorem. W środę rano budzę się i nadal słyszę ciche uderzenia w brezent. Początkowo ten odgłos uspokaja: Zostańmy w łóżku i uprawiajmy miłość, bo na dworze jest zimno i mokro. Przytulam się do Roba i wtedy dociera do mnie rzeczywistość. Kemping. Deszcz. Dzieci zaraz się obudzą. Uciekam pod prysznic.

Zanim tam docieram, jestem taka mokra, że nie wiem, po co zawracam sobie głowę kąpielą. Letnia woda ciurkająca z prysznicza trochę podnosi temperaturę ciała, ale nie poprawia mi humoru. Usiłuję wciągnąć ubranie na wilgotną skórę i martwię się swoją wagą. Nie powinnam wczoraj jeść pizzy. Ani czipsów przedwczoraj. A piwo? Łagodne, pyszne i pełne kalorii.

Co tam alkohol. To moja jedyna radość na tych wakacjach.

Przynajmniej nie jestem podobna do Jenni, tak chudej po porodzie, że biust jej zanikł. Patrząc na siebie w lustrze, biorę piersi w dłonie, myślę o jej chłopięcej figurze i śmieję się.

Jenni.

Rob i Jenni. Kto by pomyślał?

Kiedy wracam do namiotu, tętni w nim życie. Rob zaczyna robić śniadanie, a dzieci bawią się z krzykiem, a raczej z rykiem. Nasza siedmioletnia córka Pippa krąży po podłodze na czworakach, głowę ma odrzuconą do tyłu i ryczy. Stara się przestraszyć młodszych braci, Matta i Johna, potrząsa długimi jasnymi włosami i atakuje ich paznokciami jak pazurami. Uciekają przed nią, czołgają się i śmieją, nieświadomi, że gdyby tylko mogła, zraniłaby ich. Rob, najwyraźniej głuchy na hałas, stawia płatki śniadaniowe na stole.

Jak tylko wchodzę do namiotu, Rob promienieje, podchodzi do mnie i całuje w usta.

- Cześć. Chcesz się pobawić? – pyta.
- Mamusiu, mamusiu! – wrzeszczy Pippa. – Możesz być tygrysem!
- Tygrysem, który potrzebuje porannej kawy, zanim zaryczy – mówię i siadam stanowczo na krześle.
- Basen jest nieczynny, kiedy pada deszcz. Co będziemy dziś robili?! – Rob przekrzykuje gwizd czajnika.
- Pojedziemy do domu? – podsuwam z nadzieją.

Być znowu w domu – to ma wiele zalet. Jedną z nich jest ciepło, ustawianie temperatury przyciskiem odpowiednio do kapryśków pogody. Regularny seks bez obawy, że dzieci usłyszą, to następny plus. Ale największą przyjemnością jest siedzenie w kuchni w poniedziałkowy poranek i picie kawy ze świadomością, że zaraz przyjdzie moja matka, a ja spędzę dzień bez dzieci.

Heather, moja matka w kształcie trójkąta, przybywa prosto ze swojego mieszkania tuż za rogiem. Wchodzi do holu w ulubionej kwiecistej sukience i kardiganie od Marksa i Spencera. Jej kręcone włosy, sięgające do ramion, wyglądają, jakby wymagały rozczesania. Zawsze tak wyglądają, ale to po prostu jej loki kręcą się w taki sposób. Jest siwa, ale niektóre pasma pozostały brązowe i przyprószają tę siwiznę jak grudki ziemi. Mamo, kiedy zadbasz o swój wygląd? Ale nie ma to chyba znaczenia dla naszych dzieci, które ją kochają. Pippa zbiega z hałasem po schodach, po dwa stopnie naraz, i pada w ramiona babci.

- Babcia, babcia! – krzyczy John, tarabaniąc się na dół w piżamie Gruffalo od babci i przytula się do niej. Niedługo potem Matt dołącza do rodzeństwa. Wylewam resztkę kawy, wstawiam kubek do zmywarki i ruszam do drzwi frontowych. Udaje mi się pocałować matkę, kiedy ją mijam; dzieci zostawiły jej wolny kawałek policzka.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, że wrócę późno?
- W porządku, kochanie. Nie spiesz się. Pracujesz tak długo?
- Pójdę na drinka z Jenni.

Zamykam drzwi frontowe i wkraczam w blady blask słońca. Matka opiekuje się dziećmi trzy razy w tygodniu, żebym mogła pracować z Robem w przychodni Riverside. Rob. Najpopularniejszy lekarz rodzinny w Stansfield. Słyszę to od naszych recepcjonistek, od matek przy szkolnej bramie, od sąsiadów, i nie mam powodu wątpić, że to prawda. Lista pacjentów naszej przychodni jest długa. Nie mogę z nim rywalizować pod względem popularności. Zresztą po co? Jestem tylko jedną z pielęgniarek. Robię zastrzyki, pobieram krew, przeprowadzam badania piersi i ginekologiczne. Chociaż moja praca jest nudna, wolę trzy dni w przychodni od dni powszednich w domu z dziećmi. Weekendy w domu są fajne, bo Rob mi pomaga. Ale dni powszednie z dziećmi to po prostu ciężka praca. Przerywanie bójek, robienie mnóstwa kanapek z masłem orzechowym (Matta ulubionym), brodenie w stosach prania. Najgorsze jest odbieranie Pippy ze szkoły. Matka to uwielbia, bawią ją rozmowy z bandą spod szkolnej bramy. Pasuje tam. Ja nie. Mafia spod szkolnej bramy: kobiety, które żyją życiem swoich dzieci. Kobiety, które nie mają nic innego.

Idę w kierunku przychodni. Na końcu naszej ulicy w lewo, potem Stansfield High Street, obok chińskiej restauracji i sklepu rybnego. Przecinam jezdnię na światłach i wchodzę do przychodni bocznymi drzwiami, z dala od recepcjonistek i pacjentów. Wieszam płaszcz przeciwdeszczowy i otwieram drzwi do dyżurki pielęgniarek. Siadam za biurkiem i włączam komputer, żeby sprawdzić listę pacjentów. Osiem osób. Dwa badania piersi. Trzy pobrania krwi. Trzy szczepienia na podróż. Kiedy wzywam brzęczykiem pierwszego pacjenta, cień, który zaczął podążać za mną na wakacjach, ciemnieje.

Nie znika, gdy kończę dyżur i ruszam na spotkanie z tobą, Jenni. Czekasz na mnie po pracy w kawiarni przy przystanku autobusowym w centrum miasta. Widzę cię przez szybę, kiedy mijam kolejkę do autobusu – wysyłasz esemesa z iPhone'a, lśniące włosy opadają ci na twarz. Gdy tylko wchodzę do kawiarni, podnosisz wzrok i promieniejesz na mój widok, jakby to była dla ciebie najważniejsza część dnia. Jenni, zawsze się

starasz, żeby ludzie tak się czuli. Że są ważni. To jedna z twoich sztuczek. Teraz to wiem. Kiedy się poznałyśmy, dałam się na to nabrać.

Znałyśmy się na studiach pielęgniarских, prawda, Jenni? Ale tylko z widzenia. Nie byłaś w moim typie. Związek Chrześcijański. Zero makijażu. Żadnych spojrzeń mężczyznom w oczy. Podobno nigdzie nie wychodziłaś w sobotnie wieczory, tylko zostawałaś na miejscu, żeby przygotować umysł dla Boga w niedzielę. Taka byłaś?

Nasze drogi znów się skrzyżowały prawie sześć lat temu podczas spotkania dla małżeństw w domu lokalnej koordynatorki porodów naturalnych. Spoczęłyśmy razem jak wyrzucone na brzeg wieloryby na niskiej kanapie, tak ciężarne, że ledwo mogłyśmy się ruszać. Mark i John rozwijali się w nas, prawie gotowi do narodzin. Znałam się na tym, bo miałam już Pippę. Ty byłaś chuda jak patyk, z wyjątkiem brzucha, który cię przytłaczał. Wyglądałaś na zaniepokojoną, kiedy koordynatorka porodów naturalnych głądziła o skurczach Braxtona Hicksa, aparatach do przezskórnej elektrostymulacji nerwu i o tym, czy to działa. Patrzyłam na ciebie, gdy słuchałaś z oczami zamkniętymi ze strachu, i miałam ochotę cię chronić. Trzymać cię przy sobie i mówić ci, że nie jest tak źle. (Chociaż z Pippą było dużo gorzej).

Po spotkaniu poszliśmy do pubu. Nie pamiętam, kto z naszej czwórki to zaproponował, ale wszyscy uznaliśmy to za dobry pomysł. Poszliśmy do White Swan nad rzeką na końcu naszej ulicy. W zimny październikowy wieczór siedziałyśmy przy kominku i piłyśmy sok pomarańczowy i tonik, a mężczyźni piwo. Byłyśmy tak pochłonięte rozmową, że prawie nie odzywałyśmy się do nich. Jenni, tyle czasu zajęło mi znalezienie pierwszej przyjaciółki, na której naprawdę mi zależało. W szkole i na uniwersytecie towarzystwa dotrzymywali mi mężczyźni. Kobiety potrafią być takie wredne, prawda? Takie kapryśne. Mężczyźni są miłsi. Prostszy. Do tego momentu zadawałam się z nimi bardziej dla zasady. Ale wtedy nastał zdominowany przez kobiety świat ciąży i niemowlęstwa, który doprowadził mnie do ciebie.

Dziś, kiedy Mark i John są w szkole, i obie mamy za sobą kolejne porody, obejmujemy się niezgrabnie przez drewniany stół w kawiarni naprzeciwko przychodni. Nad kawą, którą już do połowy wypijałam. Nad okruchami czyjegoś ciastka. Siadam na niewygodnym drewnianym stołku, zgrzyta o podłogę, gdy go ustawiam.

– Jak wakacje? – pytasz.

– Straszne.

– Rob mówił co innego.

Twoje słowa zadają mi ciosy.

– Widziałaś się z Robem? – pytam.

– Nie widziałam się. Przysłał mi esemesa.

– Przysłał ci esemesa?

– Bo martwił się o ciebie.

Przywołujesz gestem kelnerkę i uśmiechasz się do niej. Rusza do naszego stolika.

Zamawiamy następną kawę dla ciebie, torcik czekoladowy i cappuccino dla mnie. Kelnerka wprowadza nasze zamówienie do małego ręcznego urządzenia i odchodzi do innego stolika.

– Dlaczego Rob tak się o mnie martwi?

– Powiedział, że na wakacjach nie byłaś sobą. Najwyraźniej nie cieszyłaś się, że spędzasz czas z dziećmi.

– A ty na wakacjach się cieszyłaś?

Twoje oczy koloru toffi rozszerzają się, gdy patrzysz na mnie.

– Tak.

– Tak?

Jenni. Świętoszkowata suko, kradnąca mi męża.

W domu panierowane kawałki kurczaka i frytki zaczynają skwierczeć w piecyku, a matka słucha, jak Pippa czyta. Chłopcy robią dziwne przedmioty z ciastoliny Play Doh. Od chwili otwarcia drzwi czuję się zbędna. Nie lubię tego uczucia. Uczucia, z którym obecnie często muszę żyć.

– Cześć, mamusiu – mówią chłopcy, nie odwracając się od swoich twórców.

– Jak minął dzień? – pyta Heather, nie podnosząc wzroku znad książki Pippy. Pippa czyta dalej dziwnie monotonnym, cienkim i dumnym głosem. Dwie mały utknęły na drzewie. Kto pomoże im zejść? Najwyraźniej ich matka. Niezainteresowana wygłupami małą, idę na górę do sypialni, żeby się przebrać. Kiedy rozpinam pielęgniarski uniform, żeby wrzucić go do kosza z praniem (który znów jest pełny), dzwoni moja komórka. Odbieram.

– Cześć, Carly. Tu Craig.

Craig. Mąż Jenni. Craig. Przystojny. Z gatunku przystojniaków, którym niezbyt ufam. Zbyt łatwo może mieć, co chce, ze zbyt wieloma kobietami. Przynajmniej tak mi się zdaje. Ale ty tak nie uważasz, prawda, Jenni? Kochasz go. Ufasz mu. Nie wolno mi osądzać go po wyglądzie. Tylko dlatego, że może, nie oznacza, że to robi. A może robi?

– Planuję przyjęcie niespodziankę na urodziny Jenni w piątek wieczorem w pubie. Dacie radę przyjść? – pyta Craig.

– Super.

Tańce, żeby zrobić przyjemność Jenni. Super, Craig, super. Wszyscy zatańczymy, żeby zrobić przyjemność wrednej suce Jenni.

Piątkowy wieczór. Idę do pubu pod rękę z Robem i niosę lilie, które kupiłam dla Jenni. Chłodny letni wieczór i chodnik jeszcze mokry po deszczu sprawiają, że świat wygląda szaro. Lilie przywodzą mi na myśl pogrzeb mojego ojca, płatki kwiatów na jego trumnie, które wkrótce zniszczy żar pieca. Moja matka stoi obok trumny i stara się nie płakać. Matka, wciąż taka samotna bez ojca, siedem lat po jego śmierci tuż przed narodzinami Pippy. Siedem lat koncentrowania jej życia na nas.

Gdy tylko wchodzę do pubu, odsuwam od siebie śmierć. Otacza nas hałas i ciepło. Jenni rusza ku mnie z uśmiechem. Taka zadowolona, że mnie widzi. Stara się, żebym się dobrze czuła. Stara się, żebym się czuła wyjątkowa.

Wręczam jej lilie i kartkę okolicznościową, którą wybrałam, a ona piszczy z zachwytu. Słaby pisk z głębi krtani.

Jenni. To tylko lilie.

Kilka minut później nie możemy się nawet zbliżyć do Jenni i Craiga, tyle życzliwych osób się pojawiło. Siadam przy rozchwianym stoliku obok prawdziwego kominka, który właściciel zapalił mimo lata, a Rob idzie do baru. Jenni otaczają ludzie, głowę odrzuciła do tyłu. Śmieje się. Wygląda świetnie, faliste kasztanowe włosy opadają jej na ramiona, prosta sukienka podkreśla jej szczupłość i delikatność. Delikatność, która sprawia, że ludzie chcą ją chronić.

– Myślałam, że po prostu Craig i ja wpadniemy na szybkiego drinka – podsłuchuję, jak mówi do kogoś, kogo nie rozpoznaję.

Rob wraca od baru z kieliszkiem czerwonego wina dla mnie i dużym piwem Doom Bar dla siebie.

– Iluż ona zna ludzi – mówi Rob i także patrzy na Jenni.

– Z chóru.

– Z kościoła.

– Może dlatego, że jest miła – podsuwa Rob.

– Miła to takie zwyczajne słowo.

– W Jenni nie ma nic zwyczajnego.

– Nie zaczynaj.

– To nie ja zacząłem.

Sobota rano. Jestem w samochodzie z Johnem i Mattem. Pippa spędza dzień w domu przyjaciółki, bez wątpienia wśród różu. Sypialnia z różowymi ścianami, różowe stroje baletowe, lalki ubrane na różowo. Udušenje watą cukrową.

– Gdzie jedziemy, mamusiu? – pyta Matt.

– Do Snakes and Ladders.

– Dlaczego tatuś nie jedzie z nami?

– Dziś jest jego kolej na wylegiwanie się.

– A Jenni i inni Gospele? – pyta z nadzieją John.

Krzywię się na słowo „Gospele”, głupie przewisko wymyślone przez Jenni dla naszych dzieci – Matthew, Marka, Luke’a i Johna, wspólne produkty naszej przyjaźni ze szkoły rodzenia.

– Pomyślałam, że moglibyśmy spędzić miło czas sami –

odpowiadam.

– Mamusiu, proszę. Zadzwoni do Jenni. Porozmawiasz z nią sobie, jak wszyscy będziemy się bawili na zjeżdżalniach – błaga Matt.

Jenni. Trzyma mnie za rękę i śmieje się. Jenni. Zanim zaczęła robić cielece oczy do Roba. Odsuwam od siebie to wspomnienie.

– Będzie wam musiała wystarczyć mamusia – warczę.

Sygnalizuję zjazd z głównej drogi i skręcam na parking supernowoczesnego placu zabaw. Jaskrawo kolorowe plastikowe zjeżdżalnie i siatki wspinaczkowe, wszystko ukryte przed wzrokiem rodziców za ogromnymi plastikowymi ścianami. Prosto i drogo. Płacisz, żeby twoje dzieci weszły. Zdejmują buty, zostawiają je z tobą i znikają. Siedzisz i pijesz kawę. Czytasz książkę albo gazetę. Wracają kilka godzin później zziębnięte, spocone i żądają picia, ale są zbyt zmęczone, żeby sprawić ci kłopot przez resztę dnia. Doskonały sposób na zapewnienie dzieciom rozrywki w sobotni poranek. Maksimum kosztów. Minimum wysiłku. Moja ulubiona przyjemność dla nich.

Błyskam kartą kredytową i moi synkowie znikają za żółto-niebieskimi plastikowymi drzwiami, które prowadzą do gigantycznego kompleksu. Kupuję duży kubek kawy i kruche ciastko maślane w kawiarni i siadam przy stoliku. Wkładam do uszu zatyczki (małe, piankowe, kupiłam je wczoraj), rozkładam gazetę i skupiam się na dodatku do magazynu.

Musiałam zasnąć, bo otwieram oczy i widzę Johna, który potrząsa moim ramieniem. Jest czerwony, blond loki ma przyklejone potem do głowy.

– Dać ci coś do picia? – pytam rutynowo.

– Jak znajdziemy Matta.

– Jak go znajdziemy? Myślałam, że jest z tobą.

– Był, ale jak zjeżdżałem wężykowatą zjeżdżalnią, myślałem, że jest za mną, ale go nie było.

– Pewnie po prostu jest w innej części kompleksu. Chodźmy zapytać.

Trzymam Johna za rękę, ryzykuję wejście żółto-niebieskimi drzwiami do świata, gdzie brzdące koziołkują i obracają się z

dudnieniem w pędzie przez siatki i rury z przerażającą szybkością. Ale tylko ja się boję. Oni śmieją się i cieszą, kiedy ich pulchne ciała ślizgają się i odbijają. Na dole każdej rury czy siatki jest dużo niebieskich mat i strażnik, młody człowiek w kanarkowożółtej bluzie Snakes and Ladders. Podchodzę do najbliższego, ściskając mocno rękę Johna, żeby go przytrzymać przy sobie.

– Przepraszam – mówię do mniej więcej szesnastoletniego chłopaka z nalaną twarzą i wysypką na prawym policzku. – Nie mogę znaleźć mojego drugiego syna.

– Jak jest ubrany? Poszukam go.

Waham się.

– W czarne dżinsy i T-shirt – odpowiada John, zanim sobie przypomnę.

– A jak się nazywa?

– Matthew Burton. W skrócie Matt – odpowiadam.

– Niech pani mi powie coś więcej o jego wyglądzie.

– Wygląda na około pięć lat, ale ma tylko trzy i pół. Jest blondynem, jak jego brat.

– To ja – informuje dumnie John przyszczatego nastolatka.

– Niech pani zaczeka w kawiarni, pójdę go poszukać i przyprowadzę go do pani, jak tylko go znajdę – mówi dość ostro. Patrzy na mnie krytycznie, ale go ignoruję.

Jeszcze nie skończył zdania, gdy John wyrwał mi się i wspiął na purpurową siatkę. Zanim wróciłam przez plastikowe drzwi do kawiarni na następną kawę, John był już w połowie drogi na górę ogromnej konstrukcji.

Pół godziny później jakiś mężczyzna w garniturze i ze słuchawką w uchu staje przede mną, trzymając Johna za rękę. Do koszuli ma przypięty plastikowy identyfikator, który mówi mi, że to kierownik Snakes and Ladders. Tylko dzięki identyfikatorowi i słuchawce nie wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy ze spuszczonej wzrokiem i ponurą miną.

– Przykro mi, ale nie możemy znaleźć pani syna Matta w

głównym kompleksie – oznajmia.

Żołądek mi się ściska ze zdenerwowania.

– Wszedł do środka. Musi tam być – odpowiadam.

– Sprawdziliśmy nagrania ze wszystkich kamer z ostatnich dwudziestu pięciu minut. – Pauza. – Mógł przebiec obok pani i wydostać się na zewnątrz?

– Nie przyszłoby mi do głowy, że zrobiłby coś takiego.

– Jest to możliwe?

– Zasnęłam. Mogło tak być. To nieprawdopodobne, ale możliwe.

– Mamy drugi kompleks na zewnątrz. Może tam poszedł?

– Dlaczego miałyby to zrobić, nie mówiąc o tym nikomu? Jeszcze nigdy tam nie był.

John zaczyna płakać.

Biorę go na ręce.

– Znajdziemy go. Nie może być daleko – mówię.

Wychodzimy za kierownikiem z głównej krytej części Snakes and Ladders na dwór i przecinamy parking w kierunku wielkiej drewnianej konstrukcji wspinaczkowej w kształcie fortecy z chodnikami na ścianach. W zamku roi się od dzieci biegających wokół ścian. Staję obok kierownika, przytulam wciąż płaczącego Johna i nagle ogarnia mnie panika. Gdzie jest mój syn? Gdzie się podział? Co się z nim stało? Prawie w tym samym momencie, gdy zaczynam już wpadać w panikę, coś w kąciuku oka, drażniące jak drobina pyłu, powoduje, że odwracam się w stronę narożnika budowli wspinaczkowej i przez ułamek sekundy wydaje mi się, że widzę chłopca mniej więcej wzrostu Matta z kręconymi blond włosami.

– O co chodzi? – pyta kierownik. – Zobaczyła pani coś?

– Chyba go widziałam. – Kręcę głową. – Ale może nie.

I wtedy znów go widzę. Jasne włosy. Czerwona buzia. Czarne dżinsy i nowe błyszczące adidasy. Zbiega po stopniach zamku ku mnie. Udaje mi się zachować spokój przy kierowniku – który już nie wygląda pogrzebowo – tłumie dzieci i ich nadmiernie czujnych rodziców, kręcących się niespokojnie obok konstrukcji. Ale gdy tylko przypinam go w foteliku w samochodzie, żeby zawieźć do domu, wymierzam mu mocny policzek. Płacze, John

wtóruje mu współczująco. Jadę do domu z dwoma chłopcami, którzy wyją i ryczą, i żałuję, że nie wiem, gdzie posiałam swoje zatyczki do uszu. Zatrzymuję auto na podjeździe i wyłączam silnik, wyciągam się do tyłu i policzkuję Matta jeszcze raz. Mocno, z drugiej strony.

Jenni

Dlaczego zaprosiłaś ich w środku tygodnia? – pyta Craig, wkładając naczynia do zmywarki. – Mam ranny dyżur. Będę wykończony.

– Martwię się o Carly. Muszę z nią porozmawiać.

– Dlaczego?

– Zawsze była zdenerwowana, w zabawny sposób. Ale ta równowaga zniknęła. Teraz jest tylko zdenerwowana.

– Musi jej być ciężko. Jest żoną lekarza rodzinnego, który pracuje na okrągło, sama też pracuje i wychowuje trójkę małych dzieci. Współczuję jej, ale – wzrusza ramionami – czy nie możesz z nią porozmawiać sama?

– Chcę jej okazać trochę gościnności. Gościnności w domu. Głębszej przyjaźni. Wiesz, ile ona dla mnie znaczy. Mogę zrobić kolację.

Całuję go, a on przyciąga mnie do siebie, bierze mnie w ramiona i przytula.

– Nie możesz tego odłożyć do przyszłego tygodnia? Żebyśmy mieli trochę czasu dla siebie, kiedy dzieci są w łóżku?

– Mówiłam ci, że w przyszłym tygodniu wybieram się do mojej matki.

– Znowu? – narzeka łagodnie.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam wyboru. Wiesz o tym.

Menu naszej uroczystej kolacji. Sałatka z buraków, a potem lazanie ze szpinakiem i ricottą, której zrobienie zajęło mi zbyt

dużo czasu, bo musiałam poobcinać wszystkie ogonki szpinaku. Kuchnia wygląda jak po wybuchu: garnki i słućce na kaźdym blacie, bo nie zdążyłam pozmywać przed przyjsciem Carly i Roba. Nie wiem, po co zadałam sobie tyle trudu, na razie prowadzę z Carly rozmowę bez znaczenia. Ona zachowuje się dziwnie – mierzy Craiga wzrokiem, kiedy nie zauważa, że patrzę. Carly. Głęboko wycięty top i za dużo makijażu. Powłóczyste spojrzenie. Śmieje się za głośno ze świńskich dowcipów Craiga, czym wprawia Roba w zakłopotanie. Rob, gładko ogolony, w spranych dżinsach i starannie wyprasowanej koszuli. Nawet Craig wygląda na zaskoczonego śmiechem Carly.

Przepraszam i wychodzę z pokoju do naszej małej kuchni, żeby przynieść deser i nastawić wodę na kawę. Czekam, aż się zagotuje, patrzę na resztki kolacji, siadam na niskim parapecie i przyglądam się bałaganowi. Craig miał rację, takie przyjęcie w tygodniu to zbyt wiele. A on musi wstać o piątej rano na dyżur w remizie strażackiej. Ostatnio awansował na starszego strażaka. Jestem z niego taka dumna. Craig, jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochałam. W przeciwieństwie do Carly nie mam dużego doświadczenia z mężczyznami. Craig to jedyny mężczyzna, z którym spałam. Wiem, że to dziwne w dzisiejszych czasach, w epoce otwartości i nadmiernej seksualności, ale to z powodu moich przekonań religijnych. Mojego związku z Bogiem. Nie czuję się tym ograniczona czy uciśniona. Bóg wzbogaca moje życie.

Craig i ja poznaliśmy się późno, toteż prawie natychmiast mieliśmy dzieci i dlatego musimy tak chronić nasz związek. To trudne starać się znaleźć siebie wzajemnie między bezsennymi nocami i napadami złości dzieci. Uważam, że przynajmniej na razie dajemy sobie radę.

Ale sprawy się skomplikują.

U mojej matki zdiagnozowano raka jajnika. Za późno. To zbyt częsty przypadek. Kiedy konsultant powiedział jej to w zeszłym tygodniu, byłam z nią, trzymałam ją za rękę i patrzyłam ojcu w oczy.

Woda wrze i zalewam nią świeżo zmieloną kawę w zaparzaczu.

Sięgam po deser „słodki bałagan”, który zrobiłam wcześniej, i wracam do nich ze strachem przed cierpieniem i samotnością. Z widokiem oczu mojego ojca w wyobraźni.

Carly ma lekko zaczerwienione policzki, czubek nosa jej się błyszczący.

– Craig mówi, że w przyszłym tygodniu musisz dyżurować w szpitalu bez dzieci. Mogę jakoś pomóc? – pyta, kiedy podaję jej porządną porcję deseru. Może trochę jedzenia ją otrzeźwi.

Rob porusza się niespokojnie.

– Uzgodniłaś to z matką, Carly? – pyta.

Ona odwraca się do niego ze szklistymi oczami.

– O co chodzi?

– O nic. Porozmawiamy o tym później.

– Mam inne plany na później – odpowiada Carly, chichocząc i celując widelczykiem w truskawkę. Chybia i uderza widelczykiem w talerzyk. Metal zgrzyta o porcelanę.

Rob patrzy na mnie, jego wzrok mówi: „Zobacz, co muszę znosić”. Nie reaguję, bo w końcu nie zagląda się komuś w garnki.

Rob

Dzieci są w łóżku. Wieki zajęło mi ułożenie ich do snu. Carly, siedzisz w głębokim fotelu w kuchni i obserwujesz tymi swoimi świdrującymi niebieskimi oczami, jak szybko smażę, mieszając. Wyglądasz jak Marilyn Monroe i jesteś nieprzewidywalna. Carly. Taka kolorowa. Wyzywająca. Nałożyłaś za dużo makijażu, jak zawsze tuż przed moim przyjściem do domu. Dziś wieczorem rozmazał ci się wokół oczu.

– Płakałaś, Carly? – pytam.

– Nie – odpowiadasz, pociągasz duży łyk wina i zakładasz nogę na nogę, zmuszając mnie do podziwiania pary lśniących szpilek, których wcześniej nie widziałem.

Mieszam słodkie i kwaśne kluski.

– Na pewno?

Wykrzywiasz usta.

– Czemu pytasz?

Zdejmuję patelnię z ognia.

– Bo masz rozmazany makijaż.

– Znów mnie krytykujesz? – pytasz z uśmiechem. Przesadnym uśmiechem. Carly, czasami twój uśmiech mnie przeraża.

Nakładam jedzenie do dużych porcelanowych misek i siadamy naprzeciwko siebie przy stole z zapaloną świeczką i przyprawami między nami. Bez spróbowania solisz i pieprzysz swoją porcję. Mam ochotę cię upomnieć. Ale nie potrafię. Jesteś jak trudna nastolatka i muszę poruszać sprawy pojedynczo. A dziś wieczorem mam ważniejszą kwestię. Nabieram jedzenie na widelec.

– Carly, dlaczego uderzyłaś Matta w drodze powrotnej ze Snakes and Ladders?

– Zasłużył na to – mówisz gwałtownie. – Zamierzasz wezwać policję?

– Oczywiście, że nie.

Pochyliłam się nad stołem i kładę ci dłoń na ramieniu.

– Chcę tylko o tym porozmawiać.

– Nie jestem jedną z twoich pacjentek, Rob. Daj mi spokój.

Cofam rękę. Przez chwilę jemy w milczeniu. Nie mogę się powstrzymać od kontynuowania rozmowy.

– Wciąż masz do mnie pretensję o Jenni? – pytam łagodnie.

– Trochę się zdziwiłam, że chcesz ją przelecieć. – Akcentujesz słowo „przelecieć” prawie radośnie, jego zakończenie wręcz wypluwasz z ust.

– Przelecieć ją? Kiedy tak powiedziałem?

– To miałaś na myśli, prawda?

– Przekręcałaś moje słowa. Naciskałaś. – Robię pauzę. – Proszę, Carly, przestań. Kocham cię.

Carly

Rob jest w łóżku przede mną, zawsze tak jest. Wślizguję się obok niego, a on przysuwa się do mnie po naszych jedwabnych

prześcieradłach.

Mam szczęście.

Wiem, że chce seksu.

Poprzedniej nocy był zbyt zmęczony, i gdy tylko weszłam do łóżka, zaszygnałizował mi to, przyjmując swoją pozycję do spania: na boku, z wystawionym łokciem. Zawsze tak robi, kiedy nie jest zainteresowany. Ale nie dziś.

Jest napalony.

Czuję to.

Przysuwa się do mnie, ma erekcję. Wpycha moje ręce za plecy jedną ręką, wkłada poduszkę pod pupę drugą i kładzie się na mnie. Uwielbiam to. Każdy ruch jego języka jest cudowny. Doskonały. Wspaniały. Doprowadza mnie do szału pożądania tak idealnie, że gdy tylko wchodzi we mnie, jestem gotowa do szczytowania. Ale wstrzymuję się, bo chcę więcej – chcę, żeby to trwało wiecznie. Opasuję go nogami i wpycham dalej w siebie, naciskając stopami jego pośladki. Rzucam się. Obracam. Jęczę. Sięgam do jego jąder i ściskam je, szczytując. To jest piękne. Tego potrzebuję.

Rob jest dżentelmenem. Prawdziwym dżentelmenem. Moje zadowolenie jest jego afrodyzjakiem. Kiedy kończę, on wybucha, drgając, mrużąc mi do ucha, trzęsąc się. Rozdzielamy się, wykończeni, upojeni. Jestem wciąż tak pobudzona, że nie od razu zasnę. On zamyka oczy i wyczuwam moment, gdy zapada w sen. Upewniam się, że śpi, wstaję z łóżka i idę do przylegającej do sypialni łazienki. Siadam na sedesie, ale mój system nerwowy jest wciąż tak pobudzony, że nie mogę się wysiusiać. Zamiast tego, bawię się łechtaczką. Nogi rozchylone na toalecie to dobra pozycja. Znów mam orgazm.

Tym razem myślę o Craigu.

Jenni

Żyję we własnym osobistym koszmarze, przez jaki wszyscy musimy przejść w pewnym momencie naszego życia. Wszystko

wydaje się nierealne. Nienamacalne. Pewnego dnia obudzę się i zorientuję, że to się naprawdę nie dzieje – że moja sześćdziesięciosześcioletnia matka będzie mi matkować wiecznie.

Craig starał się mnie pocieszyć. Przytulał mnie w łóżku, kiedy płakałam. Słuchał, gdy wyrzucałam z siebie gniew – słuchał uszami i oczami.

Rob wpadł do mnie kilka dni temu, gdy byłam w domu sama z dziećmi. Wpasował mnie między wizyty u pacjentów. Zrobiłam mu filiżankę herbaty i został godzinę, a ja czułam się winna, że zabieram mu czas. Kiedy wychodził, wcisnął mi do ręki wizytówkę z numerem jego komórki, na wypadek gdybym potrzebowała jakiegokolwiek porady – obojętnie, w dzień czy w nocy. Podał mi przerażające statystyki dotyczące takiego stadium raka jajnika jak u mojej matki i zrobił mi wykład na temat uśmierzenia bólu. Zapytałam, co u Carly, bo nie widziałam się z nią od naszej wspólnej kolacji. Nie odpowiedział, bo był zbyt zajęty mówieniem o mojej matce.

Carly. Myślę o jej niebieskich oczach koloru morza. Nie udało mi się wpaść do niej przed wyjazdem, ale wiem od Craiga, że pomaga mu przy dzieciach, kiedy jestem z ojcem w Chessingfold, ponad godzinę drogi od domu. Matka jest uwięziona w Szpitalu Świętego Ryszarda, powalona przez chemioterapię, wożę więc ojca samochodem między ich bungalowem a oddziałem szpitalnym. A Craig, moja opoka, moja podpora, zajmuje się dziećmi w przerwach między dyżurami. Choć bardzo tęsknię za nim i za dziećmi, nie chcę, żeby tu teraz były. Nie mogą zobaczyć babci w takim stanie.

Domek rodziców jest pełen rodzinnych skarbów i wspomnień, fotografii, ozdób i poczerńiałych srebrnych sztućców. Jest tam muszla, którą znalazłam na plaży, kiedy miałam trzy lata. Gdy przykładam ją do ucha, wciąż słyszę morze. Spędzam zbyt dużo czasu na patrzeniu w przeszłość, nie wiedząc, kto niepokoi mnie bardziej – mama czy tata. Poznali się w szkole, kiedy mieli po czternaście lat. Całe życie razem. Przypuszczam, że nie pamiętają życia oddzielnie. Tata prawie nie odchodzi od matki. Siedzi z nią,

gdy ma chemioterapię, i obserwuje, jak trucizna skapuje do jej żył. Siedzi z nią, kiedy ona śpi.

Carly

Dwa dni po wyjeździe Jenni do matki obiekt moich regularnych teraz nocnych masturbacji stoi w drzwiach. W fantazjach jest skrzyżowaniem Jude'a Lawa z Davidem Beckhamem. W rzeczywistości jest trzydziestoośmioletnim mężczyzną z lekką nadwagą, ubranym w dżinsy z dziurami i koszulę w stylu kanadyjskiego drwala. Roba wezwano do nagłego przypadku, podejrzenie udaru u jednego ze starszych pacjentów. Craig wchodzi w krąg mdłego światła w holu i zdaje się górować nade mną. To wysoki mężczyzna. Dużo większy niż Rob.

– Dziękuję za opiekę nad dziećmi – mówi.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Było jak zwykle. Kolejna wyprawa do Snakes and Ladders. – Uśmiecham się do niego. – Co u Jenni? Nie miałam okazji do niej zadzwonić.

– Brak wiadomości to dobra wiadomość. Jej matka na razie się trzyma.

Kładę mu dłoń na ramieniu.

– To musi być dla niej straszne.

Idzie za mną do salonu, gdzie pobieżnie posprzątałam, wrzucając szybko stały śmietnik złożony z plastikowych zabawek do szafy.

– Zasnęły – mówię. – Są wykończone. Możesz je tu zostawić na noc, jeśli chcesz. Przywiozę je rano.

– Na pewno?

– Oczywiście. To żaden problem. – Uśmiecham się. – Ale zanim wyjdiesz, usiądź i odpręż się trochę. Chcesz kieliszek czerwonego wina?

Craig siada na kanapie. Wino już jest otwarte na gzymsie kominka i nalewam nam po kieliszku. Kiedy wręczam Craigowi jego kieliszek, nasze palce się stykają. Pozostawiam palce na jego tak długo, jak mogę, zanim on cofa swoje. Siadam obok niego na

kanapie i przyciskam nogę do jego nogi. Odsuwa się.

Co jest, Craig? Boisz się mnie?

Klucz obraca się w drzwiach. Rob jest w domu. Jego kroki rozlegają się w holu. Drzwi salonu się otwierają i staje przed nami, taki znajomy. Poznają po cieniach smutku pod jego oczami, że sprawy nie poszły dobrze dla jego starego pacjenta.

Craig zrywa się z kanapy.

– Dzięki za opiekę nad moimi chłopcami. Wspaniale było was zobaczyć, ale muszę lecieć. Zostawiam was w spokoju.

– Zostań, stary – usiłuje nalegać Rob, ale Craig jest już prawie przy drzwiach salonu.

– Nie, dzięki. Mam coś do zrobienia. Muszę jak najlepiej wykorzystać okazję, że dzieci są u was.

– Dzieci są u nas?

– Tak. Po dniu poza domem. Śpią smacznie na górze.

– Cudom nie ma końca.

Posyłam mu spojrzenie „przestań się ze mną drażnić”.

– Podrzucę je po śniadaniu – mówię, idąc za Craigiem do drzwi frontowych i zostawiam mojego męża, żeby nalał sobie kieliszek wina i rozwalił się na kanapie.

W holu Craig całuje mnie w policzek. Suchy, przelotny pocałunek.

– Jeszcze raz dzięki.

Otwieram drzwi frontowe, Craig idzie powoli ścieżką. W połowie drogi do furtki odwraca się. Posyłam mu najładniejszy uśmiech, który ćwiczę czasami przed lustrem. Minę Scarlett Johansson. Kiedy wracam do salonu, Rob leży na kanapie z nogami na poręczy i zrzuconymi butami przed sobą. Zabiera nogi, żebym mogła usiąść obok niego.

– O co chodziło? – pyta.

– A co? Pomagam mu. Nie zauważyłeś? Rozpoczynam nowy rozdział w życiu.

– Oczywiście, że nie zauważyłem. Nie zauważam niczego, z wyjątkiem moich pacjentów. – Śmieje się i macha pilotem w stronę telewizora. – Jeśli na górze naprawdę jest piątka dzieci, to miejmy nadzieję, że się nie obudzą.

Jenni

Trzymam jej delikatną rękę i pocieszam ją. Unoszę wodę do jej warg, żeby zwilżyć suche usta. Pilnuję podawania jej suplementów diety, antydepresantów i środków przeciwbólowych. Dni i noce są zdominowane przez coraz większe dawki morfiny. Poza tymi czterema ścianami toczy się życie innych ludzi. Spóźnieni spieszą się do pracy, mówią coś ze śmiechem przez komórki. Listonosz wrzuca listy, które już nas nie obchodzą. Jacyś obcy zataczają się na końcu ulicy późną nocą po wieczorze w pubie. Są nieświadomi wątłej egzystencji, jakiej się tu kurczowo trzymamy. Strzępki ich wesołych rozmów przenoszą mnie w szczęśliwsze czasy, ale wszyscy mamy tylko jedno życie i muszę się pogodzić z tym, że jej życie dobiega końca. Modlę się i modlę do Boga, a jej nadal się nie polepsza. Musiał nadejść jej czas.

Czasami, kiedy matka ma dość energii, martwi się o drobiazgi, rzeczy nieistotne dla mnie, zważywszy stan jej zdrowia. Czy śmietniki będą wystawione przed dom w środę. Czy zmywarka do naczyń została opróżniona. Może rutynowe zajmowanie się drobiazgami pomaga jej utrzymać się przy życiu. Ale głównie tylko śpi.

Boję się, że stracę ojca szybko po jej śmierci. Nie daje rady. Kiedy nie patrzy na mamę, spogląda w przestrzeń i mnie zostawia prowadzenie domu. Nie je. Nie wiem, czy sypia. Od czasu do czasu przytula się do mnie i płacze, i płacze.

Bardzo mi brakuje mojej rodziny, gdy tkwię tutaj w tej celi śmierci. Mojego męża, jego słodkiego piżmowego zapachu. Dobroci w jego oczach. Moich chłopców. Miękkosci ich skóry, kiedy przytulam się do ich policzków. Ich energii. Śmiechu. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku, gdy będą z powrotem w domu z Craigiem. Ostatnio, kiedy siedzę tutaj, obserwując śpiącą mamę, unoszenie się i opadanie jej piersi pod narzutą przy oddechu, mam wrażenie, że moja rodzina się oddala. Craig tak

sobie dobrze radzi beze mnie. Lepiej, niż się spodziewałam. Carly jest pomocna, co jest niezwykle. Potrafi sprostać wyzwaniu, jakim jest piątka dzieci, i daje sobie radę lepiej niż tylko z własnymi. Ma stałe wsparcie swojej matki, Heather – mam nadzieję, że to nie Heather bierze na siebie cały ciężar. Kilka miesięcy temu martwiłam się o Carly, była niezadowolona z wakacji, męża, dzieci. Smuciła mnie. Ale teraz sytuacja się odwróciła, Carly panuje nad wszystkim, i to ja zapadam się w ruchome piaski.

Mama mnie woła. Słaby krzyk na krawędzi wiatru.

Carly

Chłopcy są skrupowani w fotelikach dziecięcych w samochodzie, mocno, jak skazańcy, a Pippa siedzi wyprostowana w swoim. Wszyscy robią za dużo hałasu i Pippa jest Małą Panną Wesołą, Małą Panną Zbyt Pomocną, jak zwykle.

– Spokój, chłopcy! – grzmi, robiąc więcej hałasu niż oni. Perkusja już dudniąca w moich skroniach eksploduje. Modłę się, żeby ibuprofen, który wzięłam dwadzieścia minut temu, zaczął działać, i wciskam przycisk. Aksamitne tony z radia Classic FM wypełniają volvo. Zwiększam głośność, żeby zagłuszyć dzieci. *Grota Fingala* Mendelssohna zabiera mnie stąd. Mogłabym pływać w szkockim oceanie. Obserwować fale, rozbijające się o wydrążone przez morze skały. Gdziekolwiek, byle nie tu.

Klakson przebija się nieharmonijnie przez muzykę. Samochód za mną sygnalizuje, że światła się zmieniły. Naciskam gaz i auto wyrывa naprzód przez skrzyżowanie w centrum miasta. Następna w lewo i jesteśmy przed domem Craiga i Jenni – za kilka minut będę miała tylko własną trojkę pod opieką. Za pół godziny Rob będzie w domu. Zawsze robi coś pożytecznego. Pracuje w przychodni. Zajmuje się dziećmi. Majsterkuje w domu.

Proszę cię, Rob, weź kieliszek wina, usiądź i porozmawiaj ze mną. Nawet jeśli dzieci szaleją na górze. Nawet jeśli trzeba opróżnić zmywarę do naczyń. Mieliśmy razem jakiś świat,

zanim urodziły się dzieci. Świat spokojnej rozmowy na kanapie. Miłe wieczory poza domem przy chińskim jedzeniu, przy curry. Wyprawy do teatru. Wyjścia do kina. Wakacje, które były wakacjami, a nie torem przeszkód dla rodziców. A teraz? Dzieci mnie topią, powstrzymują od bycia osobą taką jak kiedyś. Nie ma już Carly, tylko „mamusia”, stereotypowy cień tego, co jest wewnątrz mnie. Mamusia, mamusia, mamusia. To słowo zaczyna mi brzydnąć. Kiedy usiłuję ustawić samochód, brzęczyk tylnych czujników parkowania dźwięczy jak szalony i żołądek mi się ściska na myśl o wczorajszym wieczorze. Rob wisiał nade mną, gdy ładowałam naczynia do zmywarki.

– Nie wkładaj tak misek. Nie pasują.

Wyjął je i ułożył od nowa rzędem na górnej półce.

– Proszę. – Pauza. – Widzisz.

A potem odwrócił się do mnie z tą swoją zatroskaną ojcowską miną, na której widok chce mi się krzyżeć. Wpatrywał się we mnie zbyt intensywnie ze ściągniętymi brwiami.

– Carly – powiedział – wiem, że ten etap jest trudny dla ciebie.

– A dla ciebie nie? – zapytałam z rękami na biodrach i szeroko rozstawionymi łokciami i nogami. – Dla ciebie nie jest trudny, Rob?

– Dla mnie jest wymagający, nie trudny.

– A co to za różnica? Stajesz się taki pedantyczny, że mógłbyś zostać prawnikiem.

– Może. W następnym życiu.

Zatrzasnął zmywarkę, która zaczęła burzyć wodę. W jego wzroku wyczułam wyzwanie.

– A co ty byś robiła w następnym życiu? – spytał.

– Nie wiem nawet, co chcę robić w tym.

– Nihilistka – mruknął.

Spojrzałam na niego, kiedy tak stał przede mną ze zmarszczonym czołem, i zatęskniłam za nim. Za mężczyzną, który by się roześmiał i zaciągnął mnie do pubu, a takie słowa jak „nihilistka” nigdy nie przyszłyby mu do głowy.

– Nie jestem wystarczająco doskonała dla ciebie, tak? – usłyszałam własny krzyk, ostry i napastliwy, czując łzy w oczach.

Zamrugalam, żeby je powstrzymać. Wziął mnie w ramiona.

– Carly, żadne z nas nie jest doskonałe. Jesteś na tyle doskonała, na ile można być.

Zesztywniałam przy jego ciele.

– Wiem, że wcale tak nie uważasz.

– Daj spokój, Carly, zostaw to, starałem się tylko pomóc.

– A jak twoim zdaniem krytykowanie mnie ma mi pomóc?

Żołądek ściska mi się na to wspomnienie. Twarz Roba przybiera rysy Craiga z lekko tłumionym poczuciem nieodpowiedzialności. Może dlatego ciągnie mnie teraz do niego. Odpowiedzialność mnie zabija.

Siedzę w samochodzie wśród hałasu i zamykam oczy. Rozbieram Craiga, przesuwam rękami po jego torsie w dół ku jego dżinsom. Zaciskam uda.

Od jak dawna chcę uprawiać z nim seks? Odkąd pamiętam? Czy odkąd Rob pragnie Jenni?

Wracam pamięcią do chwili, gdy pierwszy raz widziałam go prawie nagiego. Na pływalni w Center Parcs. W poświęcony dzieciom weekend kilka lat temu. Miał na sobie białe kąpielówki Aussiebum.

– Mamusiu, wszystko w porządku? – piszczy Pippa i szarpie mnie za ramię. Otwieram oczy. – Zabierzesz chłopców z samochodu, czy ja mam to zrobić?

Wyciąga się między oparciami przednich siedzeń i odpina ich. Obserwuję ją i zastanawiam się, jak to jest być w jej wieku. Kochać życie bez seksu, narkotyków czy alkoholu. Nakręcać się słodyczami, napojami gazowanymi i prostotą. Gdybym tylko mogła wrócić do czasów, kiedy truskawkowe żelki by mnie zadowalały.

Craig otwiera drzwi z nagim tarsem i mokrym ręcznikiem wokół pasa. Nie jest już taki szczupły jak kiedyś; brzuch mu rośnie od dogadzania sobie. Ale w końcu chciałabym teraz spróbować sobie dogodzić. Jego chłopcy wbiegają do domu, przez hol do salonu.

– Przepraszam, musiałem się umyć po wołaniu.

Strażacy tak nazywają wezwanie. Craig bohater. Podnoszę wzrok z jego torsu i wytrzymuję jego spojrzenie.

Dawno z nikim nie flirtowałam. Wredna suko Jenni, tak się to robi?

Craig

Idę do drzwi frontowych, jeszcze mokry, woda ocieka mi z nóg, znacząc drogę na wykładzinie podłogowej. Otwieram drzwi i przede mną stoi Carly. Moi chłopcy wbiegają obok mnie do domu. Zawsze biegną, rzucają się ku następnej rzeczy, dziś jest to kreskówka o Spidermanie. Znikają w salonie.

Według Jenni Carly nakłada za dużo makijażu, ale mnie się to podoba. Jest promienna.

Carly Burton promienna. Teatralnie promienna. Czerwone buty, czerwona szminka i rozjaśnione cytryną włosy, uczesane w stylu lat pięćdziesiątych. Posyła mi hollywoodzki uśmiech, tak szeroki, że mogłaby mnie połknąć. Cofam się trochę i patrzę w dół na jej zgrabne nogi, kształtne kolana. Kolana, jakie Jimmy Choo fotografuje podczas sesji zdjęciowych. A potem czerwienię się. Podnoszę wzrok, odrywam go od jej spódniczki, która ledwo zasłania majtki, i napotykam spojrzenie dużych niebieskich oczu.

– Dzięki, Carly – mówię. – Bardzo ci dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem. Któregoś dnia się zrewanżuję. Odwdzięczę się.

Kładzie dłoń na moim ramieniu. Jej dotyk mnie parzy. Czuję jej oddech, kiedy przysuwa się do mnie. Miętę i wanilię. Wystarczająco mocne, żeby się odurzyć.

– Raczej wcześniej niż później, proszę – mówi, przesuwając palcem wskazującym po moim prawym policzku.

Chwytam ją za rękę.

– W co ty grasz, Carly? – pytam najciszej, jak mogę. Nie chcę, żeby dzieci to usłyszały.

Carly

Roba nie ma. Jenni nie ma. Wszystkie dzieci są u mnie w domu, żeby się razem bawić – mieć jak najwięcej radości. Znów zabieram je do Snakes and Ladders. Mam nadzieję, że im się to nie znudzi. Nie daję rady pilnować tylu dzieci, jeśli mam robić coś bardziej męczącego. Zabieram je też do McDonalda. Pozwalam im wybrać po torebce słodyczy w sklepie na Church Street, staromodnym, z wykuszowym oknem, czarnymi i białymi kafelkami na podłodze i rzędami stoików ze wszystkim, od cukierków anyżowych do toffi. Teraz są wykończone, gotowe do snu, siedzą rzędem na naszej kanapie i oglądają jakąś dziwną kreskówkę, skrzyżowanie *Pokémona* z *Krainą lodu*. Wiem, że gdyby Jenni wiedziała, ile cukru zjadły, nie pochwaliłaby tego. Zmarszczyłaby nos w ten dziwny sposób, który kiedyś uważałam za fajny. Mam dosyć sztuczek tej wrednej suki – marszczenia nosa jak Samantha w *Ożeniłem się z czarownicą*.

Otwieram butelkę wina. Tylko jeden kieliszek, zanim przyjedzie Craig. Łykam tak szybko, że musiałam nalać mniej, niż myślałam, więc dolewam. Melon i czarna porzeczka. Być może odrobina maliny. Gdy tylko kreskówka się kończy, wyłączam telewizor. Wstaję i staram się wyglądać wesoło, uśmiecham się jak prezenterka kanału dla dzieci CBeebies.

– Czas na wyścig. Na górę i do łóżka. Zwycięzca dostanie jutro niespodziankę.

Przebiegają obok mnie, piszcząc i przepychając się. Muszę interweniować, kiedy Luke prawie spada ze schodów. Pippa wygrywa. Matt i John marudzą. Mark i Luke nie narzekają, Jenni dobrze ich wyszkoliła. Myją zęby i kładą się do łóżka jak para aniołków. Gdy tylko mam wszystkich z głowy, dzwięczy dzwonek do drzwi.

Craig.

Jest tutaj. Wchodzi do holu i wręcza mi butelkę merlota i bukiet różowych goździków. Całuje mnie w oba policzki, czuję zapach jego płynu po goleniu. Dziękuję mu, a on idzie za mną do oświetlonej świecami kuchni, gdzie stół nakryty jest do kolacji.

Przynoszę otwarte wino z salonu i z zaskoczeniem widzę, że zostało tylko pół butelki. Nalewam nam dwa duże kieliszki. Craig obserwuje, jak podaję ostrygi, po które się wymknęłam, kiedy dzieci wybierały słodczyce. Nigdy ich nie lubiłam, mają smak wody morskiej, ale Jenni powiedziała mi kiedyś, że Craig za nimi przepada. Więc dziś wieczorem są ostrygi.

Siedzimy przy stole, siorbiemy je z muszli i wycieramy talerze ciabattą. Krzywię się wewnętrznie przy każdym łyku. Pijemy za dużo wina, kończymy moją butelkę, potem jego i otwieramy następną. Patrzymy na siebie w świetle świec, bawiąc się wzajemnie spojrzeniami. W świetle świec Craig wydaje się mniejszy, cienie łagodzą jego rozmiary.

– Jak tam Jenni? – pytam, napełniając mu kieliszek.

Jego wzrok twardnieje.

– Jej matka jest umierająca, więc jak myślisz?

– Nie mogę w ogóle myśleć o śmierci, przeraża mnie. Chowam głowę w piasek. Może kiedy się jest religijnym, jest łatwiej.

Muszę się koncentrować, żeby nie bełkotać. Celowo ucinam spółgłoski i skracam samogłoski.

– Wszystko chyba jest łatwiejsze, kiedy się jest religijnym – odpowiada Craig, pochylając się do przodu.

– Jenni i Rob, nasz zastęp boży – mówię i śmieję się.

Jestem na tyle trzeźwa, że widzę, jak przesywa mnie wzrokiem.

– Zastęp boży brzmi tak wojskowo. To chyba nie jest aż takie zaangażowanie.

– Wiem, wiem – bełkoczę szybko, bo robi mi się głupio – żartowałam tylko.

Wredna suko Jenni, kiedy uwiodę twojego męża, tobie będzie głupio.

– Nie może być tak źle, skoro z tego żartujesz.

– Craig, nigdy nie mówiłam, że jest źle. Czas na następne danie.

Wstaję i zaczynam stawiać na stole z hałasem roztopiony francuski ser i supermarketowe herbatniki z ziarnami słonecznika. Dziobiemy ser i kończymy wino. Pożeramy cytrynową tartę z lokalnej piekarni i otwieramy butelkę tokaju.

Kiedy idę do ekspresu do kawy, kuchnia zaczyna się łagodnie kołysać. Czas na kawę i san pellegrino.

Balansuję w drodze z kuchni do salonu, mocno skoncentrowana, żeby nie upuścić tacy z wodą i kawą. Craig idzie za mną, uwalamy się obok siebie na kanapie. Wręczam mu szklanekę wody i filiżankę espresso, świadoma, że ręka mi się trzęsie.

– Możesz zostać na noc, jeśli chcesz.

Jego twarz zamazuje się przede mną. Choć ledwo je widzę, staram się skupić na jego oczach i pośląć mu spojrzenie „chodźmy do łóżka”. Jak przez watę słyszę, gdy mówi:

– Carly, przecież wiesz, że nie mogę.

Craig

– Carly, przecież wiesz, że nie mogę.

Wymawiam te słowa, ale wiele mnie to kosztuje.

Członek pulsuje mi w spodniach, że aż boli. Zamykam oczy i chcę, żeby przestał. Odkąd poślubiłem Jenni, staram się być jej wierny. Bo ją kocham. Bardzo kocham Jenni. W myślach trzymam ją za rękę i przyciągam do siebie. Pachnie różami i olejkiem paczulowym. Jest moim aniołem.

Carly, przecież wiesz, że nie mogę.

Ale wściekłe pulsowanie członka narasta. Wstaję. Carly też. Ruszam w kierunku niebieskich oczu. Przyciągam ją do siebie. Miękką. Gorącą. Chętną. Spragnione usta całują moje. Zwierzę, które zaraz mnie pożre, pachnące piżmem, kadzidłem i pożądaniem. Nie mogę się powstrzymać. Walczymy, żeby wzajemnie zdjąć z siebie ubrania, drąc, ciągnąc w chaotycznym szale. Gładzi mój członek, a ja sięgam do niej. Jest gotowa. W ciągu sekund jestem w niej, kiedy pada tyłem na kanapę. Zamykam oczy, gdy pompuję. Jęczy jak dzikie zwierzę, a ja eksploduję w niej.

Jenni

Włączam wideorozmowę z tobą, Craig, bo brakuje mi ciebie. Twoich pocieszających objęć. Dotyku. Ciepła. Nie włączam wideorozmowy z Lukiem i Markiem, bo mój widok mógłby ich zaniepokoić, a wydaje się, że dobrze się mają z tobą.

Twoja uśmiechnięta twarz ukazuje się przede mną – moment jak „teleportuj mnie, Scotty” w *Star Treku* – cud zbyt futurystyczny, żeby był rzeczywisty. Ale to jest rzeczywistość. Uśmiechasz się do mnie z mojego iPada, jakbyś był w tym pokoju. Przez sekundę mam wrażenie, że czuję intensywny zapach twojego ulubionego płynu po goleniu. Utrzymuje się przez sekundę, a potem znika.

– Jak idzie? – pytasz z zatroskaną miną.

– Dziś miała dobry dzień – odpowiadam, starając się, żeby to brzmiało pogodnie, starając się uśmiechać, żebyś wiedział, że nie będę cię martwić. Że daję radę.

Powiedziałam prawdę, że miała lepszy dzień. Ale „lepszy” to pojęcie względne. Nadal spała prawie bez przerwy, jak ptaszek, chuda i bezbronna, w pościeli z egipskiej bawełny niczym w gniazdku. Nadal nic nie jadła, choć próbowałam wcisnąć jej żelowe opakowanie słodkich substancji odżywczych między zęby. Nadal jej oddech świszczy jak wiatr w drzewach. Ale dziś, w końcu, morfina uśmierzyła jej ból.

– Jak tam chłopcy? – pytam.

– Świetnie. – Milknie i patrzysz, jak patrzę na ciebie.

– Naprawdę – dodajesz, jakbym mogła pomyśleć, że kłamiesz.

Carly

Przychodzę pierwsza. Zawsze przychodzę pierwsza. Recepcjonista w hotelu Travelodge rozpoznaje mnie, gdy tylko wchodzę w czerwonej czapce bejsbolowej, która zasłania moje krótkie włosy – bo co tydzień używam tego samego przebrania.

Wykonuję stały rytuał, kiedy już jestem w pokoju. Rytuał, który

doprowadziłam do perfekcji przez kilka ostatnich tygodni, od czasu pierwszej nocy z Craigiem. Zaciągam zasłony. Zapalam laseczkę kadzidła. Rozbieram się do pończoch i czarnego koronkowego body. Jestem mokra i drzę z podniecenia na samą myśl o nim; to najlepszy kochanek, jakiego kiedykolwiek miałam. Seks z Craigiem poprawił seks z Robem. Craig nauczył mnie nowych sztuczek i Rob je lubi, nie wiedząc, komu to zawdzięcza.

Siedząc na łóżku z rozstawionymi nogami i prawą ręką w jedwabnych majteczkach, bawię się ze sobą dla zabicia czasu, dla rozgrzewki, i czuję pobudzony sprężysty pączek łechtaczki jak kawałek napiętej struny gitarowej.

Jest Craig. Przywieram do niego, gdy tylko wchodzi do pokoju i zamyka bezpiecznie drzwi za sobą. Jego wargi znajdują moje, język penetruje mi usta. Zdejmuję mu marynarkę. Ręce mi się trzęsą, kiedy rozpinam koszulę. Jesteśmy już na łóżku i zdzieramy z siebie nawzajem ubrania, moje duże jędrne piersi mają doskonałe sterczące sutki. Duże piersi, z których jestem taka dumna. Siedzę obok niego na łóżku i śmieję się ze szczęścia. Takie chwile jak ta to najlepsze chwile w moim życiu. Wiem, jak siedzieć: nogi w bok, co wyszczupła mnie w talii i uwydatnia doskonałe piersi. Przysuwa się do nich, ale się odsuwam. Nie dziś. Na dziś są inne plany. Oddalam się od niego, żeby go podziwiać. Ma bladą skórę i ciemne włosy, jest piękny. Szczęściara z tej Jenni. Ale przynajmniej mogę mieć jego kawałek. Rob chce kawałek Jenni. Ja chcę kawałek Craiga.

Biorę go do ust i czuję pożądanie. Uwielbiam jego smak, jego zapach. Bawię się nim w głębi gardła. Pulsuje mi w ustach. I teraz się spuszcza, drażni mnie. Ale nie pozwala mi dojść. Jeszcze nie. Szamoczemy się razem i osobno w splotach napiętności. Nie wiem, jak ani gdzie zaczynają się nasze ręce i nogi. Jesteśmy poza łóżkiem, stoję przed nim na czworakach. On jest za mną, wyprężam szyję w ekstazie, kiedy czuję go w sobie, z jego palcami na moich piersiach i pączku łapczywej łechtaczki. Odrzucam głowę do tyłu i jęczę z rozkoszy. Szczytujemy i szczytujemy razem. Wodospad, który sprawia wrażenie, że nigdy nie przestanie płynąć.

Jenni

Matka wydaje ostatnie tchnienie. Szybko wciąga powietrze, tak jak się spodziewałam. Podobne do ptasiego unoszenie i opadanie klatki piersiowej. Otwieram usta i wołam tatę. Trzymam i ściskam jej rękę, żeby wiedziała, że jestem tutaj. Odwzajemnia uścisk. Tata tu jest, po drugiej stronie łóżka, trzyma ją za rękę i całuje w czoło. Mama odwraca głowę i patrzy na mnie oczami jak bezchmurne błękitne niebo, jak stonowany błękit hiacyntów. Delikatne jak powiew powietrza, jest to przejście od życia do śmierci, to łagodne sztywnienie. Siedzimy przez chwilę i patrzymy na nią. Na jej zimną bladość. Zawsze była taka ciepła, taka pełna energii.

Wychodzę z pokoju, pozwalając ojcu pożegnać się sam na sam z nią. Spaceruję po domu jak zwierzę w klatce – trzy kroki przez salon, trzy kroki z powrotem do holu i małej kuchni, usiłując dodzwonić się do Craiga, ale nie odbiera ani telefonu stacjonarnego, ani komórki. Zaczekam dziesięć minut i spróbuję znowu. Wyglądam przez okno i widzę dwoje dzieci, które przechodzą obok domu w drodze do szkoły i mają przed sobą całe życie, a ja zazdroszczę im. Wracam do sypialni, gdzie ojciec wciąż trzyma moją matkę za rękę, patrząc w przestrzeń, jak to robił przez wiele tygodni, jakby jeszcze nie odeszła. Kiedy to do niego dotrze? Jak mogę się nim zaopiekować? Co mogę zrobić, żeby to było dla niego dobre?

Dla niego już nigdy nic nie będzie dobre.

Opadam na draylonową kanapę rodziców i znów ogarnia mnie przemożne pragnienie, żeby porozmawiać z Craigiem. Jedynym mężczyzną, jaki kiedykolwiek był mi bliski. Czułam się taka zakłopotana, kiedy poprosił mnie o numer telefonu, miałam gorące policzki i wiedziałam, że się czerwienię. Większość ludzi wyrasta z tego w szkole. Nadal tak trochę jest między nami. Poświęca mi więcej uwagi, niż na to zasługuję, i wciąż chwytą mnie to za serce. Po raz pierwszy zobaczyłam go, kiedy dołączył

do naszego chóru kościelnego. Dostrzegłam go dużo wcześniej niż on mnie, Craig, mężczyzna poza moim zasięgiem. Obserwowałam go ukradkiem miesiącami, zanim zebrałam się na odwagę, żeby go zagadnąć w przerwie na herbatę.

Zanim za niego wyszłam, modliłam się i modliłam do Boga. Skąd się wie, kiedy się kogoś kocha? Bo w oczach Boga powinniśmy kochać każdego. Bóg odpowiedział na moje modlitwy i pobłogosławił mój związek. Zapytałam matkę, skąd się wie, kiedy miłość jest wyjątkowa. Odrzekła, że po prostu się wie. Ona po prostu kochała mojego ojca. Zawsze. Rodzice sprawiali, że czuły związek wyglądał na prosty. Prostszy niż jest w istocie. Myślę z bólem o ich związku w czasie przeszłym. Proszę, Boże, to nie może być w porządku. Miłość ma zbyt wiele energii, żeby przestać istnieć. Miłość trwa wiecznie, czyż nie? Inaczej nie byłoby Boga. Słowa zaczynają mi się plątać w głowie.

Znów dzwonię do Craiga. Nadal nie odpowiada. Nie mam wyjścia, muszę spróbować złapać go w remizie. To nagła potrzeba. Chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko temu? Potwierdzają to, co już wiedziałam – nie jest dziś na służbie. Może zabrał dzieci na pływalnię albo coś. Ale chyba mi powiedział, gdyby tak zrobił? Chyba niedługo będzie w domu? Proszę, Boże. Proszę, Boże, oby nie miał wypadku. Słyszę w wyobraźni przerażające wycie syreny karetki pogotowia. Trzęsę się wewnętrznie. Muszę z nim porozmawiać, żeby wiedzieć, czy nic mu się nie stało. Żeby przekazać mu straszną wiadomość. Wiem, że poczuję się trochę lepiej, kiedy porozmawiam z ukochanym. Próbuję znowu. Bez skutku. Nie odbiera telefonu w domu. Jego komórka przełącza się na pocztę głosową. Jeśli nie mogę porozmawiać z moim mężem, to muszę porozmawiać z kimś innym. Łzy rozpaczki napływają mi do oczu. Dzwonię na komórkę Carly. Nie odpowiada. Telefonuję do przychodni i proszę Roba. Oprócz taty i mnie Rob pierwszy powinien się dowiedzieć, że moja matka nie żyje.

Craig

Jenni, nawet kiedy jestem z Carly, myślę o tobie. Zawsze o tobie myślę. Wiem, że powinienem to zakończyć, że to, co robię, jest złe. I ostatniej nocy prawie mi się udało. Poszedłem do Travelodge, przygotowując się psychicznie, powtarzając sobie w myślach, co mam powiedzieć: „Było fajnie, ale nie chcę ranić mojej żony”. „Carly, to nie fair wobec naszych partnerów, Jenni i Roba”. „Carly, przysięgałem wierność w kościele. Że będę tylko z nią”.

Ale gdy tylko dotarłem do Travelodge, coś się we mnie zmieniło. To, że nie powinienem tam być, podnieciło mnie.

Carly miała MDMA, brązowawy proszek w foliowej torebce. Pokazała mi go, kiedy tylko wszedłem. Potem zostawiła go z boku przy czajniku.

- Skąd to wzięłaś? - zapytałem.
- Od Boba, za nieczynnym kinem.
- Jak się o nim dowiedziałaś?
- Praktycznie wszyscy w Stansfield wiedzą o Bobie.

Byłem tak zaskoczony, że chyba stałem z rozdziawionymi ustami. Podeszła do mnie i pogłaskała mnie po twarzy.

- Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - powiedziałem, gdy zacząłem zdejmować jej ubranie. Cienki fartuch pielęgniarski, koronkowy biustonosz, czarne stringi. - W ogóle uważam, że jesteś najgorzej zachowującą się pielęgniarką na świecie.

- Wiem - odparła, stojąc w obskurnym pokoju hotelowym nago, gotowa do seksu.

Carly zawsze wygląda na gotową do seksu. To część jej uroku, jej czaru.

- I mam dla ciebie lekarstwo - powiedziała, kiedy przechodziła przez pokój z dumnie sterczącymi piersiami.

Wytrząsnęła proszek z torebki do jednego z białych porcelanowych kubków do kawy, roztarła trochę na prawym palcu wskazującym i znów podeszła do mnie.

- Pokażę ci, co i jak.

Poczułem ucisk w slipach i w spodniach. Zdjąłem je, żeby sobie

ulżyć, i zacząłem ściągać koszulę.

Była na wprost mnie. Całowała mnie. Rozcierała mi MDMA na dżiastach.

Jesteś złą dziewczyną, Carly. Ja nie biorę narkotyków.

– Jesteś złą dziewczyną, Carly – prawie zanuciłem.

– Wiem – szepnęła, gdy mnie całowała.

Wtuliłem głowę w jej obfity biust. Złączyliśmy się, na podłodze, na łóżku, i doznałem w końcu orgazmu. Był gwałtowny. Przez MDMA? Czy przez to, w jak sposób się ze mną bawiła?

Jenni, kocham cię, ale po prostu nic nie mogę na to poradzić. Carly jest taka nieprzyzwoita, a ty taka dobra.

Rob

Siedzę w przychodni, przy sfatygowanym drewnianym biurku, które mam od czasu, kiedy byłem studentem, i wprowadzam dane poprzedniego pacjenta. Otacza mnie swojskość i wdzięczność. Wdzięczność to jedna z rzeczy, nawet po tylu latach praktyki, którą najbardziej doceniam w swoim zawodzie. Ludzie są mi wdzięczni za pomoc. Telefon na biurku zaczyna dzwonić, podskakuję lekko. Odbieram. Słyszę głos jednej z recepcjonistek.

– Jenni Rossiter na linii. Próbowałam ją zbyć, ale mówi, że to pilne.

– Więc ją połącz.

Słyszę płaczliwy głos.

– Wszystko w porządku? – pytam, wiedząc, że tak nie jest.

– Odeszła. Pół godziny temu.

Matka Jenni. W końcu stało się to, czego się obawiała od dawna. I teraz, kiedy mi mówi, że już po wszystkim, słyszę, jak płacze, nie powstrzymując łez, i jej łkanie rozdziera mi serce.

– Craig już wie?

Łkanie się nasila.

– Nie mogę go złapać.

– Chcesz, żebym spróbował?

– Nie. Nie. Próbowałam wszystkiego. Na pewno niedługo

oddzwoni.

Płacz trwa. Brzmi tak, jakby ktoś pocierał papierem ściernym mikrofon telefonu.

– Jenni, chcesz, żebym przyjechał?

– To za daleko. Jestem w domu rodziców w Chessingfold.

– Chcesz mi powiedzieć, co się stało?

– Tata i ja byliśmy z nią, trzymaliśmy ją za ręce. Jesteśmy tutaj, w domu. Ona jest na górze w łóżku.

Cisza. Jenni wyciera nos.

– Rob, wciąż myślę, że jeśli wrócę do sypialni, to ona po prostu się obudzi i uśmiechnie do mnie, i że to wszystko tylko zły sen.

– To naturalne, że najpierw nie można się pogodzić z tym, co się stało. To początek procesu radzenia sobie z żałobą.

Moje słowa brzmią tak szablonowo. Komputerowo. Automatycznie. Niestosownie. Zmieniam taktykę.

– Coś ci powiem, Jenni. Zapomnij o tym. Pójdę do kościoła i pomodłę się. Czy to by pomogło?

– Tak, tak. Dziękuję ci, Rob. Bardzo ci dziękuję.

Co by Carly powiedziała, gdyby nas słyszała? Carly i ja tak często sprzeczaaliśmy się ostatnio. Odkąd się poznaliśmy, zawsze się kłóciliśmy. Dyskutowaliśmy. To jedna z wielu rzeczy, którą lubiłem w naszym związku. Ale teraz Carly strasznie się denerwuje, kiedy się z nią nie zgadzam. W szorstkim głosie pobrzmiwa prawie nienawiść. Religia to jeden z głównych punktów zapalnych. Wiedziała, że jestem religijny, kiedy się pobieraliśmy, dlaczego więc tak reaguje dopiero teraz? Zapytałem ją o to ostatniej nocy, kiedy kładliśmy się spać, a ona odparła:

– Bo za bardzo się tym przejmujesz.

Zaskoczyła mnie.

– Przejmowanie się czymś to chyba nic złego? Jak można się przejmować za bardzo? – spytałem, gdy się rozbiegałem.

– Jeśli się za bardzo przejmujesz jedną rzeczą, to ignorujesz wszystkie inne wokół siebie, które są ważne – odrzekła Carly, wciągając przez głowę niebieską seksowną koszulkę nocną, w której zawsze wygląda uroczo.

- I uważasz, że to robię, bo po prostu wierzę w Boga? – zapytałem defensywnie.

- Musisz to mieć pod kontrolą.

Miała metaliczne zmrużone oczy.

- W porządku, obiecuję.

Uniosła powieki. Popatrzyła na mnie jak niewinne dziecko, z lekko rozchylonymi wargami. Aniołek Botticellego, z małymi, okrągłymi, idealnymi ustami. Ale potem rozciągnęła nieprzyjemnie wargi i nasza dyskusja rozgorzała na nowo.

- Jeśli Bóg jest dobry, to dlaczego jest taki niedobry? – zapytała.

- Nie bądź śmieszna, Carly. Bóg nie jest niedobry.

Zirytowany jej zachowaniem, poszedłem do łazienki. Kiedy myłem zęby, płytkie słowa Carly dźwięczały mi w głowie. „Jeśli Bóg jest dobry, to dlaczego jest taki niedobry?” Rozdrażniony, szcztokowałem zęby zbyt energicznie i dziąsła zaczęły mi krwawić. Gdy wróciłem do sypialni, Carly leżała na swojej połowie łóżka pod kołdrą. Wśliznąłem się obok niej i przytuliłem z tyłu do jej ciała laleczki. Zesztywniała od mojego dotyku. Uwolniła się ode mnie, oparła na łokciu i popatrzyła na mnie.

- Jeśli Bóg nie jest niedobry, to dlaczego zdarza się tyle złych rzeczy? – spytała.

- Złe rzeczy, które się zdarzają, nie są zawinione przez Boga – odparłem.

Westchnęła teatralnie, długo i nienaturalnie. Przewróciła oczami.

- Więc przez kogo? Jeśli Bóg jest wszechmocny, to są jego winą.

Byłem już zmęczony kłótnią, chciałem iść spać.

- Większość problemów powoduje człowiek – powiedziałem.

- Erupcje wulkanów? Powodują je ludzie, którzy tańczą wśród gór i wypychają lawę na zewnątrz? Trzęsienia ziemi? Powodują je ludzie, którzy skaczą pod jej powierzchnią?

Kiedyś roześmiałbym się, przyciągnął ją do siebie i objął. Ale nie mogłem. Położyłem się, odwróciłem od niej i zgasilem światło. Nie potrafiłem znaleźć słów, żeby wyrazić to, co czuję. Może nigdy ich nie znałem, bo moje umiłowanie Boga jest głębokie i bardzo osobiste. Nie na pokaz i nie do wyjaśniania.

Siedzę w gabinecie i na samo wspomnienie naszej rozmowy czuję wściekłość. Nie znoszę, kiedy Carly uwłącza Boga. Wyłączam komputer i wychodzę, człapiąc po sosnowej podłodze przychodni. Kilkoro ostatnich pacjentów patrzy na mnie ze znużeniem, kiedy mówię recepcjonistkom, że wychodzę do nagłego wypadku.

Na głównej ulicy Stansfield mijam banki, sklepy charytatywne i studia paznokci. Costa Coffee, Iceland i biura nieruchomości. Potem skręcam w Church Street, naszą jedyną zamkniętą dla ruchu ulicę, i idę obok sklepu ze słodyczami, ulubionej „łapówki dla dzieci” Carly i do kościoła Świętej Marii.

Gdy tylko wchodzę do kościoła Świętej Marii, czuję obecność Boga. Klękam w pierwszym rzędzie, w moim stałym miejscu blisko drzwi do zakrystii. Jest zupełnie inaczej, kiedy nikogo innego tu nie ma. Mam Boga dla siebie, jego bliskość się umacnia. Modłę się za ciebie, Jenni, jak obiecałem, i za twoją matkę. Widzę, jak biegnie do ciebie i obejmuje cię. Czujesz to, Jenni? Czujesz to tak jak ja?

A teraz modłę się za Carly. Moją żonę. Moją piękną żonę o kształtnej figurze i dźwięcznym śmiechu. Dwie Carly idą ku mnie. Jedna ma odrzuconą do tyłu głowę i śmieje się, druga płacze. Carly płacze wewnątrz. Niepokoję się o nią ostatnio – uderzyła Matta, stale ma huśtawkę nastrojów. Kiedy wracam z pracy do domu, często wygląda tak, jakby płakała. Tłoczące się w mojej głowie myśli zaczynają się układać. Dobry Boże, jeśli moja żona ma depresję, pomóż mi, proszę, poradzić sobie z tym.

Jenni

Znów dzwonię do Craiga, zdecydowana tym razem połączyć się z nim. Nie chcę uruchamiać wideorozmowy, żeby nie zobaczył moich oczu opuchniętych od płaczu. Nie chcę, żeby zobaczył moje brudne włosy. Nie chcę, żeby zobaczył moją twarz. Myśli wirują mi w głowie:

Gdzie byłeś, kiedy umarła moja matka, Craig?

Gdzie jesteś teraz?
Co się dzieje?

Craig

Zawsze przychodzi do Travelodge przede mną. Zawsze ma na sobie strój pielęgniarki i coś niezbyt purytańskiego pod spodem. Body. G-stringi. Coś gumowego lub satynowego, albo koronkowego w śmiałym kolorze. Gdy tylko ją widzę, mam wzwód. Carly podchodzi do mnie i jej przenikliwe niebieskie oczy stają się twoimi oczami, Jenni. Rozbieram ją, a ona ciągnie mnie leniwie do łóżka z wampowatym uśmiechem. Jej uśmiech czasami mnie przeraża. Ściąga mi pożądliwie ubranie. Jęczy, kiedy w nią wchodzę. Robi za dużo hałasu. Co ona wyprawia? Myśli, że gra w filmie pornograficznym? Ale czuję ją dobrze jak zawsze i dochodzę, pchając i rzucając się bez opamiętania. Kończę, wychodzę z niej i kładę się na plecach na łóżku, trzymając ją za rękę, wypompowany. Wiem, że muszę wracać do domu. Tęsknię za twoimi telefonami, Jenni.

Jenni

Znów dzwonię do Craiga. Udało mi się powiedzieć mu, że mama nie żyje. Przynajmniej przyjedzie tu niedługo z chłopcami na pogrzeb. Ale jest bardzo zajęty. Ostatnio trudno go złapać. Próbuje przez dwadzieścia minut. Raz za razem. Przez dwadzieścia minut od razu włącza się jego poczta głosowa. Będzie dzwoniła do skutku. Spaceruję tam i z powrotem po kuchni rodziców. Rodziców. Sztywnieję, gdy to myślę, bo teraz to jest kuchnia mojego ojca. Wypełniona mocnym zapachem placka rybnego, który mu piekę, jego ulubionego. Chciałam zrobić ojcu przyjemność. Ale nawet go tu nie ma, poszedł do jednego z sąsiadów w sprawie pogrzebu. Zostawił mnie samą. Tęsknię za mężem i dziećmi. Tęsknię choćby za rozmową z Craigiem.

Nareszcie. Dzwoni. Jego głos bucha ku mnie z iPhona.

– Jenni.

Sam dźwięk jego głosu sprawia, że chaos w mojej głowie zaczyna ustępować.

– Craig.

Słyszę, jak ciężko oddycha, jakby szybko szedł. Słyszę podobny do szumu fal odgłos ruchu ulicznego.

– Gdzie jesteś?

– Właśnie wychodzę z remizy.

Oddycha, oddycha, szybko, szybko. Ruch uliczny staje się coraz głośniejszy.

– Straszny tam hałas.

– Duży tu ruch dziś wieczorem. Musi być korek na obwodnicy.

Patrzę na zegar ścienny przy tylnych drzwiach.

– Dziwna pora na wyjście z remizy. Co się stało?

Waha się.

– Po prostu przyszedłem odwalić trochę papierkowej roboty.

– Gdzie są dzieci? – pytam niespokojnie.

– U Roba.

– A co z Carly? Sądziłam, że pomaga.

– Dziś wieczorem ma wychodne.

– Jest taka zapracowana, że na pewno potrzebuje przerwy. –
Milknę na chwilę. – Bardzo za tobą tęsknię, Craig. I za chłopcami.

Kiedy przyjeżdżacie?

– Pojutrze. Ja też tęsknię za tobą, Jenni. Bardzo cię kocham.

Miłość w jego głosie uspokaja mnie, uwalnia od obaw.

Jenni

Pogrzeb. Lilie, róże i smutek w kościele rodziców. Kościele z wieżą, blisko stawu z kaczkami w Chessingfold, wiosce wśród wzgórz South Downs, gdzie się przeprowadzili. Próbowałam namówić tatę, żeby zabrał jej ciało do Stansfield, ale był nieugięty. Ich życie minęło. Siedzę obok niego i trzymam go za drżącą rękę. Rob dał mi na wszelki wypadek valium ze swojej

brązowej skórzanej torby lekarskiej i środek ten wywołał sztuczny spokój, który mi wcale nie odpowiada. Carly mówi, że uwielbia valium i że bierze je czasami z jego torby, kiedy wie, że się upije. Twierdzi, że daje jej dodatkowego kopa. Carly zawsze chce zaszokować mnie i w ogóle wszystkich. Dziś jej się udało. Myślę, że nie powinna celowo mieszać alkoholu z valium i powiedziałam jej to. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, mówiąc z drwiną, że jestem świętoszką. A ja po prostu uważam, że nie powinnam dziś pić. Chcę być spokojna. Nie chcę mieć takiego kopa jak ona.

Mój ojciec jak dotąd trzyma się całkiem dobrze. Lepiej, niż się spodziewałam. Ale Rob mówił, że pogrążeni w żałobie często trzymają się dobrze, bo są odrętwiali. Smutek i ból przyjdą później. Brzmi to tak, jakby smutek następował według jakiegoś wzorca, co mnie zaskakuje, bo sądziłam, że smutek jest sprawą indywidualną. W końcu wszyscy jesteśmy odmiennymi osobami w oczach Boga.

Co do mnie, czuję już ból. Ciało boli mnie tak, jakby matka została odcięta ode mnie nożem. Jak będzie, gdy ten ból się nasili?

Po pogrzebie tata przeniesie się do nas na pewien czas, więc będę z nim, kiedy poczuje ból, i zrobię wszystko, żeby mu pomóc. Ale czy to wystarczy? Odwracam się i patrzę na niego. Jest w rozpacz. Cokolwiek mówi Rob.

Dziś w kościele tradycyjnie ja, tata, Luke, Craig i Mark siedzimy w pierwszym rzędzie. Craig, między chłopcami, trzyma ich za ręce. Lśniące czarne włosy ma świeżo ostrzyżone, krócej niż przedtem. Mój przystojny mąż wyróżnia się w tłumie. Chłopcy są już znudzeni i się wiercą. Nie byłam pewna, czy powinni przyjść. Są za mali na pogrzeby, ale z kim miałam ich zostawić? Poza tym mój ojciec chciał, żeby tu byli. Carly, Rob i Heather przyjechali, żeby mnie wspierać, i siedzą za nami. Za nimi cała armia krewnych w żałobie. Lubianych krewnych. Tolerowanych krewnych. Krewnych, których staramy się ignorować. Mam nadzieję uniknąć spotkania głównie z siostrą matki, Rosie. Czarną owcą w rodzinie. Naszym problemem jest jej zachowanie

wobec mężczyzn. Carly śmiała się, kiedy jej o tym powiedziałam.

– Zawsze jest ktoś taki – odparła.

To chyba nic dziwnego, że nie palę się do rozmów po pogrzebie. Przypuszczam, że nikt nigdy się nie pali. Może nie będzie tak źle, jak się obawiam. Ludzie mówią, że pogrzeb jest oczyszczający, może więc w końcu ucieszy mnie towarzystwo krewnych. Jedną z rzeczy, których nie mogę zrozumieć, jest to, jak tyle osób znalazło czas, żeby przyjść na pogrzeb i okazać swój szacunek, skoro nigdy nie mieli czasu, żeby ją odwiedzić za życia. Czasami myślę, że szacunek jest trochę nie na miejscu w dzisiejszych czasach.

Craig patrzy na mnie i uśmiecha się. Z miłością. Z otuchą. Mimo moich ponurych, wywołanych smutkiem podejrzeń co do tego, dlaczego nie mogłam go złapać, jest cudowny, odkąd mama odeszła. Wziął cały tydzień wolnego, żeby przyjechać i zamieszkać w domu moich rodziców z dziećmi i pomóc zorganizować pogrzeb. Nikt nie zdaje sobie sprawy, ile drobiazgów trzeba załatwić, dopóki sam nie przejdzie przez coś takiego. Craig nie może się doczekać mojego powrotu do domu. Stale mnie obejmuje i mówi, jak bardzo za mną tęsknił. Czuję się taka bezpieczna w jego ramionach, taka wyjątkowa, taka kochana. Jak mogłam w niego wątpić?

Obecność dzieci w domu przed pogrzebem dobrze zrobiła ojcu. Miał zajęcie. Co wieczór kąpał je i kładł do łóżka, kiedy robiłam kolację. Piskliwe śmiechy i głośne pluski dochodziły do mnie z łazienki, podnosząc mnie trochę na duchu. Po kąpieli, zostawiwszy istną powódź na podłodze, tata czytał im tak długo, że kiedy przychodził na kolację, starannie przyrządzone przeze mnie jedzenie było już suche jak wiór. Ale nie miałam serca go upominać. W ogólnym rozrachunku, co znaczy trochę przepieczonego jedzenia?

Choć Craig miał tydzień wolnego, coś ważnego musiało się dziać w remizie, bo spędzał mnóstwo czasu na chodniku przed bungalowem, rozmawiając przez komórkę. Ilekroć na niego zerknęłam, wyglądał na zajętego i zdenerwowanego, miał poważną i oficjalną minę. Wykonuje taką ciężką pracę. W dzisiejszych czasach na starszym strażaku spoczywa tyle

dodatkowej odpowiedzialności.

Organy. Wstajemy, ich głęboki, melodyjny dźwięk rozbrzmiewa z galerii i chwyta mnie za serce. Już muszę powstrzymać łzy, które mnie dławią. Zaciśkam spoconą dłoń na chusteczce w kieszeni. W drugiej dłoni drżenie ręki ojca narasta. Znów się odwracam i patrzę na niego. Stoi obok mnie z twarzą bez wyrazu, wyprostowany. Ludzie niosący trumnę mojej matki stąpają wolno przejściem, zmagając się z ciężarem dębowej skrzyni. Jeden potyka się lekko, ale zaraz odzyskuje równowagę.

Trumna ustawiona.

Matka leży przed ołtarzem, zamknięta w dębowych deskach i przykryta liliami i różami, jej ulubionymi kwiatami. Gdzie teraz jest? Widzi nas, unosi się już w pozaziemskiej przestrzeni i patrzy w dół? I co się stało z ciałem, które opuściła? Robi mi się niedobrze, kiedy o tym myślę.

- Babcia jest tam - słyszę szept Luke'a skierowany do Marka. Pokazuje. Mark podąża za jego palcem wytrzeszczonymi oczami. Chciałam, żeby widziała, jak moje dzieci rosną.

- Zebraliśmy się tu, żeby uczcić życie Lesley Jane Tunnicliffe - zaczyna pastor z przesadnie biblijnym zaśpiewem.

Atmosfera w kościele robi się sztywne. Wszyscy słuchają. Czy czczenie życia czyni śmierć bardziej znośną? Zamykam umysł na słowa pastora.

Carly

Znów Travelodge. Leżę w objęciach Craiga, nasycona. Nie mogę zdobyć więcej MDMA. Bob zniknął. Może się przyczaił. Może policja go zgarnęła. Craig nie lubi MDMA. Powiedział, że po początkowej euforii był ledwo żywy. Ale ja uważam euforię za fantastyczną. Euforia, euforia, euforia. Bob, proszę, bądź tam następnym razem. Daj mi trochę więcej.

Craig śpi, czuję jego oddech na policzku. Nie mieliśmy dziś tyle czasu co zwykle, bo spóźnił się piętnaście minut, a kiedy ma się dla siebie tylko godzinę, piętnaście minut to duża różnica.

Porusza się i siada. Wstaje z łóżka i podchodzi do drzwi, żeby pozbierać rozrzucone ubranie. Umieram z pragnienia, żeby wziąć go znów do ust tak jak po pogrzebie, po kryjomu, w łazience w domu rodziców Jenni. Mieliśmy odlot jak niegrzeczne nastolatki. On sprawia, że właśnie tak się czuję. Znów jestem nastolatką w podróży odkrywczej. Wstaję z łóżka i podchodzę do niego.

– Co ty robisz? Nie, Carly, muszę iść.

Odsuwa się ode mnie i zaczyna ubierać, wkłada szybko szare slipy Gap. Dam mu coś elegantszego na urodziny. Coś bardziej uwydatniającego figurę.

Wracam na łóżko. Leżę i patrzę, jak się ubiera.

– Dlaczego tak się spieszysz? – pytam.

Przykłada palec do ust.

– Daj spokój. Chodzi o moją rodzinę.

Uzgodniliśmy, że będziemy udawać, że nie mamy rodzin.

– Rodzinę? Nawet nie wiedziałam, że masz rodzinę – mówię i uśmiecham się.

Odwzajemnia uśmiech. Już całkiem ubrany podchodzi i siada na brzegu łóżka obok mnie. Kładzie się i całuje mnie delikatnie w usta. – Dziś było wspaniale. Dziękuję – mówi.

– Na przyszły tydzień mam dla ciebie niespodziankę.

– Powiesz mi jaką, czy to tajemnica?

– Muszę ci powiedzieć, bo inaczej nie wiedziałabyś, dokąd jechać.

Marszczy brwi.

– Dokąd jechać?

– Zarezerwowałam dla nas hotel kilka kilometrów stąd na całą noc, możemy zjeść kolację w pokoju.

Uśmiech, który błąkał się na jego wargach, znika.

– Carly. Potraktowałem serio naszą rozmowę, że się nie angażujemy. Nic osobistego. Tylko wspólny seks. Kumple do łóżka. – Wzdycha. – Myślałem, że się zgodziłaś. Inaczej nigdy bym tego nie zaczął. – Przerywa. – Jak mogłaś się spodziewać, że na to pójde?

– A obciążanie w łazience to nie było osobiste?

– Trwało dziesięć minut. Jak walenie konia.

– Jestem zamiennikiem walenia konia?

Wygląda trochę nieswojo.

– Chyba taki dobry seks jak nasz musi coś znaczyć? – pytam.

Nie odpowiada. Wygląda na zdenerwowanego.

– Masz taki sam dobry seks z Jenni?

Wstaje, żeby wyjść. Oczy mu błyszczą.

– Zostaw Jenni w spokoju.

Craig

Śniadanie w naszym nowoczesnym miejskim domu. Siedzimy przy stole kuchennym. Jemy płatki weetabix. Pijemy kawę rozpuszczalną. Chłopcy sypią okruchami croissantów na podłogę i stół, brudzą buzie, zamiast zjadać rogalce. Jenni siedzi obok mnie. Czuję jej zapach, olejek paczulowy. Chyba staje się bardzo podejrzliwa, jeśli chodzi o moje wyjścia i przyjścia. Zaczęła mnie zbyt często sprawdzać. Kiedy ostatnim razem wróciłem ze schadzki z Carly, wygłosiła bardzo cięty komentarz na temat tego, jak często się kąpię. Wczoraj rano, gdy wyszedłem z łazienki, przeglądała mojego iPhone'a. Kiedy zapytałem, co robi, odpowiedziała, że zabuczał i po prostu sprawdza, czy nic ważnego nie przyszło. Sprawdziłem później telefon i wiem, że kłamała. Żadnych przychodzących wiadomości.

Teraz, gdy kończę miskę weetabixów z mlekiem, strzela ku mnie oczami koloru toffi.

– Mógłbyś odebrać receptę taty z przychodni? Będiesz tamtędy przechodził w drodze do remizy, prawda?

Mój teść mieszka z nami w tej chwili. Czy raczej koegzystuje. Jest tak osamotniony bez matki Jenni, że słowo „żyje” byłoby przesadą. Siedzi przed telewizorem w części salonowej naszego mieszkania o otwartym planie i skubie kawałek tosta. Odwracam głowę i patrzę na niego. Nie ogląda wiadomości. Ma puste spojrzenie. Domyślam się, że obrazy po prostu przesuwają się przed nim na ekranie.

Wstaję i uśmiecham się do Jenni.

– Oczywiście, wstąpię do przychodni, nie ma sprawy.

Dziesięć minut później wchodzę do przychodni ze spuszczoną głową, w nadziei, że nie natknę się na Carly. Sytuacja między nami staje się niebezpieczna. Przemykam do pierwszej wolnej recepcjonistki, myszy w grubych okularach i z siwymi lokami do ramion. Przez chwilę przypomina mi owcę.

– Przyszedłem po receptę dla mojego teścia.

– Na jakie nazwisko?

– Stuart Tunncliffe.

Przerzuca stos recept w pudełku i wkrótce znajduje tę, co trzeba.

– Lekarz przepisał mi zapas na trzy miesiące. Potem musi przyjść na ponowne sprawdzenie ciśnienia krwi.

Wręcza mi receptę i posyła półuśmiech na do widzenia. Nie udaje mi się szybko wymknąć, bo kiedy się odwracam, Carly stoi przede mną. Carly Burton Promienna, Carly Burton Wspaniała. Krótkie blond włosy lśnią w promieniu jesiennego słońca, który wpadł przez okno. Niebieski strój pielęgniarski wygląda jak namalowany na doskonałej figurze.

– Craig Rossiter, prawda? – pyta.

– Tak.

– Właśnie miałam do pana dzwonić. Zapraszam do gabinetu. Musimy omówić wynik pańskiego badania krwi.

Wbrew moim najlepszym chęciom idę za nią przez poczekalnię do jej królestwa. Kiedy już jesteśmy w środku, zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Opuszcza żaluzje.

– Muszę cię szybko zbadać – mówi i wsuwa mi rękę do spodni.

Wpycham jej język do ust i znów powtarzam sobie, że muszę z tym skończyć.

Jenni

Craig jest w remizie, a ja sprawdzam wyciągi bankowe. Nasze saldo się nie zgadza i muszę sprawdzić jeszcze raz. Debety –

rachunki z miejscowego hotelu Travelodge? I nagle rozumiem, a to zrozumienie, jasne jak słońce, przecina mój umysł jak ostry nóż. Przypadkowe fakty, które ledwo zauważałam, układają się w całość jak łamigłówka. Zmiany w jego rozkładzie dnia. Częste prysznicze. Telefony. I jestem otępiąta jak w dniu śmierci mojej matki. Jakby to nie dotyczyło mnie. Jakbym obserwowała kogoś innego.

Klucz w zamku. Kroki przez hol do salonu. Craig tu jest, stoi przede mną. Uroczy i znajomy, schyla się, żeby mnie pocałować. Całujemy się, potem cofa się i patrzy na mnie.

– Co to za okazja? – pyta. – Wszystko w porządku? Zwykle nie czekasz na mnie, kiedy wracam późno z dyżuru.

Opadam na kanapę. Siada obok i bierze mnie za rękę.

– Wszystko w porządku? – powtarza łagodnie.

– Mam nadzieję – odpowiadam i zaczynam płakać.

Otacza mnie ramieniem i krzywię się wewnątrz.

– Powiedz mi, Craig – słyszę swój głos. – Masz romans?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego tak myślisz?

Powstrzymuję łzy, odsuwam się od niego i chwytam wyciągi bankowe ze stołu jadalnianego. Ściskam je tak mocno, że mnę je w palcach.

– Dlatego – mówię, wymachując mu nimi przed nosem. – Co robiłeś w Stansfield w Travelodge? Dlaczego musiałeś tam mieszkać?

– Mogę to wyjaśnić – odpowiada spokojnie, wstaje i próbuje odebrać mi je. Ale ich nie puszcza. Zaciskam palce mocniej i gniotę je w dłoni.

– Jenni, mogę to wyjaśnić – powtarza.

– Możesz, Judaszu? – syczę.

Siadam przy stole, wciąż ściskając wyciągi. Siada naprzeciwko mnie z twarzą jak figura woskowa z Muzeum Madame Tussaud.

– No to mów. Wyjaśnij.

– Miałem zaległości w pracy – chodziłem do Travelodge pisać raporty.

- Przestań.
- Milczenie, które dusi. Woskowa twarz roztapia się i kruszy.
- To nic nie znaczyło, Jenni. Natychmiast to zakończę.
- Jeśli nic nie znaczyło, to dlaczego? – pytam łamiącym się głosem.
- Sięga po moje ręce przez stół, ale się cofam.
- Jenni – mówi – kocham cię ponad wszystko. Ta kobieta – przerywa z emfazą – nic dla mnie nie znaczy.
- Ale kto to jest, Craig? Powiedz mi, proszę.

Carly

- Moja komórka dzwoni. Odbieram.
- To koniec. Dowiedziała się.
- Doznaję szoku.
- Skąd wie? Przecież byliśmy ostrożni.
 - Ostrożni? – cedzi Craig. – Stale do mnie dzwoniłaś. Proponowałaś weekendowe wypady. Różowałaś się ze mną w przychodni! To ma być ostrożność?
 - Mówisz, jakbym cię zmuszała.
 - Carly. Muszę się streszczać. Nie zadzwoniłem pogawędzić. – Pauza. – Doszła do tego po wyciągach bankowych, debetach, rachunkach z Travelodge.
 - Dlaczego płaciłaś kartą? To było głupie. Naszym romanssem chciałaś zwrócić na siebie jej uwagę?
 - Opuść sobie ten psychobełkot – cedzi. – Po prostu nie pomyślałem i tyle. I teraz za to płacę.
 - Ona wie, że to ja?
 - Na szczęście nie. I nie może się nigdy dowiedzieć, Carly.

Jenni

Przebrnęłam jakoś przez ten dzień z uczuciem, jakbym się przedzierała przez rtęć lub ołów. Każdy ruch był trudny, ręce i nogi miałam jak z żelaza, cały czas się czegoś bałam. Na krótkie chwile zapominałam, co się stało. Kiedy trzymałam Luke'a i Marka za ręce i szliśmy do parku zabaw. Kiedy staliśmy w kolejce do furgonetki lodziarza i jesienny lekki wiatr od rzeki pieścił nasze twarze. Na kilka sekund zapominałam.

Kiedy dzieci były w szkole, poszłam do kościoła. Do kościoła, gdzie się pobraliśmy, nad rzeką w Stansfield. Architektura Wrena. Wiekowe cisy. Wróciłam myślami do dnia naszego ślubu. Znów szłam nawą pod rękę z moim ojcem, organy brzmiały głęboko na galerii, bukiet z lilii drżał od moich drżących palców. Najbardziej dręczyło mnie wspomnienie, jak pastor owinął nasze ręce stułą i powiedział:

– Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela.
Pamiętasz, Craig?

Po powrocie do domu z dyżuru w remizie stoisz za blisko mnie, kiedy nakrywam do stołu. Zaczynasz mi pomagać. Nie chcę być blisko ciebie. Pachniesz seksem z kimś innym. Jesteś brudny. Zawsze będę czuła odór twojej zdrady. Rozkładasz sztucce, a ja podkładki pod talerze, i kiedy zbliżamy się do siebie, odwracam głowę.

Siadamy przy stole, żeby zjeść lazanie, za którą przepadają dzieci. Popycham ją widelcem po talerzu i obserwuję, jak topiony ser gęstnieje. Nikt nic nie mówi. Nie mogę patrzeć, jak podnosisz widelec do ust i przełykasz, nie myśląc o tym, gdzie były twoje wargi.

Po posiłku sadzam Luke'a i Marka do filmu i zaczynam sprzątać ze stołu. Kiedy wkładam naczynia do zmywarki, podchodzisz do mnie z tyłu i całujesz czule w szyję.

- Bardzo przepraszam, Jenni - szepczesz.

Jakoś przeżywamy wieczór. Kładziemy dzieci do łóżka. Siadamy obok siebie na kanapie z kieliszkami wina. Znów jesteś za blisko mnie, twoja noga dotyka mojej i parzy mnie. Jest mi gorąco. Jest mi niedobrze.

- Proszę, przebac mi - błagasz.

Przebaczenie ma być teraz sednem naszego związku?

Bierzesz mnie za prawą rękę. Pozwalam, żeby spoczęła bezwładnie w twojej spoconej dłoni, i siedzimy, słuchając dźwięków wieczoru. Przez ścianę słychać telewizor u sąsiadów. Samolot. Syrena policyjna. Śmiechy ludzi w drodze do pubu. Odstawiam kieliszek na stolik kawowy i wstaję.

- Idę do łóżka. Będziesz musiał przez jakiś czas spać w pokoju gościnnym.

Rano recepcjonistka Roba musi przydzielić mu przedpołudniowe przyjęcie mnie w trybie pilnym, bo powiedziałam, że mam załamanie nerwowe, nie daję rady. Leżę całą noc w naszym małżeńskim łóżu, czuję nikły zapach twoich włosów na poduszce obok mnie i nie mogę spać bez ciebie, bo brakuje mi ciepła twojego ciała i kojącego oddechu. Nie zmrużyłam oka przez całą noc i nieuzasadnione uczucie paniki, które staram się stłumić od śmierci matki, urasta do nieustannego wewnętrznego krzyku, od którego nie mogę się uwolnić.

Jestem więc priorytetową pacjentką Roba, jego wesoły głos wywołuje moje nazwisko przez interkom, idę do jego gabinetu, starając się nie potknąć o klocki Lego dla dzieci w rogu poczekalni. Pukam do drzwi i słyszę krótkie: „Proszę”.

Mały gabinet wygląda, jakby pamiętał lepsze czasy. Stoi tu poobijane biurko i obowiązkowa kozetka przykryta papierowym prześcieradłem. Siadam na małym skórzanym krześle

naprzeciwko biurka i rozprasza mnie zdjęcie Roba z Carly, Pippą i Johnem, zapewne sprzed narodzin Matta. Musieli być w Krainie Jezior lub w Walii. Stoją na tle skalistego szczytu, ubrani w nieprzemakalne kurtki. Carly jest bez makijażu i wygląda na wypoczętą i szczęśliwą. O wiele bardziej zrelaksowaną, niż widuję ją od jakiegoś czasu.

– Jak się czujesz? – pyta Rob.

Otwieram usta, ale milczę. Łzy spływają mi po twarzy i sól szczypie w policzki.

– Co się stało, Jenni? – pyta łagodnie.

– Chodzi o Craiga. Ma romans.

Robi wydech.

– Głupi palant.

Słowa Roba dźwięczą mi w głowie i po raz pierwszy, odkąd się dowiedziałam, śmieję się. Nerwowo, sztucznie.

– Właśnie – mówię z udawaną pewnością siebie.

– Jenni, uspokój się. Można wiele zrobić, żeby pomóc w razie problemów małżeńskich.

– Rzecz w tym – mówię, łapiąc oddech przez łkanie – że do wczoraj wieczorem nie wiedziałam, że mamy problem.

Siedzę, wpatrzona w jego oczy. Coś w jego nakrapianych zielonoszarych tęczęwkach sprawia, że przestaję płakać. Ale krzyk w mojej głowie trwa. I chyba nigdy nie ustanie.

Carly

Sobota, pora lunchu. Jenni, siedzisz naprzeciwko mnie w winiarni i starasz się utopić mnie swoimi wielkimi ciętymi oczami. Zamówiliśmy butelkę pinot grigio i talerz tapas. Ale ty nie pijesz. Nie jesz. Siedzisz nieruchomo z rękami złączonymi na podołku, jakbyś się modliła.

Jenni Rossiter. Modliszka.

– Masz za dużo do stracenia, żeby się rozwieść – mówię, kończąc trzeci kieliszek wina i znów częstuję się tapas. – Dzieci nie miałyby wielkiej frajdy z krążenia między różnymi domami w

weekendy. Zwłaszcza jak będą starsze. I co z pieniędzmi? Jeden dom jest dużo tańszy w utrzymaniu.

Nie odpowiadasz. Siedzisz na wprost mnie, osamotniona i świętoszkowata. W końcu się odzywasz.

– Mówisz o stronie praktycznej. Czy zaufanie i wiara nic nie znaczą w dzisiejszych czasach? – pytasz.

– To chyba świadczy o wierze w siłę związku, jeśli się kogoś puszcza, a potem przyjmuje z powrotem?

– Nie puściłam go. Po prostu poszedł. – Pauza. – Rzecz w tym, że nie mogę sobie wyobrazić, co to za kobieta. Najwyraźniej poderwała go w Travelodge. Zapytała, czy pomógłby jej zaparkować samochód, a potem zaprosiła do łóżka. Nie rozumiem, dlaczego z nią poszedł.

– Naprawdę tak było? – pytam, zaskoczona wersją, jaką podał ci Craig.

Chcę ci nalać wina, ale zdecydowanym ruchem zakrywasz dłonią kieliszek.

– Jaka kobieta by to zrobiła? – pytasz, przesywając mnie wzrokiem.

Jak mogę wytłumaczyć, że próbowałam odegnać cień, który mnie pogrąża? Cień, którego bez względu na to, jak się staram, nie mogę odepchnąć.

Jenni

Jaka kobieta by to zrobiła? – pytam, gdy siedzimy naprzeciwko siebie w słabo oświetlonej winiarni wśród gwaru w porze sobotniego lunchu.

Nalewasz sobie kolejny kieliszek wina. Czwarty, Carly, a jest dopiero dwunasta trzydzieści. Nie wiem, jak to wytrzymują twoja wątroba i cera. Martwi mnie twoje picie. Chyba muszę porozmawiać o tym z Robem. Odchylasz się na krześle do tyłu, z półuśmiechem, jakbyś za chwilę miała się delektować tym, co mi odpowiesz. Tak naprawdę nie potrzebuję odpowiedzi, Carly. Chcę po prostu, żebyś słuchała, tak jak kiedyś. Chcę, żebyś się

wczuła. Pamiętaj, że straciłam męża i matkę. Cofnij trochę czas. Okaż mi swoją przyjaźń.

- Dla niektórych ludzi seks jest taką podstawową rzeczą i koniecznością jak chodzenie do toalety – mówisz.

Głośniej i bardziej nadęcie niż kiedykolwiek.

- Mam nadzieję, że kobieta, która to zrobiła, utopi się we własnych odchodach – odpowiadam za szybko i prawie natychmiast uświadamiam sobie, jak dziecinnie to brzmi. Jak brutalnie i nieprzyjemnie.

Sztywniejesz, jakbym poraziła cię prądem.

Carly.

Właśnie wtedy pierwszy raz poczułam twój zapach na nim i jego na tobie.

Carly

Jestem z powrotem w domu po spotkaniu z Jenni. Dzwonię do drzwi, żeby uprzedzić matkę, że wróciłam, i jednocześnie przekręcam klucz w zamku, żeby jak najszybciej wejść. Zastaję ją biegnącą przez hol do drzwi, wygląda na zmęczoną.

- Jak tam Jenni? – pyta.

- Rozstrojona – odpowiadam.

- A ty byś nie była?

Nie odpowiadam.

Idę za matką przez hol naszego domu z lat trzydziestych do kuchni, mijając stolik, na którym Rob i ja jesteśmy uwięzieni w srebrnej ramce i uśmiechamy się dobrotliwie w dziesiątą rocznicę ślubu. Czuliśmy się tacy dumni z siebie, tacy radośni. Wypiliśmy całą butelkę szampana i uprawialiśmy seks w sypialni przed kolacją. Matka otwiera drzwi. Dzieci jedzą panierowane kawałki kurczaka z frytkami w blasku późnego październikowego słońca, które unosi się przez ogród ku mnie, odbite od dywanu poskręcanych złocistych liści do posprzątania. Z wytrzeszczonymi z łakomstwa oczami dzieci wchłaniają smażone jedzenie i za dużo keczupu, jakby mnie nie widziały.

Nawet nie podnoszą wzroku.

- Dać ci coś, kochanie? – pyta matka.
- Nie, dzięki. Jadłam tapas.

Kiedy dzieci kończą się obżerać, matka sprząta ich talerze i podaje galaretkę i lody.

- Galaretka na talerzu. Galaretka na stole. Trzęsie się. Trzęsie się. Galaretka na talerzu – powtarza i wszyscy się śmieją.

Wesoło.

Koniec jedzenia i wesołości, buzie wytarte, nakrycia sprzątnięte i dzieci znikają na górze w sypialni Matta, gdzie matka dziś rano pomogła im rozstawić tor wyścigowy dla elektrycznych samochodzików. Ich brzęczenie przewierca mi skronie i grozi bólem głowy.

- Biedna Jenny Wren – mówi matka.

Głowa zaczyna mnie boleć.

- Jenny Wren? – pytam, nie starając się zbyt ukryć irytacji w głosie. Porównanie Jenni do bohaterki piosenki McCartneya denerwuje mnie.

- Zawsze wydaje się taka bezbronna.

- Nie taka bezbronna jak teraz.

- Chyba wpadnę do niej dziś wieczorem; może będę mogła jakoś pomóc.

Matka. Zawsze się trzęsie nad Jenni. Stworzyły silną więź przez dzieci, kiedy wróciłam do pracy w przychodni. Zabierają razem dzieci do parków zabaw. Na pływalnię. Na zdrowe wiejskie spacerunki ze zbieraniem liści i jagód. Dziś ich proprzyrodnicza zażyłość naprawdę mnie wkurza.

- Możesz się natknąć na Roba – mówię. – Powiedział, że też do niej zajrzy.

Irytacja w moim głosie nie ustępuje.

- On tylko stara się pomóc, Carly. Chyba wiesz?

- Tak. Tak. Wiem. Oczywiście, że wiem – odpowiadam trochę za szybko.

Matka siada i spogląda na mnie przez sosnowy stół jadalni.

- Masz doskonałe małżeństwo – mówi. – Nie zepsuj tego.

- Nikt nie ma doskonałego małżeństwa – warczę.

Między nami zapada milczenie. Odwracam od niej wzrok, a potem znów patrzę na nią.

– Słuchaj, mam, mogłabyś zostać trochę dłużej i spojrzeć na dzieci? Może wezmę prysznic. Odświeżę się.

– Oczywiście. Z przyjemnością. Obiecałam Mattowi jeszcze jeden, ostatni wyścig.

– Dziękuję. – Sięgam przez stół i dotykam jej ręki. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Dałabyś sobie radę, Carly. – Pauza. – Zawsze sobie poradzisz.

– Nie czuję się tak w tej chwili.

– Babciu. Babciu. Twoja kolej! – krzyczy z góry Matt.

Dźwięk jego głosu działa na matkę jak automatyczny włącznik – wstaje i wykonuje swój obowiązek. Z Robem i matką zawsze jest tak samo – dzieci są na pierwszym miejscu w ich hierarchii ważności. Wlokę się na górę, ociężała po zbyt dużej ilości alkoholu, przygnieciona ciężarem własnej znikomości, żeby oblać się wysokociśnieniowym prysznicem. Może prysznic doda mi energii, sprawi, że poczuję się gotowa stawić czoło reszcie dnia. Rozbieram się i wkładam nowy krótki szlafroczek. Krzątam się po sypialni i sprzątam trochę, zanim się odświeżę. Słyszę chrzęst opon samochodu na żwirze, zgrzyt klucza w zamku drzwi frontowych i Rob jest już w domu, wcześniej niż zwykle po comiesięcznym sobotnim dyżurze w przychodni. Rozmawia z moją matką. Śmiech. Kroki na schodach. Rob jest na górze, otwiera drzwi sypialni, stawia torbę lekarską w jej specjalnym miejscu w kącie i uśmiecha się do mnie dobrotliwie, tak dobrotliwie jak na zdjęciu w holu. Uśmiech pełen cierpliwości. Zarezerwowany dla trudnych pacjentów. I dla mnie.

– Jak tam Jenni? – To jego pierwsze pytanie.

Sztywnieję.

Jenni. Jenni. Jenni.

– Tak jak można się spodziewać – warczę.

Siada obok mnie na łóżku i zapada między nami ciężkie milczenie. Wyglądam przez okno i widzę niezgrabne linie rzędu domów po drugiej stronie ulicy. Nasz dom trudno nazwać perłą brytyjskiej architektury, ale zrobiliśmy w nim, co mogliśmy.

Dębowe podłogi, skórzane kanapy koloru toffi, jasnozielone ściany. Bardzo w stylu sieci marketów John Lewis. Bardzo w stylu produktów śniadaniowych Dorset Cereal. Mimo dużego metrażu zagraciliśmy go plastikowymi zabawkami i papierami. Szczątkami naszego życia. Patrzę przez ulicę na lustrzane odbicie naszego domu i zadaję sobie pytanie, czy gdybym mieszkała tam w następnym życiu, byłoby ono lepsze? Pewnie nie. Ale fajnie byłoby spróbować.

Głos Roba przecina ciężar milczenia.

– Nawet jeśli jest z nią tak, jak można się było spodziewać, może mogłabyś to opisać?

– Jest zła i nieprzyjemna. Chce pogrzebać kochankę Craiga w odchodach.

– Dziwisz się jej?

– Wyrażała się dość emocjonalnie.

– Na tym etapie nie rozwodziłbym się nad każdym jej słowem.

– Dobrze, nie będę.

Przyciąga mnie do siebie i całuje, popycha mnie na łóżko i rozpina mi szlafrok. Zaczynam go rozbierać i przysuwam piersi do jego twarzy. Nasze zwykłe ruchy. Dokładnie w tej kolejności. Bez zmian. To, co robimy, zawsze się sprawdza.

Po wszystkim. Teraz naprawdę muszę wziąć ten prysznic. Rob zbiera ubranie, które rozrzuciłam po sypialni, uśmiecha się szeroko i gwizdże. Zawsze gwizdże, kiedy jest zadowolony. Odwraca się do mnie.

– Może Jenni powinna spróbować seksu z zemsty – mówi i doznaje erekcji.

Patrzę w bok i nie odpowiadam.

Jenni

Od chwili gdy wchodzę do kościoła, jego cisza przepelnia mnie obecnością Boga. Słońce wpada przez witrażowe okno za ołtarzem, promień przebija kurz i oświetla Dzieciątko. Chrystus siedzi na kolanie Marii o ascetycznej twarzy i wskazuje mnie

palcem. Wskazuje przez mgłę kurzu i kadzidła, sprawiając, że czuję jego miłość.

Modłę się. A przynajmniej próbuję. Zamykam mocno oczy i odcinam się od świata. Skupiam się i koncentruję na moim mężu, na każdym szczególe jego ciała, od piegów poprzez rys ucha do smukłej linii stóp. Na jego śmiechu, minie, kiedy powiedział mi, że mnie zdradził. Podnoszę wzrok na witrażowe okno, na oddane delikatnymi kolorami piękno Madonny i dziecka, którzy patrzą na mnie. Kiedy wpatruję się w Madonnę, zauroczona jej urodą, Maria staje się Carly. Miękkie ciemne włosy, zagęszczone przez utlenianie, nieco zbyt pulchna twarz i śmiech. Wskazuje mnie, drwi ze mnie. Jej śmiech, najpierw łagodny, staje się coraz bardziej nieprzyjemny. Mechaniczny, jak z głośnika. A potem cichnie i słyszę muzykę chóralną. Przy pięknej muzyce Carly wyciąga ręce do mnie.

– Przebacz mi – błaga.

Przebaczyć ci? Nigdy. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Carly

Matka stara się powstrzymać marszczenie brwi, które tworzy bruzdy na jej czole. Wstaje i zaczyna zbierać naczynia. Siedzę i patrzę, jak krząta się po mojej kuchni w fartuchu Jamie Olivera od Roba. Jak zwykle, wyciska za dużo płynu do zmywania, hałasuje garnkami. Mój ból głowy osiąga apogeum. Masuję skronie, żeby zelżał. Matka patrzy na mnie i widzi, że ją obserwuję.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Podchodzi do mnie, pachnąca mydlinami.

Usiłuję znaleźć właściwe słowa.

– Po prostu wszystko wydaje się takie ciężkie. Takie trudne. Bywają dni, kiedy mam wrażenie, że ledwie mogę się ruszać.

– Co masz na myśli? – pyta.

Zapada milczenie, bo mimo starań nie potrafię wyjaśnić, w jakiej próżni żyję. Nie mogę się przebić przez samotność tej

próżni. Zaduch w kuchni zaciska się wokół mnie. Patrę na matkę z wnętrza plastikowej bańki, przez którą nie mogę jej dotknąć.

Rob

Minął następny tydzień. Znów sobotni poranek. Wstaję o szóstej, żeby zająć się dziećmi i dać Carly poleżeć. Carly jest taka wyczerpana ostatnio. Dzięki Bogu za kanał CBeebies, nawet jeśli jego nazwa brzmi jak gaworzenie. Siedzę na kanapie i drzemię godzinami, skulony z moim potomstwem. Cieszę się ich ciepłem i zapachem, gdy oglądają telewizję.

Kiedy w końcu Carly schodzi chwiejnie na dół w swoim puszystym różowym szlafroku, uwalniam się i ruszam do kuchni zrobić jej filiżankę herbaty. Idzie za mną. Siadamy przy zabytkowym sosnowym stole i sączymy earl greya.

– Dobrze spałaś? – pytam.

– Nie.

Siedzi z głową w dłoniach i łzami w kącikach oczu.

– Obudziłam się o czwartej.

– Carly, potrzebujesz pomocy. – Robię pauzę.

– Bo nie mogę spać?

– Bo masz depresję. Musisz pójść do psychiatry.

– Nie potrzebuję żadnego psychiatry.

– Mogłabyś pójść tylko na diagnozę.

– Po co? – Pauza. – Po co mi psychiatra, skoro mam ciebie?

– Jestem lekarzem rodzinnym. Niewiele wiem o depresji.

– To dlaczego uważasz, że mam depresję?

Sięgam przez stół i biorę ją za rękę.

– Bo światło zgasło w tobie.

Łzy zaczynają jej spływać po policzkach. Ścisza mi rękę tak mocno, że się obawiam, że może ją złamać.

– Proszę, Rob. Przrzeknij, że nie wyślesz mnie do nikogo. Nie rozumiesz, że to mnie zniszczy?

– Dlaczego udzielenie ci pomocy cię zniszczy?

– Bo... bo... – jąka się. – Muszę poradzić sobie sama.

Widzę błysk determinacji w jej oczach. I boję się, że ta determinacja ją zgubi.

Rob

Naciskam dzwonek niby-georgiańskiego domu Jenni i Craiga, teraz już bardziej jej niż jego. Craig wyprowadził się za róg, do swoich rodziców, gdzie jego dawna sypialnia pozostała nietknięta. Czekające na niego mauzoleum, ze zdjęciami szkolnej drużyny na ścianach i plakatem Pamelii Anderson po pierwszym powiększeniu cycków, tak starym, że pozwijały mu się rogi. Drzwi się otwierają i Matt z Johnem stoją w holu.

– Wujek Rob – mówią chórem i przywierają do moich nóg. – Myśleliśmy, że to tata. Tata ma zaraz przyjść.

I wtedy wyrasta za mną Craig. Chłopcy uwalniają moje nogi i wspinają się na ojca. Podnosi ich, każdego jedną ręką. Oplątują go nogami w pasie i przez chwilę zgadzam się w duchu z Carly, że Jenni jest samolubna, rozdzielając rodzinę. Ale kiedy widzę Jenni przed sobą, chudą jak patyk, z oczami podkrążonymi z braku snu, serce znów mi się kraje.

– Cześć, Craig – mówi słabym głosem i zdobywa się na lekki uśmiech.

Ręce jej się trzęsą. Mam ochotę wziąć ją w ramiona i chronić. Kiedy Craig wychodzi z synkami, szepcze mi do ucha:

– Dzięki. Dzięki, że przyszedłeś stanąć po mojej stronie.

Jenni i ja zostajemy sami w holu. Jenni wybucha płaczem i podchodzi do mnie. Przywiera do mnie tak mocno i płacze tak rozpaczliwie, że obawiam się, że nigdy nie przestanie. Czuję jej kościste ciało, tak inne niż miękkie krągłości Carly. Nie mogę się powstrzymać, schylam się i całuję ją w czubek głowy z nosem w jej miękkich lśniących brązowych włosach. Pachnie i smakuje olejkiem paczulowym i miodem. Chyba nie widzi mojej nieostrości, jej ciało nadal napiera na mnie. Łka coraz głośniej. Sięgam do kieszeni i daję jej chusteczkę do nosa.

Po jakichś dziesięciu czy dwudziestu minutach, które wydają się

godziną – nie wiem dokładnie, po jakim czasie, bo trzymam ją tak mocno, że nie mogę spojrzeć na zegarek – Jenni w końcu się uspokaja i odsuwa ode mnie.

– Dziękuję ci – szepcze. – Chodź.

Idę za nią przez część jadalną mieszkania na otwartym planie do części wypoczynkowej, gdzie Jenni opada na kanapę w kwiaty. Czuję się winny z powodu naszego kontaktu fizycznego, bo obawiam się, że Carly by tego nie zrozumiała. Zdejmuję kilka plastikowych zabawek z kanapy naprzeciwko i siadam tak daleko od Jenni, jak to tylko możliwe. W pokoju jest bałagan: walają się klocki Duplo, kawałki łamigłówek, pluszaki i ubrania do przebieranek. Na szklanych stolikach kawowych (niebezpiecznych dla małych dzieci) są okruchy i odciski palców, puste plastikowe kubki i filiżanki po kawie. Zastony są zaciągnięte. Zrywam się i odsłaniam okna. Jenni mruga zaczerwienionymi od płaczu sarnimi oczami, bo słońce ją razi.

Siadam z powrotem z nogą założoną na nogę i skrzyżowanymi na piersi rękami, żeby pokazać, że jestem tu oficjalnie, Jenni pociąga nosem.

– Dlaczego znów przyszedłeś, Rob? – pyta.

Brzmi to prawie jak wymówka. Ale nie widać wymówki w łagodnych czekoladowych oczach. Brązowych jak krówka z domieszką wanilii.

Zdejmuję nogę z nogi i pochylam się do przodu.

– Craig poprosił mnie, żebym wpadł. Chciał, żebym ci powiedział w jego imieniu, że jest mu przykro, że bardzo cię kocha i że nigdy więcej tego nie zrobi. – Na chwilę milknę. – Chciał, żebym cię poprosił, żebyś dała mu szansę.

Jenni

Siedzę na mszy z ojcem, który ze mną mieszka, i modłę się, żebym miała siłę przebaczyć Craigowi. Ojciec radzi mi, żebym puściła wszystko w niepamięć, bo życie jest krótkie i musimy doceniać to, że kogoś mamy. Mówi tak, bo jest samotny po

śmierci matki. Ale co by mówił, gdyby go zdradziła? Matka lub ojciec niewierni sobie? To niemożliwe. Gdyby tylko matka tu była, mogłabym z nią porozmawiać. Dlaczego musisz zabierać ludzi tak całkowicie, Boże? Dlaczego nie mogą przynajmniej rozmawiać z nami z nieba, nawet jeśli już nie możemy ich zobaczyć i dotykać?

Rozmawiam z matką w myślach podczas różnych zajęć: sprzątanania łazienki lub jazdy do supermarketu. I co dzień rano, w porze lunchu i przed pójściem do łóżka modłę się do ciebie, Boże. Ale jak dotąd nie zdobyłam się na przebaczenie. Wspomnienia szczęśliwszych czasów nie opuszczają mnie. Pamiętam, jak Craig i ja przywieźliśmy nasze pierwsze dziecko do domu, owinięte szalem, który matka zrobiła dla niego na drutach. Jak tańczyliśmy przytuleni na przyjęciu gwiazdkowym, zakochani w sobie. Jak spacerowaliśmy po parku z chrzęstem jesiennych liści pod stopami. Ale Carly wkracza w te wspomnienia i niszczy je. Staram się ją powstrzymać, ale nie mogę. Muszę się modlić żarliwiej. Wiem, Boże, że nagradzasz tych, których modlitwy są szczerze. Muszę sprawić, żeby moje modlitwy działały. Carly i Craig. Wyobrażam sobie, jak leżą razem i umierają wolno w męczarniach.

Kara, nie przebaczenie. Och, jakże moje modlitwy zawodzą, Boże.

Craig

Bardzo brakuje mi Jenni. Ciepła jej ciała przy mnie w nocy. Jej równego oddechu. Szczupłej postaci w moich objęciach. Dziwnych rzeczy, jakie mi opowiadała o tym, co robiła w ciągu dnia i o dzieciach. Bez niej nie mogę się skoncentrować nawet na ulubionym programie telewizyjnym. Zapamiętuję, co mam jej opowiedzieć, jak kiedyś, a potem sobie przypominam, że ona już nie chce mnie słuchać.

No i dzieci. Nie wytrzymuję myśli o nich. Widywanie ich co drugi weekend jest trudne. Traktują mnie z chłodną

uprzejmością jak obcego.

Toteż w tym tygodniu we wtorek rano, kiedy Jenni przerwała mi śniadanie esemesem o poradni małżeńskiej, nie było się nad czym zastanawiać. I teraz, w piątek wieczorem, godzinę przed wyjściem na pierwsze spotkanie, jestem gotowy. Włożyłem garnitur na rozmowy kwalifikacyjne, szary jedwabny krawat i różową koszulę, a buty wypolerowałem tak, że mogę się w nich przeglądać. Mama powiedziała, że za bardzo się wypachniłem płynem po goleniu, więc starłem go gąbką i teraz spaceruję po sypialni z mojego dzieciństwa. Po pokoju, gdzie tak wiele się wydarzyło. Tu miałem pierwszą dziewczynę w pewien odurzający weekend, kiedy rodziców nie było w domu. Tutaj śpiewałem. Miałem szesnaście lat i używany zestaw do karaoke i śpiewałem z zapalem, przygotowując się do przesłuchań do zespołów, do których nigdy nie doszło. Bardzo się tym przejmowałem. Teraz już nie mam ochoty śpiewać.

Patrzę na zegarek. Muszę wyjść za pięćdziesiąt dziewięć minut. Powinienem zejść, usiąść w salonie i pooglądać telewizję z rodzicami. Oni teraz tylko to robią. Przygotowują posiłki, sprzątają, piją herbatę i zasypiają przed telewizorem. Mam niewiele do roboty w tej chwili. Połowę czasu, kiedy nie jestem na dyżurze, spędzam z nimi. Dziś, jak zwykle, zastaję ich drzemiących przy popołudniowych wiadomościach. W salonie jest za gorąco, duszno, i gdy tylko siadam z nimi, zasypiam. Kiedy dzwoni budzik w moim iPhone, budzę się. Wreszcie nadszedł czas, żeby wyjść.

Jenni czeka na mnie przed szkołą podstawową w śródmieściu. W tej szkole między komendą policji a pocztą odbywają się wieczorne sesje poradni małżeńskiej. Ma zaciśnięte usta. Jest w swoich najlepszych zamszowych kozaczkach i płaszczu, który kupiłem jej na ostatnią Gwiazdkę.

– Dzięki, że przyszedłeś – mówi prawie bez ruchu warg.

– Nie ma sprawy – odpowiadam.

Wchodzimy w milczeniu do wiktoriańskiego budynku z czerwonej cegły, któremu przydałoby się malowanie. Budynek jest bezduszny, odpychający, zimny i pełen przeciągów. Nasze

kroki odbijają się echem. Niepewni, dokąd iść, zatrzymujemy się w holu. Zabijam czas czytaniem tablicy ogłoszeń. Staram się podziwiać dziecięce malowanki przyklejone do ścian. Ale niezdarne pociągnięcia pędzlem na tekturze, zapach plakatówek i zboląta mina Jenni utrudniają mi to. Wreszcie, kiedy zastanawiamy się, czy nie zrezygnować, na końcu holu zza drzwi wystawia głowę jakaś kobieta i woła nas do siebie. Ma około pięćdziesiątki i zapraszający uśmiech. Wchodzimy za nią do jej gabinetu i zamykamy drzwi za sobą.

– Witam w Poradni Małżeńskiej w Stansfield – mówi kobieta, kiedy siadamy wszyscy troje na szarych plastikowych krzesłach. – Nazywam się Edna Caldwell. Po prostu Edna.

Robi, co może, żeby otoczenie było bardziej przyjazne. Ma na biurku lawendowy odświeżacz powietrza i zdjęcie swoich dzieci. W każdym razie przypuszczam, że to jej dzieci.

Jenni zakłada nogę na nogę i krzyżuje ręce na piersi.

– Co masz nadzieję osiągnąć dzięki naszemu spotkaniu, Jenni? – pyta Edna.

– Chcę potrafić mu przebaczyć – odpowiada Jenni prawie szeptem. Oczy ma wilgotne i jest bliska płaczu.

– Co musisz mu przebaczyć?

– Na pewno wiesz. Musiałaś czytać dokumenty. Jego ohydną zdradę.

Edna odwraca się do mnie. Twarz ma bez wyrazu. Jakby nie mogło jej zaskoczyć nic, co powiemy. Jest przyzwyczajona do takich rzeczy, odporna na nasze cierpienie.

– A czego ty się spodziewasz po tej wizycie, Craig?

Przeciąga trochę za długo moje imię, zbyt ciepło i zbyt przyjaźnie.

Nabieram powietrza.

– Bardzo żałuję tego, co zrobiłem. Moja żona jest dla mnie najważniejsza. Mam nadzieję, że nasze spotkanie pomoże mi to udowodnić.

– To dlaczego w ogóle to zrobiłeś? – syczy Jenni.

Odwracam się do niej. Płacze. Ja też. Płaczę wewnątrz.

– Nie umiem ci odpowiedzieć. To był tylko seks. Bez znaczenia.

- Jak seks może kiedykolwiek być bez znaczenia?
- Może. I był.
- Jeśli seks jest bez znaczenia, to nie chcę nigdy więcej uprawiać go z tobą.

Siedzimy w milczeniu, Jenni patrzy w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Po chwili wstaje.

- Przykro mi, Craig. Nie potrafię tego zrobić. Nic z tego nie będzie.

Wstaję i podchodzę do niej.

- Proszę cię, Jenni, spróbuj – błagam. – Bardzo cię przepraszam. Tęsknię za tobą.

- Tęsknota za tobą to początek bólu, jaki mi sprawiłeś – odpowiada Jenni z goryczą i wychodzi. Zostawia mnie samego z Edną w bezdusznym pokoju, żebym przez resztę życia rozpamiętywał jej słowa.

Carly

Moje życie jest gówniane.

Jenni, ta cała sprawa z tobą i Craigiem wcale mi nie pomaga. Rob jest tak rozkojarzony, że zamiast razem ze mną zajmować się dziećmi w weekendy, jak kiedyś, połowę czasu spędza na dodawaniu ci otuchy, kiedy wpadasz z jednego załamania w drugie.

Moje życie seksualne też jest gówniane.

Próbowałam kilka razy skontaktować się z Craigiem, żeby zaproponować odnowienie naszego związku, ale za każdym razem rozłączał się. Był u nas parę razy, żeby zobaczyć się z Robem. Mimo moich usilnych starań, żeby zwrócić na siebie uwagę spojrzeniem lub dotknięciem, całkowicie mnie ignorował. Raz, kiedy byliśmy przez chwilę sami w kuchni, wycedził pod nosem:

- Zostaw mnie w spokoju, Carly. Wszystko skończone.

No i, chcąc nie chcąc, musiałam się z tym pogodzić.

Powtarzam – moje życie seksualne jest gówniane, stało się

bardzo nudne, byle jakie. Chciałabym mieć kolejnego kochanka, żeby było mniej gówniane, ale pracując jako pielęgniarka recepcjonistka w przychodni męża i spędzając resztę czasu w domu z małymi dziećmi, raczej nie poznam wielu kochanków. A tego mi trzeba, żeby odbić sobie to, że nie mam Craiga.

A najgorsze, Jenni, moja była najlepsza przyjaciółko, jest to, że jesteś świętoszkowatą suką. O, ja biedna. Ja nieszczęśliwa. Mąż mnie zdradził. Cielące oczy. Łzy. Teraz tylko taką cię widzimy. Im więcej czasu spędzam z tobą, tym mniej cię lubię. Jakim cudem tak się zaprzyjaźniłyśmy? Jak mogłaś zniszczyć swoje małżeństwo z powodu jednego, najwyraźniej nic nie znaczącego wyskoku? Podejrzewam, że nawet pastor ma cię dosyć.

Moja matka mówi, że powinnam bardziej ci współczuć. Rozpad rodziny zawsze jest smutny, więc się staram. W przyszły weekend pomagamy ci przeprowadzić się z pięknego domu z trzema sypialniami, który zajmowałaś z Craigiem, do mieszkania nad jakimś sklepem. Powiedziałaś, że tego chcesz. Rob będzie prowadził wypożyczony furgon. On i Craig zabiorą meble. Ja pomogę przy pakowaniu w ostatniej chwili i wesprę cię psychicznie, a starsze pokolenie zaopiekuje się dziećmi.

Nadchodzi pamiętny dzień. Budzik dzwoni przeraźliwie w sypialni. Rob przetacza się przez łóżko i wyłącza go uderzeniem dłoni. Zakupuje się z powrotem w pościel i przysuwa do mnie.

– Pierwszy raz budzik słyhać wcześniej niż dzieci – mówi.

– Mhm. Miło jest nadrobić trochę snu dla odmiany.

– Snu? To musimy nadrobić? – pyta i przesuwa ręką po moich nagich piersiach. Pieści mi brzuch i schodzi niżej. Jestem gotowa. Czekam, żeby mnie wydobył z tej frustracji, w której tkwię. Ale gdy tylko dosięga pączka mojej łechtaczki, co sprawia, że prąd elektryczny przechodzi mi po plecach, rozlega się pukanie do drzwi i Pippa staje na środku sypialni w różowym aksamitnym szlafroku.

– Chodźcie – świergocze. – Babcia już przyjechała z chłopcami Jenni i śniadanie jest gotowe. Jajecznicza i croissanty, pamiętasz,

mamo? Pyszności babci.

Stoi w nogach naszego łóżka z głową przechyloną na bok. Ma siedem lat, a zachowuje się jak dorosła. Zaleta młodego wieku.

– Babcia prosiła, żebym ci przypomniała, tatusiu, że furgon jest zamówiony na dziewiątą, a jest już ósma dwadzieścia.

Rob jęczy, podnosi szlafrok z podłogi, owija się nim i idzie do łazienki.

– Będziemy na dole za jakieś pięć minut, Pippa – mówię w nadziei, że sobie pójdzie. Odrzuca ruchem głowy jasne włosy i wychodzi. Dzięki Bogu.

Kiedy wchodzimy do kuchni, dzieci już nie ma – zniknęły w innej części domu, żeby oglądać telewizję lub grać w gry komputerowe. Matka zmywa kilka ostatnich naczyń. Nie jemy śniadania, pijemy tylko kawę przed wyjściem Roba po furgon. Wychodzi, pogwizdując. Zawsze pogwizduje, kiedy jest zadowolony. Dlaczego jest taki zadowolony, że się przeprowadzasz, Jenni?

Craig i ojciec Jenni, Stuart, przyjeżdżają jednocześnie. Idą razem ścieżką ogrodową i rozmawiają uprzejmie. Kiwiają głowami. Uśmiechają się w wymuszony sposób. Stuart – o delikatnych rysach i szczupły, Craig – barczysty i wielki, idzie obok niego. Choć Stuart stara się być uprzejmy, jego oczy wyrażają dezaprobatę. Wchodzą do kuchni i Craig staje przy blacie, nie patrzy na mnie i na innych. Jest jak orzeł – dumnie wyprężony, atrakcyjny i trudny do rozszyfrowania. Dziś jest ubrany w kombinezon budowlańca, żeby zademonstrować swoją gotowość do niesienia pomocy – potężny, silny, o kamiennej twarzy. Atmosfera jest ciężka. Odczuwam ulgę, kiedy Rob wraca białym furgonem, jakich wszędzie pełno, i w końcu wychodzimy.

Rob i Craig jadą furgonem. Stuart i mama zabierają dzieci. Ja idę pieszo do domu Jenni w ponury mokry poranek, zimno szczypie mnie w policzki, wilgoć przenika do kości. Wszystko wygląda szaro. Szarość na szarości. Pochmurne, zadeszczone i zamglone Stansfield jest szare, szare są kałuże i twarze przechodniów kulących się przed wiatrem. Ratusz, biblioteka, Costa Coffee. Travelodge. Wszystko jest szare. Travelodge. Serce mi się ściska.

Tęsknię za wizytami tam bardziej, niż potrafię to opisać.

Przychodzę do twojego domu, Jenni – w rzędzie niby-georgiańskich domów w bocznej ulicy blisko sklepu rybnego – zanim Rob i Craig przyjeżdżają furgonem. Kiedy wspinam się po schodach od frontu, które wznoszą się ponad garażem do wejścia na parterze, widzę przelotnie w oknie twoją twarz, unoszącą się jak duch – bladą, z oczami jak spodki. Nie uśmiechasz się. Nie machasz do mnie. Twarz się rozplywa i pojawia się przy drzwiach frontowych, żeby je otworzyć.

– Dzięki, że przyszedłeś – mamroczesz ze spuszczonego wzrokiem.
– Wszystko jest spakowane.

Wchodzę za tobą do salonu, gdzie otacza cię twoje życie w pudłach, stoliki kawowe położone na bokach, przygotowane do wyniesienia, kanapa i fotele zepchnięte razem.

– Rzeczy z czerwonymi kropkami są moje, a z niebieskimi Craiga – mówisz. – Pomyślałam, że moglibyśmy załadować rzeczy Craiga do furgonu na końcu, żeby je najpierw wyjąć.

Pociągasz nosem, kaszlesz i zaczynasz płakać. Przytulasz się do mnie, przyciskasz głowę do mojej piersi i łapiesz oddech, łkając i zawodząc. Głaszczę cię delikatnie po plecach, żebyś się uspokoiła.

– Rob i Craig przyjadą za chwilę – uprzedzam. – Na pewno chcesz to zrobić?

– Wiesz, że tak – szepczesz. – Muszę.

Przez okno w holu, nad twoim ramieniem, widzę, jak podjeżdża furgon. Craig wysiada z miejsca pasażera i idzie po schodach do drzwi frontowych, obserwując nas przez okno. Widzi, że płaczesz w moich objęciach, i wyraźnie się załamuje. Odwraca się, mówi coś do Roba i odchodzi za róg. Nie daje rady. Wciąż cię kocha. Mimo tego, co mu robisz. Wszyscy cię kochają, Jenni. Czym na to zasłużyłaś?

Dzwonek do drzwi. Odrywasz się ode mnie i idziesz otworzyć. Kiedy dochodzę do wejścia, przywierasz do Roba jak kilka minut wcześniej do mnie. Staję za wami w holu, patrzę, jak się obściskujecie i znów czuję się zbędna. Świątoszkowata suka. Chcesz się przeprowadzić czy nie? Co gorsza, Rob szepcze ci do ucha.

- Wiem, że to trudne. Ale uważam, że dobrze robisz. Postępujesz odważnie.

Jego głos jest łagodny, przymilny.

Patrzę, jak Rob trzyma cię w ramionach i pieprzy głupoty, i mam ochotę go palnąć. Albo ciebie. Albo oboje. A może zadowolę się tylko tobą.

- Chodź - mówi.

Nadal cię obejmuje, ale odchyła się do tyłu, żeby móc na ciebie spojrzeć, jakbyś była bezcenna.

- Jesteś gotowa? - pyta. - Idziemy?

Przygryzasz wargę i kiwasz głową.

- Wszystko w porządku?

Znów przytakujesz.

Rob wyciąga z kieszeni komórkę.

- Zadzwoń do Craiga i powiem mu, żeby wrócił.

Craig przychodzi po chwili. Wygląda na spokojnego. Ładujemy furgon. Teraz dajesz radę, Jenni. Poza tym, że od czasu do czasu pociągasz nosem i znikasz na dłużej w toalecie, trzymasz się. Jak prosiłaś, najpierw zabieramy z każdego piętra czerwone kropki, potem wracamy po niebieskie. Wszystko trwa kilka godzin. Ciężka praca rozluźnia atmosferę, przestajemy zwracać na siebie uwagę.

Prawie skończyliśmy. Ty i ja, Jenni, jesteście na najwyższym piętrze w dużej sypialni twoich chłopców. Mężczyźni są na dole i robią herbatę. Ten pokój jest zagracony większą ilością pudeł niż inne - zabawki. To jasny pokój z tyłu domu z dwoma dużymi oknami wychodzącymi na równy rząd ogrodów. Zawsze najbardziej go lubiłam w tym domu. Jenni, poświęciłaś tyle czasu, żeby go udekorować, urządzenie wewnątrz to twoja mocna strona. Stoję i patrzę na pozostałości sypialni chłopców - niewiele tego, tylko niebieska tapeta w miniaturowe króliki. Jasnoniebieskie zasłony i poduchy są spakowane. Dziecięce łóżka z białymi drewnianymi ramami są rozmontowane i czekają na wyniesienie. Patrzę na to, co zostało, i jest mi smutno. Co ty robisz swojej rodzinie, Jenni?

Starasz się odgadnąć moje myśli.

– Zrobię to jeszcze raz gdzie indziej – mówisz do mnie ze smutkiem.

– Pewnie – odpowiadam, żeby cię uspokoić. Nie chcę, żeby znów popłynęła kaskada gorących łez.

W przeciwnym kącie, na prawo od jednego z okien, jedno z pudeł się przewróciło i klocki Duplo wysypały się na podłogę. Walają się wszędzie. Przechodzisz przez pokój, podnosisz pudło i na kolanach zaczynasz zbierać klocki. Zamiast ci pomóc, stoję i przyglądam się i znów się zastanawiam, dlaczego to robisz – jak to ma poprawić sytuację, twoim zdaniem? Lśniące kasztanowe włosy opadają ci na twarz. Szczupłe blade palce z idealnie wymanikiowanymi, niepolakierowanymi paznokciami podnoszą ostatnie kawałki Duplo. Wstajesz. Podnosisz pudło. Odwracasz się i niesiesz je do drzwi, omijając rozmontowane meble i inne pudła. Idziesz w moim kierunku, stoję między tobą a drzwiami. Wyglądasz na nieobecną, zdekoncentrowaną. Usuwam ci się z drogi, ale zostawiam wysuniętą prawą nogę. Przez pomyłkę.

Potykasz się obiema nogami o moją. Uderzasz w nią piszczelami tuż poniżej kolan. Widzę, jak się przewracasz w zwolnionym tempie. Złe rzeczy zawsze dzieją się w zwolnionym tempie. Upadasz do przodu. Pudło leci w powietrzu. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę cię przytrzymać. Pudło ląduje pierwsze i klocki rozsypują się po pokoju. Wyciągasz ręce przed siebie, żeby uniknąć upadku. Upadasz ciężko na prawe ramię i suniesz po dywanie. Paraliż mija, i znów mogę oddychać i poruszać się swobodnie. Siadam na podłodze obok ciebie.

– Nic ci się nie stało? – pytam.

Krzywisz się, kiedy siadasz prosto i masujesz prawy łokieć lewą ręką.

– Przepraszam – mamroczę. – Nie wiem, co się stało.

Siedzisz i patrzysz na mnie pełnymi bólu oczami jak spodki.

– Nie patrzyłam. To tylko otarcie o dywan. Nic mi nie będzie.

Rob wchodzi z wesołym uśmiechem i herbatą na tacy. Craig patrzy ponuro zza jego pleców. Siadamy rzędem pod ścianą, opieramy się o nią tyłem i pijemy herbatę. Kończymy i Rob

ogłąda twoje ramię. Niedobrze mi się robi, kiedy patrzę, jak delikatnie cię dotyka.

– Nic złego się nie stało. Mam maść antyseptyczną w torbie. – Posmaruję ci to, jak zejdziemy na dół.

Jednak stało się coś złego. Widzę to w twoich oczach, kiedy patrzysz na mnie, Jenni. A to był przecież zwykły wypadek.

Jenni Rossiter, ile razy mam to mówić? Jesteś taką świętoszkowatą suką.

Jenni

Craig i Rob czekają w furgonie, a Carly w swoim volvo, kiedy się żegnam z domem. Zapaliłam kilka kadzidełek, które kupiłam w TK Maxx, siedzę po turecku na środku salonu i modłę się o spokój dla domu. Bo ten dom potrzebuje spokoju po tym wszystkim, co się tu wydarzyło. Kiedy będę w moim nowym domu, też się pomodłę o spokój w nim. Zamykam oczy i wznoszę dłonie ku niebu. Ale najzarliwiej muszę się modlić za Carly. Wiem od Roba, że jest w poważnej depresji. Jej plan zrujnowania mi życia nie wypalił.

Craig

Po trudnym dniu Rob i ja pijemy piwo w White Swan. Dębowe belki. Ciepłe piwo. Ale atmosfera jest sztywne. Robowi nie podoba się, jak postąpiłem z Jenni – widać to po nim. Na szczęście, mimo obecnej niezgody między nami, udało nam się odwalić razem kawał ciężkiej roboty, żeby Jenni mogła się przeprowadzić. Zostawiliśmy ją w jej nowym mieszkaniu, jak sobie życzyła, ze wszystkimi meblami mniej więcej na właściwych miejscach. Carly pojechała pomóc matce położyć dzieci spać. Nasze dzieci będą u niej i Roba przez kilka dni, dopóki Jenni się nie pozbiera.

Czy ona kiedykolwiek się pozbiera?

Nie mogłem patrzeć, jak opuszcza dom, na który tak ciężko pracowaliśmy. Poświęciliśmy mnóstwo czasu i energii, żeby go rozplanować i urządzić. To było nasze bezpieczne miejsce. Nasze sanktuarium. Ale Jenni powiedziała, że po tym, co zrobiłem, już nie jest bezpieczne. Musi zacząć od nowa. Kiedy przyjechałem dziś rano i zastałem ją płaczącą w ramionach Carly, o mało się nie załamałem. Musiałem wyjść i pospacerować nad rzeką, żeby się uspokoić. Kiedy Rob zadzwonił do mnie i powiedział, że Jenni jest gotowa, wiedziałem, że muszę wziąć się w garść i wrócić. Postarałem się stłumić ból. Znieczulić się psychicznie, żebym móc pomóc żonie, którą zdradziłem.

Ledwo mogłem znieść widok wilgotnego, ciasnego mieszkania nad piekarnią, do którego się wprowadziła i gdzie niedługo dołączą do niej nasi synkowie. Jest tam ciemno i zimno. Jedyne widok od frontu to zatłoczona główna ulica, a z tyłu śmietniki rzędu sklepów.

Po pełnym płaczu początku dnia Jenni nie wydawała się zdenerwowana. Wyglądała na spokojną i zdeterminowaną. Krótce po przyjeździe usiadła po turecku pośrodku mieszkania, zapaliła kadzidełka i pomodliła się o spokój dla domu. Czy ona naprawdę myśli, że to pomoże? Zawsze byłem zaskoczony tym, jak bardzo jest religijna, ale wierzy coraz mocniej, a kadzidełka i ta cała abrakadabra są niepokojące.

Niepokojąca jest też Carly. Stała się jak zła wróżka w jakimś muzycznym przedstawieniu gwiazdkowym dla dzieci, która sprowadza ciemność i rzuca cień na scenę. Zawsze jestem spięty w jej obecności. Bo się boję, że puści farbę? Nie. Nie sądzę. Ostatecznie ma teraz więcej do stracenia niż ja. Carly symbolizuje rozpad mojego małżeństwa i dlatego jej nie lubię. Chcę od niej uciec również dlatego, że już jej nie pożądam, ale ona nadal pożąda mnie. Przez to jestem wytracony z równowagi i czuję się nieswojo. Pożądanie, którego nie mogę zaspokoić, wręcz się z niej wylewa. Rob naprawdę tego nie widzi? Czy jest za bardzo zajęty robieniem słodkich oczu do Jenni? Robi słodkie oczy do Jenni? Czy to tylko czuła przyjaźń? Podobno taka istnieje. Rob to przyjazny facet, choć teraz czasami nie jest taki w stosunku do

mnie.

– Przynajmniej już po wszystkim, stary – mówi i uśmiecha się, udając macho nad swoim piwem.

Nie staraj się za bardzo, Rob. Wiem, że tak nie myślisz.

– Tak, tak – mówię. – Teraz mogę żyć spokojnie i chodzić na internetowe randki.

Wytrzeszcza oczy.

– Nie bałbyś się?

– Żartuję. Muszę pokazać Jenni, że od teraz jestem mężczyzną jednej kobiety. Nawet gdyby to miało zająć lata.

– Żadnego niewinnego flirtowania w sieci?

– Nic. Za kogo ty mnie uważasz? Za idiotę z mózgiem w kutasie?

– Na pewno chcesz usłyszeć odpowiedź?

Jenni

Siedzę po turecku pośrodku nowego mieszkania, palę kadzidełka w rogach salonu i modłę się o spokój w moim domu i życiu. Jestem w pozycji kwiatu lotosu, ręce mam uniesione nad głową na kształt egipskiego dzbana. Moje modlitwy dźwięczą mi w głowie. Wnikają w strukturę domu, w każdą szparę i szczelinę. Oczyszczam go. Oczyszczam siebie.

Craig

Siedzę na ławce w parku zabaw i obserwuję moich chłopców. Balansują na czerwono-niebieskich metalowych rurach, huśtają się jak mały na nylonowych linach, wspinają się i skaczą jak para dzikich zwierząt. Siedzę samotnie na ławce w sobotę rano i wyglądam jak palant, który czeka, aż wypalą mu napis „ROZWIEDZIONY” na czole. Teraz to już tylko kwestia czasu, a potem stanę się brzuchatą zakałą społeczeństwa, typem z twarzą czerwoną od picia na pocieszenie, wybuchowym i rozgoryczonym. Internetowym randkowiczem.

Jenni jest jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem, poza moją matką, oczywiście. Jenni jest zupełnie inna niż kobiety, za którymi latałem. Tamte miały tupet, coś jak Carly. Na myśl o Carly zaciskam pięści i napinam mięśnie szczęki. Jak mogłem być taki głupi, żeby mieć romans z tą dziwką, skoro miałem kogoś tak łagodnego, słodkiego i dobrego jak Jenni?

Jenni. Po raz pierwszy spotkałem ją, kiedy pracowała w Szpitalu Świętego Judy. Rzuciła pielęgniarstwo po urodzeniu dzieci, godzenie dyżurów w pracy i w domu było za trudne. Chyba znała trochę Carly na studiach, ale na pewno się nie przyjaźniły. To nastąpiło później, dopiero tutaj, w Stansfield.

Zamykam oczy i staram się nie myśleć o seksie z Carly, nie wspominać wchodzenia między jej obfite piersi. To nie było ani lepsze, ani bardziej interesujące niż moje pożycie seksualne z Jenni. Po prostu inne. Każda kobieta smakuje inaczej, inaczej się ją czuje. Wierzcie mi, miałem ich dość.

Poznałem Jenni, kiedy śpiewałem w kościele Świętej Marii, gdzie odbywały się próby naszego chóru. Byłem czasowo przeniesiony do biura, a oni zapraszali nowych członków. Miałem okazję zacząć śpiewać w grupie. Od lat chciałem to robić. Jako nastolatek chciałem być liderem jakiegoś zespołu. Który młody chłopak tego nie chce? Poszedłem na kilka przesłuchań, ale nikt mnie nie chciał. Zadowalałem się godzinami karaoke w sypialni, po latach uznałem jednak, że zapisanie się do chóru to najlepsza opcja. Ludzi mówią, że śpiewanie w grupie podnosi na duchu, oczyszcza. Dla mnie to było śpiewanie, a dla Jenni wzbogacenie jej wiary. Śpiewanie dla Boga. Dla Świętej Trójcy. Jenni pracowała jeszcze na dyżurach i nie zdążyła na wszystkie próby. Ja przychodziłem na nie już od jakiegoś czasu, kiedy ją zobaczyłem.

Była aniołem o oczach jak gorąca czekolada. Śpiewała w chórze, stojąc naprzeciwko mnie. Lśniące brązowe włosy. Ovalne usta chórzystki. Wargi czerwone jak wiśnie. Minęły miesiące, zanim udało mi się z nią porozmawiać. Stało się to w końcu przy letniej herbacie podczas przerwy w próbie do koncertu gwiazdkowego; przesadnie ambitnego wykonania *Requiem d-moll* Faure'a.

– Uważasz, że to psujemy czy ulepszamy? – zapytałem.

Zaczerwieniła się i roześmiała.

– W ciekawy sposób robimy jedno i drugie – odrzekła, przyciągając mnie do siebie wzrokiem. Jenni, twoje oczy są tak cudowne, że można za nie umrzeć. Gdy tylko cię zobaczyłem, przepadłem.

Nasza pierwsza randka nie była wielkim sukcesem. Jenni wydawała się bardzo ostrożna. Powiedziała mi potem, że sprawiałem wrażenie faceta, który chce się do niej dobrać od razu na pierwszej randce, i to ją wystraszyło. Chyba zwykle tak robiłem. Ale nie chciałem tak postąpić z Jenni. Jej łagodny głos sprawił, że pomyślałem, że może powinienem się zachować inaczej. I te oczy.

Boskie.

Skończyło się tak, że wydałem więcej pieniędzy niż zwykle, żeby jej zaimponować. To był zły pomysł, żeby zabrać ją do bajeranckiej restauracji, gdzie do jedzenia były głównie podroby lub potrawy świadczące o okrucieństwie wobec zwierząt, albo jedno i drugie, bo wkrótce się okazało, że jest wegetarianką. Rzut oka na menu. Prośba o omlet z serem. Zamówiłem butelkę wina, ale Jenni go nie tknęła, wypilem więc wszystko sam. Tym też chyba jej nie zaimponowałem.

Druga randka była bardziej na luzie. Musiała taka być, bo myślę, że inaczej nasza znajomość by się nie rozwinęła. A tego chciałem mimo sztywności między nami na pierwszej randce. Jeszcze nigdy tak się nie czułem. Obojętnie, czy jakaś randka się udała. Chodziłem wtedy z wieloma różnymi kobietami. Żadna tak na mnie nie działała.

Jenni przygotowała jedzenie w swoim mieszkaniu. Nadziewane pieczarki i kuskus. Wynajmowała kawalerkę na głównej ulicy Stansfield, na rogu nad biurem zasiłków. Tanią, wilgotną i kiepsko umeblowaną. Odgłosy ruchu ulicznego brzmiały w środku jak szum morza – powtarzały się monotonicznie. Nigdy nie lubiłem hałasu ruchu ulicznego. Jej mieszkanie wymagało podwójnych szyb w oknach i pełnego remontu. Ale Jenni była pomysłowa i zrobiła, co mogła, żeby lepiej wyglądało. Duże

rośliny liściaste, pomalowana podłoga, rozrzucone poduszki. Świeczki zapachowe, żeby zabić woń wilgoci. Przyćmione światło i nastrojowa muzyka.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie na dwóch brązowych poduszkach i jedliśmy naszą zdrową kolację. Jenni miała na sobie jaskrawoczerwony jednoczęściowy kombinezon, który opinał jej szczupłą figurę. Długie ciemne włosy związała w koński ogon i pokreśliła oczy czarną kredką. Wyglądała schludnie, świeżo i orientalnie, z wyjątkiem srebrnych cygańskich kół w uszach. Nie rozmawialiśmy przy jedzeniu, po prostu siedzieliśmy po turecku, patrzyliśmy sobie w oczy i słuchaliśmy jakiejś elektronicznej eksperymentalnej muzyki. Nie piliśmy alkoholu. Jenni podała gazowaną wodę mineralną, ale mimo to zaczynałem się czuć, jakbym był odurzony. Kiedy skończyliśmy jeść, zadałem jej pierwsze pytanie.

– Jak długo mieszkasz w Stansfield?

– Całe życie. – Zamilkła na chwilę. – Z wyjątkiem okresu, kiedy studiowałam pielęgniarstwo; mieszkałam wtedy kilka lat w akademiku w Londynie.

– Jak było?

– Z radością tu wróciłam.

– Ja też mieszkam tu od zawsze – powiedziałem. – Wciąż z rodzicami. Dlaczego nie spotkaliśmy się wcześniej?

– Stansfield nie jest takie małe i chyba jestem od ciebie dużo młodsza.

Posprzątała po kolacji i zaproponowała mi owoce i jogurt. Odmówiłem. Wróciła i usiadła obok mnie na poduszce. Czułem jej oddech na policzku. Czułem jej zapach. Miód i olejek paczulowy, zapach uderzający do głowy. Objąłem ją i opadliśmy do tyłu. Leżeliśmy i patrzyliśmy na sufit. Pomalowała go na purpurowo i przykleiła do niego błyszczące plastikowe gwiazdki, które lśniły lekko w przyćmionym świetle. Pomyślałem, że wygląda to dziwnie, ale nie powiedziałem tego. Przypominała mi przestraszonego królika i nie chciałem jej robić przykrości.

– Szczęściarzem z ciebie, że jesteś z rodzicami – powiedziała. – Ja nie mieszkam ze swoimi od roku.

- Co się stało? – zapytałem ostrożnie.
- Kiedy przeszli na emeryturę, przeprowadzili się do Chessingfold, miejscowości niedaleko Midhurst.
- To tylko godzina drogi.
- Wiem. Nie powinnam mieć nic przeciwko temu. Ale w sumie to dwugodzinna podróż, a byłam przyzwyczajona, że widzę ich co dzień.
- Nie mogłaś się przenieść z nimi?
- Nie, to za daleko, żeby dojeżdżać do pracy. I nie mogłam zostawić moich przyjaciół z kółka biblijnego u Świętej Marii, z grupy modlitewnej.
- Spojrzałem na nią, w jej brązowych oczach lśniły łzy.
- Minęło trochę czasu, zanim im wybaczyłam. Uważałam, że się przeprowadzili, bo mnie nie kochają, rozpaczałam więc, że ich straciłam.
- Byłem zdumiony tym brakiem pewności siebie i nadwrażliwością. Ale wciąż patrzyłem jej w oczy i starałem się wyglądać współczująco. Przyglądałem się, jak wyciera twarz i rozmazuje kredkę do oczu.
- Mam to już za sobą. Mama powiedziała, że pewnego dnia to zrozumiem, i teraz tak jest. Chessingfold, dokąd się przenieśli, to spokojna okolica, idealna do życia na emeryturze, do odpoczynku. Powietrze jest świeże. W Stansfield jest za duży ruch i za dużo różnych miejsc dla pracujących ludzi i rodzin. Po prostu zrobili się za starzy i musieli się przeprowadzić.
- Posłała mi nieśmiały półuśmiech.
- Chyba wciąż mnie kochają.
- Na pewno – odrzekłem i pocałowałem ją.
- Ach, te miękkie wargi jak wiśnie.
- Wtopiłem się w nią i całowałem ją, jakbym nigdy nie miał przestać. Wydawało się, że sprawia jej to przyjemność, bo całowała mnie z języczkiem. Pieściłem jej plecy i zacząłem rozpinąć suwak kombinezonu. Odsunęła się gwałtownie jak oparzona. Usiadła prosto, rozchyliła wargi i spojrzała na mnie z oburzeniem.
- Co ty robisz? – zapytała.

– No... e... przepraszam – wymamrotałem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Chyba było oczywiste, co robiłem?

– Craig, myślałam, że wiesz. Jestem chrześcijanką. Nie uznaję seksu przedmałżeńskiego. – Pauza. – Więc próba rozebrania mnie na drugiej randce jest bardzo niestosowna.

Powiedziała to, nadal patrząc na mnie tak, jakby zapraszała mnie do łóżka, więc wiedziałem, że ją to kusi.

Powstrzymanie się nie przyszło mi łatwo. Nie byłem do tego przyzwyczajony. Ale jej odmowa i nieprzystępność dziwnie mnie zafascynowały i zamiast zniechęcić, ciągnęły mnie do niej. Mimo braku seksu nasza znajomość rozwijała się szybko. Oczywiście zaspokajałem swoje potrzeby gdzie indziej, bo co innego mogłem zrobić? Starłem się ograniczyć niewierność, onanizując się jak najczęściej. Ale w końcu napięcie między nami stało się nie do wytrzymania i przyspieszyło drogę do ołtarza, gdzie ślubowałem jej wierność.

Wierność.

Wielka sprawa dla mnie. Udawało mi się długo, bo Jenni, choć niedoświadczona, szybko się uczyła i reagowała na mój dotyk. Kochałem ją ponad wszystko. Moja miłość dodawała jej coraz więcej pewności siebie. Zalękniona sarenka przeistoczyła się w zdecydowaną, bezpośrednią młodą kobietę. Jenni, brakuje mi ciebie. Wciąż bardzo cię kocham. Zrobiłbym wszystko, żeby cię odzyskać. Wszystko, Jenni. Słyszysz?

Przestaję cię wspominać, jestem sam w parku zabaw i nadal obserwuję, jak moi chłopcy harczą. Podchodzi jakaś kobieta z trójką dzieci i siada na ławce obok mnie. Jej dzieci przyłączają się do moich chłopców na zjeżdżalni. Wszyscy wspinają się na nią, zamiast po niej zjeżdżać. Kobieta wygląda na taką, która uważa się za atrakcyjną. Za bardzo rozjaśnione włosy. Za dużo czerwonej szminki i złotej biżuterii. Dość perfum, żeby każdy, kto ma z nią kontakt, dostał astmy. Typ kobiety, która prawdopodobnie nie wygląda zbyt dobrze bez makijażu.

– Wszystko robią odwrotnie – mówi i śmieje się z własnych słów. – W jakim wieku są pańskie?

Nie odpowiadam. Udaję, że nie usłyszałem, i wstaję, żeby się

przejść wokół placu zabaw. Wzrusza ramionami prawie niedostrzegalnie i zaczyna się bawić telefonem. Mój wibruje w kieszeni spodni. Wyciągam go. Carly.

Odrzucam połączenie. Naciskam klawisz, który powinienem naciskać w pierwszej kolejności – od teraz zawsze będę go naciskał. Żadnej innej kobiety. Odrzuć. Odrzuć. Odrzuć.

Jenni

Deszcz w dniu festynu kościelnego. Krople odbijają się od dachu kościoła. Od nagrobków. Od tanich baldachimów ze sklepu ogrodniczego B&Q, które komitet organizacyjny ustawił w ostatniej chwili po wysłuchaniu prognozy pogody. Cmentarz się zmienił. Stoisko z ciastami pod cisem. „Odgadnij wagę Biblii” pod ścianą kościoła. Loteria fantowa. Kosz szczęścia. Sprzedaż używanych rzeczy. Starocie. Balony ociekające wodą deszczową. Mokre chorągiewki.

Czuję zapach kanapek z bekonem. Idę za ich pikantną wonią, której nie cierpię, i zajmuję stanowisko smarowania chleba masłem. Jest nas sześć, ramię przy ramieniu, za stołem na kozłach. Tyle nas jest z powodu przepisów dotyczących bezpieczeństwa żywności. Każda wykonuje jedną czynność w foliowych rękawiczkach. Baldachim nad nami przecieka, woda zaczyna kapać mi na głowę. Jedna kropla spływa mi po karku. Patrzę na strugi deszczu z ołowianego nieba, niskie chmury suną w naszym kierunku. Tak mało ludzi przyszło na festyn, że sprzedałyśmy zaledwie kilka kanapek z bekonem. Jedną pastorowi, który oznajmił w swoim podniosłym stylu, że jest pyszna. Jedną organiście. Dwie ludziom biegnącym przez dziedziniec kościoła do sklepików. Sarah Donnelly, szefowa naszego stoiska, zachęca nas, żebyśmy kupiły sobie po kanapce z bekonem dla zwiększenia zysku. Ja nie mogę, bo jestem wegetarianką. Płacę połowę ceny za dwie kromki chleba z margaryną. Tania margaryna ma nieprzyjemny smak mydła. Osiada mi na zębach. Próbuję ją spłukać łykiem kawy, a raczej

gorącej brązowej lury w styropianowym kubku, który niechcący nadgryzam. Prawie nic nie jadłam od rozstania z Craigiem. Od kawy, mydlanej margaryny i zapachu bekonu dostaję mdłości, nagle i niebezpiecznie. Muszę iść do toalety.

– Przepraszam na chwilę – mówię do Sarah Donnelly – muszę iść do ubikacji.

– Nie możesz poczekać do końca zmiany?

Nauczycielka. Chce dobrze, ale lubi rządzić.

– Niestety nie – odpowiadam. – Przypiliło mnie.

– W porządku. Jane będzie musiała robić dwie rzeczy, smażyć bekon i smarować chleb.

– Zaraz wracam.

Sięgam po parasolkę i uciekam w stronę toalet, mijając żłobek zorganizowany w zakrystii. Widzę, jak moje dzieci bawią się plastikowymi zabawkami kościelnymi, które spłowiąły ze starości, i piją tani napój pomarańczowy o wyglądzie moczu. Zostawiam je w spokoju, nie chcę ich rozpraszać. Na razie są zadowolone, nie wiedzą, gdzie jestem, ale jak tylko mnie zobaczą, będą chciały być ze mną.

W toalecie wymiotuję gwałtownie, zapach tłuszczu z bekonu wciąż jest wokół mnie. Wymioty pomagają, czuję się lepiej. Wycieram się najdokładniej, jak mogę, i wpadam na pastora w drodze powrotnej. Nie jestem w nastroju do rozmowy. Sztuczna jowialność nie pomaga mi w tej chwili. Prawdę mówiąc, nic mi teraz nie pomaga, oprócz Roba. Rob zawsze wie, jak mi pomóc być optymistką. Pewnie dlatego, że jest lekarzem. Pastor jest młodym człowiekiem bez partnerki i wydaje się nie rozumieć mojego bólu. Jest w obcisłych dżinsach, kurtce North Face i koloratce, na głowie ma skórzany australijski kapelusz dla ochrony przed deszczem. Wygląda beztrosko i niekonwencjonalnie – przynajmniej jak na pastora. Uśmiecha się do mnie szeroko. Próbuję odwzajemnić uśmiech z nadzieją, że nie cuchnę wymiotami, ale nie potrafię się uśmiechać.

– Świetnie się składa, że cię widzę – mówi. – Chcę z tobą porozmawiać o Craigu.

Nie teraz, proszę.

– Podobno sprzedałaś rodzinny dom.
Nie chcę z nim o tym rozmawiać. Ani o niczym.

– Kto księdzu powiedział? – prawie warczę.

– Mam swoje źródła.

– To brzmi, jakby ksiądz był detektywem.

– Pastor czasami musi być detektywem.

Przygląda mi się spod kapelusza, jakby mnie osądzał.

– A więc czytanie Biblii i wspólna modlitwa nie pomogły?

– Do pewnego stopnia – dukam. – Pomogły mi znaleźć kierunek, w którym z radością podążylałam. Ścieżkę na drodze Boga, która była dla mnie właściwa.

Krótkie skinienie głową.

– Po prostu nie mogłam żyć z niewiernym mężczyzną – ciągnę.

– Miłość nigdy nie ustaje. Pierwszy list do Koryntian.

Przez chwilę przestępuje z nogi na nogę, jakby czekał na właściwy moment i rozważał moje słowa.

– No cóż, to jedna z interpretacji. Cieszę się, że Bóg pomógł ci podjąć decyzję. – Pauza. – Gdybyś chciała znów porozmawiać, przyjdź do mnie na plebanię. Tylko najpierw zadzwoń, żebyś wiedziała, czy jestem. – Pauza. – Ale pamiętaj, Jenni, że co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela.

Jego słowa sprawiają mi ból, chce mi się płakać. Płakać i krzyknąć o tym, co zrobiła mi Carly. Ale nie mogę, bo nie wolno mi ranić Roba.

Wychodzę na dwór. Już tylko mży. Kiedy wracam do kanapek z bekonem, zorganizowana kolejka się rozchodzi i nie jestem potrzebna. Uwolniona od obowiązków, spaceruję pod parasolką. Kupuję biszkopta z różowym lukrem i wygrywam butelkę słodkiego sherry na loterii fantowej. Patrzą na zegarek. Czas pomóc Robowi. Kiedy idę w kierunku stanowiska strącania kokosów rzutami drewnianych kul, przestaje mżyć i słońce zaczyna przeświecać przez chmury. Dochodzę na miejsce i widzę, że Rob już wszystko przygotował – trzy kokosy balansują na słupkach, stolik i krzesło są starannie ustawione jako kasa.

– Dzień dobry – mówi.

Podchodzi, kładzie mi ręce na ramionach i nachyla się do

mojego prawego ucha.

- Wszystko w porządku? - pyta szeptem. - Jesteś strasznie blada.

- Nic mi nie jest. Po prostu odchorowałam zapach kanapek z bekonem.

- To będę omijał tamto stoisko - mówi i całuje mnie w policzki.

Jego wargi parzą mi skórę i czuję, jak się czerwienię. Cofam się z nadzieją, że tego nie zauważył.

- Co tam w przychodni? - pytam, żeby odwrócić jego uwagę od moich rumieńców.

Wzrusza ramionami.

- W porządku, ale jesteśmy tak zawałeni robotą, że pilnie potrzebujemy dodatkowej recepcjonistki. Nie mogę znaleźć nikogo odpowiedniego. Może znasz kogoś, kto by się nadawał?

- Jestem teraz kurą domową, Rob. Nie znam nikogo takiego.

- Szkoda - mówi i uśmiecha się do mnie. - No, dobra, to co wybierasz? Pieniądze czy kokosy?

- Pieniądze - odpowiadam, odchodzę od niego i siadam przy plastikowym stoliku. Kolejka już się utworzyła, więc zaczynam działać. Kiedy wydaję reszty młodemu człowiekowi, podnoszę wzrok i widzę, jak Rob pokazuje naszemu pierwszemu klientowi, czteroletniemu chłopcu w niebieskim płaszczu nieprzemakalnym, jak rzucać. Ze szczupłej postaci Roba emanuje dobroć i serce zaczyna mi bić trochę mocniej. Jak Carly mogła tak nadużyć jego zaufania? A on nawet o tym nie wie. Gdyby był mój, traktowałabym go jak skarb i dbała o niego. Zawsze.

- Niezły jest.

Odwracam głowę i widzę Carly we własnej osobie. Stoi przede mną w krzykliwym płaszczu przeciwdeszczowym, plastikowych kaloszach i kapeluszu do kompletu. Patrzy na mnie groźnie ze zmarszczonymi brwiami. Prawie mnie onieśmiela, ale jestem już przyzwyczajona do jej huśtawki nastrojów.

- Chciałabyś spróbować? - pytam.

- Próbuję, kiedy mam ochotę.

- W porządku.

Śmieje się.

- Nieważne. Tylko przechodziłam tędy. Jak na pewno wiesz, kościół nie jest dla mnie. Religia to bezproduktywna indoktrynacja. Reasumuje to *Imagine* Johna Lennona. Świat byłby lepszy bez żadnej religii.

Stoi w rozkroku z założonymi rękami i groźną miną. Z tą miną wygląda jak gargulec. Przystojny gargulec. Carly ma takie wyraziste rysy twarzy, że nawet gdy jest zła, wygląda dobrze. Nic dziwnego, że skusiła Craiga. Czuję ucisk w żołądku, przez chwilę znów mi się zbiera na wymioty. Patrzę w górę na gniewnie zmarszczoną twarz Carly i nagle przypomina mi się, co mówiła matka, kiedy miałam taką minę: „Nie krzyw się tak, bo taka zostaniesz”.

Miłość matki spływa na mnie. Mdłości ustępują. Pamiętaj, mówi mi, Carly jest chora. To smutne, co się z nią dzieje. Carly rzeczywiście jest chora. Nigdy się tak nie zachowywała.

- Richard Dawkins badał przeciętny iloraz inteligencji ludzi religijnych i niereligijnych. Wiesz, co odkrył? - mówi z krzywym uśmiechem.

- Niech zgadnę. Niereligijni są dużo bardziej inteligentni? - odpowiadam, starając się, żeby to zabrzmiało swobodnie. Jakby jej zniewagi nie miały znaczenia. Bo to są zniewagi - nie informacje, jak ona uważa.

- Zgadza się - mówi i posyła Robowi całusa przez cmentarz.

Ale na próżno. On jej nie widzi.

Carly odwraca się i odchodzi niepewnym krokiem. Gdyby nie było tak wcześnie, podejrzewałabym, że piła. Może po prostu ślizga się na błocie. Czuję ulgę, widząc, jak się oddala.

Carly

Ta wredna suka flirtuje z Robem na festynie kościelnym. Złapałam ją na gorącym uczynku. Mina zagubionej dziewczynki, włosy związane w koński ogon i uśmiech Julii Roberts, żeby go usidlić.

Carly

Kładę się do łóżka całkowicie ubrana, naciągam na siebie kołdrę i nawet nie zdejmuję butów. Matka zabrała dzieci do szkoły, mimo że mam wolny dzień, bo muszę nadrobić zaległości w obowiązkach domowych. Jest tyle do zrobienia, że aż mnie to przytłacza. W kuchni brudno. W ogrodzie dżungla. Kosz z praniem przepelniony. Wszystkie rzeczy Roba trzeba wyprasować. Rachunki się wysypują ze skrzynki na listy. Gotowanie. Sprzątanie. Zakupy.

Głosy w mojej głowie powtarzają mi wszystkie rzeczy, które powinnam zrobić, ale nie mogę się ruszyć. Ból między łopatkami mnie paraliżuje. Zostaję w łóżku, opatulona kołdrą, w ubraniu, jak spocony chomik w gnieździe. Nie mogę zasnąć. Nie mogę wstać. Leżę i przypominam sobie, co poczułam, kiedy pierwszy raz spotkałam Roba.

Zapach pierwszego szpitala powraca do mnie, antyseptyk zmieszany z cytrynowym płynem po goleniu. Stoimy obok siebie i patrzymy na tablicę ogłoszeń. Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałam, kim on jest. Uśmiecha się do mnie i omdleвам w środku. Potem odchodzi.

Widzę go znowu kilka dni później w stołówce. Je lunch przy stole blisko okna. Zauważam wolne miejsce naprzeciwko niego, wykorzystuję okazję i siadam. Obserwuję go. Jest środek lata i ostre słońce oświetla jego wyraziste rysy; wydatny nos, pociągłą, proporcjonalną twarz i wystające kości policzkowe. Ale najbardziej interesują mnie jego oczy. Zielone kocie oczy o życzliwym spojrzeniu. Patrzy na mój talerz frytek.

– Będzie pani musiała zrezygnować z nasyconego tłuszczu, jeśli chce pani zachować taką figurę – mówi.

– A kim pan jest, żeby mi mówić, co mam jeść?

– Młodym człowiekiem, który chce być lekarzem internistą.

Zielone oczy wpatrują się w moje.

– A raczej młodym człowiekiem, który chciałby postawić pani drinka, kiedy skończymy dyżur.

– Proszę bardzo.

Resztę dyżuru pamiętam jak przez mgłę. Spotkanie za szpitalem. Wziął mnie za rękę, kiedy przechodziliśmy przez ulicę, żeby pójść do pubu. Od tamtej chwili wiedziałam, że się w nim zakocham. Czułam rosnące podniecenie. Ale gdzie się podziało tanto uczucie? Co się stało?

Nie mogę zasnąć. Siadam prosto, przeciągam się i ziewam. Ostatnia próba, żeby nie zmarnować dnia, ale bałagan w sypialni mnie przytłacza. Jego przepocony strój do biegania leży w kącie, tam, gdzie go rzucił. Moje przybory do makijażu i sztuczna biżuteria zagracają toaletkę. Książki i nieotwarte listy piętrzą się obok pustych kubków na nocnych stolikach. Buty walają się na podłodze. Stos nieprzeczytanych gazet wznosi się pod ścianą przy drzwiach.

Co za bajzel. Nie dam rady się tym zająć. Zamykam oczy i bawię się ze sobą. Najpierw delikatnie. Dookoła pączkiem łechtaczki, potem pcham mocno i szybko. Dochodzę wolno i kończę gwałtownie. Czuję się trochę lepiej. Tylko szczytowanie pomaga rozproszyć ciemność. Brakuje mi tych dodatków, które miałam z Craigiem. Masturbacja pomaga, ale jest taka przewidywalna. Orgazm w samotności nigdy nie jest taki jak we dwoje.

Wciąż ociężała, z zamulonym umysłem, zwlekam się z łóżka. Przynajmniej nie muszę się ubierać, bo mam już na sobie stary dres. Codzienny strój. Patrzę na zegarek. Czas na kieliszek wina, zanim matka i dzieci wrócą. Alkohol mnie rozluźni, rozjaśni umysł, łatwiej mi będzie zrobić paluszki rybne na podwieczorek.

Rob

Naciskam dzwonek do drzwi i słyszę szybkie, dudniące kroki na gołych schodach z boku sklepu. Widzę niewyraźną kolorową plamę przez matową szybę, Jenni otwiera drzwi i uśmiecha się. Błagała mnie, żebym przyszedł. Choć sytuacja z Carly jest dość niebezpieczna, postanowiłem zrobić wyjątek, żeby uspokoić Jenni. Ostatnia wizyta w pojedynkę. Jenni potrzebuje mojego

wsparcia, mojej przyjaźni. Po raz ostatni.

Powietrze wokół niej pachnie jaśminem. Jest ubrana w obcisłą, czerwoną jedwabną sukienkę i ma srebrne kolczyki w kształcie chrześcijańskiego symbolu ryby. Odbijają światło, kiedy porusza głową.

– Co to za okazja? – pytam.

– Świętuję życie w nowym domu.

Jej nowy dom, mieszkanie nad sklepem. Klaustrofobiczne po nowoczesnym niby-georgiańskim szeregowcu. Ale podobno mieszkała już w mieszkaniu przy głównej ulicy, więc to jest to, czego chciała. Carly i ja próbowaliśmy ją namówić, żeby się nie poddawała, żeby postarała się trochę bardziej, jeśli chodzi o Craiga. Ale błagała wzrokiem o zrozumienie i mówiła, że nie może. Idę za nią, każdy krok na schodach brzmi jak uderzenie w bęben, bo stopnie to gołe drewno. Bez dywanu. Stajemy na górze i Jenni pchnięciem otwiera drzwi do mieszkania.

Wkraczamy do innego świata, odległego od reszty toczącego się życia. Pomalowała hol na kolor magenta, śmiały i żywy, żeby go rozjaśnić. I znalazła pieniądze na najbardziej puszysty dywan, jaki kiedykolwiek widziałem, mysz mogłaby się w nim schować. Z holu przechodzimy do salonu. Na pierwszy rzut oka wygląda orientalnie, ale z bliska widać, że to namiastka. Niskie kanapy są przykryte tanimi narzutami – jaskrawoczerwonymi i lśnącymi, w kwitnące drzewa i kobiety w kimonach. Światło jest przyćmione. Pewnie musi być takie dla utrzymania efektu.

– Co myślisz o tym, co tu zrobiłam? – pyta Jenni. – Jest zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy pomagaliście mi się wprowadzić.

– Jest cudownie – odpowiadam przez grzeczność.

Chłopcy przytulają się do siebie, podwijając jedną z narzut, i oglądają kreskówkę na wielkim ekranie telewizora w rogu. Są pochłonięci filmem, w którym człowieka ściga przez pustynię wielbłąd z ogromnymi kopytami. Najpierw mnie nie widzą. Staję blisko nich i obserwuję ich. Jenni staje obok mnie. Luke ma już prawie cztery lata, tyle co mój Matt. Mark jest dwa lata starszy, z tego samego rocznika szkolnego, co John. Gospele. Kiepski żart Jenni z powodu ich imion ewangelistów. A przynajmniej Carly

twierdzi, że kiepski. Ale w tej chwili Carly wszystko uważa za kiepskie – i wciąż nie chce skorzystać z pomocy. Jej stan mnie dobija. Co ze mnie za lekarz, skoro nie mogę poradzić nic własnej żonie?

Kreskówka się kończy i Jenni wyłącza telewizor.

– Wujek Rob – mówi Luke. – Przyszedłeś pomóc położyć nas do łóżka?

Patrzę na Jenni. Odpowiada proszącym spojrzeniem.

– Tak.

– A Matt i John są już w łóżku?

– Tak przypuszczam.

Heather opiekuje się nimi w domu. Ostatnio prawie od nas nie wychodzi, bo Carly ma mnóstwo zajęć.

Luke i Mark wstają z kanapy, przytulają się do Jenni i maszerują przez salon do wspólnej sypialni. Idę za nimi. Ich sypialnia to kraina przygód. Dwa stojące obok siebie łóżka przykrywa namiot z prześcieradeł przyczepionych do połogi i sufitu. Wsuwają się pod kołdry w kolorach tęczy i proszą, żebym wybrał książkę z półki przy drzwiach. Wybieram i muszę wpełznąć pod prowizoryczny namiot i położyć się na łóżku między nimi, żeby czytać. Luke ssie kciuk i już prawie śpi. Czytam *Aladyna* i kiedy kończę, zasypia. Bezwładne ręce i nogi. Otwarta buzia. Owieczka w objęciach. Ale Mark nie śpi i wierci się pod kołdrą. Siada prosto, podekscytowany.

– Powiem ci sekret. Mamusia nie wie, że wiem.

Palec na zaciśniętych wargach, głośne „psyt” i chichot.

– Mamusia kupuje nam pieska. Na urodziny Luke’a w przyszłym tygodniu. Ale dla nas obu.

– To fantastycznie.

– Nie mogę się doczekać. Słyszałem, jak rozmawiała przez telefon z dziadkiem. Dlatego wiem.

– Jakiej rasy?

– Nie wiem.

– Więc to jednak będzie niespodzianka.

Kiwa głową z szerokim uśmiechem, jego ząbki wyglądają jak perłowy suwak, który przedziela mu twarz na dwie części.

– I jak ja mam cię ułożyć do snu z taką nowiną?
– Będę leżał na plecach i liczył pieszki.
– Bardzo mądrze. Do ilu umiesz liczyć?
– Do pięćdziesięciu. Próbuję do stu, ale trochę mi się myli po pięćdziesięciu.

– To najlepiej szybko zaśnij.

– Jak nie będę mógł liczyć pieszków, to je będę oglądał w myślach.

Znów chichocze, kładzie się, zagrzebuje w łóżko i naciąga kołdrę na siebie.

Wyglądam pościel i całuję go w czoło.

– Dobranoc. Dziękuję, że mi powiedziałeś – szepczę.

Kiedy wracam do salonu, Jenni usiłuje otworzyć butelkę prosecco.

– Co to za okazja? – pytam i przechodzę przez pokój, żeby jej pomóc.

– Trzeba uczcić przeprowadzkę.

Biorę od niej butelkę.

– Pozwól.

Korek strzela głośno i nalewam nam po solidnej porcji – kieliszki Jenni z Ikei są duże. Siadamy naprzeciwko siebie na przykrytych narzutami kanapach i wznosimy je.

– Gratulacje – mówię z niepewnym uśmiechem, bo nie wiem, czy mieszkanie tutaj bez Craiga to powód do świętowania. Ale czasami, nawet jeśli coś nie układa się najlepiej, udawanie, że to świętujemy, jest znakiem, że idziemy ku dobremu. Przypomina nam, że życie toczy się dalej, bez względu na to, jak bardzo byśmy tego nie chcieli.

Jenni siedzi na wprost mnie i stara się być wesoła. Urocza, ale przygaszona. Jakby pozbawiona jakiejś części siebie. Mam ochotę objąć ją i chronić, ale wiem, że nie mogę.

– Wiem, że nie powinnam cię zatrzymywać, przepraszam. Po prostu potrzebowałam towarzystwa – mówi i sączy wino. – Jestem egoistką.

– Dobrze mi tutaj – odpowiadam. – Chciałem wiedzieć, czy nic ci nie jest.

Siedzimy w milczeniu, sączyśmy wino, odgłosy Stansfield dochodzą z zewnątrz. Szum ruchu ulicznego. Syrena policyjna. Podniesione głosy grupki młodzieży. W drodze na dworzec? A może do pubu?

– Rob, wszystko jest w porządku. Staram się, jak mogę, żeby tak było. Na razie radzę sobie. – Wierci się na kanapie z zakłopotaniem. – Ale muszę cię o czymś uprzedzić.

– Uprzedzić?

– Tak. Myślę o podjęciu tamtej pracy, o której wspomniałeś. Recepcjonistki. Wiem, jestem pielęgniarką, ale nie pracuję, odkąd dzieci się urodziły. Praca recepcjonistki w twojej przychodni pomogłaby mi wrócić do obiegu, dodałaby mi pewności siebie.

Patrzy mi w oczy.

– Chciałam po prostu wiedzieć, co ty na to. Czy rozpatrzyłbyś moje podanie o pracę.

– Jenni, nadawałabyś się idealnie. Wiesz, jak bardzo potrzebujemy kogoś dobrego.

Wstaję i podchodzę do niej. Całuję ją w policzki. Potem zapominam się i o mało nie dotykam wargami jej ust.

Carly

Z ogniem w oczach, stoję przed nim naga, kremowe ciało pręży się, duże brązowe sutki sterczą i błagają, żeby je possał.

– Carly, ubierz się, proszę. Wiesz, że się spotkaliśmy, bo chcę porozmawiać – mówi Craig z takim przekonaniem, na jakie może się zdobyć. Widzę przez spodnie jego erekcję, aż musi go boleć.

Ubieram się tak, jak striptizerka się rozbiera. Kuszę go, kiedy wciągam czarne koronkowe majteczki na wydepilowane krocze. Pochyliłam się do przodu i biorę piersi w dłonie w skórzanych rękawiczkach. I w końcu gwóźdź programu – nowy obcisły kombinezon z czarnej siatki.

– Nie możesz tak iść do domu. Gdzie masz normalne ubranie?

Podchodzę do torby w kącie i wyjmuję butelkę czerwonego wina. Nalewam je do firmowej szklanki Travelodge i wypijam

duży łyk.

– Myślałam, że przyszedł tu, bo mnie chciałeś.

– Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że kocham Jenni. Jestem zdruzgotany rozpadem mojego małżeństwa i zrobię wszystko, żeby spróbować ją odzyskać. Wszystko. Chcę, żebyś wiedziała, że żałuję tego, co między nami zaszło.

Stoi przede mną, blisko drzwi, oczy ma podkrążone i wiem, że nie spał.

– Carly. To już skończone. Proszę cię, przestań do mnie dzwonić – błaga.

Craig

Jest majowy dzień, zimny i przytłaczająco mokry, leje tak, że prawie nic nie widzę przez ścianę deszczu. To niezbyt dobrze, bo to jeden z moich rzadkich dni z dziećmi. Wzdycham i naciskam dzwonek do drzwi, gdzie teraz mieszka moja rodzina. Jenni otwiera, ukrywając się za drzwiami, i widzę moich synków w tanich deszczowcach, tak workowatych, że wyglądają w nich grubo, tak workowatych, że może być im trudno dojść do McDonalda.

Wyciągam ręce w rękawiczkach i idziemy w milczeniu, lub raczej ja idę, a oni drepczą chwiejnie. Mijamy agencje nieruchomości, sklepy charytatywne, Iceland i Natwest Bank i dochodzimy do McDonalda. W drodze do lady zostawiamy za sobą kałuże na podłodze. Neonowe oświetlenie i wyłożone plastikiem ściany ogrzewają nas trochę. McDonald. McDonald. Mam dosyć McDonalda. Znudziły mi się bułki z serem i frytki o smaku tektury. Ale kiedy jesteś w separacji z żoną i musisz zapewnić rozrywkę dzieciom, w Stansfield nie bardzo jest dokąd pójść. Nie mogę ich zabrać do domu moich rodziców. Matka choruje na coś grypopodobnego, jak nazywa to Jenni, i nie chce, żeby dzieci to złapały. Ale nawet kiedy jest zdrowa, ich obecność w jej domu nie jest dla niej łatwa. Ma słaby wzrok, a oni bawią się wszystkim. Trudno jej ustawić telewizor i odtwarzacz DVD po ich

wyjściu. A biblioteka? Mógłbym spróbować tam pójść, ale jak bym ich do tego przekonał? Czasami uważam, że Stansfield to pełna ograniczeń dziura. Dzieci nie są mile widziane w pubie ani w żadnej z eleganckich restauracji na Church Street. Zostaje więc McDonald. McDonald. McDonald. Plastikowy pałac, który jest centralnym punktem naszej głównej ulicy i mojego życia rodzinnego.

Jemy hamburgery i frytki z keczupem. Pijemy napoje z różnymi dodatkami i powoli wysychamy. W miarę upływu naszego cennego czasu spędzanego wspólnie Luke śmieje się raz i uśmiecha dwa razy. A najgorzej, że kiedy pytam Marka, co w szkole, odpowiada:

– Dyrektorka mnie wkurza.

Jestem zaszokowany.

– Dlaczego? – pytam.

Nie odpowiada.

Następne zdanie to byłoby zbyt dużo informacji. Gdzie on się nauczył takiego języka? Na pewno nie od Jenni. Carly tak się wyraża. Może spędza za dużo czasu z jej chłopcami. Patrzę na zegarek. Czas minął. Muszę odprowadzić ich z powrotem. Opatulam ich najstaranniej, jak mogę, w przemoczone ubrania, biorę ich za ręce i wracamy tą samą drogą, którą przyszliśmy.

Drugi raz dzwonię dziś do drzwi nowego domu mojej rodziny, klaustrofobicznego mieszkania, na które uparła się Jenni. Tym razem otwiera drzwi, nie chowając się za nie. Wygląda jak anioł. Lśniące włosy. Smutne oczy. Niebiańskie. Chłopcy zostawiają mnie i biegną prosto do schodów bez pożegnania. Nie dziwię im się. Nie mieli wielkiej frajdy. Patrzę w górę. Po stopniach schodzi ku chłopcom z trudem popielaty szczeniaczek z obwisłymi uszami. Luke bierze go na ręce jak niemowlę.

– Nie mówiłaś mi, że macie psa.

Mój głos brzmi krytycznie, oskarżycielsko. Czuję się urażony i wykluczony. Zawsze chciałem mieć psa, a Jenni się nie zgadzała. Luke odwraca się ze spokojnym szczeniakiem w ramionach. Pochodzi do mnie.

– Przytul go, tatusiu – mówi.

Piesek zaczyna się wiercić, kiedy go biorę. Schylam się i całuję go w głowę, czując ustami miękką sierść. Pachnie perfumami Jenni. Musiała go przytulać, kiedy nas nie było. Przyciskam twarz do niego i przygryzam wargę prawie do krwi.

Ból, żeby powstrzymać łzy.

Rob

Piątkowy wieczór. Kiedy wracam do domu, Carly leży w poprzek kanapy z dużym kieliszkiem czerwonego wina.

– Twoja kolej na kładzenie dzieci spać – mówi. – Są na górze, bawią się w chowanego.

Wdrapuję się po schodach, słysząc, jak dzieci hałasują na poddaszu.

– Szukam! – krzyczę w kierunku chichotów i ślizgających się stóp.

Docieram na górę i stąпам ciężko dla ostrzeżenia.

– Pałka, zapałka, dwa kije, kto się nie schowa, ten kryje!

Znów chichoty i szuranie nogami. Drzwi szafy ubraniowej się zamykają. Niespodzianka – kiedy otwieram drzwi naszego dużego pokoju zabaw na poddaszu, okazuje się pusty.

– Pałka, zapałka, dwa kije, kto misia znajdzie, niech żyje.

Otwieram wszystkie szafki, potem szafę na ubrania, skąd słyszę oddechy i widzę kształty wielkości dzieci wypychające jedną z sukienek wieczorowych Carly.

– Nikogo tu nie ma – oznajmiam i zamykam drzwi. Kiedy idę głośno przez sypialnię, oczywiście przechytrzony przez nich, drzwi szafy otwierają się gwałtownie i moje pociechy biegną do mnie ze śmiechem. Łapią mnie za nogi i krzyczą chórem:

– Tatuś, gapa!

Nie powinienem pozwolić im tak brykać, bo ułożenie ich do snu zajmuje mi wieczność. Czytam im i czytam, aż w końcu zasypiam, chociaż Pippa jeszcze nie śpi. Miałem długi i ciężki tydzień w przychodni, zakończony dwiema wizytami domowymi u pacjentów z nieuleczalnym rakiem, z których jeden to jeszcze

dziecko. Otwieram oczy i widzę, że Pippa mi się przygląda.

– Tatusiu – mówi – bardzo cię kocham.

– A ja cię kocham dwa razy bardziej.

Senny i bardzo głodny, wracam w końcu do salonu, gdzie spodziewam się zastać wstawioną Carly po ilości wina, jaką na pewno wypła przy oglądaniu *EastEnders*, jej ulubionej telenoweli.

– Nie spieszyłeś się – mówi.

– Za bardzo się rozbrykały przy zabawie w chowanego.

– Mówiłam ci tysiąc razy, że dzieci najlepiej ignorować.

– Dziękuję za tę praktyczną radę.

– Nie ma za co. I poczęstuj się serem z lodówki.

– Serem?

– A co jest nie tak z serem? Lubisz ser. A przynajmniej zawsze lubiłeś. Już nie bardzo wiem, co lubisz.

Miałem rację co do tego, ile wypła. Jest podminowana po alkoholu, słyszę to w jej głosie. Idę do kuchni, biorę talerz sera i herbatników i siadam na fotelu przed telewizorem. Po jedzeniu stawiam talerz na podłodze, opieram się wygodnie i oglądam z nią serial. Na ekranie facet z czarnymi włosami i dużymi oczami wydziera się na swoją rodzinę. Kiedy próbuję sobie przypomnieć, kim jest, Carly wyłącza telewizor pilotem. Ma gniewną minę.

– O co chodzi, Carly? – pytam.

– Dowiedziałam się dziś czegoś, o czym powinieneś mi powiedzieć.

– Czego?

– Zaproponowałeś Jenni pracę recepcjonistki.

Upadam na duchu. Jenni. Znowu.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? – wyrzuca z siebie.

Wzruszam ramionami.

– Pewnie dziś wieczorem.

– To za późno. Powinieneś porozmawiać ze mną, gdy tylko złożyła podanie.

Podnosi głos. Jest czerwona.

– Spokojnie, Carly. Nie denerwuj się. Powinieneś ci powiedzieć, ale byłem bardzo zajęty w przychodni. Prawie cię dziś nie

widziałem.

– To żadne wytłumaczenie. Musiałeś wiedzieć, że jeśli zapytasz mnie o zdanie, odradzę ci to.

Unoszę brwi, zaskoczony.

– Dlaczego?

– Ona nie ma odpowiednich kwalifikacji. Jest pielęgniarką.

– Od jakiegoś czasu nie pracuje jako pielęgniarka. Chętnie weźmie posadę recepcjonistki, bo potrzebuje pieniędzy. Wiesz, jak bardzo potrzebujemy dodatkowej recepcjonistki. Wszyscy od miesiący muszą pracować w nadgodzinach.

Carly siada na kanapie z uniesionymi ramionami. Nastroszony kot z wygiętym grzbietem, niebezpieczny.

– Powinieneś uzgodnić to ze mną.

Przez chwilę siedzę w milczeniu. Kiedy Carly jest taka, nigdy nie wiem, jak sobie z nią poradzić. Zawsze była drażliwa, trochę trudna od czasu do czasu. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Zdarzało się to sporadycznie i uważałem, że to interesujące. Prowokujące. Ale ostatnio zachowuje się tak nieobliczalnie, że chociaż jestem lekarzem, nie ogarniam tego.

– Nigdy przedtem nie interesowały cię sprawy kadrowe – mówię łagodnie.

Początkowo nie odpowiada. Siedzi wściekła. Potem pochyła się do przodu i wykrzywia usta.

– Chcę, żebyś wycofał ofertę.

Przypominam sobie uszczęśliwioną minę Jenni, kiedy jej powiedziałem, że ma tę pracę.

– Nie mogę.

– Jest prawnie wiążąca, tak? – pyta Carly.

– Nie mogę z osobistych powodów.

– Z osobistych powodów? – Robi pauzę. – Co to ma znaczyć?

– Daj spokój, Carly. To twoja przyjaciółka. Stąd ją znamy.

Siedzę i patrzę na Carly, na jej minę, i zastanawiam się, co się stało z tamtą fajną dziewczyną, z którą się ożeniłem. Zadziiera głowę i śmieje się.

– Twoja bezcenna Jenni trochę się wyluzowała, odkąd zostawiła Craiga.

– A ty byś się nie wyluzowała w takich okolicznościach?

Carly nie odpowiada. Jest za bardzo zajęta, bo idzie slalomem przez salon do barku. Jedna butelka poszła. Jedna czeka. Przechodzę przez pokój i kładę jej rękę na ramieniu.

– Carly, nie uważasz, że masz dosyć?

Odwraca głowę w moją stronę. Przeszywa mnie ostrym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Dopiero zaczynam. Zostaw mnie w spokoju, Rob.

Przez moment żałuję, że nie mogę. Ale potem myślę o Pippie i chłopcach i czuję miłość.

– Nie mogę cię zostawić w spokoju. Jesteś moją żoną. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Mówię ci, że masz dosyć. Proszę cię, nie pij już dziś.

Czuję na policzku jej kwaśny oddech. Strząsa moją rękę z ramienia. Bierze zamach. Rozczapierza palce. Widzę, jak jej ręka zbliża się wolno do mnie. Policzkuje mnie mocno. Oczy mi łzawią. Twarz mnie boli. Cofam się, kiedy sięga po drugą butelkę wina i usiłuje ją otworzyć. Nie proponuję pomocy, gdy łamie korek na pół i musi jeszcze raz wkręcić korkociąg. W końcu nalewa sobie kieliszek i wraca do swojej ulubionej pozycji na kanapie. Siadam na fotelu, twarz wciąż mnie piecze.

– Potrzebujesz pomocy, Carly.

– To przestań spędzać czas z tą swoją wredną suką i zajmij się mną.

Rob

Z powrotem w domu po całym dniu na świeżym powietrzu. Park rozrywki Chessington World of Adventures jest męczący. Nie wiem, czy dam radę wybrać się tam znowu sam z naszymi pociechami. Troje dzieci to o jedno za dużo do pilnowania dla jednego dorosłego. W końcu mam tylko dwie ręce. Gdyby nie to, że Pippa jest taka rozsądna, chybabym sobie nie poradził.

Dzieci, pobudzone cukrem i jazdą kolejkami górskimi, podskakują na ścieżce, kiedy grzebię w kieszeniach w

poszukiwaniu klucza do drzwi frontowych. Dwa razy naciskałem dzwonek, ale Carly nie słyszała. W końcu znajduję klucz i obracam go w zamku. Wreszcie ładujemy się do środka, nie mogąc się doczekać, żeby opowiedzieć Carly o naszej wyprawie. Ale Carly nadal nas nie słyszy. Musi być na górze.

– Carly! – wołam.

Cisza.

– Mamusiu! – krzyczy Pippa.

Ciągle nic.

– Może wyszła albo bierze prysznic. Wejdę na górę i zobaczę. Pippa, daj chłopcom pić i posadź ich przed telewizorem, dobrze?

– Jasne.

Pippa zabiera braci do kuchni, a ja wbiegam po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz, bo jestem zaniepokojony. Otwieram drzwi sypialni i widzę ją smacznie śpiącą w łóżku.

Podchodzę i patrzę na nią. Leży na plecach z otwartymi ustami i oddycha równo. Widzę z zaskoczeniem, że moja torba lekarska leży do góry dnem na łóżku i jest otwarta, a wokół rozsypane są tabletki. Potrząsam ramionami Carly, żeby ją obudzić, staram się nie panikować.

– Carly! Nic ci nie jest? Co się stało?

Otwiera oczy i patrzy na mnie.

– Cześć, Rob – szepcze.

– O co chodzi, Carly? Co wzięłaś?

– Zopiklon – mamrocze i zamyka oczy.

Znów nią potrząsam, tym razem mocniej.

– Ile?

Nie odpowiada.

– Ile?! – krzyczę.

Nie otwierając oczu, unosi prawą rękę i pokazuje na palcach, że dwa.

– Dwa? Tylko? Na pewno?

Kiwa głową.

– Na pewno – szepcze.

– Nic więcej?

– Wino, Wino. Wino.

Pusta butelka po czerwonym winie obok nocnego stolika. Wygląda na to, że nawet nie wzięła kieliszka.

– Coś jeszcze?

Potrząsam nią, starając się opanować panikę. Panika nigdy nie pomaga.

Nie odpowiada.

– Coś jeszcze? Carly, muszę wiedzieć, co wzięłaś. Jeśli wzięłaś jeszcze coś, powiedz mi. Proszę.

– Wino i dwa zopiklony – mamrocze. – Nie mogłam dostać ecstazy.

Ecstasy. Proszę, Boże, nie pozwól jej zacząć eksperymentować z narkotykami.

Odwraca głowę w bok i z powrotem zasypia. Zbieram rzeczy wysypane z mojej torby. Rzeczywiście brakuje tylko dwóch zopiklonów. Cała reszta jest. I żadnych resztek czegoś podejrzanego wokół – ani liści, ani czegoś nieoznakowanego, ani sproszkowanego domowym sposobem. Oddycham z ulgą. Po sprawdzeniu szafki w łazience, żeby być pewnym, że tam też wszystko jest w porządku, siadam na łóżku. Obserwuję, jak jej pierś wznosi się i opada, i przyglądam się jej bladej twarzy okolonej złocistymi lokami. We śnie wygląda tak niewinnie. Tak bezbronne. Jestem lekarzem od tak dawna, że się uodporniłem na takie sytuacje. Zobojętniałem. Ale to jest co innego. To moja żona. Gdyby była pacjentką, wezwałbym pogotowie. Dla pewności. Żeby być krytym. Ale to jest moja żona. Osoba, o którą przysiągłem dbać w zdrowiu i chorobie. Proszę, Boże, pozwól mi zadbać o nią samemu.

Unoszę ją i podkładam jej poduszki pod plecy. Porusza się i otwiera oczy. Podtrzymuję jej głowę i wlewam łyżeczką do ust emetyk. Krzywi się od jego smaku. Za jakieś dwadzieścia minut zwymiotuje, wyrzuci z siebie zawartość żołądka – trochę staromodne, ale działa. Siadam w fotelu przy oknie sypialni i obserwuję, jak zasypia i się budzi. Za każdym razem otwiera oczy i uśmiecha się do mnie. Wie, że tu jestem.

W końcu robi jej się niedobrze. Biegnie do łazienki, trzymając się za brzuch. Pochyliła się nad muszlą klozetową i wymiotuje

rubinowym płynem. Kiedy kończy, kładę ją z powrotem do łóżka. Zostawiam ją, żeby pospała.

Na dole rządzi Pippa. Ma już prawie osiem lat i jest pomysłówą. Zrobiła piknik z torebek chipsów i herbatników; poznaję po resztkach. I znalazła colę w szafce z przysmakami. Nie wiem, czy po dniu w Chessington World of Adventures komukolwiek była jeszcze potrzebna cola. Teraz, jakby dla równowagi, stara się namówić chłopców do zjedzenia owoców. Z przechyloną głową, poucza ich, że należy jeść co najmniej pięć porcji owoców i warzyw dziennie. Patrzą na nią szeroko otwartymi oczami. Gdy tylko mnie zauważa, podbiega i obejmuje mnie za nogi.

– Tatusiu, mamie nic nie jest?

– Wszystko w porządku. Po prostu śpi.

– Mogę do niej pójść?

– Nie. Jeszcze nie. Mogłabyś ją obudzić. Rano opowiesz jej o naszym dniu. Chodźcie, czas do łóżka.

Zwyczajność kładzenia dzieci spać to dla mnie ulga. Udawanie przez chwilę, że wszystko jest w porządku. Ale nie jest. Czasami się wydaje, że już nigdy nie będzie.

Jenni

Mój pierwszy dzień w przychodni Stansfield's Riverside Surgery. Przychodzę o ósmej piętnaście, nie czuję się zbyt pewnie. Ostatni raz pracowałam cztery i pół roku temu i wszystko mnie martwiło. To, że osłabiamy fundamenty naszego społeczeństwa. To, że po cichu sami się niszczymy. Zawsze się martwię. O mojego tatę opiekującego się chłopcami i szczeniakiem, choć wydaje się tym podekscytowany. Błysk, który miał w oczach za życia mojej matki, zaczyna powracać. Martwię się, jak się dziś ubrać. W końcu wybieram białą bluzkę i brązową rozkloszowaną spódniczkę. W sam raz, żeby wtopić się w tło. Bo w tej chwili uznaję to za najłatwiejsze. Wtopienie się w

tło. Co ja mówię? W tej chwili? Zawsze taka byłam.

Czterej lekarze, w tym Rob, są już w swoich gabinetach i przygotowują się do przyjmowania pacjentów. Sharon, bystrooka, tęga kierowniczką recepcji w średnim wieku, z siwymi włosami do ramion i północnym akcentem, bierze mnie pod swoje skrzydła. Uczy, jak odbierać telefon. Jak przydzielać lekarzom wizyty w komputerze. Robi mi długi wykład, którzy pacjenci powinni mieć pierwszeństwo i dlaczego. Prawie wszyscy wydają się mieć pierwszeństwo w tej przychodni. W otoczeniu szafek z aktami i telefonów czuje się życzliwość wobec ludzi. Carly zawsze mówiła, że Sharon to jej mentorka, która pomogła jej zadomowić się w przychodni, kiedy zaczynała tu pracę jako pielęgniarka. Sharon. Najwyraźniej druga matka Carly.

Jak na razie ani śladu Carly.

Sharon stoi nade mną, kiedy odbieram pierwszy telefon. Starszy mężczyzna o chrapliwym głosie cierpi na hemoroidy. Wydaje się, że bawi go opisywanie mi ich. Carly w końcu się zjawia w swoim jaskrawym płaszczu przeciwdeszczowym, w którym była na festynie kościelnym. Czerwony plastik. Kapelusz do kompletu, kalosze i perfekcyjnie nałożony błyszczący do ust. Bogini ekranu z lat pięćdziesiątych. Przesadziła. Kiedy przechodzi szybko obok, spodziewam się, że przystanie, rozepnie płaszcz, żeby pokazać wyszywany cekinami trykot i przemknie przez poczekalnię, stepując. Ale nie, minęła recepcję, nawet nie spojrzawszy na mnie. Żadnego powitania, nawet półuśmiechu. Umawiam starszego mężczyznę i patrzę przez okno. Nawet nie pada.

Powoli zaczynam się odprężyć. Jak dotąd, pacjenci rozmawiają ze mną swobodnie, zadowoleni z tego, na kiedy i do kogo ich zapisuję. Dwa razy pytam Sharon, czy wszystko robię dobrze. Okazuje się, że tak. W porze lunchu, kiedy wychodzę z przychodni kupić kanapkę, jestem pełna nadziei, że poradzę sobie z tą pracą.

Bar kanapkowy po drugiej stronie ulicy jest zatłoczony, z automatu do cappuccino dochodzi syk pary. Stoję w kolejce po kawę i kanapkę z jajkiem i rzeżuchą całą wieczność, a potem nie mam gdzie usiąść. Chodzę tam i z powrotem wąskim przejściem

między stolikami i szukam wzrokiem kogoś, do kogo mogłabym się przysiąc. Widzę czerwony płaszcz przeciwdeszczowy na oparciu krzesła.

Carly.

– Mogę się przysiąc? – pytam.

– Proszę bardzo – mówi, nie odrywając wzroku od gazety.

Siadam naprzeciwko niej, rozpinam swój płóty płaszcz i zaczynam jeść kanapkę. Chleb jest rozmiękły. Jutro przyniosę własny lunch. Pociągam mały łyk kawy i parzę sobie język. Carly podnosi wzrok. Wlepia we mnie niebieskie oczy.

– O, to ty.

– Tak, to ja. Cześć. Zaczęłam dziś pracę w przychodni. Chyba mnie nie widziałaś.

– Zawsze cię widzę, Jenni.

Następny kęs rozmiękłej kanapki. Następny łyk kawy. Wciąż jest za gorąca.

– Jak ci idzie? – pyta Carly z kwaśnym spojrzeniem.

– Sharon jest bardzo pomocna. Odebrałam kilka telefonów.

Oczy o kwaśnym spojrzeniu ciemnieją.

– Możesz być pewna, że nie będziesz miała żadnych problemów, dopóki nie wkroczysz na moje terytorium.

Ja, na twoje terytorium, Carly? Wiem, co zrobiłaś.

– Co masz na myśli? – pytam.

Pochyla się do przodu i szepcze:

– Mojego męża. Przestań próbować się z nim zabawić.

– Nie próbuję.

– Akurat.

– Jak mam to udowodnić?

– Zrezygnuj z pracy w przychodni.

– Ale ja potrzebuję tej posady, Carly. Po rozstaniu się z Craigiem potrzebuję więcej pieniędzy.

– Uprzedzałam cię, że tak będzie. – Wzrusza ramionami. – Znajdź sobie inną robotę. Wykorzystujesz naszą przyjaźń.

– Przyjaźń to wykorzystywanie?

– Nie baw się słowami, Jenni. Wiesz, o co mi chodzi. Przyjaźniłyśmy się, dopóki nie zaczęłaś próbować odebrać mi

Roba.

Bóg pomaga mi nabrać większej pewności siebie.

Wstaję, żeby jej pokazać, że wychodzę. Pochylam się do przodu, żeby mnie dobrze usłyszała, i patrzę jej w oczy.

- Zostanę, żeby zdobyć doświadczenie, które jest mi potrzebne. I odejdę, jak tylko będę miała co napisać w CV. Nie licz na nic więcej, Carly.

- Na twoim miejscu nie przeciągałabym tego zbyt długo - odpowiada, ale słabym głosem i nie wytrzymuje mojego spojrzenia.

Nie przestraszysz mnie, Carly. Stałaś się despotką. Despoci ponoszą zasłużoną karę z ręki Boga.

Carly

Mój świat snu jest wyraźniejszy od rzeczywistego. To w świecie snu naprawdę widzę. Przyglądam się, jak Jenni siedzi w swoim mieszkaniu w pozycji kwiatu lotosu i modli się. Skóra i kości w czerwieni, z kolczykami w kształcie chrześcijańskiej ryby. Zamierza odebrać mi Roba i dzieci. Układa ostatnie plany. Zapisuje je i ukrywa w dzienniku, który kupiła w papierniku Paperchase. Trzyma go w torebce, spięty szerokimi czerwonymi plastikowymi opaskami. Nosi go ze sobą wszędzie, żeby nikt go jej nie ukradł. Kiedy dzieci są w łóżku, łączy swoje plany w całość z piaskiem u stóp, słuchając Enyi i paląc kadzidełka. Bo wszyscy wiedzą, że Jenni jest zdrowo walnięta.

Jenni chce zamieszkać z Robem i wszystkimi naszymi dziećmi, Gospelami i Pippą, w pewnym domu przy kościele. Jej mieszkanie jest za małe dla nich wszystkich i szuka teraz czegoś większego. Wiem to.

W moim wyraźnym świecie snu twarze są tak ostre jak wyrzeźbione nożem. Białe pierzaste obłoki wyglądają jak metalowe zmywaki do garnków. W moim świecie snu Rob przychodzi do mieszkania Jenni. Musi być sobota, bo jest w dżinsach i starej koszulce rugbisty z college'u. Jenni zaprasza go z

uśmiechem do salonu i zamyka za nim drzwi. On podchodzi do niej w zwolnionym tempie z wyciągniętymi rękami i otwartymi ustami. Muzyka staje się coraz głośniejsza. Przytulają się do siebie. Enya śpiewa monotonna. Pieszczą się. Całują namiętnie. Podchodzą do kanapy i opadają na nią. Ona zdiera z niego ubranie. On siedzi nago na kanapie, a ona pochyla się nad jego kroczem. Jej kasztanowe włosy rozsypują się na jego udach. Nie mogą oderwać wzroku od jego twarzy. Rob odchyła głowę do tyłu i zamyka oczy. Jego twarz wyraża przyjemność, wykrzywia ją ekstaza. Jenni kończy i siada obok niego na kanapie. Bierze go za rękę i patrzy na niego z uwielbieniem cielęcym wzrokiem.

Im dłużej to obserwuję, tym bardziej krzyczę bezgłośnie. Krzyczę i krzyczę, aż krzyk staje się dźwiękiem. Budzę się i słyszę swój krzyk. Jestem w ramionach Roba. W swoim łóżku. Spocona, mam mokre zgięcia kolan i dół pleców. Jego głos dociera do mnie.

– Carly, Carly, nic ci nie jest? Miałaś jakiś straszny sen.

Oddycham głęboko.

– Teraz, kiedy jesteś ze mną, nic mi nie jest.

– Byłem tu cały czas.

Jenni

Kiedy wracam z lunchu, wpadam na Carly, która wychodzi z przychodni. Nasze drogi krzyżują się na parkingu.

Carly. Cytrynowy przysmak.

Jej złociste włosy lśnią w ostrym zimowym słońcu, żółta obcisła sukienka i czarna kurtka przylegają do niej jak lukier. Przesadziła, ubierając się tak do pracy. I te jej perfumy. Chyba musiała je rozlać.

– Czujesz się lepiej? – pytam.

– Dużo lepiej. Dziękuję. Przyszłam sprawdzić parę rzeczy.

– Rob mówił, że bierzesz dzień wolny.

– Tak? – Pauza. – Kiedy z nim rozmawiałaś?

– Z samego rana. Jak tylko przyszedł.

– I co mój mąż powiedział o moim stanie zdrowia?

- Że nie czujesz się dobrze i bierzesz dzień wolny.
 - Jak następnym razem będziecie sam na sam, to może mogłabyś mu przekazać, że mi się polepszyło.
 - On po prostu poinformował wszystkich. Nie rozmawiałam z nim osobiście.
 - Dzięki za wyjaśnienie.
- Uśmiech jak lukier cytrynowy.
Odchodzi.

Nie rozumiem, co tu robiła, kiedy powinna odpoczywać. Wchodzę z powrotem do przychodni, pokonując skomplikowany przyciskowy system otwierania drzwi dla osób na wózkach inwalidzkich. Carly ma zastępczynię, nie musiała przychodzić. Cieszę się, że już poszła, że jej tu nie ma. Wszędzie pachnie jej waniliowymi perfumami. Kiedy dochodzę do mojego biurka w recepcji, Sharon odrywa wzrok od dokumentów.

- Carly zostawiła ci wiadomość w komputerze - mówi.
- Zabawne. Przed chwilą spotkałam ją na parkingu i nic nie mówiła.

Sharon wzrusza ramionami.

- Znasz Carly. Ma swój rozum. To w niej lubimy.

Patrzę na Sharon, żeby się zorientować, czy żartuje, ale ma twarz bez wyrazu.

W moim komputerze nie ma żadnej wiadomości. Klikam myszką i nic. Muszę go zresetować. Kiedy w końcu otwieram z powrotem stronę użytkownika, brakuje wszystkich danych, które wprowadziłam rano. Próbuję je odzyskać, ale nie mogę. Zostały usunięte. Dzięki, Carly. Zrozumiałam wiadomość.

Carly

W pracy jesteś do niczego, wredna suko. Nie mogę się doczekać, kiedy Rob cię wywali. Wczoraj miałam wolne z powodu migreny. Kiedy przyszłam dziś rano, zastałam bałagan w kartotekach pacjentów. Usunęłaś z komputera połowę danych, bo nacisnęłaś zły klawisz. Reszta kartotek to alfabetyczny chaos, więc ich też

nie możemy odzyskać. Błąd formatowania, jak to się mówi. Gratulacje, wredna suko. Nie wiem, dlaczego Rob cię zatrudnił. Nigdy nie miałaś kwalifikacji recepcjonistki.

Po moim odkryciu wyłączam swój komputer i maszeruję korytarzem do gabinetu Roba. Jest starszym współnikiem i musi być natychmiast informowany o poważnych sprawach. Pukam i czekam niecierpliwie. Nic. Otwieram drzwi i wchodzę. Nie ma czasu do stracenia, musimy cię zwolnić, Jenni. Nie możemy ryzykować następnych pomyłek. Mój mąż jest pochylony do przodu i słucha uważnie pacjenta, starszego mężczyzny, w którym rozpoznaję Benedicta Tootle'a. Rob podnosi wzrok, zaskoczony. Gdy tylko widzi, że to ja, w jego oczach pojawia się niepokój.

- Wszystko w porządku, Carly?

- Muszę z tobą porozmawiać.

Marszczy brwi.

- Poczekaj, tylko skończę tę konsultację.

Zawsze tak było, Rob zawsze stawiał pacjentów na pierwszym miejscu. Wiedziałam o tym, kiedy za niego wychodziłam. Wtedy nie wydawało się to ważne, bo dla mnie też zawsze miał czas.

- Dobrze - mówię wbrew sobie.

Wychodząc, trzaskam drzwiami.

W gabinecie zabiegowym łączę się z Sharon przez wewnętrzny.

- Poproś pacjentów, żeby poczekali.

Nie mogę się nimi zająć, dopóki nie rozprawię się z tobą, wredna suko. Nie można ode mnie oczekiwać, że będę macała obwisłe piersi, udzielała porad w sprawie świątecznej depresji i pobierała krew ludziom, którym przeważnie nic nie jest, skoro w ich kartotekach panuje chaos. Jeśli nie będę w stanie się skoncentrować, mogę kogoś zranić przy pobieraniu krwi.

Krażę po pokoju w oczekiwaniu na Roba. Długo nie przychodzi - co może być Benedictowi Tootle'owi? Ma zespół Münchausena? Rob napisze o nim do „British Medical Journal”? Po jakichś dwudziestu minutach wreszcie się zjawia.

– O co chodzi, kochanie? Co się stało? – pyta z zatroskaną miną.

– Usiądź, Rob. Musimy porozmawiać.

– Mam jeszcze dziesięciu pacjentów. Jeśli mamy tylko porozmawiać, to czy nie można tego odłożyć do wieczora?

Tylko porozmawiać, tylko porozmawiać... Jak on śmie tak mówić? O mało nie wybucham, ale udaje mi się opanować.

– Trzeba rozmawiać – odpowiadam z utkwionym w nim spojrzeniem, na które zwykle zwraca uwagę.

Patrzy na mnie i wzdycha.

– No dobrze. Jeśli jest aż tak źle.

Podchodzi wolno do jednego ze stołków laboratoryjnych przy blacie. Siadam obok niego. Nachyla się do mnie.

– Zamieniam się w słuch. Jak mogę pomóc?

Zamienia się w słuch. Przed chwilą chciał wracać do swoich pacjentów i nawet nie zaczekał, żeby się dowiedzieć, o czym chcę rozmawiać.

– Możesz pomóc tak, że nie będziesz się zachowywał jak gnida. Jestem twoją żoną, a nie jedną z twoich ubóstwiających cię pacjentek.

– Wiem... zauważyłem – mówi ze słabym uśmiechem.

– Za często zauważasz kogoś innego. Osobę niekompetentną w swojej pracy.

Patrzy na mnie nieruchomym wzrokiem, jakby wiedział, co będzie dalej.

– Kogo, Carly? – pyta znużonym głosem.

– Tę wredną sukę Jenni.

Wstaje.

– Carly, mam dosyć tego języka. Chyba wiesz, że mówienie w ten sposób jest niewłaściwe i obraźliwe?

Idzie do drzwi.

– Wiem dużo więcej, niż myślisz, i musisz zwolnić Jenni.

Patrzy na mnie protekcyjnie jak zawsze, kiedy uważa, że jestem nawalona.

Nie patrz tak, Rob, dziś nie jestem nawalona.

Wstaję i zagradzam mu drogę do wyjścia. Patrzą mu w oczy. Są zielone, wodniste i nieszczerze.

- Jenni narobiła bałaganu w naszych kartotekach komputerowych. Wczoraj, kiedy mnie tu nie było i nie mogłam jej pomóc. To poważna sprawa, Rob. Muszę powysłać kobietom przypomnienia o badaniach cytologicznych, a nie mogę, bo nie mam ich danych.

Wytrzeszcza oczy.

- Naprawdę? Zawsze miałem wrażenie, że umie pracować na komputerze.

Napinam mięśnie szyi i przesywam go wzrokiem.

- Naprawdę.

- No, cóż - odpowiada, unikając mojego spojrzenia. - Trzeba coś z tym zrobić... Poślemy ją na kurs komputerowy.

- Bądź realistą, Rob! - krzyczę. - Musimy wywalić sukę, a nie posyłać ją na jakieś szkolenie.

Cofa się i kręci głową.

- Jak możesz tak mówić o przyjaciółce?

- Bo wszyscy muszą się dowiedzieć, że jest niekompetentna - warczę.

Ktoś puka do drzwi.

- Carly, muszę wracać do pacjentów. Ty też. Zajmiemy się tym wieczorem. Dobrze?

Nie, niedobrze.

Zgadzam się, ale wbrew sobie.

Jenni

Atmosfera w przychodni się zepsuła - coś jest nie tak. Poziom hałasu się zmienił: czekający pacjenci są bardziej gadatliwi. Czuć niezadowolenie zamiast życzliwości, dlatego wydają się tacy głośni. Jest piątek rano. W piątki zwykle nie mamy takiego tłoku. Najgorsze są poniedziałki, dochodzą wtedy choroby weekendowe. Dziś Sharon zapisuje przychodzących pacjentów. Utworzyła się długa kolejka. Siedzę obok niej i odbieram telefony. Dzwonią co kilka minut, więc nie mogę ich zostawić, żeby jej pomóc. Po raz pierwszy, odkąd pracuję w przychodni,

przytłacza mnie złość pacjentów. Poczekalnia jest pełna. Pani Frobisher, starsza kobieta, która co piątek przychodzi na zmierzenie ciśnienia, nie ma gdzie usiąść. Widzę ją przez okienko recepcji. Rozgląda się niepewnie i masuje plecy, bo stale ją bołą. Wiem, bo często mi o tym mówi. Zostawiam na kilka minut telefony i idę jej pomóc. Proszę jakąś matkę z małym dzieckiem, żeby wzięła je na kolana. Pani Frobisher siada z wyraźną ulgą.

Kiedy wracam do recepcji, słyszę, jak ktoś bardzo głośno skarży się Sharon.

– Czekam już ponad godzinę na pobranie krwi. Jestem głodna, chce mi się pić i, jak mówiłam, muszę iść do pracy.

Gdy podchodzę bliżej, widzę, że to pani Robertson, samotna kobieta po czterdziestce, którą znam z kościoła.

Na mój widok Sharon zarządza:

– Jenni, ja zajmę się telefonami, a ty idź zobaczyć, co się dzieje. Rob jeszcze nie wezwał następnego pacjenta, chociaż pan Tootle wyszedł dwadzieścia pięć minut temu. Nikt nie widział pielęgniarki. Może Carly jeszcze nie przyszła. Może wariuję, ale wydawało mi się, że tu była.

Sharon stara się udobruchać panią Robertson, kiedy wymykam się z recepcji. Przechodzę przez zatłoczoną poczekalnię, idę korytarzem do gabinetu Roba i pukam do drzwi. Cisza. Otwieram drzwi i wchodzę, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nie ma go. Zostawił włączony komputer. Stary komputer, który buczy. Ciągle mu powtarzam, żeby go zmodernizował, ale mówi, że boi się techniki. Proponuję, że mu pomogę, ale nie zwraca na to uwagi.

Gdzie on jest? Masz jakiś problem, Carly, i Rob poszedł do ciebie? Trudny przypadek, który musisz omówić, zanim zaczniesz się nim zajmować? Wracam korytarzem w kierunku twojego pokoju. Znowu pukam. Brak odpowiedzi. Ale słyszę podniesione głosy. Carly i Rob kłócą się. Pukam jeszcze raz, mocniej. Nadal brak odpowiedzi.

– Wszystko w porządku?! – krzyczę przez zamknięte drzwi.

Słyszę kroki i drzwi się otwierają. Rob staje przede mną z wymuszonym uśmiechem. Znam ten uśmiech. Porusza tylko wargi, reszty twarzy nie. Ale ty, Carly, nie uśmiechasz się. Pozornie nie wiesz, że ci się przyglądam. Udajesz, że sprawdzasz swój przyrząd do pobierania krwi.

– Przepraszam – mówi Rob. – Powiedz Sharon, że za kilka minut wezwę następnego pacjenta. Zostanę dłużej, jak długo będzie trzeba, żeby nadrobić zaległości.

Podchodzi do mnie. Prawie czuję smak jego oddechu. Miętówka i drewno sandałowe, wyraźne i świeże.

– Wszystko gra? – pytam.

– Tak, oczywiście – mówi.

Wiem, że nie, ale porozmawiam z nim później. Odsuwam się na bok, żeby go przepuścić. Odchodzi do swojego gabinetu. Ruszam korytarzem do recepcji, ale, Carly, słyszę stuk twoich obcasów za sobą. Klepiesz mnie w ramię. Odwracam się i widzę twój gniewny wzrok.

– Musimy porozmawiać, Jenni. U mnie.

Brzmi to jak groźba.

Wzdycham. Wchodzę za tobą do twojego gabinetu. Nalegasz, żebym usiadła w tym drapiącym fotelu z końskiego włosia. Patrzysz na mnie z wysokości jednego z twoich plastikowych stołków barowych. Nigdy nie widziałam cię takiej wścieklej. Poce się.

– Rozmawiałam z Robem i poleciłam mu, żeby cię wywalił – mówisz tonem prezenterki wiadomości, podającej informację o masowych rozstrzelaniach.

Wiedziałam, że jesteś na mnie zła, ale tego się nie spodziewałam. Brak mi tchu. Nie mogę zaczerpnąć powietrza.

– Za co? – pytam.

– Za niekompetencję.

Mimo że siedzę, boję się, że zemdleję. Schylam się, kładę głowę na podolku i uspokajam. Siła Boga dociera do mnie i sprawia, że czuję się trochę lepiej. Podnoszę wzrok.

– Narobiłaś bałaganu w kartotekach pacjentów – ciągniesz. – Połowa jest tak pomieszana, że nie mogę nic znaleźć. Połowy

brakuje.

Robisz pauzę.

– Wczoraj, kiedy miałam wolne.

Uśmiechasz się do mnie, Carly, bo uważasz, że wygrałaś? Zastanów się. Walka między nami dopiero się zaczyna. I Jezus jest po mojej stronie. Pamiętam twoją nieoczekiwaną wizytę w przychodni. Prostuję się.

– Ty to zrobiłaś. Wrabiasz mnie.

– Udowodnij to – rzucasz drwiąco i przechylasz głowę na bok. Jeśli starasz się wyglądać słodko, Carly, to ci nie wychodzi.

– Sharon wie, co się stało.

– Jenni, jesteś żałosna, jeśli myślisz, że powoływanie się na nią to najlepszy sposób, żeby się z tego wyłgać.

– Carly, co się z nami stało? – pytam. – Byłyśmy przyjaciółkami.

Carly

Wredna suka była tak zdenerwowana po naszej krótkiej rzeczowej pogawędce, że musiała wcześniej pójść do domu. Ale na parkingu przychodni okazało się, że ktoś spuścił jej powietrze z przedniej opony. Kto mógł wyciąć taki numer tej chudej jak patyk idiotce? Zapłakana, pojechała do domu autobusem.

Jenni

Siedzę z Robem w jego gabinecie lekarskim. Drzwi są zamknięte na klucz, żeby nikt nie wszedł, zwłaszcza Carly. Patrzymy na siebie, zaniepokojeni o nią.

Carly

Znów położyłam się do łóżka. To moje bezpieczne miejsce. Kiedy jestem w łóżku, nic złego mi się nie stanie. Wywalam na

kołdrę zawartość torebki i pigułki rozsypują się jak konfetti. Środki uspokajające, leki przeciwpsychotyczne i antydepresanty z przychodni i z torby lekarskiej Roba. A, i udało mi się zdobyć trochę ecstasy. Hurra! Co zrobić? Co zrobić? Zmieszać je jak słodycze w rogu obfitości i brać na chybił trafił? Może tak? Medyczny róg obfitości. Popijany dużą ilością alkoholu. Bez tego nie da rady.

Dobra.

Śmieję się głośno, biorę pierwszą garść i połykam. Łyk wina prosto z butelki. Jenni wciąż nosi zdjęcie Craiga w portfelu. Widziałam, jak na nie patrzyła w kawiarni w zeszłym tygodniu. Nadal go pragnie. Leżę na łóżku i czuję Craiga. Biorę komórkę i esemesuję do niego. Nie odpisuje. Dzwonię. Dziesięć razy.

Wszystko jest niewyraźne, sypialnia to morze kolorów. Jacyś ludzie w uniformach zbierają moje leki. Czasami mi się wydaje, że słyszę głos Roba, ale potem znów milknie. Kładą mnie na noszach, owijają kocem i znoszą na dół. Próbuje mówić, ale nie mogę. Na dworze słyszę ruch uliczny i czuję chłód. Ktoś mówi mi do ucha. Czuję papierosy w jego oddechu. Powieki mam ciężkie i oczy mi się zamykają. Ktoś pochyla się nade mną, bierze mnie za ramiona i potrząsa delikatnie.

– Nie odpływaj, Carly, nie odpływaj.

Dociera do mnie, że jadę karetką pogotowia. Zdradza to syrena. Powtarzające się wycie ciągnie mnie ku mojemu przeznaczeniu, krzyczy do świata o moim cierpieniu. Otacza mnie i pochłania. Nie mogę się od tego uwolnić. Nie widzę. Nie mogę myśleć. Mogę tylko słuchać hałasu wokół mnie. Rob jest ze mną. Nie widzę go, ale czuję. Wstrząs, syrena milknie. Cisza. Ulga. Metaliczny dźwięk przebija się przez ciszę, drzwi karetki się otwierają. Zaczynam odzyskiwać ostrość widzenia. Już widzę Roba. Trzyma mnie za rękę. Przygląda mi się tymi swoimi zielonymi oczami. Jest przy mnie, kiedy mnie wiozą przez poczekalnię oddziału wypadkowego. Gdy kładą mnie na łóżku. Gdy pielęgniarka o bystrych oczach i słoniowych nogach rozbiera mnie i wkłada mi

jedną z tych szpitalnych koszul, które nigdy nie pasują – za nią podchodzi do mnie cała armia pielęgniarek. Zasypiam, nie wytrzymuję dłużej. Nieświadomość szepcze do mnie, że jest słodka. A więc daję krok w jej kierunku i ulegam jej.

Budzę się w innym szpitalnym łóżku, blisko okna z widokiem na parking. Samochody najpierw są rozmazane, ale potem kształty ich metalowych skorup wyostrzają się. Wiem, że Rob tu jest. Czuję go. Odwracam głowę i szukam go wzrokiem. Siedzi na krześle przy łóżku i obserwuje mnie. Wstaje i podchodzi do mnie. Pochyla się i całuje mnie w czoło. Chcę go przytrzymać i wtedy zdaję sobie sprawę, że nie mogę się ruszać, bo jestem podłączona do mnóstwa rurek i przewodów.

Rob

Całuję ją w policzek i odchodzę, ale ona nie jest tego świadoma. Śpi, blada, jej złociste loki są rozsypane na poduszce jak kapryfolium. Dlaczego, Carly? Dlaczego? Dlaczego nie mogłaś sobie poradzić z życiem? Co powinienem zrobić, żebyś mogła? Proszę, Boże. Wiem, że nie mogę cofnąć czasu, ale daj mi drugą szansę. Proszę, Boże – jeśli tylko możesz.

Zbliżam się do stanowiska pielęgniarek. Jedna siedzi za biurkiem przy telefonie i wypełnia dokumenty. Modłę się do Boga. Ona podnosi wzrok, kiedy przechodzę.

– Rob, możemy zamienić słowo?

– Oczywiście – odpowiadam.

Przerywam modlitwy i zaczynam ją widzieć. Okrągłe rysy. Obfity biust. Zmęczone oczy, które patrzą na mnie znad papierów.

– Lekarz już z tobą rozmawiał?

– Nie, jeszcze nie.

– Zatrzymaliśmy rzeczy osobiste twojej żony, łącznie z jej telefonem, tylko dopóki jej stan się nie poprawi. Chciałbyś je zabrać do domu?

– Oczywiście.

Pielęgniarka schyla się i grzebie pod biurkiem. Wyciąga przezroczystą foliową torbę z rzeczami Carly. Wręcza mi ją. Gdyby tylko sposób myślenia Carly był tak łatwo widoczny jak te rzeczy.

Jadę do domu jak w transie, przedmieście przesuwa się obok mnie niczym wymarłe miasto. Świat, którego nie poznaję, którego nie widzę. Zamazane domy z niewyraźną szarą murarką zostają z tyłu, ich miejsce zajmuje zielona plama parku.

Cofnąć czas. Cofnąć czas.

Tylko o tym potrafię myśleć.

Gdybym mógł cofnąć czas, to do kiedy? W którym momencie jej życie się zmieniło? Wraz z narodzinami Pippy? Gospeli? Czy ta sprawa, że Jenni jest wredną suką to fałszywy trop? Czy Carly zaczęła być trudna o wiele wcześniej?

Zawsze była trudna?

Prowokacyjna i rozrywkowa?

Jak to jest?

Staram się na siłę przywołać dobre wspomnienia. Bo złe mnie zniszczą. Wolę ich nie odgrzebywać. Dobre czasy powracają. W wyobraźni widzę przeszłość – żółty kamień i złociste pola w słońcu. Carly, moja wesoła dziewczyna. A potem to wspomnienie znów ciemnieje. Marszczę brwi i mam ochotę zapalić światło.

Światło.

Światła.

W lewo na światłach, a potem druga w prawo przy warzywniaku. Copthall Gardens. Samochód na podjeździe. Silnik wyłączony. Jestem w domu.

Gdy tylko otwieram drzwi frontowe, Heather staje przede mną. Czuję jej niepokój, kiedy zamykam drzwi, zdejmuję płaszcz i kładę rzeczy Carly na stoliku w holu.

– Co z nią? – pyta.

– W porządku. Nic jej nie będzie.

Heather ma tak przygnębioną minę, jakiej jeszcze nie widziałem.

– Przedawkowała, a ty mówisz „w porządku”?

– Wiem, przepraszam. W porządku, biorąc pod uwagę

okoliczności.

Stoimy w holu i patrzymy na siebie z głębokim smutkiem, który musimy jakoś przeżyć.

– Zawiedliśmy ją, prawda?

– Daj spokój, Heather, to nie jest takie proste.

Jestem na to za bardzo zmęczony, ale Heather nie da mi spokoju, nie zostawi tego.

– Jest – odpowiada. – Powinniśmy ją wysłać do psychiatry rok temu.

Heather jest teraz specjalistką od zdrowia psychicznego? Czuję ucisk w skroniach, jakbym miał dostać migreny.

– Z perspektywy czasu zawsze wszystko jest prostsze – mówię.

– Błagała mnie, żebym jej nie wysłał do psychiatry. Dostawała hysterii, kiedy o tym wspominałem.

– Histerii? To poważna sprawa. Właśnie wtedy powinniśmy ją zmusić.

Chyba pierwszy raz w życiu mam ochotę krzyknąć na Heather. Muszę oddychać głęboko, żeby się opanować. Nie chcę jej denerwować, zawsze jest dla nas bardzo dobra.

– Zmusić? – udaje mi się zapytać na tyle spokojnie, że mogę mówić dalej. – Jak mieliśmy to zrobić? W ciągu wielu lat mojej praktyki przekonałem się, jak trudno umieścić kogoś w szpitalu psychiatrycznym. Jak ludzie są urażeni nie tylko w danym momencie, ale jeszcze po latach. Nie mogłem jej tego zrobić.

Kręcę głową prawie ze łzami w oczach.

Proszę, Heather, odejdz, chcę być sam, myślę, ale nie mówię tego.

– Odwieźć cię do domu, czy wolisz zostać? – pytam uprzejmie.

Kiedy ku mojej wielkiej uldze Heather wspina się ciężko na górę do pokoju gościnnego, nalewam sobie drinka przed snem. Po kilku małych łykach przypominam sobie o torbie z rzeczami Carly i idę je sprawdzić, zanim zapomnę. Wyjmuję z torby telefon i widzę, że esemesowała do Craiga. Czytam wścibsko nie tylko wychodzącą wiadomość, lecz wszystkie.

Rob

Chrzęst kości i jego twarz ugina się pod moją pięścią. Krew tryska, krzepnie na moich knykciach i wsiąka w jego jedwabny szlafrok w tureckie wzory, staromodny, ale elegancki. Craig zatacza się do tyłu i łapie za nos.

– Co ty, kurwa, robisz? – pyta.

Pluje w moim kierunku krwią, która sączy mu się przez zęby z ust.

– Dla ciebie ona była tylko kolejną z twoich dziwek, dla mnie jest kimś wyjątkowym.

– Przepraszam, stary. Mówiła, że żyjecie w otwartym związku.

– W otwartym związku?

Jej kłamstwo przeszywa mnie jak nóż.

Craig wyciera się chusteczką do nosa. Jak mogła skłamać o czymś tak świętym jak małżeństwo?

– Przepraszam, stary. Tak naprawdę, to jej nie uwierzyłem. Nie chciałem, żebyś się dowiedział. Ta cała sprawa zrujnowała mi życie. Chciałbyś, żeby odrobina seksu zniszczyła wszystko, co masz?

Zaciskam pięść. Potrzebuję całej mojej siły i wiary w Boga, żeby go znów nie uderzyć.

Rob

Zaparkowałem samochód i maszeruję na oddział, gdzie leży Carly. Idę głośno przez szpital i pcham energicznie wszystkie drzwi. Kiedy mijam stanowisko pielęgniarek, jedna z nich zatrzymuje mnie.

– Lekarz jest teraz u pana żony. A potem chce zobaczyć się z

panem. Mógłby pan tu zaczekać, aż skończy?

Wskazuje małą kanapę naprzeciwko stanowiska pielęgniarek.

Waham się.

– Napije się pan kawy albo czegoś innego? – pyta.

– Nie, dzięki.

Siedzę w poczekalni. Nie mam co robić, obserwuję więc pielęgniarki. Są zajęte papierkową robotą, jak zwykle. A ja tylko tutaj siedzę. Ani telewizora, ani czasopism, ani gazet. Mogę się przyglądać, jak dwie pielęgniarki wypełniają formularze. Kiedy tak siedzę w poczekalni, narasta we mnie gniew na Carly. Wstaję. Zaczynam spacerować tam i z powrotem, żeby się uspokoić. Pięćdziesiąt kroków na południe, pięćdziesiąt na północ, i tak w kółko, jak niedźwiedź polarny w klatce. Słyszę kroki w korytarzu. Patrzę w tamtym kierunku. Jakiś brzuchaty mężczyzna w szpiczastych półbutach idzie w moją stronę. Kiedy podchodzi bliżej, widzę, że nie jest w półbutach, tylko w lśniących brązowych kowbojkach z krokodyłowej skóry. Krokodyłowa skóra jest nielegalna. Teraz sobie uświadamiam, że to lekarz Carly. Prawie w tym samym momencie staje przede mną, patrzy na mnie z niepokojem i przełyka wolno.

– Doktorze Burton, oceniłem rano wstępnie stan Carly i chcę ją przyjąć na oddział psychiatryczny na obserwację.

Kiwam nerwowo głową na znak zgody.

– Ale przedtem musimy jej zrobić szereg dalszych badań – ciągnie doktor Willis – dlatego wolałbym, żeby pan jej dziś nie odwiedzał.

Sztywnieję w środku. Carly to moja żona. Zawsze jestem przy niej, żeby się nią opiekować.

– Dlaczego? – pytam ostro.

– Potrzebuje całkowitego spokoju.

Całkowitego spokoju. Czuję się urażony.

– Chce pan powiedzieć, że ze mną nie jest spokojna? – pytam, tłumiąc wściekłość.

– Wizyty rodzin ekscytują pacjentów z poważnymi problemami psychicznymi.

Z poważnymi problemami psychicznymi. Z poważnymi. To ta

najgorsza wiadomość. Jestem przybity. Zdruzgotany.

– Więc uważa pan, że to coś poważnego? – szepczę, jakbym wolał nie słyszeć tego słowa.

– Tak. Niewątpliwie – potwierdza doktor Willis.

Słabo mi. Muszę usiąść. Chcę być gdziekolwiek, byle nie tu. Moje wczorajsze odkrycie wydaje się teraz nieważne, ale zaraz sobie przypominam, że tamte esemesy to obrzydliwe porno.

– Mam pytanie – mówię i kaszlę z zakłopotaniem. – Czy pańskim zdaniem częścią jej choroby może być hiperseksualność?

– Tak. Zdecydowanie – odpowiada i poprawia włosy. – Ale uważam, że takimi delikatnymi aspektami należy się zająć na dużo późniejszym etapie. W tej chwili drepczemy w miejscu.

Sam też drepczę w miejscu, a potem wolno odchodzę.

Carly

Jestem uwięziona w szpitalnym łóżku z tak czystą sztywną pościelą, że wrzyna mi się w policzek. Żyję w świetle bieli i szarości, który pachnie środkiem antyseptycznym, podłączona do tyłu urządzeń, że nie mogę się ruszyć. Obserwuję i czekam. Przyglądam się. Pacjentka obok i pacjentka naprzeciwko mnie siedzą prosto w łóżkach i jedzą śniadanie. Ta na wprost wali tak mocno w jajko na twardo, że wyobrażam sobie, że to głowa i że ona chce je zabić. Taca z jedzeniem wisi nad moim łóżkiem, ale nie mogę uwolnić rąk, żeby jeść. Czekam. Na Roba. Na moją rodzinę. Zamykam oczy i zasypiam.

Punkciki brązowych oczu przebijają przez skórzaną maskę, która jest za blisko mnie i zadaje mi pytania. Słowa wykrzykują się z moich ust. O Craigu. O rozmiarze jego penisa. O tym, jak mnie doprowadzał do orgazmu. O Travelodge. Czas przechodzi w swobodne opadanie.

Wózek z lekami terkocze gdzieś na oddziale. Wszystkie czekamy na niego niecierpliwie. Światła są zgaszone i wszyscy mówią głośno. Poranna krzątanka. Zastony odsuwa nadęta

pielęgniarka z kwaśnym uśmiechem. Lunch. Wodnista popołudniowa herbata w zielonych ceramicznych kubkach. Herbatniki Rich Tea.

Goście. Pippa patrzy na mnie wytrzeszczonymi oczami. Matka trzyma mnie za rękę z zatroskaną miną. I Rob. Zawsze on. Też trzyma mnie za rękę. Całuje mnie w policzek. Pachnie domem.

Rob

Jenni siedzi naprzeciwko mnie przy kuchennym stole i patrzy na mnie oczami koloru waniliowej krowki.

– Nieźle rozwaliłeś Craigowi twarz – mówi rzeczowo, nie krytycznie.

– Wiem – odpowiadam, przypominając sobie, jak miażdżyłem mu nos pięścią. – A najbardziej martwi mnie to, że nawet nie jest mi przykro.

Jej oczy na chwilę ciemnieją.

– Przyszedł tu posprzątać. I powiedzieć mi prawdę, zanim usłyszałam ją od ciebie. Mógł się nie fatygować. Już wiedziałam.

Jej słowa porażają mnie jak prąd elektryczny.

– Już wiedziałaś?

– Tak. Domyśliłam się dawno temu po minie Carly, kiedy rozmawiała ze mną o jego romansie – mówi ze smutkiem Jenni. – Nie powiedziałam ci, bo nie chciałam sprawiać bólu tobie i twojej rodzinie. – Urywa i łzy napływają jej do oczu. – Przykro mi, Rob. Naprawdę. Nie chciałam, żebyś przeżywał takie piekło jak ja.

Jeśli Jenni wiedziała, to jak ja mogłem nie zauważyć? Co jeszcze przeoczyłem? Czy Carly zachorowała tak poważnie przez mój brak empatii? Czy mam już nie być dumny z tego, że jestem zaabsorbowany przychodnią, tylko żałować?

Jenni bierze moje ręce w swoje.

– Dla mnie to było największe w życiu cierpienie – mówi. – Gorsze niż cokolwiek. Niż śmierć matki. Nie wybaczę tego Craigowi.

Zaczyna płakać, jakby mój ból otworzył jej rany. Jej łzy

rozdzierają mi serce.

– Wybaczysz to Carly? – pyta.

– Och, Jenni... mam nadzieję – odpowiadam. – Jeśli nie, to koniec ze mną.

Carly

Jestem ubrana. W dzisiejszych czasach uważa się, że to postęp. Spaceruję po ogrodzie dla pacjentów, otoczona ze wszystkich stron czterema skrzydłami szpitala. Są tak wysokie, że do ogrodu dociera za mało słońca. Ławki i trawa. Krzewy o mięsistych liściach. Wierzby. Kilkoro pacjentów w szpitalnych szlafrokach siedzi samotnie na oddzielnych ławkach i patrzy w przestrzeń. Powietrze pachnie świeżo i słodko. Padało i drozdy dziobią trawę w poszukiwaniu dżdżownic. Podnoszę wzrok. Samolot przecina niebo kilometry nade mną i zostawia za sobą białą smugę. Zazdroszczę jego pasażerom swobody podróży dokąd chcą. Wolności więźniów w tranzycie. Wzdycham. Zadaję sobie pytanie, jak długo tu jestem.

Tygodnie.

Które wydają się latami.

Patrzę na zegarek. Już prawie pora odwiedzin. Czas wrócić do środka i czekać. Idę korytarzem bez okien do mojego pokoju, stukając butami w płytki PCW. Mój pokój jest za mały, żeby trzymać w nim dużo ubrań. Deska udaje łóżko, krzesło wygląda jak przekazane z domu starców. I są kwiaty, które Rob przyniósł mi w zeszłym tygodniu.

Siadam w fotelu przy oknie, mam skurcze żołądka od niecierpliwego wyczekiwania i próbuję czytać poradnik na temat depresji. Ale nie mogę się skoncentrować. W poradniku jest napisane, że brak koncentracji to objaw depresji. No to po co pacjentom poradniki na temat depresji, jeśli nie mogą się skoncentrować na czytaniu ich? Zamykam książkę, bo rozprasza mnie każdy dźwięk na korytarzu. Każde szurnięcie nogą, każde słowo, każdy szept. To może być moja rodzina.

Drzwi się otwierają i nareszcie wchodzi. Wstaję i Rob bierze mnie w ramiona. Pachnie środkiem antyseptycznym i płynem po goleniu. Obejmuje mnie i podnosi na duchu. Sprawia, że otaczający mnie świat znika. Moja matka czeka za nim na swoją kolej.

– Mamusiu, mamusiu, zrobiłem dla ciebie czołg! – woła Matt i daje mi dwa sklezione razem tekturowe pudełka. Jedno jest pomalowane na czerwono, drugie na niebiesko, farba odpada od nich całymi płatami.

Uwalniam się z objęć Roba, żeby wziąć prezent.

– Dziękuję – mówię i kładę go na szafce przy łóżku.

– A ja Daleka – mówi John i daje mi swój model.

Srebrna folia i wyciory do fajki. Kładę to na łóżku, bo na szafce nie ma już miejsca.

– Fantastyczny.

Dwie kolejne ozdoby do sali telewizyjnej.

Pippa staje przede mną z rękami na biodrach, pukle blond włosów opadają jej na ramiona.

– Byłam za bardzo zajęta pilnowaniem wszystkich, żeby robić modele – mówi, wzruszając ramionami. Wszyscy się śmieją, a mnie zbiera się na płacz.

Rob

Śmiertelnie zmęczony, zasypiam na początku niedzielnej mszy w kościele. Modląc się, zapadam w drzemkę na klęczkach i opieram czoło na ławce przede mną. Budzi mnie ruch, gdy wierni wstają, żeby odśpiewać pierwszą pieśń. Otwieram oczy i widzę, że dzieci poszły do szkoły niedzielnej i zostawiły mnie samego. Wdycham zapach kadzidła i modlitewników.

Kazanie sływa po mnie, słowa pastora się zlewają i unoszą nade mną. Wierni się zamazują. Poczciwe twarze w średnim wieku. Zmęczeni, zgarbieni, starsi ludzie. Zawsze zbyt mało młodych, nawet teraz, kiedy mamy nowego młodego pastora, który powinien ich przyciągać. Madonna i Dzieciątko patrzą w

dół z wysokiego okna za ołtarzem. Głos pastora brzmi dalej. Tracę wątek i po raz pierwszy jestem znudzony. Zwykle nie jestem, wiesz o tym, Boże, prawda? Słowa pastora są dla mnie ważne, dodają mi energii. Ale nie dziś. Sięgam po Biblię na półeczce przede mną. Otwiera się przypadkowo na mocno zużytej stronie: list do Koryntian 13. *Hymn o Miłości*. Ulubiony rozdział Jenni. I nie tylko jej – wszystkich.

„Miłość nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się raduje z prawdy. Wszystko zakrywa, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko znosi”.

Miłość wszystko znosi.

Podnoszę wzrok. Pastor w białej jedwabnej szacie liturgicznej haftowanej złotem zaczyna modlitwę eucharystyczną. Odświeżony po drzemce i czytaniu, obserwuję z uwagą, jak przystępuje do udzielania komunii. Moja głęboko zakorzeniona miłość do Boga za Jego poświęcenie płonie we mnie, podtrzymuje mnie na duchu i dodaje mi odwagi. Pragnę spożyć ciało i krew Chrystusa. Wchłonąć moją część wieczności.

Kiedy wreszcie przychodzi moja kolej na przyjęcie komunii, ceremoniarz stojący przy końcu mojej ławki zaprasza mnie naprzód. Wchodzę w przejście za Jenni, która odwraca się do mnie i uśmiecha.

Zbyt przyjaźnie, Jenni. Zbyt przyjaźnie.

Spuszczam wzrok i ruszam za nią przyjąć komunię – krok za krokiem w kierunku ołtarza. Za kasztanowymi włosami, za szczupłymi ramionami, krok za krokiem między stallami chóru, który śpiewa psalm i przygląda się nam.

Kiedy w końcu docieramy do ołtarza, Jenni klęka na lewo ode mnie. Klękam obok niej. Przyciskam złączone dłonie do piersi, zamykam oczy i modlę się. Dzięki Ci, Boże, że pozwalasz mi przyjąć ten sakrament. Czuję cię, Jenni, modlącą się obok mnie. Czuję twoją miłość do Boga i rytm twojego oddechu równy z moim. Otwieram oczy, odwracam głowę i patrzę, jak bierzesz opłatek i wolno, z czcią, unosisz go do ust. Czerwonych jak wiśnie.

Po mszy przedzieram się przez tłum wiernych, którzy śmieją się

i gawędzą, ucieszeni z cotygodniowego spotkania. Próbuję się przedostać do wyjścia z kościoła, gdzie mają czekać dzieci. Nagle ty, Jenni, dołączasz do mnie.

- Jak Carly? - pytasz.
- Dziękuję, nie tak źle.
- To nie brzmi zbyt optymistycznie.
- Cóż, muszę być cierpliwy.
- I jak ci idzie?
- To zależy, z której strony na to spojrzysz.
- Co to ma znaczyć, Rob?

Kładziesz mi rękę na ramieniu i przysuwasz się do mnie. Odwróć ode mnie wzrok, Jenni. Dzieci tu są. Pippa i Gospele kręcą się wokół nas i żądają, żebyśmy poszli do domu.

Odwróć ode mnie wzrok, Jenni. I te czerwone jak wiśnie wargi.

Carly

Wstałam i jestem ubrana. Siedzę w fotelu i czuję się lepiej. Lepiej, niż mogłam sobie wyobrazić. Choć mój konsultant, doktor Willis, radzi mi, żebym postępowała ostrożnie.

- Powoli, powoli - mówi do mnie, przeciągając słowa, żeby podkreślić, że to ważne.

Wizyty mojej rodziny są jak płynne złoto. Pippa wciąż bawi wszystkich, udając, że odpowiada za dom, kiedy mnie nie ma. Może wcale nie udaje. Rob mówi mi ze śmiechem, że nasza ośmioletnia córka uważa się teraz za wychowawczynię. Pewnego wieczoru, zanim wrócił z przychodni, Pippa zebrała wszystkie lalki, pluszaki i figurki z całego domu i ustawiła je w rzędach na podłodze w swojej sypialni. Kiedy wszedł, stała przed nimi, groziła im palcem i pouczała je, jak i kiedy mają się dzielić obowiązkami.

- Jak myślisz, co z niej wyrośnie? Potwór czy konsultantka do spraw zarządzania?

- A jaka to różnica? - pytam ze śmiechem, kiedy bierze mnie w ramiona i całuje.

– Carly, nie mogę się doczekać twojego powrotu. Brakuje mi ciebie.

Przez ułamek sekundy widzę po wyrazie jego oczu, że mówi poważnie, ale po krótkiej chwili znów ogarniają mnie wątpliwości.

– Pippa doda mnie do swojej kolekcji, postawi mnie w swoim pokoju i pouczy – mówię żartem, żeby odwrócić uwagę od ciemności, która wciąż wisi nade mną.

– Pippa poucza wszystkich. Ostatnio nawet dyrektorkę swojej szkoły.

– Co jej powiedziała?

Rob marszczy lekko brwi, żeby sobie przypomnieć.

– Że szkoła musi być bezpieczniejsza.

– Jak to?

– Uważa, że jeśli podczas odprowadzania i odbierania dzieci brama jest za długo otwarta, to zerówka może uciec, jeśli zechce.

– Dlaczego ją to martwi? Myślisz, że zastanawiała się nad ucieczką?

– Po prostu do wszystkiego się wtrąca.

– Tylko nie mów: „Jak jej matka”.

– Nie miałem zamiaru!

Ładna przemądrzała z blond lokami i twarzą w kształcie serca. W czasie ostatnich odwiedzin powiedziała mi, że jak nie wrócę do domu na jej urodziny, to pozwie mojego lekarza.

Pozwie mojego lekarza? Gdzie ona się nauczyła tak mówić? W szkole? Z telewizji? Chłopcy się jej boją.

Ilekoć widzę, jak chłopcy idą do mnie przez oddział z kwiatami, czekoladkami, rysunkami szkolnymi i opowieściami o piesku Luke’a i Marka, serce mi pęka. Siadają po obu stronach na łóżku i przytulają się. Przyciągam ich do siebie i przyciskam ich policzki do swoich. Wdycham zapach dziecięcej skóry, nowego życia.

– Jak wrócisz do domu, to też będziemy mogli mieć pieska?

– Przykro mi, chłopcy. Mam alergię na psy.

– Dlatego jesteś w szpitalu?

– Oczywiście, że nie.

– To dlaczego? – pyta Matt.

– Masz taką chorobę jak grypa, tylko w głowie – informuje mnie John. – Tak mówi tata.

– Tata powinien wiedzieć, jest lekarzem – wtrąca się Pippa. – Ma rację, prawda, mamusiu?

– Tata zawsze ma rację.

Pippa staje w swojej wyzywającej pozie – z rękami na biodrach i przechyloną na bok głową.

– Nie przesadzaj. Powiedz prawdę, bo inaczej nigdy nie wydobrzejesz, mamusiu.

Dostaję skurczu żołądka. Tyle prawd. Tyle kwestii. Tyle prywatnych sesji z moim konsultantem w jego gabinecie na końcu korytarza.

Biały szum. Zapach wanilii. Doktor Willis siedzi naprzeciwko mnie. Słucha, słucha i słucha. Kiedy przestaję mówić, znów mnie wypytuje. O Roba. O Craiga. O Jenni. Gąszcz problemów. Uzależnienie od seksu. Od alkoholu. Kwestie zaufania. Kwestie dotyczące Roba i Jenni. Wrednej suki Jenni.

Jenni, Jenni, Jenni. Głęboki oddech. Wymów jej imię jeszcze raz. Jenni. Musisz o niej zapomnieć. Właśnie to doktor Willis i ja ćwiczymy najintensywniej. Zapominanie o Jenni. Leżę na kozetce w jego gabinecie i oddycham. Przy każdym wydechu zapominam o niej. Mam w portfelu jej zdjęcie ze wspólnej wycieczki kilka lat temu. Patrzą na nie codziennie rano i wieczorem. Dobrze mi idzie, doktorze Willis. Obiecuję, że niedługo zapomnę o Jenni.

Jenni

Wszyscy są u mnie na niedzielnym lunchu i wypełniają małe mieszkanie nad sklepem gwarem rozmów i śmiechem. Wszyscy oprócz Craiga.

Jego nie ma na liście gości.

Heather i mój ojciec siedzą przy jednym końcu prowizorycznego stołu z płyty spilśnionej położonej na pustakach, Rob i ja przy drugim. Pippa i Gospele zajmują miejsca

między nami. Nasz piesek Charlie siedzi pod stołem i liże rękę każdego, kto daje mu jakiś smakowity kąsek. Udaję, że tego nie widzę. Nałożyłam swój najlepszy makijaż i Rob pożera mnie wzrokiem, nie spuszcza ze mnie oka, dokądkolwiek idę.

Rolada z piersi indyka w boczku. Ziemniaki po delfinacku. Pieczone ziemniaki i pasternak. Czerwona kapusta. Ratastupa. Sos winny, nie pieczeniowy. Pudding Yorkshire, dobrze wyrośnięty i zapieczony na chrupko. I dla mnie, wegetarianki, suflet z ricottą.

Stół wygląda fantastycznie. Biały lniany obrus z czerwonym szyfonowym bieżnikiem, świece, serwetki i kwiaty. Jak w Boże Narodzenie. Poszłam na całość. Jest wszystko.

Podaję lunch z pomocą Heather i Pippy. Rob kroi. Kiedy talerze są pełne gorącego jedzenia, wznoszę toast.

– Za Pippę i Gospele.

Dzieci wznoszą pucharki z Ribeną, a dorośli bordeaux i robi mi się ciepło na sercu. Siedzimy i jemy w milczeniu. Rob wbija widelec w czerwoną kapustę. Patrzy na mnie i uśmiechamy się do siebie. Często tak jest.

Pippa zostawia swoje jedzenie i przychodzi usiąść na moim kolanie. Głaszcze mnie po policzku.

– Jeśli nasza mamusia nie wróci do domu, będziesz naszą mamą, żebyśmy mogli mieć pieska?

Twarz Roba nieruchomieje. On i Heather wymieniają szybkie spojrzenia.

– Oczywiście, że mamusia wróci do domu – mówi gwałtownie.

Ja uśmiecham się tylko i dalej głaszczę Pippę po głowie.

Carly

Kiedy zapomnę o Jenni, pozwolą mi wrócić do domu. Ale mimo wszystko stale o niej myślę. Jak to mimo wszystko? To wszystko stało się przez nią.

Wstałam, jestem ubrana, siedzę w fotelu i myślę o jej długich brązowych włosach i ciemnych oczach. O jej cienkich kruchych kościach. O jej dobroci. O jej śmiechu. Ona jest moją przyjaciółką,

nie wrogiem. Przyjaciółką. Zawsze była tylko tym. Nikim więcej. Nikim mniej. Nawet dla Roba. Rob i Jenni. To nie istnieje. Nigdy nie istniało. Doktor Willis pomaga mi przeprogramować mój umysł, żebym to zaakceptowała. Służą temu ćwiczenia oddechowe i terapia mówiona. Poradniki i podwójne dawki prozacu.

Siedzę w fotelu w bezbarwnym, pozbawionym minimum wygód pokoju szpitalnym i widzę przed sobą obraz. Rob przyjeżdża do przychodni na poranny dyżur w jasnoszarym garniturze, który pomogłam mu wybrać na wyprzedzaży. Przechodzi obok recepcji, gdzie Jenni odbiera telefon. Macha do niego prawą ręką, kiedy ją mija. Rob odpowiada jej skinieniem głowy. I to wszystko. Żadnego kontaktu wzrokowego. Żadnego wydęcia warg. Żadnych przeciągłych spojrzeń. Po prostu mężczyzna w drodze do pracy i jego recepcjonistka. Jenni i Rob. Przyjaciele. Nic więcej. Nic mniej.

Obraz nie znika. Jenni kończy rozmowę telefoniczną i wstaje z krzesła. Wygląda spódnice i przeczesuje włosy palcami. Bierze torebkę, wychodzi z recepcji i idzie do toalety dla personelu, gdzie poprawia makijaż. Kredka do oczu Kohl i błyszczczyk do ust, dobry dla nastolatki. Jesteś na to za stara, Jenni. Czesze włosy, aż zaczynają lśnić jak kasztan. Potem spryskuje perfumami wszystkie miejsca pulsu i kręci głową przed lustrem jak modelka w reklamie szamponu. Co ty robisz, Jenni, wredna suko?

– Patrz na mnie, Carly, patrz. Pokażę ci. Tak jak ty i Craig pokazaliście mnie.

Wchodzi do gabinetu lekarskiego Roba i zamyka drzwi na klucz. Rob rozpromienia się na jej widok. Całują się namiętnie szeroko otwartymi ustami, gwałtownie, jakby chcieli się pożreć nawzajem, i gorączkowo rozbierają jedno drugie. Wyglądają, jakby byli na haju. Rob zdiera bluzkę z Jenni. Ona popycha go na fotel lekarski i kuca przed nim. Jej kasztanowe włosy rozsypują się na jego udach. Zawsze to samo, Jenni? Nie umiesz wymyślić nic innego? Rob głaszcze ją po głowie, kiedy dochodzi. Jego czułość przyprawia mnie o mdłości.

Zamykam oczy tak mocno, że dociskam je do czaszki. Muszę się pozbyć ich obrazu. Muszę. Muszę sprawić, że zniknie. To

wyobrażnia. Nie rzeczywistość. To się nie dzieje naprawdę. Mimo że jest takie wyraźne, wiem, że to się nie dzieje.

Wstaję i otwieram oczy. Jenni i Rob znikają. Cisza pokoju szpitalnego przywiera do mnie, przepływa przez umysł i uspokaja mnie. Sięgam po torebkę i idę do łazienki. Wchodzę, rygluję drzwi i siadam na skąpanym w żółtym świetle sedesie. Grzebię w torebce i znajduję portfel. Drżącymi palcami wyciągam zdjęcie Jenni z bocznej przegródki. Patrzą na fotografię i cofam się do dnia, kiedy została zrobiona. Obie byłyśmy wtedy w zaawansowanej ciąży, nosiłyśmy w sobie naszych pierwszych synów, pierwszą połowę Gospeli. Spędzałyśmy dzień na plaży z Pippą, huštałyśmy ją między nami. Ilekroć podrywałyśmy ją z piasku, odrzucała głowę do tyłu i ryczała jak lew. Pippa zawsze cię lubiła, Jenni.

Pamiętasz?

Jenni, nie pozwolę, żeby potwór, jakim się stałaś w mojej głowie, nie dawał mi spokoju. Ręce trzęsą mi się coraz bardziej, kiedy szukam w torebce zapalek, które znalazłam w sali telewizyjnej w zeszłym tygodniu. Zapalam jedną i przytykam płomień do rogu zdjęcia. Zajmuje się, ale nie poddaje. Pomarańczowa krawędź zwija się wolno, ogień trawi twoją twarz i zamienia ją w popiół.

Rob

Jenni i ja siedzimy razem w kościele w pierwszym rzędzie, pastor mówi do nas z ambony. Mam ochotę wziąć Jenni za rękę, ale mi nie wolno. Myślę o bladej, mizernej twarzy Carly i zaciskam pięść. Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz cudzołożył.

Carly zrobiła to pierwsza.

Po kościele idziemy spacerkiem wzdłuż rzeki, Jenni i ja, Pippa i Gospeli. Pogodny jesienny dzień, woda to kalejdoskop srebra i szarości. Przepływa obok wierzb i buków, których spieczonym słońcem liście złocą się, kruszeją, zwijają i spadają gęsto jak pierwszy śnieg. Dzieci są daleko z przodu. Rowery i hulajnogi.

Okrzyki i śmiechy. W drodze do herbaciarni przy moście. Tym razem nie mogę się powstrzymać. Biorę Jenni za rękę i przyciągam do siebie. Czerwone jak wiśnie wargi przywierają do moich.

Rob

Doktor Willis chciał się ze mną zobaczyć. O dogodnej dla niego porze. Musiałem zapłacić, żeby ktoś zastąpił mnie w przychodni, dlatego jestem poirytowany, że Willis się spóźnia. Pewnie chodzi też o moją dumę osobistą. Jego czas jest najwyraźniej ważniejszy niż mój.

Wreszcie raczył się zjawić i pielęgniarka w pasiastym uniformie prowadzi mnie do jego gabinetu w szpitalu Publicznej Służby Zdrowia. Puka do drzwi w moim imieniu. Dociera do nas przytłumione: „Proszę”.

Pielęgniarka otwiera drzwi, ale tylko ja wchodzę do środka. Ona wraca korytarzem, zostawiając w powietrzu delikatny zapach perfum.

– Bardzo przepraszam, że kazałem panu czekać – mówi na mój widok Willis ze znużonym uśmiechem.

– Nic nie szkodzi – odpowiadam czarująco.

Czasami moja hipokryzja mnie martwi. Na pewno wkurzała Carly.

Carly. To o niej mamy rozmawiać. Dostaję skurczu żołądka.

– Niech pan siada – zaprasza doktor Willis, wskazując sfatygowane skandynawskie krzesło z lat sześćdziesiątych na wprost jego biurka.

Zapadam się w nie.

Po co chciał się ze mną widzieć? Co zamierza mi powiedzieć?

Patrzy na mnie brązowymi oczami, tak małymi, że wyglądają jak orzechy laskowe. Przypomina mi trochę Paula Hogana w *Krokodylu Dundee* i zawsze nosi te dziwne kowbojki z krokodylowej skóry. Ma opaloną, pomarszczoną twarz i tę nieszczęsną zaczeskę. Wyciąga się na krzesło i splata ramiona.

Słyszę daleki huk samolotu. Syrenę karetki pogotowia. Ktoś pogwizduje na korytarzu. Doktor Willis przełyka. Obserwuję, jak jego jabłko Adama wznosi się i opada. Wyprostowuje plecy.

– Jak pan wie, choroba pańskiej żony to bardzo skomplikowany przypadek – zaczyna. – Depresja, niskie poczucie własnej wartości, alkoholizm – urywa, żeby wziąć oddech – paranoja i uzależnienie od seksu.

Jego słowa mnie dołują. Wiem, że mówi prawdę. Mimo to denerwuje mnie ten beznamiętny opis. Nie ma w nim miejsca dla kobiety, w której się zakochałem. Nie ma miejsca na radość, życie, miłość.

Pochyliła się do przodu i wlepia we mnie wiewiórcze oczy.

– Właśnie o uzależnieniu od seksu chcę porozmawiać. Co pan zauważył?

– Zorientowałem się, że sypiała z naszym bliskim przyjacielem, i było to dla mnie bardzo trudne.

Kiwa głową.

– No cóż. Uważam, że pozamałżeński romans był objawem jej choroby, Rob. Radziłbym nie poruszać z nią tego tematu. Obawiam się, że to by jej uniemożliwiło powrót do zdrowia. Akceptowanie jej jest najważniejsze. Najważniejsze.

Siedzę i patrzę na niego.

Przygląda mi się paciorkowatymi oczami jak surowy nauczyciel. Chce, żebym się znów poczuł jak w szkole. Wyciągam się na krzesło, żeby się odsunąć od niego.

– Dziękuję za pomoc. Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę ją do domu.

Gdy tylko wyrażam mu wdzięczność, nadyma się jak paw.

Carly, jak to możliwe, że ten arogancki skurwiel tak ci pomógł, skoro ja nie potrafiłem? Co on ma takiego, czego brakuje mnie?

Carly

Reżim przyjmowania leków mam ustalony i doktor Willis chce, żebym wróciła już do normalnego życia – całkowicie i jak

najprędzej – mimo wpadki, kiedy włączyłam w szpitalu alarm przeciwpożarowy. Za pół roku mam całkowicie odstawić leki.

Dojście do tego momentu nie było łatwe. Tkwiłam w ciemności i myślałam, że nigdy się z niej nie wydostanę. Podobno każdy, kto zdrowieje, jest w pewnej chwili tak zdołowany, że odtąd wie, że musi się z tego wyciągnąć. Jak opisać komuś otchłań, strach, w którym żyłam? Pokonywałam niekończący się ciemny tunel, a potem po miesiącach przyjmowania leków i terapii zobaczyłam przed sobą światło. Przyciągało mnie do normalności i czasami byłam w stanie pośmiać się z Robem, porozmawiać z matką i przejmować się tym, co ona mówi. Cieszyć się sobą.

Zaczynam przebaczać Jenni. Nie, żeby coś zrobiła. Nie mam czego przebaczać. To wszystko były paranoiczne podejrzenia. Katastrofizowałam, jak nazywa to konsultant doktor Willis, na temat jej wpływu na Roba. A teraz wydostałam się z ciemności, która mnie wchłaniała, i znów jestem jej przyjaciółką. Chcę jej pomagać i chronić ją jak kiedyś. Jak wszyscy.

Jenni odwiedzała mnie tu co tydzień w ramach procesu zdrowienia. Miło z jej strony, że znajdowała dla mnie czas. Ale w końcu ja robiłabym dla niej to samo. Siedzimy teraz razem w oddziałowej sali telewizyjnej z widokiem na parking i pielęgniarka przynosi nam letnią wodnistą herbatę w niebieskich kubkach Publicznej Służby Zdrowia. Kiedy Jenni przysła pierwszy raz, siedziałyśmy, piłyśmy herbatę i uśmiechałyśmy się do siebie co jakiś czas. Miała wycieniowaną na boki grzywkę, a resztę włosów długą i lekko podkręconą na końcu – coś pomiędzy Sandie Shaw u szczytu sławy a egipską księżniczką. Śliwkowy lakier na paznokciach lśnił w świetle wpadającym przez szpary między listewkami żaluzji. Była bez makijażu, bo przy jej gładkiej cerze nie potrzebowała go. Kiedy na nią spojrzałam, zrobiłam głośny wydech. Nie zamierzałam dużo mówić. Gdy wychodziła, ścisnęła moją rękę i powiedziała, że miło było mnie zobaczyć.

Odwiedzała mnie dalej. Powoli, stopniowo, na przestrzeni tygodni zaczęłyśmy gawędzić. Znów się roześmiałam, kiedy nazwała naszych chłopców Gospelami. Zmartwiłam się, gdy mi

powiedziała, jaki samotny jest jej ojciec. Któregoś dnia pogłaskałam jej piękne włosy. Czekoladowy jedwab pachnący miodem. Moja przyjaciółka wróciła taka, jaka chyba zawsze była. Kochająca i wspierająca mnie.

A teraz siedzę w pokoju obok łóżka bez pościeli, pakuję walizkę i słucham charakterystycznego stukotu butów doktora Willisa, który idzie do mnie przez oddział. Nawet odgłos jego kroków brzmi znajomo. Doktor Willis nosi muszkę, tacy ludzie zawsze wydają się bardzo pewni siebie i raczej mnie męczą. Przyciąga krzesło z sąsiedniego pokoju, siada przy mnie i pochyla się nisko. Entuzjastyczny uśmiech. Zęby aligatora.

– No cóż, Carly, nareszcie. Jesteś gotowa?

– Mam nadzieję.

– To niezbyt optymistyczne.

Opiera się wygodnie, splata ramiona i wyciąga nogi.

– Właściwie trochę się boję. Boję się, że znów w coś wpadnę.

– Nie wpadniesz.

– Skąd ta pewność?

– Przerabialiśmy to mnóstwo razy. Teraz, kiedy już przeszłaś kryzys, ty i Rob będziecie dużo bardziej świadomi sygnałów ostrzegawczych. I nadal możesz się ze mną spotkać w razie potrzeby, żeby rozgryźć wszelkie problemy.

Sięga do końca łóżka, wyrywa moją kartę z klipsa i podpisuje wyjście.

Carly

W samochodzie z Robem w drodze do domu. Świat przesuwa się obok jak film na kinowym ekranie, każdy szczegół jest wyostrzony i powiększony. Deszcz siecze kałuże na ulicy. Dym z rury wydechowej auta przed nami unosi się jak namalowany na płótnie obłok. Niezgrabne domy z czerwonej cegły na głównej ulicy Stansfield przesuwiają się obok mnie. Blok mieszkalny. Sklep rybny. Ściśnięta przychodnia, bez miejsca na rozbudowę.

Patrzę na Roba. Siedzi z jedną ręką na kierownicy, a drugą na udzie, kiedy czekamy na światłach. Wydaje się nieobecny. Nie wiem, jak się do niego odezwać. O co go zapytać. Więc milczymy, gdy skręcamy w lewo, a potem w prawo i parkujemy na naszym podjeździe.

Udaje nam się wejść do środka, zanim otoczy nas komitet powitalny. Nasz dom wydaje się taki luksusowy i wygodny po szpitalu. Dziś wybaczę wszystko architektom z lat trzydziestych. Wkraczam do salonu jak księżna do pałacu. Balony i chorągiewki. Różowe i zielone. Matt przywiera do moich nóg i trzyma mnie tak mocno, że nie mogę się ruszyć. John też. Dwóch synów z zaniechanymi blond lokami. Tak słodkich, że można by ich zjeść. Moja matka ze łzami w oczach przytula się do mnie nad chłopcami. Mogą mnie obejmować i całować jak długo chcą. Nigdy nie mam tego dość.

Pippa wydaje się wyższa i ładniejsza niż przedtem, gdy wnosi do salonu tort z lukrowym napisem: „Witaj w domu, Mamusiu”, w kolorach pasujących do pokoju. Tort jest tak duży, że ledwo go trzyma w wyciągniętych rękach. Skupiona, przygryza wargę, kiedy podchodzi z nim wolno do stolika kawowego. Stawia go z hałasem.

– Zobacz, co tatuś i ja zrobiliśmy, mamusiu. Nie zdążyłaś wrócić

do domu na moje urodziny, postanowiłam więc, że zjemy tort dzisiaj.

Sami w naszej sypialni w niecierpliwym wyczekiwaniu. Rob podchodzi do mnie.

– Zmęczona? – pyta.

Kręcę głową i zaczynam się rozbierać. Pomaga mi, rozpina biustonosz i całuje mnie. Nieśmiało, na próbę, jakby zapomniał, jak smakuję. Mięknę i zaczyna być spragniony, pożądlivy. Ściąga ze mnie ubranie, pcha mnie w kierunku łóżka, rozwiera mi nogi kolanem i całuje z języczkiem. Oboje jesteśmy nadzy. Liże moje piersi, drażni palcami łechtaczkę. Ogarnia mnie podniecenie. Jego język mnie rozpala. Jego palce są wszędzie i nigdzie. Nie wiem gdzie. Wchodzi we mnie i szczytuję. Tak gwałtownie, że aż boli. Zanim dochodzę do finału, dołącza do mnie, pchając mocno i jęcząc.

Kończymy i leżymy, spleceni. Lepcy i pachnący seksem.

– Dziękuję ci – szepczę i zapadam w niespokojny sen.

Noc jest długa i odświeżająca. Ilekroć się budzę, rozkoszuję się tym, że jestem w ramionach Roba. Wygodą mojego własnego łóżka. Wilgocią między nogami. Znajome kształty wyłaniają się z półmroku: toaletka, szafa na ubrania. Moja rodzina żyje i oddycha wokół mnie.

W końcu poranek zagląda zza brzegów zasłon. Odrzucam kołdrę i wstaję z łóżka. Tyle roboty. Nie ma czasu do stracenia. Jestem w euforii. Wszystko wokół elektryzuje mnie, prysznic kłuje skórę, kiedy się myję. Wyglądam przez okno sypialni i widzę, jak słońce przebija ostro przez krzewy w ogrodzie. Sypialnia jest jasna i piękna, każde zdjęcie na toalecie wzruszające, każda ozdoba bezcenna. Co z tobą, kobieto? Wzięłaś coś? Matka robi mi śniadanie: jajecznicę na toście. Pycha. Zasługuje na gwiazdkę Micheline. Jem i patrzę, jak Pippa, Matt i John pochłaniają płatki Frosties, mam ochotę wziąć ich w ramiona i nigdy nie puścić. Co się ze mną stało? Dlaczego przestałam to doceniać?

Carly

Moja matka zabiera dzieci do szkoły, a ja skręcam za róg do przychodni, trzymając Roba za rękę. Nie chce, żebym już zaczęła pracować. Woli, żebym przystosowała się powoli. Ale się uparłam. Po dwóch tygodniach w domu, mimo poszpitalnej euforii, boję się marazmu. Czuję gorącą dłoń Roba w mojej, gdy mijamy sklepy charytatywne, aptekę i chińską restaurację. Wreszcie przychodnia Riverside Surgery wyrasta przez nami. Wygląda na lepiej utrzymaną niż przedtem. Nawet cegły są czyste, a rośliny w ogródku od frontu bardziej egzotyczne. Wchodzimy do recepcji i Rob puszcza moją rękę. Na mój widok Sharon podbiega, natychmiast mnie przytula i podnosi na duchu swoją życzliwością i tuszą. Pachnie fiołkami i lawendą.

Po powitaniach i życzeniach wszystkiego dobrego idę korytarzem do gabinetu. Zastaję wszystko tak, jak zostawiłam, z wyjątkiem powitalnego bukietu świeżych kwiatów w wazonie z rżniętego szkła, który stoi obok autoklawu. Krzesło przy oknie, gdzie siadają pacjenci do zastrzyków, wciąż potrzebuje nowego obicia. Lodówka nadal buczy, jakby zaraz miała wysiąść. Półkę z czasopismami i książkami medycznymi trzeba odkurzyć.

Pukanie do drzwi. Klamka się obraca i ty, Jenni, chuda i żylasta jak chart, wypełniasz pokój swoimi oczami.

– Witaj z powrotem – mówisz.

– Dzięki – mruczę. – Dzięki. Udało mi się z tego wyjść.

Moje słowa zawisają w powietrzu między nami. Waham się, potem mówię dalej:

– Chcę cię przeprosić, Jenni. Za moje zachowanie w związku z twoją pracą tutaj.

Gładzisz mnie po ramieniu palcami ze śliwkowym lakierem na paznokciach. Spojrzenie twoich cielących oczu łagodnieje, gdy podchodzisz do mnie.

– Wiem, że tak nie myślałaś. Źle się czułaś.

Czuję od ciebie zapach miodu i olejku paczulowego. Czuję twoją

słabość i bezbronność.

– To musiało być dla ciebie bardzo przykre.

Kręcisz głową i twoje lśniące włosy falują jak powierzchnia morza w łagodnej letniej bryzie.

– Przykry był niepokój o ciebie – odpowiadasz powoli głębokim, dźwięcznym głosem.

Robię powolny, pełny wydech.

– I bardzo ci dziękuję, Jenni.

Coś jest nie tak z moim oddechem. Nie jestem pewna, czy robię wdechy, czy wydechy, czy pobieram tlen przez osmozę.

– Za wszystko, co robiłaś, kiedy byłam w szpitalu – wyrzucam z siebie szybko potok słów.

Obracasz srebrny pierścionek-czaszkę na palcu i patrzysz na mnie tymi swoimi oczami.

– Robiłam to z przyjemnością – mówisz jeszcze głębszym głosem.

Wdech, otwórz klatkę piersiową. Wydech, przyj, przyj, przyj. Otaczam ręką twoje chude ramiona.

– Zjemy razem kanapkę po drugiej stronie ulicy? – pytam.

Dzień mija. Pacjent za pacjentem. Przyzwyczajam się z powrotem do słuchania. Zapomniałam, ile cierpliwości to wymaga. Żadnej przerwy na kawę. Nie mogę się doczekać pory lunchu, tak jak kiedyś.

Czekasz na mnie w holu, Jenni, w swoim ulubionym zamszowym płaszczu, który Craig kupił ci w zeszłym roku. Wychodzimy z przychodni, bierzesz mnie pod rękę i śmiejemy się jak kiedyś. Ścieśniamy się, żeby zrobić miejsce parze, która siada obok nas. W tle słychać syk ekspresu do kawy. Zamawiam kanapkę z żytniego pieczywa z wędzonym łososiem, a ty z ciemnego z jajkiem i majonezem.

– Co u Craiga? – pytam.

Mimo że upłynęło tyle czasu, pochmurniejesz i twoje czekoladowe oczy ciemnieją. Nie odpowiadasz.

W przychodni muszę przetrwać popołudnie z dziećmi.

Pulchnymi, z dołeczkami i skórą jak jedwab. Długonogimi i długorękami chudzielcami. Przesadnie zaniepokojonymi matkami, które zadają mi skomplikowane pytania na temat metabolizmu i siatek centylowych wagi i wzrostu.

Kończę zmianę, zamykam dyżurkę pielęgniarek i idę na parking. Uwalniam matkę od odbioru dzieci ze szkoły. Tak długo się nimi zajmowała, że potrzebuje przerwy.

Z trudem ustawiam volvo na ciasnym parkingu podstawówki, do której chodzą moje dzieci. Idę z podniesioną głową, stukając obcasami, do bramy szkoły. Odbiór w szkolnej bramie. Bezsensowne rozmowy i towarzyskie pogawędki. Przepychanki o miejsce. Przechwałki. Zawsze zostawiałam to mojej matce, nie miałam na to siły. Ale jest zmęczona, a to mój obowiązek. Dasz radę, Carly. Dasz radę. Matka twierdzi, że te kobiety są bardzo miłe. Mówi o nich bez przerwy. Ale dla mnie to mafia spod szkolnej bramy. Kobiety bez sukcesów zawodowych, które sprawdzają się jako idealne matki. Mapy nieba i domowe kolacje. Rozmowy, śpiewy i gry z dziećmi. Edukacyjne i zmuszające do rywalizacji. Legolandowe matki. Thorpe Park i Chessington World of Adventures to nie dla nich. Słyszę ich irytujące głosy wszędzie w Stansfield. W poczekalni w przychodni i w supermarkecie. Takie kobiety jak ja trzymają się od nich z daleka.

Stoją w grupie na prawo ode mnie. Ignoruję je i obserwuję przez okno klasy, jak dyrektorka szkoły czyta dzieciom jakieś opowiadanie, zanim pójdą do domu. Siedzą przed nią półkolem po turecku, mają szeroko otwarte oczy i słuchają. Oprócz dwóch chłopców z tyłu, którzy walczą na pięści i chichoczą. Głosy młodych, atrakcyjnych, bogatych mamus docierają do mnie. Myślałam, że rozmawiają o swoich dzieciach, o wynikach ich ostatniego sprawdzianu ortograficznego lub umiejętności czytania ponad ich wiek. Ale nie. Głównym tematem są randki internetowe i problem, czy wolałyby randkę w ciemno z Mattem Damonem, Hugh Jackmanem, czy Matthew McConaugheyem.

- A z Harrym Stilesem? – pyta jedna, chichocząc.
- Albo z Jeremym Paxmanem?
- A z Borisem Johnsonem?

Wszystkie wybuchają śmiechem jak nastolatki w okresie burzy hormonów.

Może powinnam się wtrącić i zasugerować Benedicta Cumberbatcha albo Martina Freemana.

Carly, dasz radę. Dasz radę.

Jenni

Wróciłaś, Carly. Wróciłaś ze szpitala do domu. Do pracy. Przygaszona i dużo chudsza, twoje niegdyś obfite piersi zmalały do rozmiaru moich. Czujesz się na tyle dobrze, że przysłałaś na coroczną firmową imprezę na statku z dyskoteką na rzece, która przepływa przez Stansfield. Zapytałam, dlaczego organizują to w zimie. Najwyraźniej jest taniej, można więc zaprosić wszystkich z przychodni. Coroczny rytuał. Obecność obowiązkowa.

Stoję w sali restauracyjnej na statku, gdzie pachnie stęchlizną. Popijam taniego szampana i jest mi chłodno. Szampan jest tak słodki, że może zaszkodzić zębom. Dwa małe łyki i odstawiam go. Obserwuję ciebie i Roba ponad ramieniem jednego z naszych nowych internistów, który zachwala modernizację systemu komputerowego, jaką proponuje zrobić w naszej przychodni. Słowa młodego lekarza zlewają się razem, odległe i nieistotne, gdy Rob nachyla się do ciebie i szepcze ci coś do ucha. Chichoczesz, odsłaniając zęby. Dziewczęco. Ładnie. Rob jest pozornie zaabsorbowany tobą, ale od czasu do czasu zerka na mnie.

Silnik statku nabiera obrotów, gdy kierujemy się w stronę środka rzeki, woda marszczy się i wiruje pod pędnikiem dziobowym. Jest już ciemno, tylko sierp księżycy świeci na niebie. Patrę przez duże okno widokowe restauracji i widzę, jak latarnie uliczne wzdłuż brzegu przebijają ciemność. Rzeka jest najciemniejszą częścią krajobrazu, ale tu i tam odbijają się w niej lampki choinkowe wokół okien statku, latarnie uliczne i księżyc. A woda jest jak wysadzana klejnotami.

Przepraszam rozmawiających o RAM-ie i megabajtach,

zostawiam ich i podchodzę bliżej do okna. Plusk wody od dziobu płynącego statku jest bardziej relaksujący niż natarczywy głos zbyt pewnego siebie nowego lekarza. Zaczyna się dyskoteka, basy zagłuszają wszystko. Plusk wody. Głos przesadnie poważnego lekarza. Z dudnieniem muzyki w uszach idę do baru.

Ustawia się kolejka po drinki. Moi koledzy i koleżanki z przychodni przepychają się i gawędzą wokół mnie. Barman, młody facet z kolczykiem w nosie i wymyślnym tatuażem na szyi, ledwo się wyrabia. Nalewaki do piwa działają wolno.

Ktoś klepie mnie po ramieniu. Czuję gorący oddech w uchu.

– Zostaw to nam. Idź i zajmij jakiś stolik.

Rob. Jego głos poznałabym wszędzie. Odwracam się i widzę go pod rękę z tobą, Carly. Uśmiecha się do mnie oczami.

– Co ci wziąć? – pyta.

– Poproszę gazowaną wodę mineralną.

– Tak ostro? – pyta i śmieje się.

Rob może się śmiać do woli. Przynajmniej nie jestem taka jak jego żona. Idę i znajduję stolik tuż przy parkiecie. Siadam i patrzę, jak kilka osób zaczyna tańczyć. Po jakichś dwudziestu minutach dołączacie do mnie z kolejką drinków. Muzyka jest za głośna, żeby rozmawiać swobodnie, więc przez chwilę tylko pijemy i przyglądamy się, jak coraz więcej ludzi wchodzi na parkiet. Abba. The Jackson Five. Stevie Wonder. The O'Jays. Obserwuję cię, Carly. Bierzesz haust swojego czerwonego wina. Znowu Abba. *Dancing Queen*. Twój ulubiony utwór. Wstajesz.

– Chodź, Rob.

Idziecie na parkiet za ręce. Jesteś gibka po chorobie, kołyszysz biodrami, kiedy idziesz. Gdy tylko zajmujecie puste miejsce na parkiecie, muzyka zmienia się na wolną. Rob obejmuje cię i przyciąga do siebie. Spłeceni uściskiem, poruszacie się powoli. Kiedy zaczynają grać Freaks, wracacie z parkietu do stolika. Natychmiast sięgasz po kieliszek i wychylasz go na stojąco.

– Przyniosę następną kolejkę. Dla ciebie to samo, Jenni? – pytasz.

– Teraz ja pójdę.

– Nie ma mowy. Bardzo pomagałaś, kiedy mnie nie było.

Lekkie, nonszalanckie stwierdzenie – jakbyś była na wakacjach, a nie w szpitalu.

– W takim razie, dziękuję – odpowiadam. – Tym razem poproszę małe białe wino.

– A ty, Rob? – pytasz.

– Nic, dziękuję.

Marszczysz brwi z niezadowoleniem.

– Co to za lekarz, który nie chce pić na przyjęciu swojej przychodni? – pytasz z przechyloną na bok głową i szeroko otwartymi oczami.

Więc nie chcesz się nawalić sama. Nigdy się tym nie przejmowałaś. Czy to oznacza zmianę twojego zachowania na lepsze?

– Lekarz, który ma jutro masę pracy – odpowiada ci zdecydowanie Rob.

Podchodzisz do niego, pochylasz się i całujesz go. Wolno i długo, czego nie mam ochoty oglądać. Czy tak całowałaś Craiga? Zostawiasz Roba, odwracasz się i posyłasz mi lekki uśmiech. Cień uśmiechu. Potem bierzesz kieliszki i kołyszac biodrami, odchodzisz do baru.

Nareszcie sami. Rob zmienia krzesło, przysiada się do mnie. Nachyla się do mnie tak blisko, że prawie czuję smak jego oddechu.

– Jak idzie? – pytam.

– Nieźle, ale jest bardzo wrażliwa.

Mnie wydaje się tak samo nieczuła jak zawsze.

– W jakim sensie? – pytam.

Wznosi swoje zielone oczy ku niebu.

– W każdym.

– Więc wolny taniec ze mną załamałby ją?

Nie podoba mu się to. Sztywnieje jak porażony prądem. Jego zielone oczy ciemnieją.

– Jasne, że tak.

– Tylko żartowałam.

– To nie jest zabawne.

– A więc innym razem? – pytam, przeczesuję ręką włosy i

patrzę mu w oczy.

I widzę wyraz, jakiego jeszcze nie widziałam. Błysk strachu, który natychmiast znika.

Rob przynosi wzrok ze mnie na ciebie, Carly. Obserwuje, jak podchodzisz do baru. Nie ma już tłoku i zostajesz szybko obsłużona.

Muzyka dudni w uszach i głowa zaczyna mnie boleć. Przyglądam ci się. Wracasz, trzymając w wyciągniętych palcach nasze drinki. Rob rzuca ci się na pomoc i uwalnia cię od dużego piwa dla niego. Mimo że schudłaś, nadal masz krągłości. I ciepłe spojrzenie, i uśmiech. Mężczyznom to się podoba. Nie lubię myśleć o tym, że jesteś atrakcyjna. I nie lubię myśleć o Craigu.

Stawiasz przede mną mały kieliszek chardonnay.

Uśmiecham się słabo.

– Dziękuję.

Siadasz i zaczynasz żłopać wino z dużego kieliszka. Rob siedzi teraz po drugiej stronie stołu, obok ciebie, daleko ode mnie. Sącę powoli wino, ignoruję was i tańczących i obserwuję przez okno mijany brzeg rzeki. Kończę wino, wstaję i ruszam naprzód niepewnie, jakbym chciała dokądś pójść, ale nie mogła. Przykładam rękę do głowy. Rob zrywa się z miejsca.

– Co się stało? – pyta.

– Słabo mi.

– Usiądź. Włóż głowę między kolana.

Robię to. Pochyla się nade mną i opasuje mnie ramieniem. Zapach wilgotnej podłogi wypełnia mi nozdrza. Odór jest bardzo silny. Statek musiał być kiedyś zalany wodą i zostawiony, żeby zgnił.

– Niedobrze mi – mamrocę. – Muszę iść do toalety.

Mam odruch wymiotny, gdy kuśtykam do łazienki, i odpędzam was, bo nie chcę, żebyście szli ze mną. W toalecie daję nura do kabiny i rygluję drzwi. Wkładam palce do gardła i wymiotuję. Kładę się na podłodze, wyciągam rękę na zewnątrz pod podniesionymi drzwiami i zamykam oczy.

Czas mija. Zасыpiam i budzę się. W końcu ktoś ciągnie mnie za ramię i szarpie drzwi kabiny. To ty, Carly. I Rob. Słyszę wasze

głosy.

– Jenni, ocknij się, proszę.

– Musisz wstać i otworzyć drzwi.

– Czuję się strasznie – odpowiadam. – Nie mogę się ruszyć. Nie mogę się skoncentrować.

– Proszę, Jenni, spróbuj – błaga Rob.

Podnoszę się powoli. Gmeram przy zamku. Otwieram drzwi i wpadam w ramiona Roba. Stoisz obok niego, Carly, i patrzysz na mnie z niepokojem.

– Carly, idź poszukać kapitana – mówi Rob. – Użyj swojego uroku i nakłoń go, żeby trochę przyspieszył. Musimy jak najszybciej odstawić Jenni na brzeg.

Wybiegasz z łazienki, żeby wykonać polecenie Roba. Znalezienie załogi i rozmowa z nimi zajmie ci trochę czasu. Trzymam się kurczowo Roba, jakbym nigdy miała go nie puścić. Wyprowadza mnie po schodach na pokład. Jest zimno, a ja nie mam na sobie płaszcz. Rob okrywa mi ramiona swoją marynarką i przytula mnie mocno, żeby było mi ciepło. Stoimy przez chwilę w objęciach, wiatr od rzeki smaga nam twarze. Rob wypatruje cię zmrużonymi oczami, Carly, ale nie wracasz. Kiedy cię zobaczy, puści mnie natychmiast, jakbym go parzyła. Ale na razie nie ma cię tutaj i mam twojego męża dla siebie.

– Miejmy nadzieję, że świeże powietrze dobrze ci zrobi – mówi.

Chichoczę.

– Moja matka zawsze tak mówiła. I miała rację. Już czuję się trochę lepiej.

– Co się stało, Jenni? – pyta Rob. – To niepodobne do ciebie, nigdy nie piłaś za dużo.

– Carly musiała mi coś dodać do drinka. Pamiętasz, wypiął tylko jeden kieliszek wina, ten, który mi przyniosła?

Odwracam się do niego i po raz drugi tego dnia widzę strach w jego zielonych oczach.

Carly

Mam wolny dzień i śledzę cię, Jenni, żeby zobaczyć, co kombinujesz. Wzięłaś dzień chorobowego, bo podobno dodałam ci coś do drinka. A niby co miałam ci dodać? Jesteś tak chuda, że nie możesz pić. Po prostu się nawaliłaś.

Odwozisz dzieci do przedszkola. Parkujesz samochód na St. Agnes Road i odprowadzasz je za róg. Trzymasz je za ręce, śmiejesz się i gawędzisz z nimi. Wyglądasz na idealną matkę, ale ja znam prawdę. Jesteś kłamczuchą, Jenni. Zostawiasz dzieci, rozmawiasz przez chwilę z innymi matkami i śmiejesz się, odrzucając głowę do tyłu.

Jedziesz do kościoła Świętej Marii. Rzeka jest dziś wezbrana. Szara wzburzona woda liże mur kościoła. Parkujesz daleko od niego i rzeki. Ja jeszcze dalej i idę za tobą w dużej odległości. Otwierasz furtkę na dziedziniec i idziesz kamienną ścieżką obok cisu, cedru i buka. Rozrosły się przez lata. Pociągasz ciężkie, skrzypiące drzwi kościoła. Siadasz w pierwszym rzędzie ławek i schylasz głowę. Modlisz się. Nie widzisz mnie, bo stoję w cieniu chrzcielnicy i duszę się zapachem stęchłego kadzidła. Odurzające powietrze w kościele utrudnia mi oddychanie. Wyobrażam sobie twoje modlitwy – samolubne i czołobitne. Za twoją rodzinę i dzieci, nie za świat. W końcu wstajesz, robisz skłon w kierunku ołtarza i żegnasz się. Idziesz wolno przejściem, stukając obcasami w granit. Kiedy znikasz, wychodzę z cienia za chrzcielnicą do głównej nawy kościoła. Dochodzę przejściem w półświatle do drzwi, jasność dnia razi mnie w oczy i mrugam.

Odbierasz dzieci z przedszkola. Tym razem jest mniej pogawędek i śmiechów, bo wszystkie matki w pośpiechu zabierają swoje blade pociechy do domu na lunch. Z wyjątkiem ciebie, bo jesteś za leniwa, żeby zrobić lunch. Jedziesz do tej dziwacznej restauracji przy moście, gdzie jest tylko ser halloumi, ciecierzycyca i falafel. Zmuszasz swoich chłopców do jedzenia tego, czego dzieciaki nie lubią.

Potem park zabaw. Ten przy torach kolejowych, gdzie jest spiralna zjeżdżalnia. Nie pilnujesz dzieci. Siedzisz na ławce przy

wyjściu z odchyloną do tyłu głową i opalasz się, a gdy Luke przewraca się i płacze, to Mark musi go uspokajać.

Wracasz do domu. Parkuję na wprost u wylotu bocznej ulicy i obserwuję cię, Jenni. Długo to trwa. Prawie zasypiam, powieki i ramiona mi opadają, umysł się wyłącza i zapadam w słodką nieświadomość. Nagle widzę ruch. Twoje drzwi frontowe się otwierają. Wystawiasz śmieci na ulicę, żeby jutro je zabrali. Przyciskasz dwa worki do ściany na chodniku obok drzwi wejściowych. Zauważasz mnie i machasz.

Jenni

Kiedy wystawiam śmieci do zabrania jutro, widzę brązowe volvo kombi zaparkowane u wylotu bocznej ulicy po drugiej stronie jezdni. Kobieta za kierownicą ma bujne blond loki. To ty, Carly? Śledzisz mnie? Widziałam z daleka kogoś trochę podobnego do ciebie w pobliżu kościoła. I restauracji Moon Spinner. Uśmiecham się w twoim kierunku i macham, na wypadek gdybyś to była ty, ale nie czekam, żeby zobaczyć, czy mi odmachasz. Nie przestraszysz mnie, Carly. Nie obchodzi mnie, czy mnie śledzisz, czy nie.

Dziesięć minut później zjawia się Rob. Wychodzę na dwór i całuję go z języczkiem jak nastolatka. Przesuwam rękami po jego plecach, przyciągam go mocno do siebie i czuję jego erekcję przez dżinsy. Opanowana żądzą, chcę go natychmiast, tu i teraz, ale udaje mi się powstrzymać, dopóki nie będziemy w środku. Wciągam go do holu, wciąż całując, i zdejmuję mu marynarkę i krawat.

- Posadziłam dzieci przy filmie z Muppetami - szepczę mu do ucha, gdy zamykam drzwi.

Wchodzimy na palcach po drewnianych schodach, złączeni ustami. Zmuszamy się do rozdzielenia i skradamy przez salon obok dzieci przytulonych do siebie na kanapie pod kocykiem Luke'a. Wchodzimy do sypialni i zamykam drzwi na klucz.

Rob

Wychodzi na dwór i próbuje pocałować mnie z języczkiem jak nastolatka. Otacza mnie zapach olejku paczulowego. Jenni przesuwa rękami po moich plecach, przyciąga mnie mocno do siebie i wciska mi nogę w krocze. Przez moment jestem zaskoczony i reaguję trochę, czując ją i jej pożądanie. Jest to przyjemne. Ale wiem, że nie powinno tak być, i choć kusiło mnie to od dawna, sztywnieję, zamykam usta i odsuwam się od niej. Brązowe oczy usiłują mnie wchłonąć.

– Wejdz – szepcze mi do ucha Jenni i wciąga mnie za krawat do holu. Wciąż stara się mnie pocałować, a ja zamykam usta i opieram się. Zostawia drzwi szeroko otwarte i próbuje zdjąć mi marynarkę i krawat.

– Posadziłam dzieci przy filmie z Muppetami – szepcze.

Zamykam drzwi i staję zdecydowanie w holu.

– Co ty wyrabiasz? – pytam. – Dzwonisz do przychodni i prosisz, żebym szybko przyjechał, bo fatalnie się czujesz. Najwyraźniej już w pełni wydobrzałaś.

Kładę ręce na jej ramionach.

– Jenni, proszę cię, przestań. Zostaw mnie w spokoju. Jestem wiernym facetem.

– Nie tak jak twoja żona.

Wciąż nie jestem w stanie myśleć o Carly i Craigu.

– Zostaw to, Jenni. Muszę żyć dalej.

Carly

Wychodzi i znów ją całuje. Gdybym miała pistolet, strzeliłabym mu w skroń. Gdybym miała cyjanek, zrobiłabym tak, że połknąłby go. Gdybym miała nóż, przecięłabym mu tętnicę szyjną.

Wsiada do samochodu, a wredna suka stoi na chodniku obok niego. Moja komórka dzwoni. Dostaję od niego esemesa.

„W drodze do domu z jedzeniem na wynos”.

W drodze do domu z jedzeniem na wynos jego samochód rusza, przejeżdża przez światła i znika z widoku, a wredna suka wraca do swojego burdelu. Wredna suka w obcisłych dzinsach, które podkreślają jej wątlność. Kobieta bez piersi. Anorektyczka, atrakcyjna jak w okresie dojrzewania płciowego. To chore.

Jadę do domu jak automat, przepychając się przez ruch uliczny. Jeśli coś będzie wymagało wyższego procesu myślowego, skończy się śmiertelnym wypadkiem. Na szczęście nikt nie wychodzi mi przed maskę na pasach, żaden rowerzysta nie wyprzedza mnie przy krawężniku w moim martwym polu i docieram do domu bez wyrządzenia jakiegokolwiek szkody. Zastaję przy drzwiach samochodowe foteliki dziecięce, sportowe torby z ubraniami, pudła z zabawkami i książki. Dzieci są w kuchni, podskakują z podniecenia i atakują szafkę z przysmakami. Oczywiście. Wyjazd minivanem babci na ferie. W gniewie zapomniałam o tym.

Pippa zaplotła dziś długie jasne włosy w warkoczyki.

– Jesteś blada, mamusiu – mówi. – Coś ci jest?

– Nie, wszystko w porządku – odpowiadam, trzymając się blatu kuchennego, żeby nie zemdleć.

Moja matka wchodzi do kuchni z kluczykami od samochodu w rękę.

– Chcesz pojechać z nami? – pyta.

– Nie, nie, dzięki. Byłoby fajnie, ale muszę zostać w domu i pobyć z Robem.

Podchodzę, żeby ją przytulić, i czuję u nasady szyi, jak krew odpływa mi z mózgu. Muszę się jej złapać w nadziei, że nie zemdleję. Gorąco mi i niedobrze. Obejmuję matkę i w jej pulchnych ramionach, przywierając do jej obfitych piersi, dochodzę powoli do siebie. Ale wyczuwa, że się na niej opieram.

– Coś ci jest? – pyta z niepokojem.

Prostuję się.

– Nie, nic.

Puszczam ją i wycofuję się do holu. Staje przede mną z zatroskaną miną.

– Na pewno?

– Oczywiście – zapewniam podniesionym głosem, żeby ją uspokoić.

– No dobrze, zatelefonuję do ciebie później – mówi. – Ale pamiętaj, że gdybyś mnie potrzebowała, natychmiast dzwoń.

Patrzy na mnie ostatni raz z troską i otwiera drzwi frontowe.

– Chodźcie, dzieci.

Ładujemy samochód. Przypinamy dzieci w fotelikach. Matka siada za kierownicę, opuszcza szybę i posyła mi całusy. Reszta też.

Po ich odjeździe kładę się na kanapie i próbuję odprężyć. Oddycham z trudem, jakby jakiś ciężar przygniatał mi klatkę piersiową, więc wciągam powietrze przesadnie głęboko. Lewe ramię mi drętwieje i wiem, że mam atak paniki. Znajduję papierową torbę, którą mi dali w szpitalu, i chodzę w kółko po podeście, starając się oddychać do niej, żeby podnieść lub obniżyć poziom dwutlenku węgla w organizmie – powinnam wiedzieć, czy to pierwsze, czy to drugie, ale teraz nie pamiętam. Tak czy owak, zaczyna działać: ból w ramieniu ustępuje i oddycha mi się łatwiej. Oddychaj, oddychaj, oddychaj. Bez zastanowienia. Oddychaj, oddychaj, oddychaj.

Rob wraca. Jego samochód staje na podjeździe. Pogwizduje. Nie czuje się winny? Klucz obraca się w zamku drzwi frontowych i jego kroki rozlegają się w holu. Zapach indyjskiego jedzenia na wynos. Kroki w kuchni. A potem jestem za nim, okładam go pięściami, rozrzucam żarcie po podłodze i ciskam na sufit. Wrzeszczę. Jak ranne dzikie zwierzę. Curry jest wszędzie jak krew na miejscu zbrodni.

Trzyma mnie i próbuje uspokoić, ale im bardziej się stara, tym bardziej zawzięcie go atakuję. W końcu przestaję wrzeszczeć i nie mam siły tłuc go dalej, chociaż bardzo chcę. O, tak, bardzo chcę. Odpycham się od niego i stoimy w naszej ochlapanej curry kuchni, patrząc na siebie.

– Byłam tam, widziałam cię! – krzyczę. – Teraz już nie możesz się wyprzeć!

– Carly, usiądźmy i porozmawiajmy.

Siadam, gdzie stoję, na podłodze kuchni w kałuży kurczaka tikka masala. Nic mnie nie obchodzi. Mam gdzieś ubranie. On też siada na wprost mnie, po turecku. Zniszczy sobie jasnobrązowe spodnie Gant, ale to też guzik mnie obchodzi.

Najpierw milczymy. Siedzimy i patrzymy sobie w oczy. Oczy Roba są zwykle nieokreślonego koloru – coś pomiędzy niebieskim a zielonym – jasne, i niezbyt przypominają barwę morza. W pewnym świetle wydają się nawet piwne. Dziś, być może ostatniego dnia, kiedy w ogóle z nim rozmawiam, wyglądają na szare i jest w nich niepokój. Na jego zwykle pogodnej twarzy maluje się sztywność, której nigdy wcześniej nie zauważyłam.

– Czekałam przed jej domem.

– Dlaczego?

– Śledziłam ją i zobaczyłam was razem.

– Przystawiała się do mnie, ale ją powstrzymałam.

Mam wrażenie, że śnię, że to się nie dzieje naprawdę.

– Wiedziałam – udaje mi się powiedzieć. – Zawsze wiedziałam. Mówiłam ci, ale nie chciałeś się przyznać.

– To nie tak, Carly. Bardzo cię kocham. Ona mnie podrywa, odkąd dowiedzieliśmy się, że miałaś romans. Odkąd dowiedziałem się o tobie i Craigu.

„Dowiedziałem się o tobie i Craigu”. Dowiedział się o Craigu i mnie. Jego słowa dźwięczą mi w głowie. Czy mój świat ma się zawalić akurat wtedy, gdy już udawało mi się temu zapobiec?

– Dowiedziałeś się o Craigu? – pytam i robię pauzę. – I nie powiedziałaś mi? Jak? Kiedy?

Serce wali mi jak oszalałe.

– Znalazłem esemesy w twoim telefonie. Po tym, jak zabrali cię do szpitala.

Jestem wstrząśnięta.

– Ale... – jąkam się – kiedy sypiałam z Craigiem, byłam chora.

Umieram wewnątrz. To będzie początek końca naszego związku.

– Czy byłaś chora, czy nie, musiałem to przeboleć. Nie chciałbym ci zrobić tego samego, Carly. Jesteśmy dla siebie

stworzeni i jest nam pisane być razem. Proszę cię, zapomnijmy o Craigu i Jenni. Kocham cię. Nie mogę cię stracić. Zwłaszcza teraz, kiedy tak ciężko walczyłaś, żeby wyzdrowieć. Kiedy byłaś taka dzielna.

Rob bierze mnie w ramiona i przytula mocno.

– Czy Jenni wie? – pytam.

Głaszcz mnie po plecach. Nie widzę jego twarzy.

– Ja nic nie powiedziałem.

Odpoczywam w jego objęciach i zaczynam się uspokajać.

Carly

Jestem na pilnej konsultacji w prywatnym gabinecie doktora Willisa na Harley Street. Wokół eleganckie georgiańskie domy, spłowiełe cegły i łukowe wejścia. Doktor Willis nie chciał, żebym wracała do szpitala, bo czułabym się tam uwięziona. Przyjechałam więc tutaj, gdzie w poczekalni panuje taka cisza, że nawet odwracanie kartek magazynu ilustrowanego zwraca uwagę. Teraz zostałam wezwana i siedzę w jego tradycyjnie urządzonej gabinecie z drewnianą boazerią, pokrytym skórą biurkiem, fotelami uszakami i grubym dywanem. Pocę się. Obraz olejny za biurkiem doktora Willisa przytłacza mnie, kolorowe zawijasy, które udają chmury, wydają się coraz bliżej.

– Jak ci idzie, Carly? – pyta.

Odrywam wzrok od obrazu i patrzę na niego. Ma tak nieprzeniknioną minę jak zawsze. Spojrzenie zimne, ale nie niezyczliwe. Rob nazywa jego oczy wiewiórczymi. Rob. Na myśl o nim dostaję jeszcze silniejszych skurczów żołądka. Kładę rękę na brzuchu, krzywię się z bólu i pochylam lekko do przodu w nadziei, że mi przejdzie.

Doktor Willis robi zaniepokojoną minę.

– Co ci jest?

– Już mówiłam. Powinna zostać w szpitalu.

Prostuję się, bo ból trochę ustępuje.

– Dlaczego?

– Stało się.

– Co?

– Moje katastrofizowanie stało się prawdą. Widziałam ich razem. On się wypiera. Mówi, że tylko sprawdzał, jak ona się czuje, ale widziałam, jak się całowali. – Robię pauzę i powtarzam prawie krzykiem: – Całowali się!

Doktor Willis przygląda mi się z głową przechyloną na bok. Marszczy brwi.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Śledziłam ją.

Obserwuję jego ręce. Opiera paznokcie na biurku, potem unosi palce z rozdrażnieniem.

– Po co to zrobiłaś?

Teraz prawie całą twarz ma zmarszczoną.

– Bo jej nie ufam. Dlatego muszę być z powrotem hospitalizowana – mówię powoli.

– Byłaś w szpitalu przez trzy miesiące. Nie jesteś aż tak chora, żeby spędzić resztę życia w zakładzie, Carly – odpowiada grobowym głosem.

Siedzimy i patrzymy na siebie. Już nie marszczy się bardziej. Może nawet mniej. Spoczywa na mnie spojrzenie oczu jak szklane kulki. Wykorzystuje milczenie, żeby zmusić mnie do mówienia.

– Spotykam się z Jenni dziś wieczorem – informuję go. – Chciała ze mną porozmawiać.

Stuka długopisem.

– To chyba dobrze?

Twój doktor Willisa znika i zamiast niej widzę przed sobą Roba i Jenni w objęciach.

– Nie sądzę. Rozmowa nic nie pomoże.

– Rozmowa zawsze pomaga – odpowiada doktor Willis, przebijając głosem obraz przede mną.

Śmieję się.

– Jako terapeuta, musi pan tak mówić.

Teraz Rob i Jenni naprawdę szaleją, pieprzą się na podłodze pod biurkiem doktora Willisa, który robi notatki. Podnosi wzrok.

– Jeśli nie rozmawianie, to co ci pomoże, Carly? – pyta.

– To, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

Kręci głową.

– Nie możesz po prostu skreślać ludzi, którzy cię irytują. Jenni jest twoją przyjaciółką. Przyjaciółką twojego męża. Wiesz o tym. To twoje pierwsze potknięcie, odkąd wyszłaś. Na pewno sobie z tym poradzisz.

– Potknięcie? Że mój mąż ją całował?

– Carly, uspokój się. Wiesz, że masz paranoję. To mógł być pocałunek na powitanie albo przyjacielski.

Robi pauzę.

Obraz Roba i Jenni, którzy pieprzą się tuż przede mną, pryska jak bańka mydlana. Doktor Willis mówi dalej:

– Miałaś terapię małżeńską z Robem. Zapewniał cię, że cię kocha.

Słowa doktora Willisa wirują w moim umyśle.

– Kocha cię. Rob cię kocha, Carly. Bądź silna, bądź tego pewna. Uwierz, że on cię kocha, a wydostaniesz się z kręgu cierpienia, w którym jesteś uwięziona.

Słowa doktora Willisa wybuchają w moim umyśle jak fajerwerki. Tym razem coś znaczą.

Carly

Siedzę na kanapie w twoim mieszkaniu, wredna suko Jenni. Rozpijamy butelkę wina w otoczeniu świec i kadzidła, na każdej powierzchni coś płonie. Monotonny śpiew tybetańskich mnichów dochodzi z głośników. Wyglądasz dość dziwnie w czerwonym kimonie ze złotymi haftami. Włosy masz upięte w kok szeroką spinką z kości słoniowej, oczy umalowane skośnie grubą warstwą kredki. Twoich dzieci i psa nigdzie nie widać, śpią w sypialni. Śpiew mnichów staje się głośniejszy. Uśmiechasz się do mnie z kanapy naprzeciwko jaskrawoczerwonymi ustami.

– Więc Rob powiedział ci – pytasz, sącząc wino – że jest we mnie zakochany?

Oczywiście, że nie powiedział, do cholery, bo to nieprawda, wredna suko. Wreszcie znalazłam w sobie siłę, żeby ci się przeciwstawić. Pozbyć się fantazji na temat ciebie i mojego męża. On jest mój, nie twój.

– Nie, wręcz przeciwnie – odpowiadam spokojnie.

– No to nie mówi ci prawdy. – Robisz pauzę. – Powstrzymałam go, jak długo mogłam, ale musisz wiedzieć, że się kochamy, Carly.

Śmieję się w duchu, bo to idiotyczne, Jenni.

Pociągam łyk wina i słucham cię dalej.

– Musimy pozostać przyjaciółkami, Carly. Zawsze nimi byliśmy. Nasze dzieci będą spędzały czas razem.

Wierzę Robowi. Wierzę Robowi, wredna suko, i tylko bawię się z tobą. Przyjaciółki? Teraz wiem, że jesteś stuknięta.

– To znaczy, że zamierzasz z nim zamieszkać? – pytam lodowato.

Kiwasz głową.

– Jak śmiesz?

Udaję oburzenie, żeby cię rozłożyć na łopatki, żebyś myślała, że ci wierzę. A przy okazji, twoje oczy wyglądają jak krowie placki.

– Mogłabym cię zapytać o to samo z Craigem – wyrzucasz z siebie.

Wytrzymuję twoje spojrzenie.

– Wiesz o mnie i Craigu?

Nie odpowiadasz.

– Po raz pierwszy stawiasz sprawę otwarcie – mówię i pociągam następny łyk wina, które ma gorzki smak. – Nigdy nie zamierzałam go zabrać, tylko wypożyczyć na trochę. – Wypijam duży haust wina, żeby się odprężyć. – Byłam wtedy chora.

– Wszystko usprawiedliwiasz stanem swojego zdrowia psychicznego. Craiga nie „wypożycza się na trochę”.

Coraz bardziej wytrzeszczasz oczy jak krowie placki. Twoje słowa wirują wokół mnie.

Muszę iść do toalety. Wstaję. Pokój zaczyna wirować tak jak słowa. Twoja twarz staje się czerwoną plamą. Alkohol? Diazepam? Kieruję się do łazienki, a raczej próbuję. Trudno mi

stawiać kroki. Nie mogę skoordynować ruchów. Pokój wiruje strasznie szybko. Coraz szybciej. Przewracam się. Upadam bez końca. Spadam w przepaść, wciąż wirując. Koziołkuję w czarną otchłań.

Jenni

Następny łyk wina, a potem wstajesz i pytasz mnie, gdzie jest łazienka. Pokazuję, że na prawo od salonu, za moją maleńką kuchnią. Dwa kroki i upadasz na bok w zwolnionym tempie.

Kamienieję. Jestem sparaliżowana. Nie mogę się ruszyć, żeby ci pomóc. Przewracasz się i wygląda na to, że przestałaś oddychać. Paraliż mija i znów mogę się ruszać. Odwracam cię w bezpieczną pozycję i reanimuję. Zaciskam ci nos i robię sztuczne oddychanie. Uciskam ci rytmicznie klatkę piersiową. Nagle łapiesz haust powietrza i zacznasz oddychać. Nie mogę cię obudzić, ale twoja klatka piersiowa się porusza i powietrze przechodzi między wargami. Zostawiam cię i dzwonię pod 999.

Cztery minuty do przyjazdu karetki ciągną się jak cztery lata. W końcu troje ratowników medycznych – dwóch mężczyzn i kobieta – wspina się po schodach w ciężkich czarnych butach, którymi mogą wykopać drzwi w razie potrzeby. Sprawdzają ci tętno i parametry życiowe. Podłączają cię do jakiejś aparatury. Podają ci tlen. Mężczyźni kładą cię na noszach i znoszą na dół. Kobieta zostaje.

– Może mi pani dokładnie powiedzieć, co się stało? – pyta.

– Piłyśmy wino. Wypiłyśmy po niecałym kieliszku, kiedy ona wstała, żeby pójść do toalety, i upadła.

Widzę przez okno, jak znikasz w karetce. Drzwi się zamykają, koguty błyskają.

– Mogła coś wziąć? – pyta ratowniczką.

Podskakuję wewnętrznie jak porażona prądem.

– Dlaczego pani tak myśli?

– Z powodu zeszywnienia ciała i wyglądu źrenic.

Co się stało, Carly? Co sobie zrobiłaś?

– Kiedyś przedawkowała.

– Co?

– Przepisane leki. Diazepam, antydepresanty i proszki nasenne. Właśnie wyszła ze szpitala po załamaniu nerwowym.

W oczach paramedyczki maluje się niepokój.

– Lepiej już pójdę – mówi. – Mam jej telefon, zadzwonię do jej męża. Niech pani tu zostanie. Chcę, żeby policja sprawdziła to mieszkanie.

– Dlaczego? – wyrzucam z siebie. – Co pani sobie myśli?

– Musimy się dowiedzieć, co wzięła. Co jej się stało.

Czuję smak soli w ustach i uświadamiam sobie, że płaczę. Ratowniczką medyczną wychodzi z mieszkania i karetka odjeżdża na syrenie. Łkając cicho, porządkuję pokój. Wszystko z powrotem na zwykłym miejscu. Przebieram się z czerwonego kimona w dzinsy i białą haftowaną bluzkę koszulową. Siadam na kanapie i czekam. Przygotowuję się na telefon ze szpitala, że nie żyjesz. Na wizytę policji. Czekam na ojca, żeby zajął się dziećmi. Czekam i czekam. Wszystko wokół mnie zamarło, jakbym siedziała pośrodku zdjęcia albo obrazu, wśród nieruchomych dekoracji teatralnych. Dzieci nie budzą się ani nie płaczą. Nie mogę się skoncentrować na oglądaniu telewizji ani słuchaniu radia. Nie mogę myśleć ani czytać. Skupiam wzrok na wszystkim i niczym. Na poduszce na kanapie. Na rysie na ścianie. Nawet dźwięk ucichł. Nie słyszę ruchu ulicznego. Ani głosów w sklepie poniżej. Widzę tylko i słyszę, jak upadasz, Carly. Myślę tylko o tym, czy jeszcze żyjesz.

Wieczność zostaje przerwana. Otwieram drzwi policjantce z wymodelowanymi jasnymi włosami, która uśmiecha się do mnie i pokazuje mi odznakę.

– Sierżant Anita Berry – przedstawia się. – Przysyła mnie załoga karetki pogotowia. Mogę wejść?

– Tak... oczywiście – odpowiadam przez łyżę.

Wchodzi za mną po moich skrzypiących schodach. Dziękuję Bogu, że mam dzieci, które potrafią wszystko przespać, i dobrze wytresowanego szczeniaczka. Cała trójka śpi mocno w sypialni.

– Niech pani siada.

Siada na kanapie i gniecie narzutę. Próbuje ją wygładzić.

- To nie problem. Zawsze tak jest. Mogę panią czymś poczęstować? Kawą, herbatą?

- Nie, dzięki.

Stoję przed nią i milczę.

- Zawiadomiono już panią, co jest z pani przyjaciółką? - pyta Anita Berry.

- Nie, ale mam nadzieję, że brak wiadomości to dobra wiadomość i że przynajmniej jej stan jest stabilny.

- To nie jest miejsce przestępstwa, pani Rossiter. Nic się nie stało. Przypuszczam, że ratowniczka medyczna była po prostu zdenerwowana. Ale żeby ją uspokoić, pozwoli pani, że się rozejrzę?

- Oczywiście, proszę bardzo.

Anita Berry wstaje.

- Choć jest jedna rzecz - dodaję. - Wypiłyśmy wino, więc wypłukałam butelkę, włożyłam ją do surowców wtórnych i niestety umyłam kieliszki. Po prostu nie pomyślałam. Zareagowałam automatycznie. Mimo to chce je pani zabrać ze sobą?

- Nie, dzięki. Chcę tylko sprawdzić, czy nie upuściła tu gdzieś jakichś pigułek.

- Nie zauważyłam nic takiego.

Anita Berry potrząsa wycieniowaną fryzurą.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, rozejrzę się tylko szybko.

- Nie zajmie to pani dużo czasu, to bardzo małe mieszkanie - mówię.

Chodzę za nią, kiedy się rozgląda. Zerka pod kanapę. Przekłada narzuty. Otwiera szafki w kuchni. Wchodzi do łazienki i przeszukuje szafkę. Potem do mojej sypialni, gdzie bardzo interesuje ją toaletka, a zwłaszcza druga szufladka, w której trzymam pigułki. W końcu maszeruje do pokoju chłopców.

- Tam śpią dzieci i ich piesek.

Anita Berry przystaje.

- To nie będę im przeszkadzała. Wszystko wydaje się w

porządku. – Uśmiecha się do mnie. – Dzięki, że pozwoliła mi pani się rozejrzeć. Dam już pani spokój.

Odprowadzam ją z powrotem na dół do drzwi po naszych skrzypiących schodach. Kiedy wychodzi, kładzie mi rękę na ramieniu i patrzy na mnie ze współczuciem.

– Mam nadzieję, że pani przyjaciółce nic nie będzie.

– Ja też – odpowiadam, powstrzymując łzy.

Zanim przyjechał ojciec, żeby zająć się dziećmi, Carly, i udało mi się dotrzeć do szpitala, zostałam przyjęta na OIOM, ten sam oddział, co ostatnio. Idę niekończącymi się pustymi korytarzami i zastaję cię nieprzytomną, podłączoną do tyłu urządzeń, że z moim zaniedbanym wyszkoleniem pielęgniarским trudno jest mi się połapać, co jest czym. Oddychasz równo, ale sztucznie, i jesteś biała jak płótno na tle poduszki. Heather i Rob siedzą na krzesłach po obu stronach łóżka. Heather patrzy na mnie, kiwa mi głową i przenosi wzrok z powrotem na ciebie. Rob wstaje i całuje mnie uprzejmie w policzki. Niby to on, ale nie on – jakby zmałał.

– Wiesz, co się stało? – pyta.

– Chciała się ze mną zobaczyć, żeby porozmawiać. Błagała, żebym pozwoliła jej przyjść, więc się zgodziłam.

Zerka na Heather.

– Wyjdźmy na chwilę – mówi.

Bierze mnie za ramię i wyprowadza z oddziału. Siadamy obok toalet, daleko od dyżurki pielęgniarek. Panuje tu cisza. Jest tak późno, że prawie nikogo nie ma – mało personelu, żadnych odwiedzających. Słabe światło w korytarzu nadaje wszystkiemu szarą barwę.

– Co powiedziała? – pyta szeptem Rob.

– Wypiłyśmy zaledwie po kieliszku wina. Nawet nie zdążyłyśmy porozmawiać. Wstała, żeby pójść do łazienki, i upadła. – Urywam i łzy napływają mi do oczu. – To było straszne, Rob. Reanimowałam ją i wezwałam pogotowie. – Znów urywam, tym razem na dłużej. – Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Craig

Jenni dzwoni na moją komórkę z wiadomością o Carly, zastaje mnie u rodziców. Na wypadek gdybym nie wiedział. A skąd miałbym wiedzieć? Stoję obok wieszaka na płaszcze i stojaka na parasole i nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Jeśli za bardzo się przejmę, to się wkurzy, jak nie dość, to mi zarzuci brak empatii. Wybieram więc wariant pośredni – przykro mi, ale umiarkowanie.

– Obojętnie, jak ci jest przykro, musisz to przyjąć na klatę, bo twoja była może nie przeżyć – mówi Jenni.

– Ona nie jest moją byłą.

– A kim?

Cisza w telefonie.

Krótko po zakończeniu rozmowy wiadomość o sytuacji Carly zaczyna do mnie docierać. Trudno jest mi sobie wyobrazić jej upadek. Im dłużej o tym myślę, tym mniej mogę uwierzyć w to, co jej się stało. Takiej silnej, odważnej i zuchwałej kobiecie jak Carly.

Później zabieram chłopców. Idziemy do McDonalda, jak zwykle.

Znow siedzę w otoczeniu klimatyzacji i plastiku, jem Big Maca z frytkami i piję dużą kawę, a chłopcy wcinają górę nuggetsów i pochłaniają morze keczupu. Kiedy kończą jeść, Luke patrzy na mnie.

– Po herbacie mama powiedziała, że mam cię poprosić, żebyś przyszedł do domu i pomógł nas wykąpać.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Bo chcielibyśmy. Powiedziała, że mógłbyś.

Serce mi wali. Wytrzymam to? Nagłe zaproszenie, które w każdej chwili może odwołać? Sprzątamy po sobie i wracamy do nowego domu mojej rodziny.

Jenni otwiera drzwi, włosy ma związane w koński ogon i jest bez makijażu. Wygląda na jakieś dwanaście lat, uosobienie

niewinności.

– Mamusiu, mamusiu, tatuś przyszedł, tak jak prosiłaś.

Jenni odchodzi od drzwi i prowadzi nas na górę. Na środku salonu stoi odkurzacz, a obok plastikowa skrzynka pełna ścierek, żelów i pasty do podłogi. W pokoju pachnie sztucznymi kwiatami pomarańczy. Woń pali mnie w nozdrza, przenika do płuc i powoduje, że kaszlę.

– Przepraszam – mówi Jenni i otwiera okno.

Charlie wypada nie wiadomo skąd i biegnie do nas w podskokach. Pełna energii wesoła futrzana kula przywiera do mnie. Wpycha mi pysk pod ramię, domaga się uwagi i zmusza mnie, żebym go pogłaskała. Drapię go za uszami i czuję tak jedwabistą gładkość, że nie mogę przestać. Głaskanie go jest uzależniające. Głaszczę go i głaszczę; po grzbiecie, bokach i łapkach. Przytulam twarz do jego głowy, żeby poczuć jego sierść na policzku. Szczeniaczek mruczy gardłowo z zadowolenia. Podnoszę wzrok. Jenni wpatruje się we mnie brązowymi oczami.

– Tatuś, tatuś! – krzyczą chłopcy i podskakują z podniecenia.

Charlie mnie opuszcza. Goni chłopców i szczeka. Wszyscy się śmieją.

– Chodźcie – mówi Jenni. – Kąpiel gotowa. Do łazienki, wszyscy.

Wanna jest pełna piany o zapachu miodu i cytryny. Chłopcy, już nadzy, wskakują do niej i woda zalewa podłogę łazienki. Jenni strofuje ich tak lekko, że nie zwracają na to uwagi. Siadają w kąpeli i obrzucają się pianą. Szczeniaczek siada przy wannie i obserwuje ich. Jenni i ja siadamy na podłodze za pieskiem. Na moment zapominam, że już nie jesteśmy rodziną.

– Tatuś może zostać i poczytać nam bajkę? – pyta Luke.

– Taki jest plan – odpowiada Jenni.

Plan? Jaki plan? Patrzę na nią, zaskoczony. Jeśli ma jakiś plan, to pierwsze słyszę.

Odwróć wzrok, Jenni. Nie rań mnie znowu.

Chłopcy wychodzą z wanny. Jenni wyciąga korek, a ja owijam ich ręcznikami. Woda z wanny znika z hukiem w odpływie i przestraszony hałasem szczeniaczek usiłuje schować się pod ręcznikiem Marka. Wszyscy się śmiejemy i głaszczemy pieska po

głowie. Teraz pijamy w Batmana, bajka i mleko. Kiedy czytam, Jenni znika. Wkładamy szczeniaczka do klatki w rogu pokoju chłopców. Wydaje się zadowolony, że jest blisko nich. Wokół ma swoje psie zabawki, jedno oko otwarte, drugie zamknięte i prawie śpi. Czytam im *Tygrysa, który przyszedł na herbatę*. Zawsze to uwielbiali. Czytam to w kółko. Najpierw przyłączają się do mnie, powtarzają słowa, śmieją się i chichoczą. Stopniowo cichną i wreszcie zasypiają. Luke leży na wznak z otwartymi ustami, rękami nad głową i buzią wciąż zaczerwienioną od gorącej kąpieli. Mark jest zwinięty w kłębek i ma zaciśnięte pięści. Całuję obu w czoło, wychodzę chyłkiem z sypialni i zamykam wolno drzwi, żeby nie obudzić ich i szczeniaczka.

Idę do salonu.

– Zostaniesz na drinka? – pyta Jenni.

Odpowiedź nie wymaga namysłu.

– Chętnie.

Zagłębiam się w jedną z kanap. Jenni już otworzyła wino, butelka i dwa kieliszki stoją na kredensie. Nalewa sobie i mnie, wręcza mi kieliszek i siada naprzeciwko na identycznej kanapie. Sącę wino i staram się nie słuchać chorału gregoriańskiego, który ona tak lubi, w przeciwieństwie do mnie.

– Ostatnim razem piłam tak wino z Carly.

Carly. Wolałbym, żeby o niej nie wspominała.

– To musiało być dla ciebie straszne – mówię ostrożnie, bo czuję się tak, jakbym stąpał po lodzie.

– Było. Musiała wziąć dużo tabletek przed przyjściem, skoro tak ją ścieło. Ciągłe jest w śpiączce.

Urywa. Jej brązowe oczy ciemnieją.

– Coś takiego powoduje, że myśli się o tym, jak łatwo jest stracić życie.

– A co ty pomyślałaś, Jenni?

Kręci lekko głową, prawie niedostrzegalnie, i wzrusza ramionami.

– Że życie jest za krótkie. Musimy je wykorzystywać jak najlepiej.

Spojrzenie jej błyszczących czekoladowych oczu jest

niebezpieczne.

– W tej chwili nie wychodzi mi to zbyt dobrze – odpowiadam, starając się powstrzymać łzy. – Straciłem żonę i rodzinę.

Przełykam, żeby się nie rozkleić. Patrzy na mnie z niepokojem i mam wrażenie, że chce coś powiedzieć.

– Uważam, że powinniśmy spróbować jeszcze raz – mówi.

„Uważam, że powinniśmy spróbować jeszcze raz”. Czy ja dobrze usłyszałem? Po tylu problemach? Po sprzedaniu domu? Fantazjuję? Śnię?

– Słyszysz, Craig?

Odstawia kieliszek, podnosi się z kanapy i podchodzi do mnie. Staje przede mną z rękami na biodrach. Niebiański obraz. Oczy, w których można utonąć. Czerwone jak wiśnie wargi, które czekają, żeby je pocałować.

– Uważam, że powinniśmy spróbować jeszcze raz – powtarza. – Ale pamiętaj, że jeśli znów mnie zdradzisz, Craig, zabiję cię i twoją kochankę.

Tonę w tych oczach. Całuję te wargi.

Jenni

Rob wywołuje moje nazwisko i idę korytarzem do jego gabinetu. Mijam dyżurkę pielęgniarek, kiedyś terytorium Carly, kącik zabaw dla dzieci i schowek. Pukam do drzwi i wchodzę, gdy tylko mnie zaprasza. Obraca swoje krzesło.

– Wszystko w porządku, Jenni? Nie musisz się zapisywać na wizytę. Przyjąłbym cię w każdej chwili. Chyba wiesz o tym?

Siadam na krześle dla pacjentów naprzeciwko niego.

– Chciałam to załatwić formalnie.

– Formalnie?

Marszczy brwi. Wręczam mu pismo. Czyta je, a potem patrzy na mnie. Ma zaszokowaną minę.

– Dlaczego składasz wymówienie?

– Wyprowadzam się – z Craigiem.

– Z... Craigiem? – jąka się. – Myślałem... – Waha się. – Mówiłaś,

że nigdy do niego nie wrócisz.

- Nadal jest moim mężem. Ojcem moich dzieci. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, uświadomiłam sobie, że wierzę w świętość małżeństwa.

- Ale - wykrzykuje - zawsze mówiłaś inaczej! Wierzyłaś w wierność, a on jej nie dotrzymał.

Siedzimy i patrzymy na siebie w milczeniu. Wydaje się, że minęła cała wieczność, kiedy znów otwiera usta.

- To przez załamanie Carly? - pyta.

Nie odpowiadam.

- Choroba Carly to twoja zemsta? - naciska, bębniąc palcami w biurko obok jej zdjęcia. - O to chodzi?

- Rob, wiedziałam, że się zdenerwujesz. Dlatego chciałam załatwić wszystko formalnie. Żadne z nas nie wytrzyma dłużej emocjonalnie. Craig i ja wyprowadzamy się w przyszłym tygodniu. - Kładę mu rękę na ramieniu. - Ale będziemy w kontakcie. Przecież tyle razem przeżyliśmy.

Rob

Leżysz na wznak z otwartymi ustami, blada, zaintubowana – oddychający trup. Heather i ja siedzimy i patrzymy, jak twoja klatka piersiowa wznosi się i opada. Kiedy na ciebie patrzę, Carly, widzę przeszłość. Przetaczamy się ze śmiechem po pościeli. Przeczesałem palcami jedwabiste włosy o zapachu cynamonu. Wtulałem się w twoje piersi, w twoje ciepło, w twoje życie. Sięgam do twojej ręki i trzymam ją, ale leży bezwładnie w mojej dłoni. Otwierasz oczy na moment. Gra światła i cieni wokół ciebie. Przysuwam się, żeby cię lepiej widzieć. Okrutna gra światła.

Wracam do przychodni na popołudniowy dyżur i staram się nie myśleć o tobie. W pracy jakoś udaje mi się pozbyć wspomnień. Idę przez poczekalnię i kiwam głową mijanym recepcjonistkom. Mijam rzędy starszych siwych ludzi w szarych ubraniach, młode mamy z rozbrykanymi brzdącami i przygnębionych brzuchatych pacjentów w średnim wieku. Ktoś z czekających uśmiecha się do mnie, odpowiadam więc uprzejmym skinieniem głowy. Przemykam dalej, starając się ignorować kaszel, katar i treść pogawędek znudzonych ludzi. Nienawidzę się za to, że każę chorym czekać.

Otwieram drzwi gabinetu i zastaję tam Sharon, która stawia na biurku filiżankę herbaty i kładzie kruche ciastko w foliowym opakowaniu.

Odwraca się do mnie.

– Pomyślałam, że dobrze ci to zrobi. Co z nią?

– Bez zmian.

– Wolisz, żebym przestała pytać?

– Jak będzie coś nowego, to ci powiem. Dobrze?

W piwnych oczach Sharon widzę współczucie i jest mi głupio. Nie spodziewałem się po sobie takiej reakcji. Sharon wychodzi w

pośpiechu. Wzdycham i wzywam brzęczykiem pierwszego pacjenta.

Moja pierwsza pacjentka cierpi na lęk. Bez względu na to, jak bardzo staram się jej pomóc, nie może tego opanować i muszę ją skierować do specjalisty. Większość staruszków ma artretyzm lub problemy z sercem, albo jedno i drugie. A pewna pani po osiemdziesiątce, kobieta o kwadratowej twarzy, zadziornym uśmiechu i błyszczących oczach, którą szczególnie lubię, ma silne ataki kaszlu od czasu do czasu. Pewna młoda kobieta leczy się u mnie na zapalenie dróg moczowych. Potem znów pacjentka z lękiem. Przepisuję diazepam, antydepresanty, paracetamol, beta-blokery, amoxicillin, trimethoprim i simvastatin. Między kolejnymi pacjentami uaktualniam dane w komputerze. Cudze problemy odwracają moją uwagę od własnych.

W porze lunchu Sharon przynosi mi kanapkę ze sklepu po drugiej stronie ulicy – rozmięktą szynkę z pomidorem w ciemnym pieczywie – i następną filiżankę herbaty. W oczach wciąż ma współczucie i wciąż jest mi głupio. Potem przychodzi czas na wizyty domowe. Dzień się dłuży, gdy jeżdżę po Stansfield i odwiedzam ludzi, którzy umierają na raka. Ostatnia jest stara panna w średnim wieku z rakiem okrężnicy. Postanowiła przerwać chemioterapię i czekać na śmierć.

Otwiera oczy, kiedy wchodzę do jej sypialni. Na przekór wszystkim przeciwnościom i chorobie nadal jest piękna. Włosy jej odrosły i choć już nie lśnią, wiją się wokół jej twarzy, oczu o przenikliwym spojrzeniu i wystających kości policzkowych. Jest oparta na poduszce z falbankami i przykryta kołdrą w kwiaty. W pokoju pachną lewkonie. Uwielbia ich zapach. Przyniosłem jej kilka w zeszłym tygodniu.

Już mam ją osłuchać stetoskopem, gdy mówi do mnie:

– Nie spodziewałam się, że będzie aż tak źle. Czuję się tak, jakbym spadała z urwiska.

– Ja też.

– Więc lepiej trzymaj się, Rob. Dla dobra Carly.

– Wiesz o Carly? – pytam.

– Złe wieści docierają nawet do takiego mauzoleum jak to. –

Urywa. – Jakie ma szanse?

– Nikłe.

– Lepsze to niż spadanie z urwiska. Trzymaj ją, Rob – szepcze. – Trzymaj ją, to nie spadnie tak jak ja.

– Obiecuję, że będę mocno trzymał.

Przykładam stetoskop do klatki piersiowej. Krzywi się, bo metal jest zimny. Słucham bicia serca, które niedługo ustanie. To tylko kwestia czasu. W tej chwili jest trochę przyspieszone, prawie fibryluje, ale nie jest tak źle. Kiedy zabieram stetoskop, sięga po moją rękę. Siadam na brzegu łóżka. Posyła mi półuśmiech i zamyka oczy. Wygląda tak spokojnie... Schylam się i całuję ją w czoło. Delikatny pocałunek na drogę.

Z powrotem w domu. Heather nakarmiła dzieci, przypilnowała czytania i kąpeli i posadziła je rzędem na kanapie. Najedzone i czyste, oglądają *Fantazję*. Zawsze jest jakiś film, który chcą stale oglądać, co trochę ułatwia mi życie.

– Tatusiu, tatusiu, możemy obejrzeć to do końca?

– Możecie.

Opadam na kanapę i przytulam ich. Matt i John włożą mi na kolana i oplatają mój tułów jak bluszcz. Pippa przywiera do mojego boku i otaczam ją ramieniem. Wdycham dziecięcy szampon i płyn do kąpeli. Uwolniona od obowiązków, Heather odchyła głowę do tyłu, zamyka oczy i zasypia. Na jej czystej niegdyś skórze są teraz brązowe cętki jak na łupinie ziemniaka. Niegdyś brązowe, przetykane siwizną włosy są teraz całkiem białe. Przez moment wydaje mi się, że widzę w wyobraźni, jak Carly siada obok niej, zrzuca szpilki, opiera się wygodnie i wychyla duży kieliszek wina. Heather patrzy na swoją córkę z miłością. Odrywam od nich wzrok, przyzwyczajony do takich przywidzeń w domu, i staram się skoncentrować na *Uczniu Czarnoksiężnika w Fantazji*. Muzyka jest sugestywna. Zbyt sugestywna, żeby towarzyszyć Myszce Miki, która kradnie kapelusz Czarnoksiężnika i zdobywa magiczną moc. W snach ma władzę nad światem, gwiazdami, pływami, morzami. Kiedy się

budzi, świat tonie. Usiłuje temu zapobiec, ale nie może. Woda stale się podnosi. Im więcej macha czarodziejską różdżką i wymiata miotłą wodę, tym więcej jej przybywa. Grafika jest tak wyrazista, że woda wygląda, jakby miała się wedrzeć do salonu i zatopić nas. W końcu znów zjawia się Czarnoksiężnik i natychmiast doprowadza wszystko do porządku. Jak ja się o to modłę. Wielki Boże, jak żarliwie się o to modłę.

Jenni

Nowy początek z moim mężem Craigiem.

„Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela”.

Pamiętasz, Craig?

Przenieśliśmy się do Trethynion, starej rybackiej wioski w Kornwalii, malowniczej jak z pocztówki, otaczającej stary kamienny port. Mieszkamy w małym piętrowym szeregowcu z dwoma pokojami na dole i dwiema sypialniami na górze. Dom ma trzydziestocentymetrowe ściany i duży kominek z wolną przestrzenią po obu stronach. Na ganku rośnie geranium, z okien na piętrze widać morze – jeśli się stanie na palcach. Dzieci chodzą do szkoły przy plaży. Oprócz Charliego mamy teraz jeszcze Lucy, czarno-białą kotkę. Śpią w nocy razem, zwinięte w kłębek. Nasz dom jest tak mały, że przeważnie wiemy, co kto robi. Po tym, co się stało w Stansfield, odpowiada mi to.

Kiedy przyjeżdża mój ojciec, musi mieszkać w pubie, który przylega z boku do naszego domu w rzędzie szeregowców. Chyba nie ma nic przeciwko temu. Jest w dobrych stosunkach z właścicielem, wesołym brzuchatym mężczyzną w średnim wieku. W sobotnie wieczory, po zamknięciu lokalu, właściciel zatrzymuje ulubionych klientów, łącznie z moim tatą. Piją do późna piwo i śmieją się. Zmiana otoczenia przywróciła mojemu ojcu chęć do życia.

Craig pracuje w miejscowej straży pożarnej, ale mieszkamy tak daleko, że strażacy nie dyżurują w remizie. Kiedy są potrzebni, co rzadko się zdarza, dyspozytor wzywa ich z domów. Ponieważ

Craig jest o wiele mniej zajęty niż przedtem, stał się domatorem. Stale mi powtarza, że się nudzi, bo nie jest potrzebny w remizie, ale kocha dzieci i tak naprawdę jest zadowolony, że spędza z nimi czas. Nie lubi tylko sprzątać, zmywać ani prasować. Powiedział mi, że nie cierpi gotowania, zwłaszcza potraw, jakie lubię, bo mają za dużo składników, które trzeba za długo siekać. Ma dosyć słuchania pompatycznych bzdur w Radiu 4, które nastawia tylko dlatego, że nie ma z kim rozmawiać.

Ale nawet w utopii nie wszystko jest idealne. Muszę jeździć samochodem godzinę w jedną stronę do pracy w miejscowej klinice, gdzie podnoszę kwalifikacje pielęgniarskie, a w naszym domku jest trochę wilgotno. Pracujemy nad tym.

Wstąpiłam do nowego kościoła. Można tam dojechać główną drogą obok wioski, ale wolę chodzić ścieżką, która biegnie wzdłuż portu na urwisko za plażą. Uwielbiam wspinać się na górę przy biciu kościelnych dzwonów i szumie morza.

Tego ranka poszłam ścieżką i jestem trochę zdyszana po wspinaczce. Żegnaj się w łukowym wejściu na ganek kościoła i schylam głowę. Mijam tablicę ogłoszeniową i stojak na parasole i wchodzę średniowiecznymi drzwiami do kościoła z białymi ścianami i łukowymi oknami. Żadnych witraży, żadnych kolorów, tylko pociemniałe przez lata dębowe ławki i mosiężny ołtarz. Biała kamienna kazalnica i brak miejsca dla chóru.

Sześcioro wiernych. Mężczyzna około pięćdziesiątki w okrągłych okularach na pociągłej twarzy, który zwykle nosi górskie buty, purpurową kurtkę North Face i zieloną wełnianą czapkę z pomponem. Trzy starsze panie z palcami jak sękaty pnie drzew, które siedzą rzędem i trzymają kurczowo modlitewniki. Nastolatka ze szkarłatną szminką na wargach i kolczykiem w nosie. I ja. Ta sama szóstka co tydzień.

Posyłamy sobie wzajemnie półuśmiechy, potem siadamy i czekamy na początek mszy. Bez organów, chóru, ogrzewania, śpiewników i kwiatów. Kobieta pastor o wełnistych włosach i oczach owieczki wygląda jak rodzona siostra Sharon z przychodni. Ma na sobie prostą sutannę bez haftów. Klękamy i łączę się duchowo ze wszystkimi moimi przyjaciółmi w kościele

Świętej Marii. Moje modlitwy splatają się z ich modlitwami. I jak zawsze z twoimi, Rob. Modlę się za ciebie i za Craiga. Za moich synów i za ciebie, Carly. Modlę się za ciebie bardziej niż ktokolwiek, moja przyjaciółko.

Carly

Nadal tu jestem, Jenni. Nie widzę, ale mogę myśleć. Zaczęłam martwa jak pył, ale teraz stałam się mgiełką. Ulotna, przemijająca i szara, przetaczam się nad ziemią o świcie lub o północy, wtykam palce w życie innych ludzi i szukam cię wszędzie, Jenni, żeby się dowiedzieć, co zrobiłaś.

Rob

Najbardziej brakuje mi ciebie w kościele, Jenni, gdy siedzę z Heather, Pippą i moją połową Gospeli i słucham, jak organy obwieszczają początek mszy. Brakuje mi tego, jak odwracałaś się do mnie i uśmiechałaś oczami. Kształtu tyłu twojej głowy, kiedy się modliłaś. Twojej słodkiej bezbronności i mojej dumy, że cię chroniłem. Widzę, jak twoje włosy powiewają za tobą niczym sztandar, gdy wspinasz się ścieżką do twojego nowego kościoła. Widzę cię i wiem, że stale o nas myślisz, bo powiedziałaś mi to przez telefon.

Tej niedzieli Heather i ja zdołaliśmy jakoś oderwać Pippę i naszą połowę Gospeli od telewizora, dać im śniadanie, włożyć czyste ubrania i zdążyć w ostatniej chwili na poranną mszę. Usiedliśmy pospiesznie, daleko z tyłu na prawo od kazalnicy, za poważnie wyglądającą rodziną z długimi nosami. Nie widzimy stąd ani chóru, ani pastora. Rozbrzmiewa pierwsza pieśń i dzieci idą do szkoły niedzielnej. Pippa jest w jaskraworóżowej sukience i ma na włosach gumki z kulkami w tym samym kolorze, które wyglądają jak różowe wiśnie. Chłopcy są w porządnym dzinsach i koszulkach. Pieśń przetacza się przez

kościół, odbija od mosiądzu i cegieł, powoduje wibracje okien i kończy nagle dysonansem. Organista urwał trzy nuty za wcześnie, a chór śpiewał dalej. Siadamy wszyscy i chropowaty zmęczony głos jednej z wiernych zaczyna modlitwy. Modlimy się za nieobecnych przyjaciół.

Za nieobecnych przyjaciół. Za Carly. Za ciebie, Jenni. Widzę cię teraz taką, jaką zobaczyłem cię pierwszy raz, gdy natknąłem się na was obie wieczorem na kanapie w szkole naturalnego rodzenia. Byłyście w zaawansowanej ciąży i wyglądałyście jak wyrzucone na brzeg wieloryby. Craig i ja zwabiliśmy was do pubu w drodze do domu. Tamtego wieczoru, kiedy widziałem cię pierwszy raz, Jenni, szłaś do pubu pod rękę z Carly i zatrzymałyście się na rogu pod latarnią. Pamiętasz? Szepnęłaś coś do ucha Carly, a ona ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu.

Carly, proszę, otwórz oczy i roześmiej się tak jak wtedy. Jenni, musisz być zadowolona. Bądź szczęśliwa z Craigiem. Carly wróci do mnie i Bóg będzie kochał nas oboje wiecznie. Carly do mnie wróci i nasze dusze będą się unosiły w niebie.

Carly

Nie jestem już mgiełką. Jestem kobietą z ciałem uwięzionym w snach. W moich snach upadam. Dodałaś mi czegoś do wina, miało gorzki smak. Upadam. Śmiejesz się z wykrzywioną twarzą. Trzęsiesz się z gniewu i podchodzisz do mnie, kiedy upadam.

– Nikt nie wypożycza Craiga i żyje dalej – mówisz, gdy zapada ciemność.

A gdzieś w ciemności Rob mówi coś głosem, którego nie słyszę.

Jenni

Wiatr uderza w samochód, gdy naciskam mocno pedał gazu. Jestem na szosie nad morzem, jadę w ulewnym deszczu na egzamin pielęgniarski. Przed dotarciem tam nic, nawet siły

natury, mnie nie powstrzyma. Nie jadłam, nie spałam, ale to nieważne, bo adrenalina mnie napędza. Pracowałam tak ciężko, żeby zdać ten egzamin, że nie wyobrażam sobie życia bez zaliczenia go. Egzamin stoi przede mną jak ceglana ściana, którą zamierzam rozwalić. Dopiero gdy ją zburzę, cofnę się, żeby ocenić, jakie szkody wyrządził mi stres. Ale nie ma wyjścia. Craig mało zarabia. Muszę się podciągnąć.

Podróż wydaje się trwać wieczność, gdy auto przedziera się przez poziome strugi deszczu. W końcu dojeżdżam na miejsce, do ratusza naszego miasta targowego. Mimo urokliwego zacofania naszej rybackiej wioski miasto rozczarowuje. Mieszana architektura i za duży ruch, brak funduszy na zbudowanie obwodnicy. Ratusz również rozczarowuje. Wygląda jak brzydka kaplica metodystów, jest odpychającym połączeniem czerwonych cegieł i tynku z kamyczkami. Wchodzę do holu, gdzie tynk odpada od ścian.

Wysokie sufity i echo kroków.

Ściskając piórnik i numer egzaminacyjny, idę do recepcji, żeby dowiedzieć się, dokąd mam pójść.

– W prawo i znów w prawo – informuje recepcjonistka, wskazując kierunek głową.

W prawo i znów w prawo. Otacza mnie mrowie zdających z całej Kornwalii. Przyciszone rozmowy. Czasami nerwowy śmiech. Dostaję mdłości, które się nasilają, kiedy idę. Ludzie wokół mnie nie są pewnie tak przejęci ani zdenerwowani jak ja. Czuję w ustach wymioty i połykam je. Smakują jak camembert. Powracają.

Zapada cisza, gdy wchodzimy do sali egzaminacyjnej. Na biurkach leżą numery zdających. Siadam z boku pierwszego rzędu pod zegarem ściennym. Każde tyknięcie pulsuje mi w głowie. Czekam na pozwolenie odwrócenia arkusza egzaminacyjnego. Nadzorująca egzamin stoi przed nami. Jest w wiśniowym kostiumie i ma różową szminkę na wargach. Róż i czerwień wirują. Żołądek podchodzi mi do gardła, w skroniach mi łupie. Nadzorująca patrzy ostentacyjnie na zegar nade mną, a potem na swój zegarek. Gdy tylko wskazówka minutowa

dochodzi do dwunastej, kobieta mówi:

– Mogą państwo odwrócić arkusze egzaminacyjne.

Robię to drżącymi rękami. Słowa rozmywają się przede mną. Mrugam i odzyskuję ostrość widzenia. Wyłączam się. Już nie słyszę zegara. Łupanie w głowie ustaje. Smak wymiocin w ustach znika. Piszę bez błędów. Zdający odkładają długopisy w momencie, kiedy kończę odpowiedź na ostatnie pytanie. Zdążyłam? Mam nadzieję. Proszę o to Boga.

Craig

Gdzie się podziałaś, Jenni? Nie widuję cię wcale. Przygotowujesz się do egzaminu w sypialni na górze, kiedy nie masz dyżuru w szpitalu. Gdy robisz sobie krótką przerwę, jesteś zbyt zmęczona, żeby ze mną rozmawiać. Przez resztę czasu nie mam szans, bo się modlisz. Kościół w niedzielę. Chór w środę wieczorem. Co dzień rano i przed snem – modlitwa. Twoje nieustanne modlenie się naprawdę mnie irytuje. Siedzisz na stołku przed toaletką, głowę masz spuszczoną, dłonie złożone, jakbyś uważała się za Madonnę albo za anioła. Starasz się, żeby wyrosły ci skrzydła? Nie podoba mi się, że zbyt wiele zdań zaczynasz od słów: „Proszę, Boże”. Powiedziałaś Jono z mojej zmiany, że narodziłaś się na nowo. Od tamtej pory nie zaprasza mnie do pubu. Może myśli, że przestałem pić.

Wczoraj rano zebrałem się na odwagę. Usiłowałem porozmawiać z tobą o wojnie religijnej, która nam grozi. Siedziałaś w swojej stałej anielskiej pozie przed toaletką. Przez jakieś dwadzieścia minut próbowałem ubrać się ukradkiem, żeby ci nie przeszkadzać, w końcu nie wytrzymałem. Stałem za tobą i klepnałem cię w ramię. Odwróciłaś głowę w moją stronę i otworzyłaś oczy. Miałaś nieprzytomne spojrzenie. Byłaś jak w transie. Jakbyś coś wzięła.

– Nie przeszkadzaj mi, Craig, jestem teraz z Bogiem – wycedziłaś dziwnie monotownie.

– Proszę, Jenni, przestań – powiedziałem. – Chodź, usiądź na

łóżku i porozmawiaj ze mną, zanim pójdziesz do pracy.

– Nie mogę. Rozmawiam z Bogiem.

Jenni, chciałbym być dla ciebie tak ważny jak Bóg.

Carly

W moich snach, Jenni, siedzimy w twoim przekombinowanym mieszkaniu z grubym dywanem i jedwabnymi narzutami. Kolor magenta mnie przytłacza. Rozkruszasz jakąś tabletkę w palcach i wrzucasz do mojego wina. Wręczasz mi wielki srebrny puchar i piję z niego. Wino ma gorzki smak, ale je połykam. A ty znów śmiejesz się ze mnie i mówisz, że Rob jest w tobie zakochany. To zabawne, bo przez większość czasu czuję go tu przy sobie. Słyszę jego głos, ale nie mogę się do niego odezwać. Wiem, że jest blisko. Czuję jego dłoń w mojej.

Jenni

Gdy tylko wracam z pracy do domu, Craig mówi:

– Musimy mieć czas dla siebie. Idziemy na kolację. Żeby porozmawiać.

Patrzy na mnie prawie groźnie.

Krzywię się w środku. Nie cierpię rozmawiać, kiedy jestem zmęczona. Nie lubię wyrażenia „czas dla siebie”. Czas to po prostu czas. Nie zdążyłam otworzyć ust, żeby wytłumaczyć, że jestem wykończona, kiedy zjawia się opiekunka do dzieci. Staje w holu, zdejmuje płaszcz i uśmiecha się do Craiga. Wygląda jak młodsze wydanie Gaby Roslin. Ma gładką cerę i figlarny uśmiech. Poznałam ją w kościele. Przyjaciółka przyjaciółki córki naszej pastor. Craig mnie denerwuje, bo za długo patrzy na jej nogi. Żegnamy się z nią – Craig niechętnie. Ma do mnie pretensję, że za dużo się modłę, ale modlitwa podnosi mnie na duchu, kiedy staram się odbudować zaufanie. Zaufanie. Zawiódł moje zaufanie i będę się z tego otrząsać do końca życia, jeśli w ogóle mi się uda.

Na razie próbuję to jakoś przetrwać.

Idziemy w kierunku jego ulubionej restauracji. Trzymamy się za ręce i milczymy. Ten lokal to dawny hangar na łodzie na skraju wsi. Jest środek tygodnia i na ulicy nie ma wielu ludzi. Jakiś starszy mężczyzna w drodze do pubu. Dwóch nastolatków pali papierosy na murze portu. Wieczór pachnie morzem i ciszą.

W dawnym hangarze są teraz czerwone dywany, na kamiennych ścianach wiszą sieci rybackie ze szklanymi kulami i ususzone rozgwiazdy. Na środku każdego stolika płonie czerwona świeczka zapachowa. W połowie tygodnia jesteśmy tu jedynymi klientami. Młoda kelnerka z utlenionymi na biało włosami jest ostrzyżona krótko jak Annie Lennox. Prowadzi nas do stolika daleko w rogu przy sieci rybackiej. Po raz drugi tego wieczoru widzę, jak Craig patrzy na nogi młodej kobiety.

Patrz, ale nie dotykaj, choć wołałabym, żebyś nawet nie patrzył, ostrzegam go wzrokiem.

Siadamy i dziewczyna wręcza nam menu i kartę win, próbując też trochę obciągnąć spódniczkę. Gdyby się poruszała za szybko, spódniczka mogłaby się zadrzeć do góry i miałyby pupę na wierzchu.

– Mogę podać państwu coś do picia? – pyta.

– Dwa džiny z tonikiem, poproszę – odpowiada Craig bez porozumienia ze mną.

Annie Lennox odchodzi i Craig przenosi wzrok na mnie.

Biorę menu i czytam. Lata siedemdziesiąte. Pasztet, koktajl z krewetek. Za dużo steku. Żadnego koziego sera. Żadnych roślin strączkowych. Och, być w domu i zjeść coś zdrowego. Ślinka leci mi na myśl o marchewce i zupie z soczewicy, którą kupiłam wczoraj w sklepie ze zdrową żywnością i włożyłam do lodówki.

Zanim zdecydowałam, jaką potrawę zaryzykować, Annie Lennox wraca z drinkami. Stawia je przed nami. Są przepełnione. Wylewa trochę na stół. Nie wiadomo skąd, wyjmuje miniaturowy bloczek – nie myślałam, że w takiej kusej mini ma kieszeń. Przenosi ciężar ciała na jedną nogę i trzyma długopis w pogotowiu.

– Już państwo wybrali? – pyta.

– Nie – odpowiadam.

– Tak – mówi Craig jednocześnie ze mną.

Annie Lennox patrzy to na mnie, to na niego.

– Dać państwu jeszcze chwilę?

– Tak, proszę.

Annie Lennox znika.

– Nie widzisz nic dla siebie? – pyta Craig z zatroskaną miną.

– Za duży wybór – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

Po kilku minutach podejmuję decyzję.

– Wezmę sałatkę, a potem omlet.

– A jakie wino? – pyta z zapalem w oczach.

– Ty wybierz.

Teraz, kiedy już możemy złożyć zamówienie, kelnerki nie ma, jak to się często zdarza. Siedzimy, czekamy i sączymy dżin. Patrzymy na siebie. Kiedy ostatnio patrzę na Craiga, nie widzę go już tak, jak widzą inni. Wszyscy mi mówią, że jest bardzo przystojny. Po tym, jak się zachował, nie cierpię, kiedy ludzie podziwiają jego wygląd. Uważają, że jestem dla niego za mało atrakcyjna? Że jest zbyt przystojny? Ja już nie widzę tego wyjątkowego Craiga, tylko faceta w średnim wieku z lekką nadwagą, który zaczyna mieć obwisłe policzki i wystający brzuch. Ale to nieważne. Nie muszę widzieć go tak jak inni. Jest częścią mnie i mojego życia.

Annie Lennox wreszcie się zjawia i Craig zamawia za nas oboje. Wybrał pasztet i stek. Za dużo białka, Craig. Annie Lennox odchodzi i tym razem Craig nie zerka na jej nogi.

– Jak ci minął dzień? – pyta.

– Dobrze – odpowiadam.

– Dobrze? – powtarza zirytowany. – Może zwrócisz na mnie uwagę, jeśli zadam ci pytanie jak na egzaminie. Możesz to rozwinąć, wyjaśnić?

Wzruszam ramionami.

– Chodzi mi o to, że nie zdarzyło się nic tak ważnego, żeby o tym rozmawiać. To wszystko.

Bierze moją dłoń w swoją. Patrzy na mnie zmrużonymi oczami i pochyła się do przodu.

– A co uważasz obecnie za tak ważne, żeby o tym rozmawiać?
Biorę głęboki oddech.

– Chcę wiedzieć, kiedy zaczniesz chodzić ze mną do kościoła. I z dziećmi. Przestały to robić, jak wyjechaliśmy ze Stansfield. Chcę, żebyśmy chodzili razem jako rodzina.

Mruży oczy jeszcze bardziej.

– Jenni, wiesz, że nie jestem chrześcijaninem. Rozmawialiśmy o tym przed ślubem.

– Ale teraz jest inaczej. Mamy dzieci. Rosną i potrzebują chrześcijańskiego wychowania.

Czuję łzy w oczach.

Wzdycha i kręci głową.

Annie Lennox wraca. Staje obok stolika, rozsuwa szeroko łokcie i wkręca korkociąg w butelkę. Trwa to całą wieczność, a potem nie może wyciągnąć korka.

Proszę, Boże. Spraw, żeby odeszła.

W końcu udaje jej się otworzyć butelkę. Nalewa wino z dużej wysokości.

Moje modlitwy zostają wysłuchane. Annie Lennox wreszcie się wycofuje.

Nachylam się do Craiga.

– Dzieci muszą być pod silnym chrześcijańskim wpływem.

– Ty im to zapewniasz.

– Poważnie, Craig. Potrzebują jasnego przesłania. Od nas obojga.

Wypija duży łyk wina, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Ja nie mogę tego robić, Jenni. Nie jestem chrześcijaninem. Wiesz o tym.

Carly

Carly, słyszysz mnie? – pyta czyjś głos.

Nie odpowiadam. Leżę owinięta sztywnymi bawełnianymi prześcieradłami i obserwuję, jak kobieta w niebieskim bawełnianym pielęgniarskim stroju naciska brzączyk z boku

łóżka. Pochyla się i patrzy na mnie.

– Jeśli mnie słyszysz, mrugnij – mówi.

Mrugam.

Otwiera szeroko oczy i znów naciska brzęczyk. Usiłuję usiąść, zmagając się z rurką kroplówki, która mnie oplątuje, ale mi się nie udaje. Leżę nieruchomo i patrzę, jak pielęgniarka mi się przygląda. Pokój za nią zaczyna nabierać ostrości – lśniąca, higieniczna biel. Odwracam głowę w bok. Widzę zdjęcie w drewnianej ramce na białej szafce przy łóżku. Rob z dziećmi. Pippa ma palce zagięte jak pazury i udaje, że ryczy. Potem świat się rozmazuje i z powrotem zapadam w sen.

Rob

Muszę jechać. To nagły wypadek.

Idę przez przychodnię, mijam czekających pacjentów i recepcjonistki i wychodzę na parking. Jestem tak rozkojarzony, że nie wiem, czy mogę bezpiecznie prowadzić. Ale nie mam cierpliwości czekać na taksówkę. Wrzucam wsteczny i o mało nie uderzam w stojącego za mną srebrnego mercedesa. Ruch na głównej ulicy uniemożliwia mi wyjazd z parkingu. Same czerwone światła. Parking przed szpitalem jest tak zatłoczony, że muszę zaparkować na trawniku z nadzieją, że nie dostanę mandatu.

Przez podwójne drzwi SOR-u i oddział urazowy prosto na OIOM. Wpadam do twojego pokoju, pielęgniarka dyżurna za mną. Śpisz mocno tak jak rano, kiedy cię zostawiałem. Jestem zawiedziony, łyżę szczypią mnie w oczy. Pielęgniarka dyżurna kładzie mi rękę na ramieniu.

– Obudziła się na jakieś pół godziny. Dopiero co zasnęła z powrotem.

Siadam przy tobie i biorę cię za rękę.

Śpisz, ale nie bez ruchu, powieki ci drżą. Przyglądam się twojej wychudłej twarzy i drżącym kącikom ust i tęsknię za tym, żeby wziąć cię w ramiona i porozmawiać z tobą. Każda minuta

twojego snu wydaje się rokiem. W wyobraźni mówię Pippie i Heather, że się obudziłaś, siedzisz i chcesz je zobaczyć. W wyobraźni trzymam cię za rękę podczas kolacji przy świecach. Ściskam twoją dłoń. Przez moment mam wrażenie, że odpowiadasz mi tym samym.

Carly

W moich snach znów upadam, a ty się śmiejesz, Jenni. Masz wykrzywioną twarz, długie ciemne włosy splątane i zmierzwione. Łąduję na szpitalnym łóżku i otwieram oczy. Rob siedzi przy mnie, nieostry, jakby za mgłą. Uśmiecha się i przysuwa twarz do mnie, ale nadal źle go widzę.

– Słyszę cię, ale nie widzę cię dobrze – mówię. Nie odpowiada. Zamykam oczy, by znów śnić.

Carly

Budzę się w szpitalnym łóżku w pokoju, który jest niewyraźny, jakby był zrobiony ze zmechaconego filcu. Rob jest ze mną i trzyma mnie za rękę. Wyciągam się ku niemu. Chcę poczuć jego wargi na moich. Przysuwa się do mnie. Nasze usta się spotykają.

Słodka elektryzacja.

Przyciskam wargi do jego warg coraz mocniej. Ale potem przypominam sobie, co mam mu powiedzieć. Odsuwam się. Mówię mu o tobie, wredna suko Jenni, choć nie wiem, czy w ogóle wypowiadam jakieś słowa. On mnie nie słyszy. Wyraz jego twarzy się nie zmienia.

Rob

Wczoraj powiedziałaś, że mnie słyszysz, ale nie widzisz. To początek, Carly. Myślę, że trochę mnie widzisz. Dziś

uśmiechnęłaś się, kiedy wszedłem do pokoju. Kiedy pogłaskałem cię po plecach. Kiedy spróbowałem niezdarnie cię przytulić, omijając rurki i przewody. Siedzę i obserwuję, jak leżysz, blada, i oddychasz płytko.

Po chwili zdarza się cud, o który modlę się od miesiący – unosisz niepewnie ciężkie powieki i otwierasz oczy. Nie zamykasz ich. Nachylam się, żebyś mnie widziała, i uśmiecham. Poruszasz się w łóżku i podciągasz do pozycji siedzącej. Masz oczy jak niebieskie kryształy. Patrzysz na mnie. Długo czekałem na ten moment, powtarzałem sobie w pamięci, co ci powiem, ale teraz nie mogę znaleźć słów, żeby wyrazić swoje uczucia. Więc biorę cię za rękę i czekam, aż odezwiesz się pierwsza. Po chwili usiłujesz coś wyszeptać. Przysuwam się z krzesłem do łóżka i pochylam do przodu, żeby cię usłyszeć.

– Rob, musisz ci coś powiedzieć. – Urywasz i ściskasz mocno moją rękę. – Ta twoja wredna suka chciała mnie zabić.

Craig

Znudzony czekaniem na dzieci, stoję i udaję, że studiuję szkolną tablicę ogłoszeń. Podchodzi jakaś kobieta, staje obok mnie i pochyla się do przodu, jakby usiłowała coś zobaczyć. Czuję zapach jej perfum. Choć staram się nie patrzeć na inne kobiety, odwracam się i zerkam na nią. Jest prawie tak wysoka jak ja i ma lśniące jasne włosy do ramion, ostrzyżone na boba. Poprawia je i kręci głową, kiedy czyta. Gapię się na nią, bo nie mogę oderwać od niej wzroku. Ma brązowe oczy, dużo mniejsze niż Jenni, i wydęte wargi. Bardziej wydęte niż Carly. Kilka kropel potu lśni nad jej górną wargą, wyciera je palcem wskazującym. Uśmiecha się do mnie ciepło. Dlaczego tak się uśmiecha? Jest samotna?

– Idzie pan na kiermasz ciast domowych? – pyta.

– To wydarzenie towarzyskie stulecia. Oczywiście, że idę.

Śmieje się uprzejmie.

– Ja też. To w sali gimnastycznej. Proszę ze mną, jeśli nie zna pan drogi.

Idę z nią przez boisko do sali gimnastycznej, gdzie cuchnie przeпоconymi butami sportowymi i przejrzałym serem.

Daj spokój, Craig, znasz zasady. Żadnej kobiety poza Jenni. Nie patrz na nią.

Tej nocy w łóżku bliskość Jenni sprawia, że brakuje mi tchu, jakby w powietrzu było za mało tlenu. Mam erekcję i oddycham szybko. Obejmuję ją i przyciągam do siebie. Pieszczę jej piersi, ale są miękkie i gąbczaste. Płaskie. Nic podniecającego. Sięgam do jej łechtaczki. Rozszerza nogi. Popędza mnie wzrokiem. Wiem, co myśli: „Miejmy to już za sobą, żebym mogła zasnąć”.

Próbuję ją pobudzić, ale nic z tego. Odwraca się ode mnie, otwiera szufladkę swojej nocnej szafki i wyjmuję środek nawilżający, którego ostatnio używa. Smaruje nim siebie i mnie, potem odwraca się leniwie i pozwala, żebym w nią wszedł od tyłu. Jej sutki trochę nabrzmiewają, bo je podrażniam, kiedy pompuję. I teraz to już nie jest Jenni, tylko matka Ruperta – ponętna biuściasta blondynka z piersiami jak dojrzałe wiśnie. Staram się nie myśleć o niej – żadnej innej kobiety, nie myśl o niej. Ale nie mogę. Nie wychodzi mi to. Nie potrafię przestać fantazjować o matce Ruperta.

– Jaki jest Rupert? – pytam Marka następnego dnia przy śniadaniu.

– To cienias.

– Nie chcesz zaprosić go na herbatę?

– Nie, dzięki, tato.

W końcu poznaję ją w pracy. Jest jedenasta wieczorem. Piję gorącą czekoladę i oglądam z Jenni telewizję. Mój telefon dzwoni. Wzywają mnie do remizy. Zrywam się, wkładam mundur i biegnę, bo to tuż za rogiem. Po drodze zapinam kurtkę. Dobrze, że Jono i ja sprawdziliśmy wcześniej wszystkie aparaty

oddechowe. Od tygodni nie mieliśmy wezwania. Jesteśmy naładowani, podekscytowani. Z wyjątkiem Jono, naszego kierowcy. Jest spokojny. Inaczej nie byłoby mu wolno prowadzić. Ruszamy w ciemność, koguty błyskają, syrena wyje. Jedziemy krętymi, wąskimi wiejskimi drogami. Skręcamy na półkolisty podjazd do wolno stojącego domu w stylu georgoriańskim. To prawie dworek o wyważonej architekturze z drzwiami frontowymi jak na Downing Street. Otwierają się drzwi i w progu staje matka Ruperta z mokrymi włosami, owinięta różowym ręcznikiem kąpielowym. Wytrzeszczamy oczy.

– Bardzo mi przykro, że się panowie fatygowali. Byłam w łazience i włączył się alarm przeciwpożarowy.

Jakbyśmy nie zauważyli.

– Zapewniam, że nic się nie pali – mówi dalej. – To musiało być coś na łączu z wami. Może pająk wszedł do detektora albo coś takiego.

Występuję naprzód.

– Nic się nie stało. To nasza praca. Lepiej dmuchać na zimne – mówię za naszego dowódcę z nadzieją, że mnie potem nie ochrzani. – Ale jeśli pani pozwoli, sprawdzimy wszystko.

– Oczywiście. Dziękuję. Mój syn Rupert śpi w swoim pokoju mimo tego hałasu. – Milknie na chwilę. – A męża nie ma.

Cofa się od drzwi. Wciągamy foliowe ochraniacze na buty i wchodzimy do środka. Stoi w holu, kiedy sprawdzamy wszystko. Szybkie zerknięcie do kuchni. Szybkie spojrzenie na bojler i kominki. Już po pięciu minutach wiemy, że wszystko jest w porządku.

– Craig – zwraca się do mnie, kiedy wychodzimy.

Więc zna moje imię.

– Widzieliśmy się przy bramie szkoły, prawda? – mówi i wyciąga rękę, żeby się przedstawić. – Ana. Anastasia Donaldson.

Stoję i patrzę na nią.

– Mógłbyś wpaść jutro i pomóc mi sprawdzić alarm? – pyta. – Firma, która nas obsługuje, nie jest zbyt solidna.

Odpowiedź nie wymaga namysłu.

– Oczywiście.

Następnego dnia jestem u niej punktualnie o dziesiątej trzydzieści, tak jak się umówiliśmy. Tym razem jest ubrana: ma na sobie dzinsy i obcisły golf. Nie patrz na nią, Craig.

– Bardzo dziękuję, że przyjechałeś – mówi, kiedy wchodzi do holu. – To bardzo miłe z twojej strony.

Stoimy i uśmiechamy się do siebie jak para skrępowanych nastolatków, jakby żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć ani co zrobić. Biorę się w garść i przestaję szczyrzyć zęby.

– Ile tu jest detektorów? – pytam.

– W każdym pomieszczeniu jeden. W większych dwa. A panel sterujący jest w piwnicy. – Znów się uśmiecha. – Mam cię zaprowadzić najpierw tam?

– Tak, poproszę.

Idę za nią, jej obcasy stukają na biało-czarnym marmurze. Mijamy obrazy gór i lasów i skomplikowane złote kinkiety. Na końcu holu są drzwi, schodzimy po wyłożonych czerwonym dywanem schodach do piwnicy z betonowym sklepieniem. Zapala światło, widzę rzędy butelek wina i szereg paneli sterowania. Staję przed nimi. Jest ich tyle, że w pierwszej chwili jestem zdezorientowany.

– Panel sterowania czujników dymu jest pierwszy z prawej – mówi i pokazuje go.

– Dzięki.

– Wiesz co, zostawię cię w spokoju. Jak skończysz, zawołaj mnie.

Znika gdzieś w ogromnym domu. Panel sterowania wskazuje, które czujniki dymu wymagają kontroli. Sprawdzam pomieszczenie za pomieszczeniem. Jest ich tyle, że zajmuje mi to kilka godzin. Siedem sypialni. Siedem łazienek. Kuchnia. Jadalnia przy kuchni. Salon przy kuchni. Pokój stołowy. Trzy salony. Oszklona weranda. Pokój śniadaniowy. Dwa gabinety. Kiedy wreszcie jestem gotów do wyjścia, staję w holu i krzyczę:

– Anastasia!

Po kilku sekundach wyłania się z jednego z mniejszych salonów i uśmiecha przyjaźnie.

– Bardzo dziękuję. Poświęciłeś na to dużo czasu. Masz go

jeszcze tyle, żeby wypić kawę przed wyjściem?

Wiem, że powinienem zaprzeczyć.

Ale przytakuję.

Anastasia najwyraźniej lubi dobrą kawę, bo metalowy ekspres jak w Starbucksie stoi z lewej strony kuchni wielkości restauracji. Obraca dźwignie i pokręta i w końcu napełnia dwie małe białe porcelanowe filiżanki. Parują aromatycznie. Siadamy naprzeciwko siebie przy szklanym stole kuchennym. Kawa jest taka mocna, że kaszlę.

– Miło, że mi pomogłeś. Męża nie ma. – Milknie i pochmurnieje.

– Pewnie słyszałeś, że się rozodzimy.

– Nie, nie słyszałem. Moja żona Jenni i ja mieszkamy tu od niedawna. Jeszcze nie należymy do lokalnej mafii. – Milknę na chwilę. – Bardzo mi przykro.

– Mnie nie – odpowiada trochę zbyt zuchwale, żeby zabrzmiało to prawdziwie.

Przygryza dolną wargę, Znam tę sztuczkę. Zadaje sobie ból, żeby powstrzymać łzy. Odrywam wzrok od jej twarzy i patrzę na podłogę, żeby dać jej chwilę czasu.

– Więc to była twoja decyzja, tak? – pytam po kilku minutach.

– Tak.

– To chyba ułatwia sprawę.

– Ale nie było łatwo.

Zaciska palce na uszku filiżanki tak mocno, że obawiam się, że je odłamie.

– To nigdy nie jest łatwe.

– Mówisz, jakbyś wiedział.

– Coś niecoś – Urywam. – Było prawie tak samo źle.

– Prawie? Co się stało?

Wzdycham. Sam nie wiem, dlaczego to robię, skoro dopiero ją poznałem, i wstydzę się tego, co zaszło między Carly i mną, ale mówię Anastasii prawdę.

– Miałem krótki romans. – Milknę. – Moja żona i ja dochodzimy jeszcze do siebie po następstwach tego romansu. Wciąż naprawiamy sytuację.

– W takim razie mnie też jest bardzo przykro – mówi z

niezdarnym uśmiechem.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu, a potem nie mogę się powstrzymać.

– Co się stało u was? – pytam.

Jej oczy wypełniają się łzami, nawet przygryzanie wargi nie może ich powstrzymać.

– Jeszcze nie mogę o tym mówić.

Carly

Jestem zmęczona. Strasznie zmęczona. Leżę tutaj, zasypiam i budzę się. Ludzie przychodzą i odchodzą. Rob. Matka. Pippa. John. Matt. Rob znów tu jest. Trzyma mnie za rękę i podnosi na duchu z dobrocią w zielonych nakrapianych oczach. W tej mieszance odpoczynku, snu i miłości pamiętam, co się wydarzyło. Wiem, że muszę znaleźć słowa, żeby to komuś powiedzieć. Ale ilekroć próbuję, nie wiem, czy je wymawiam. Powoli jednak wracają mi siły. Ostrzegam, Jenni, nie masz wiele czasu. Słyszysz mnie? Niedługo wszyscy się dowiedzą, co zrobiłaś.

Craig

Anastasia Donaldson oczarowuje mnie figurą amazonki i wdziękiem Emilii Fox. Jasne włosy. Brązowe oczy. Doskonałe połączenie. I ten akcent kobiety z wyższych sfer. Wodzę za nią oczami, kiedy zostawiamy i odbieramy dzieci ze szkoły. Przedtem chodziły na lekcje wzdłuż plaży, ale teraz odwożę je samochodem i parkuję jak mogę najbliżej lśniącego nowego range rovera wielkości szkolnego minibusu. Żartujemy z nią o tym.

Carly

Dziś mam ciało jak Herkules – jestem naładowana energią. Budzę się i opuszczam rękę, żeby wezwać brzęczykiem pielęgniarkę. Trzymam przycisk kilka sekund, a jej nie ma. Naciskam go znów. Po chwili pielęgniarka przybiega z oddziału. Podchodzi do mojego łóżka, na wpół skrzywiona, na wpół uśmiechnięta.

– Wszystko w porządku, Carly? – pyta.

– Muszę się zobaczyć z doktorem Willisem. To ważne. Muszę mu coś powiedzieć.

– Może ja mogę pomóc?

– Nie. To musi być on. Chodzi o coś, w czym pomaga mi od lat.

Sprawdza połączenia z urządzeniami. Robi to szybko i sprawnie, ale na tyle wolno, żeby się nie pomylić. Obserwuję ją z żalem. Ja taka byłam. Kiedy zadowolona stwierdza, że wszystko gra, odchodzi od łóżka, żeby wezwać doktora Willisa.

Wraca.

– Jest na sąsiednim oddziale – mówi. – Przyjdzie, jak tylko będzie mógł. – Przygląda mi się uważnie. – Chcesz wody? – pyta.

– Tak, poproszę.

Napełnia szklankę z dzbanka na nocnej szafce i stawia ją na tacy nad łóżkiem w takim miejscu, żebym ją dosięgła.

Potem przechyla głowę na bok i patrzy na mnie.

– Jeśli będę potrzebna, zadzwoń.

Wychodzi.

Siedzę w łóżku, sączę wodę i czekam na doktora Willisa. Patrę na nijakie otoczenie w poszukiwaniu czegoś interesującego, na czym mogłabym zatrzymać wzrok. Ale jedyna kolorowa rzecz to fotografia, którą Rob przyniósł z domu. Zdjęcie naszej rodziny na kempingu w Bretanii. Pippa udaje lwa, pokazując pazury. Dziś wiem, że muszę pokazać swoje.

Doktor Willis idzie, słyszę na korytarzu znajomy stuk kowbojskich butów. Wchodzi, staje przy moim łóżku i pochyla się z zatroskaną miną.

– Jak się czujesz, Carly? – pyta.

- Chciałabym powiedzieć, że dobrze jak nigdy, ale to niezupełnie byłaby prawda.

Śmieje się. Próbuje się śmiać razem z nim, ale mi to nie wychodzi. Przysuwa krzesło i siada przy mnie. Kiedy krzyżuje nogi, spodnie podciągają mu się trochę i odsłaniają krokodyłowe kowbojki.

- Pielęgniarka powiedziała mi, że chcesz się ze mną zobaczyć.

Odrywam wzrok od jego butów.

- Tak. Teraz, kiedy już odzyskałam przytomność i nabieram sił, chcę panu powiedzieć, że jestem pewna, że Jenni Rossiter chciała mnie otruć.

Wyraz jego oczu mówi, że mi nie wierzy.

- Jak? - pyta.

- Dodała mi coś do wina. Wypiłam je i upadłam.

Odchyła się do tyłu na cienkim plastikowym szpitalnym krześle.

- Widziałaś, jak to robiła?

- Nie.

- To skąd wiesz?

Zaciska wąskie wargi, jakby powstrzymywał krytyczny uśmiezek. Mam ochotę walnąć go w nos.

- Skąd to wiesz? - powtarza.

- Po prostu wiem.

Wznosi oczy ku niebu, nie starając się ukryć rozdrażnienia.

- To nie przekona policji.

Głowa zaczyna mnie boleć, ale nic mnie nie powstrzyma przed załatwieniem tego jak należy. Ignoruję więc ból i mówię:

- Nikt mi nigdy nie wierzył, kiedy chodziło o Jenni, i po tym wszystkim, co się stało, pan mi też nie uwierzy. Ale bez względu na to, co pan myśli o moim stanie zdrowia, mam prawo porozmawiać z policją. - Urywam, a potem podnoszę trochę głos. - Żądam rozmowy z policją. Chcę, żeby pan ich tu sprowadził.

Zaciskam pięść i uderzam nią w tacę przede mną. Szklanka spada i woda wylewa się na pościel. Doktor Willis porywa chusteczki higieniczne z mojej nocnej szafki i wysusza co może. Potem odchodzi od łóżka i patrzy na mnie z niepokojem.

- Zadzwoń na policję, żeby przyszli do ciebie. Ale zrobiliśmy ci

badanie krwi, kiedy tu trafiłaś, i miałaś w organizmie alkohol i valium. Uważam, że zażyłaś je przed pójściem do Jenni. – Przerzywa, żeby złapać oddech. – I wiesz, że niesłuszne podejrzenia to duża część twojego problemu. Nie możesz obwiniać Jenni.

Kręcę głową. Łzy złości szczypią mnie w kąciki oczu. Ból głowy się nasila. Ale pokonuję ból i złość i mówię dalej ostrym tonem.

– To, że byłam chora psychicznie, nie znaczy, że straciłam zdolność racjonalnej oceny i że można lekceważyć wszystko, co mówię.

– Carly, ja cię nie lekceważę.

Patrzę na niego tak surowo jak tylko pozwala mi ból głowy.

– Chyba jednak tak.

Craig

Anastasia i ja idziemy na szybką kawę po odstawieniu dzieci do szkoły i bardzo się denerwuję. Lubię to uczucie. Nigdy w życiu nie czułem się taki młody i niewinny, nawet kiedy taki byłem. Czuję się czysty, nieskażony. Jakby moje życie dopiero się zaczynało. Wszystko dlatego, że poznałem Anastasię Donaldson.

Wspomniała od niechcienia o kawie, kiedy szliśmy przez parking. O mało nie puściłem ręki Luke'a. Potem, w drodze do domu, zacząłem się niepokoić, że mógł nas usłyszeć. Nie chcę, żeby powiedział o tym Jenni. Anastasia i ja jesteśmy tylko znajomymi. Jenni nie musi nic wiedzieć. Toteż później, wieczorem, byłem przebiegły. W porze kąpieli (teraz kąpiel jest zawsze przed powrotem Jenni do domu) zagrałem w głupią grę – zgadnij, co tata robi jutro. Na szczęście Luke nie załapał.

Anastasia i ja zostawiamy dzieci w szkole i jedziemy do hotelu The Old Coastie, który ona lubi. Jest położony przy nadmorskiej ścieżce, z dala od wścibskich oczu. Nie jest tak, że mamy jakieś plany, nawet nie flirtujemy, ale mamusie spod szkolnej bramy to straszne plotkary, mistrzyni w przekręcaniu faktów. Ona jedzie pierwsza range roverem, ja za nią. Po kilku kilometrach

skręcamy z krętej wiejskiej drogi w lewo na długi podjazd do hotelu. Roślinność się zmienia. Wzdłuż alejki rosną rododendrony, tak stare, że są wielkości drzew. Jest luty, mają teraz ciężkie pąki, które wiosną rozwiną się w kwiaty.

Dojeżdżamy na miejsce. Parkujemy obok siebie pod starym sękatym dębem w rogu parkingu. Kiedy idziemy do hotelu, niechcący dotykam jej ręki.

The Old Coastie jest bardzo elegancki. O wiele elegantszy niż lokale, do których zwykle chodzę z Jenni. Ona lubi wegetariańskie restauracje z małymi drewnianymi skrzypiącymi stolikami, gdzie serwują sałatki pełne składników, których nie rozpoznaję. Kiedy jest moja kolej na wybór, idziemy do sieciówki z pizzą lub dobrymi stekami. Albo do Old Boathouse. Gorzko wspominam moją ostatnią rozmowę z Jenni w tamtej knajpie.

Anastasia i ja wchodzimy do hotelu, trzymając się za ręce. To stwarza poczucie nieskrępowania. Pierwszą rzeczą, jaką zauważam, jest spokój. Dopiero dziewięta trzydzieści rano, więc mało tu ludzi: tylko starsze małżeństwo na kanapie przy kominku i młoda kobieta, która pije latte i czyta gazetę. Spodziewałem się, że o tej porze będzie spokojnie, ale skórzane fotele i długi lśniący stół z gazetami i magazynami ilustrowanymi stwarzają wrażenie, że tu jest tak zawsze.

Siadamy na kanapie przy dużym wykuszowym oknie z widokiem na wypielęgnowane ogrody i morze za nimi. W chłodny lutowy dzień morze wygląda na lodowate, niezachęcające i odległe. Zamawiamy kawę i ciasteczka pieguski. Anastasia nalega, żeby je wziąć. Mówi, że tutaj są pyszne. Wciąż trzymamy się za ręce.

- Dzięki, że ze mną przyjechałeś, Craig - mówi. - To bardzo uprzejme. Muszę z kimś porozmawiać.

Jej brązowe oczy są dużo mniejsze niż oczy Jenni. I pogodniejsze, mniej smutne.

- Miałeś problemy i pokonałeś je - ciągnie. - Mało kto rozumie, przez co przechodzę. Czuję się strasznie samotna. Opuszczona. Naprawdę chciałam, żeby moje małżeństwo było udane.

Łza spływa jej po policzku. Wyciera ją palcem.

– Tak się czułem, kiedy Jenni mnie zostawiła – mówię.

– Jenni cię zostawiła? Na jak długo? Jak ją nakłoniłeś do powrotu?

– Sam nie wiem. To chyba był szczęśliwy zbieg okoliczności – odpowiadam i wzruszam ramionami. – Twoja kolej. Mów pierwsza. Co się stało? Wyrzucić to z siebie.

Czuję, jak twoje ciało się napręża, twoja noga przywiera do mojej.

Dostajemy kawę i ciasteczka. Przestajemy trzymać się za ręce, jakbyśmy nagle zdali sobie sprawę, że to robimy, a nie powinniśmy. Kelnerka nalewa kawę. Dziękujemy jej i odchodzi.

– Więc co się stało z twoim mężem? Bo ja przeżyłem piekło. Mów, nie krępuj się.

– Jest mi niezręcznie.

Odstawia filiżankę na stół. Może i jest załamana, ale w oczach ma determinację.

– Więc dobrze. – Bierze głęboki oddech. – Ted jest maklerem giełdowym w Londynie. Pracuje na okrągło. Ale urządził nas tutaj. Kupił mieszkanie w Londynie i prawie go nie widzimy. Nie tak miało być. Zamierzał pracować w domu trzy dni w tygodniu. Ale nie mógł. Okazało się to niemożliwe, a przynajmniej tak myślałam. Chciałam sprzedać nasz dom tutaj i wrócić do Londynu, ale się nie zgodził. Pewnie domyślasz się reszty.

– Inna kobieta w Londynie?

– Gorzej.

– Gorzej?

– Wczoraj odkryłam, że ma z nią dziecko.

– Idiota bez mózgu.

– Dokładnie tak pomyślałam.

Nasze spojrzenia się spotykają i z niewiadomego powodu wybuchamy śmiechem. Kiedy przestajemy się śmiać, zjadamy po ciasteczku dla poprawy humoru. Rzeczywiście są pyszne. Kończę pierwsze, sięgam po drugie.

– Chodzi o to – mówi Anastasia – że jeśli mam być ze sobą szczerą, to od jakiegoś czasu czuję, że już go nie znam.

– A jak było, kiedy go znałaś?

- To było tak dawno, że dobrze nie pamiętam.

Patrzę jej w oczy i staram się wyglądać współczująco, ale nie wiem, czy mi to wychodzi. Jenni często mi przypomina, że empatia nie jest moją silną stroną.

- Właściwie - mówi Anastasia - chyba to dobrze, że znalazł sobie kogoś innego. Nie rozumieliśmy się. Ted wszystko krytykował i kontrolował. Chcę kogoś lepszego. Kogoś, kto mnie przyjmie taką, jaka jestem. Kogoś, z kim będę miała frajdę.

- Ja też.

- Chyba mówiłeś, że jesteś szczęśliwy ze swoją żoną?

- Mówiłem, że wciąż naprawiamy sytuację po moim romansie. Sztynnie lekko.

- Wspomniałeś o tym. Dlaczego ją zdradzałeś?

Wzruszam ramionami.

- Nie wiem. Może Jenni już mi się znudziła, tylko nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Urywam i zastanawiam się nad tym. - Więc może to było wołanie o pomoc.

- O pomoc?

- Tak. Żeby sprowadzić nasz związek z powrotem na właściwy tor. Albo go zmienić.

Kończy wystygłą kawę i przygląda mi się.

- Więc naprawdę uważasz, że romans to wołanie o pomoc? - pyta.

- Nie wiem, ale to dobre wytłumaczenie.

- Rzeczywiście - odpowiada i zaczyna chichotać. - Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Jeszcze nie spotkałem takiej kobiety. Nie zwraca uwagi na moje złe uczynki i się śmieje.

Carly

Jest policja. Kiedy byłem młodsza, nazywaliśmy ich glinami. Przyszli we troje. Dwóch mężczyzn i kobieta. Otaczają mnie. Stają wokół mojego łóżka. Pielęgniarka skacze koło nich. Pomaga im. Przysuwa krzesła, żeby usiedli. Proponuje herbatę. Dobrze, że

mam własny pokój, bo inaczej wszystkie pacjentki by podsłuchiwały. Policjantka ma pięknie obcięte włosy. Musi chodzić do naprawdę drogiego fryzjera. Jak wrócę do normalnego życia, chciałabym się dowiedzieć, gdzie. Przedstawili się i pokazali mi swoje odznaki, ale nie pamiętam, jak się nazywają. Nazwisko kobiety zaczyna się chyba na literę „A”. Siadają za blisko mnie, robią tłok, dostaję klaustrofobii. Ich ciemne mundury nadają im powagi – zbrodnia i śmierć unoszą się wokół nich jak sępy. Dlaczego kiedyś nazywaliśmy ich glinami?

Policjantka nachyla się do mnie.

– Chciała pani z nami porozmawiać o tym, co panią spotkało – mówi.

Wszystko jej powiedziałam, Jenni. Słyszysz mnie? Wszystko, co zrobiłaś.

Rob

Kiedy przychodzę cię odwiedzić, Carly, siedzisz w fotelu w nowej sukience, którą Heather przyniosła ci wczoraj – chabrowej, jak twoje oczy. Świeżo umyte włosy w lokach okalają owalną twarz. Zawsze byłaś piękną, prawda? Dodawałaś kolorytu wszędzie, dokąd poszłaś. Nadal tak jest. Wbrew wszystkiemu. Wbrew chorobie.

Rozpromieniasz się na mój widok. Wstajesz i podchodzisz do mnie. Przytulasz się tak mocno, że ledwo mogę oddychać. Obejmuję cię i głaszczę po plecach dla dodania ci otuchy.

– Wracasz do zdrowia, Carly – mówię. – Doktor Willis jest z ciebie bardzo zadowolony. Uważa, że rozmowa z policją ci pomogła. Zrobiłaś duże postępy w ciągu ostatnich tygodni.

– To takie trudne – szepczesz. – Nie mogę się doczekać powrotu do domu.

Craig

Anastasia i ja jesteśmy przyjaciółmi, i nie mam na myśli Facebooka. Odkąd się zaprzyjaźniliśmy, stale śpiewam w duchu. Starą piosenkę, którą wiele lat temu znałem na pamięć. Moja babcia ją lubiła, wykonywał ją Fats Waller. To głupia piosenka, której dzisiaj nikt już nie śpiewa. *Let's sing again, let music in your heart...* Utkwiła mi w głowie, a od dawna nie miałem ochoty niczego śpiewać. Śpiewam ją o dziwnych porach. W drodze do szkoły z dziećmi. W drodze do supermarketu. Wczoraj przyłapałem się na tym, że nucę ją w łóżku.

Carly

Chodź, Carly, połóż się na kozetce. Odpręż się. W takiej pozycji, w jakiej jest ci najwygodniej.

Zrzucam buty i kładę się na wznak, jak zwykle. Ręce wzdłuż boków, wzrok utkwiony w lśniącem suficie w kolorze złamanej bieli. Zamykam oczy. Pierwsze akordy *Groty Fingala* rozbrzmiewają w pokoju. Staram się odprężyć, zatracić w nich.

– Nabierz dużo powietrza – instruuje doktor Willis. – Zatrzymaj je. A teraz wypuść. Powoli pozbywaj się gniewu.

Oddycham wolno. Wdech, wydech. Wolno, aż prawie zasypiam. Ale w momencie, gdy doktor Willis wyłącza muzykę, siadam prosto.

– Muszę z panem porozmawiać – mówię.

Marszczy czoło.

– Znowu? Chcę, żebyś się odprężyła, Carly.

– Myślałam, że rozmowa jest dobra.

Tłumi westchnienie.

– Robimy postępy, Carly. Mówiłem o tym Robowi. O tym, jak idziesz naprzód od wizyty policji.

– Właśnie o tym chcę porozmawiać. Powiedział mi pan, że niczego nie znaleźli. Żadnego dowodu. Chcę znać więcej szczegółów.

– No dobrze, Carly. Powinienem wytłumaczyć to dokładniej, ale nie chciałem ci mącić w głowie, dopóki nie poczujesz się dość dobrze, żeby sobie z tym poradzić. – Urywa. – Na pewno jesteś dziś na to gotowa?

Siedzę na kozetce z wyprostowanymi plecami i założonymi rękami. Wpatruję się w niego.

– Bardziej niż kiedykolwiek – odpowiadam.

Bierze głęboki oddech.

– Śledczy zrobili trzy rzeczy. Po pierwsze, przesłuchali jeszcze raz sierżant Anitę Berry, która była u Jenni tamtego wieczoru, kiedy zabrano cię do szpitala. Po drugie, prześwietlili dokładnie Jenni. – Chwila ciszy. – Po trzecie, powtórzono badanie twojej krwi z nocy, kiedy trafiłaś do nas. I...

Wznoszę ręce i oczy ku niebu i kończę za niego.

– Nie znaleźli żadnego dowodu, że Jenni mnie otruła – mówię.

– Zgadza się.

Przyglądam się jego pewności siebie. Żałosnej zaczesce. Muszce. I narasta we mnie gniew. Nikt mi nie wierzy, kiedy jestem tu uwięziona. Nachyla się do mnie. Wiem, co powie.

– Nie posuniesz się naprzód z leczeniem, dopóki nie przyjmiesz do wiadomości, co się naprawdę stało. – Milknie. – Im prędzej pogodzisz się z tym, że po raz drugi usiłowałaś popełnić samobójstwo, tym lepiej będziemy mogli stawić czoło twoim problemom, i tym prędzej będziesz mogła wrócić do domu.

Gniew jest moją siłą, moją energią. – Wie pan, że tego chcę.

– Spróbujmy jeszcze raz, Carly. Następną terapią relaksacyjną.

Z powrotem włącza muzykę. Kładę się i staram się ją tolerować. Gniew jest moją siłą, moją energią. Będę go ukrywała i wykorzystam do ucieczki.

Craig

Nie powinienem posuwać Anastasii. Obiecałem sobie i Jenni, że nigdy więcej jej nie zdradzę. Ale kiedy jestem z Anastasią, reszta się nie liczy. Nie widzę świata poza nią.

Nie chodzi tylko o to, że ją posuwam. Jestem w niej zakochany. Wiem, że powinienem przestać, ale nie mogę. Potrzebuję więcej czasu. Uporządkuję swoje życie, żebym mógł być tylko z nią. Wytłumaczę to delikatnie Jenni. Wszystko się uda. Wszystko będzie dobrze. Pewnego dnia zapanuję nad swoim życiem. Pewnego dnia zrobię wszystko jak należy.

Jenni

Rob poprosił, żebym przyjechała do Stansfield i odwiedziła cię, Carly. To daleka droga, trudne zadanie dla mnie teraz, wziąć dzień wolny w pracy, wstać wcześniej, żeby zdążyć na pociąg pospieszny i upewnić się, że Craig poradzi sobie z dziećmi. Ostatnio wydaje się rozkojarzony. Mniej się ze mną kłóci z powodu mojej miłości do Boga. Mniej mnie krytykuje z powodu wegetariańskiej diety. Jest trochę roztrzepany. Mam nadzieję, że się nie rozchoruje. Musiałam dokładnie mu wytłumaczyć rozkład dnia dzieci, kiedy mnie nie będzie. Ale bez względu na to, jak bardzo kłopotliwa była ta wyprawa, cieszę się, że przyjechałam, Carly. Rob powiedział, że z powodu twojej paranoi na moim punkcie jest bardzo ważne, żebyś zobaczyła się ze mną, zanim wypiszą cię ze szpitala.

Uśmiechasz się do mnie oczami, jak robiłaś to przed chorobą. Trzymam cię za rękę. Są ciepłe.

– Chciałam, żebyś przyjechała – mówisz – bo musiałam ci pokazać, że już mi lepiej. Tym razem naprawdę lepiej. Wiem, że miałam urojenia na twój temat, co musiało być dla ciebie trudne. Ale... – Urywasz i wpatrujesz się we mnie niebieskimi oczami. – Naprawdę mam to już za sobą.

Twoje włosy przypominają watę cukrową i mienia się w elektrycznym świetle. Przez chwilę wyglądasz jak duch. Choć mówisz, że już ci lepiej, chorowałaś tak długo, że nie mogę wyzbyć się podejrzeń.

– Co ci tak pomogło? – pytam, starając się stłumić niepokój w głosie.

- Staranniejsze zbalansowanie leków. Psychoterapia poznawczo-behawioralna z człowiekiem, który praktycznie ją stworzył, nie mogłam więc trafić lepiej. I czuję się dobrze. - Uśmiechasz się i unosisz ręce. - Nie jestem już chora. Wysłałam z tego. Tak, jakby ktoś nagle przestawił mi w głowie jakiś przełącznik i wyzdrowiałam. Wszystko wróciło do stanu sprzed depresji, jakbym w ogóle jej nie miała.

- Czytałam, że wyleczeni ludzie często tak mówią - odpowiadam.

- Tak, wiem. To znaczy, nadal biorę mnóstwo leków, łącznie z prozakiem, i pewnie będę musiała to robić do końca życia, ale co to za problem? One po prostu trzymają biochemię mojego mózgu w równowadze i regulują poziom serotoniny. Wydaje mi się, że świat ma teraz inny kolor, Jenni.

- A jaki miał przedtem? - pytam ostrożnie.

- Czarny. Czarny jak smoła.

Czarny jak smoła. Wzdrygam się wewnątrz i modlę. Proszę, Boże, spraw, żeby tym razem całkowicie wyzdrowiała. Jeśli tak się nie stanie, nie wytrzymamy tego. Ani ja, ani Rob. Dobry Boże, proszę, nie każ nam przeżywać tego jeszcze raz.

Carly

Kiedy ostatnim razem Rob wiózł mnie ze szpitala do domu, byłam w euforii. Świat na zewnątrz przesunął się obok mnie jak na kinowym ekranie, każdy szczegół był wyostrojony i powiększony. Pamiętam, że deszcz siekł w kałuże. Gdy dziś Rob wiezie mnie do domu, świat jest stonowany i normalny. Dziś naprawdę jadę do domu.

Rob

Wyśpiewuję w duchu chwałę Pana. Odzyskałam moją Carly. Prawdziwą Carly. Tę, którą poznałem w szpitalu tyle lat temu.

Kiedy ostatnim razem wróciła do domu, była zbyt radosna i nie panowała nad swoim pićciem. Przypominała nadmuchany balon, który może pęknąć przy jednym delikatnym ukłuciu. Ale teraz uśmiecha się tak jak kiedyś, jednocześnie oczami i ustami. Śmieje się z tego, co kiedyś ją śmieszyło. Płacze z takich samych powodów jak kiedyś. Jest w harmonii z tempem i rytmem wszechświata. Ma równowagę niezbędną do przetrwania.

Carly

W weekend wielkanocny uciekamy ze Stansfield – ładujemy się w piątkę do naszego volvo kombi. Mimo że jeszcze nie wyjechaliśmy, zaczynam czuć zapach morza i serce bije mi mocniej na wspomnienie rodzinnych wakacji. Zawsze mieliśmy taką rodzinną tradycję, że ten, kto pierwszy zobaczył morze, musiał krzyknąć: „Neptun!” Jak zbliżymy się do wybrzeża, każę naszym dzieciom zrobić to samo. Śmieją się i żartują z Gospeli. Są podekscytowane, że zobaczą Jenni. Zawsze bardzo ją lubiły. Teraz prawie jej nie widzimy. Ta myśl sprawia mi ból. Żałuję swojego agresywnego zachowania. Nic dziwnego, że się wyprowadziła, żeby zacząć wszystko od nowa. Ale powinnam być nastawiona pozytywnie. Życie dobrze mi się układa od powrotu ze szpitala. Znów jestem Carly Burton. Osobą, jaką byłam, kiedy wychodziłam za Roba. Pogodną Carly Burton.

Tak nazywali mnie przyjaciele. Tak się teraz czuję. Błyskotliwa. Szczęśliwa. Pogodna.

Podróż na południowy kraniec Kornwalii to wyprawa bez końca. A przynajmniej tak mi się wydaje, gdyż przez wiele godzin widzimy tylko szarą wstęgę autostrady. Słuchamy, jak Stephen Fry czyta *Harry'ego Pottera*. Bawimy się w zgadywanie. Drzemiemy sporadycznie – wszyscy, oprócz Roba, który prowadzi. Wreszcie sceneria staje się bardziej interesująca, gdy zjeżdżamy z M5 na A38 w kierunku Dartmoor. W pewnym momencie budzę się i widzę Jamaica Inn jak w powieści Daphne du Maurier.

W końcu, zeszywniali od długiej jazdy, docieramy do Trethynion, rybackiej wioski niedaleko Penzance, dokąd uciekli Jenni i Craig. Ich wioska jest piękna jak bombonierka. Przylegające do siebie domki, które przypominają zęby, otaczają półkołem mały port rybacki z kutrami. Jest tu pub, kioski z prasą, nieczynna stacja ratownictwa morskiego i niewiele więcej. Przypuszczam, że większość domków wynajmują wczasowicze. Czy to rzeczywistość? Jest tu jakieś życie? Jenni twierdziła, że tak, kiedy rozmawiałam z nią przez telefon. Turkusowe morze i białe domki. Mewy wrzeszczą nad nami, wykrzykując morskie opowieści. Ludzie z przeszłości – piraci, przemytnicy, rybacy – szepczą do mnie.

Craig i Jenni wychodzą z domku. Obejmują nas, całują i prowadzą tam, gdzie możemy zaparkować – na zakręcie drogi naprzeciwko stacji ratownictwa. Jenni i ja znów się obejmujemy. Ma ramiona jak patyki. Jest chudsza niż kiedykolwiek. Craig uśmiecha się do mnie powściągliwie bez kontaktu wzrokowego. Nie musisz mnie ignorować, Craig. Nie jestem już niebezpieczna. Nie widzisz tego?

Meldujemy się w pubie, gdzie zamieszkamy, bo u Craiga i Jenni nie ma dość miejsca, żeby nas przenocować. Potem spotykamy się w barze. Dzieci są tak zadowolone ze spotkania, że nie mogą usiedzieć spokojnie. Nawet Pippa, która stara się być rozsądna i nakłonić chłopców do gry w karty. Staje przede mną z rękami na biodrach.

– Mamusiu, jak oni zaraz nie zaczną się dobrze zachowywać, to zabiorę ich na spacer.

Nie jestem pewna, czy chcę się martwić o dzieci chodzące w ciemności po portowym murze, więc żeby je czymś zająć, daję im pieniądze na szafę grającą. Kiedy Metallica zaczyna się produkować z migającego urządzenia w kącie sali, natychmiast żałuję tego pomysłu. Dlaczego dzieci nie rodzą się z wyłącznikiem? Na szczęście wkrótce budują domki z podstawek pod piwo, piją napoje gazowane i jedzą chipsy. Jenni i ja siedzimy obok siebie przy butelce wina rioja. Craig i Rob pociągają piwo po drugiej stronie stołu. W pubie pełno jest belek, mosiądzu i

zakamarków. Pod sufitem wiszą fajansowe kufle. Wzorzysty dywan i aksamitne zasłony wyglądają, jakby były tu od pięćdziesięciu lat. Jenni patrzy na mnie oczami jak czekoladowe krążki.

– Gratulacje z okazji zdania egzaminu pielęgniarskiego – mówię.
– To duży krok naprzód.

– Nabieram pewności siebie. Kiedy wróciłam do pracy, był taki czas, że nie myślałam, że mi się to uda.

– Bardzo przepraszam za to, jak cię traktowałam, kiedy przyszedłaś do przychodni.

Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Carly, proszę, daj spokój. Nie chciałaś. Było, minęło.

– Na szczęście.

Odwracam się i patrzę na Craiga. Wydaje się rozkojarzony, nie słucha Roba i wygląda przez okno. Nagle wstaje.

– Przepraszam na chwilę. Właśnie dostałem esemesa od kolegi z innej zmiany, że jest na parkingu. Szef chce, żebym poprosił go o przysługę, bo go znam, mogę więc z nim pogadać osobiście, skoro tu jest. Jeśli teraz z nim porozmawiam, to nie będę musiał dzwonić do niego później. Nie macie nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie – odpowiada Jenni.

Craig pochyła się, całuje ją i wychodzi z pubu. Jestem ciekawa, co kombinuje. Jak wygląda ten jego kolega z pracy. Chcę zobaczyć kawałek jego życia. Wstaję i oznajmiam Jenni i Robowi, że muszę iść do toalety. Ale kiedy dochodzę do łukowych drzwi frontowych pubu, nie skręcam w lewo do damskiej toalety, tylko w prawo, na dwór. Nie widzę Craiga na parkingu. Widzę dużą postać, która musi być nim, dalej, na murze portu. Biegnie w kierunku wysokiej blondynki, która stoi i patrzy na morze. Zatrzymuje się przed nią, a ona odwraca się do niego. Obejmuje ją w talii, przyciąga do siebie i całuje. Czule. Craig, jak możesz? Jesteś obrzydliwy. Jak śmiesz znów oszukiwać Jenni? Serce wali mi ze złości, gdy ruszam z powrotem do pubu. Masz szczęście, że jeszcze się nie dowiedziała. Całować publicznie kogoś innego! Na razie nic ci nie grozi – Jenni wciąż rozmawia z Robem.

Craig, co ty robisz z tą olbrzymką prawie twojego wzrostu?

Dlaczego chcesz kogoś poza Jenni, skoro nie chciałeś mnie?
Powiedz mi, Craig. Proszę.

Craig

Leżę w łóżku Anastasii umoszczony między prześcieradłami z egipskiej bawełny i trzymam ją w ramionach.

- Ona wie - mówię.

- Jenni?

- Nie, Carly. Jej przyjaciółka z czasów, kiedy mieszkaliśmy w Stansfield. Widziała nas na murze portu.

- Skąd wiesz?

- Jak się całowaliśmy, odwróciłem się na chwilę. Chyba stała przy drzwiach pubu i patrzyła w naszą stronę. Nie byłem pewien. Ale miała straszną minę, kiedy wróciłem do pubu.

- Powiedziała coś?

- Tylko wzrokiem. Uważam, że jest niebezpieczna. To suka. Znam ją. Powie Jenni, to tylko kwestia czasu.

- To ta kobieta, o której mi mówiłeś? Ta, która się w tobie zadurzyła i spowodowała cały problem?

- Tak.

Anastasia przytula się do mnie mocniej.

- Kocham cię, Craig. Nie chcę ci komplikować życia. Może nie powinniśmy się spotykać przez jakiś czas?

Przyciągam ją do siebie i całuję w usta.

- Nie powinniśmy. Ale nie wytrzymałbym tego. Musimy zaryzykować.

Jenni

Czuję, jak znów się ode mnie oddalasz, Craig. To się zaczęło kilka tygodni temu od jakiegoś niejasnego wrażenia, było jak deszczowa mgiełka w powietrzu, która sprawia, że jest mokro, choć nie pada. Ale jest coraz wyraźniejsze. Po romansie z Carly

nie dam się znów zdradzić. Tym razem jestem czujna. Sprawdzam twoje esemesy, kiedy śpisz. Przeglądam mejle. Przeszukuję kieszenie, każde miejsce, gdzie możesz coś schować. Na razie znalazłam tylko uzgodnienia dotyczące spotkania ze strażakami w pubie, kwit z pralni chemicznej i dwa papierki po toffi. Ale dokądkolwiek chodzisz, cokolwiek robisz, Craig, ostrzegam cię – uważaj. A ponieważ jeszcze cię nie nakryłam, rozszerzam inwigilację.

Nic ci nie mówiąc, biorę w pracy wolny dzień, ubieram się, odstawiam dzieci do szkoły, bo dziś moja kolej, i udaję, że jadę do szpitala. Ale zawracam, parkuję samochód na miejscu dla przyjezdnych przy stacji ratownictwa i czekam. Pół godziny później mija mnie twoje auto.

Odwalasz dziś papierkową robotę w domu? Dokąd się wybierasz, Craig?

Ruszam za tobą jak bohaterka telewizyjnego serialu kryminalnego. W telewizji aktorka zawsze sprawia wrażenie, że to dla niej nic wielkiego. Siedzi swobodnie za kierownicą i patrzy idealnie umalowanymi oczami w dal. Ale ja pochylam się do przodu i wybałuszam oczy, żeby widzieć twoje małe szare polo. Staram się, żeby rozdzielał nas przynajmniej jeden samochód, bo wtedy ty mnie nie zobaczysz.

Wyjeżdżasz z naszej wioski na główną drogę w kierunku Penzance. Skręcasz do sąsiedniej wioski. Ruch jest tak mały, że muszę trzymać się daleko z tyłu. Kręte wąskie drogi i gęste żywopłoty. Tyle zakrętów, że jest mi niedobrze. Wjeżdżasz na półkolisty podjazd. Parkuję za żywopłotem. Obserwuję cię z za dębu. Postawiłeś nasze polo byle jak przed georgoriańskim wejściem, jakbyś był u siebie. Wyglądasz kurtkę i dzwonisz do drzwi. Palladiański dom ciągnie się w prawo i w lewo od ciebie. Symetryczne piękno. Perfekcja. Wokół również – wypielęgnowane żywopłoty, łagodnie opadające trawniki. Chodząca doskonałość wyłania się z otaczającej ją doskonałości, odrzuca głowę do tyłu i całuje cię.

Judasz.

Craig

Dokądkolwiek idę, wodzisz za mną oczami, Jenni. Komentujesz nawet to, ile czasu spędzam w toalecie. Ale gdybyś się dowiedziała o Anie, chybabyś mi powiedziała?

Jenni

Craig, miłości mojego życia, mój ukochany, odkąd kupiłam ci w prezencie nowiutki iPhone z lokalizatorem, cały czas wiem, gdzie jesteś. Wiem, dokąd jeździsz. Głównie do domu, w którym kiedyś mieszkała z mężem. Czasami spacerujecie wzdłuż klifów. Czasami trzymacie się za ręce, gdy przechadzacie się wzdłuż plaży. Czasami szpanujecie w The Old Coastie. Czasami idziecie do pubu. Wiem, dokąd chodzicie. Wyobrażam sobie, co robicie. I to mnie dręczy. Zzera.

Carly

Sobotnie popołudnie. Dzwonię na twoją komórkę, Jenni, i natychmiast odbierasz. Gdzie jesteś? Źle cię słyszę. Twój głos jest przytłumiony, jakby wiało. Idziesz nadmorską ścieżką do kościoła? Zabrałaś nas tam, kiedy przyjechaliśmy w odwiedziny. Pamiętasz? Ty i Rob weszliście do środka. Ja zostałam na dworze. Nie lubię kościołów. Duszę się w nich, nie mogę oddychać.

- Wszystko w porządku, Jenni? - pytam.

- Tak - odpowiadasz.

Mówisz, że tak, ale po tonie twojego głosu poznaję, że nie.

- Co robisz? - pytam.

- Idę - odpowiadasz.

- Do kościoła?

- Nie. Wzdłuż klifu do sąsiedniej wioski.

- Chyba wieje.

- Dodaje mi to energii.
- Gdzie są dzieci?
- Na przyjęciu w wiosce. Odbieram je potem.
- A co z Craigiem?
- Poszedł gdzieś z kimś.

Głos masz napięty jak za mocno naciągnięta struna.

Poszedł gdzieś z kimś? Dowiedziałaś się o jego amazonce? Dowiedziałaś się, że cię oszukuje? Nie tylko ciebie zresztą – mnie też oszukał. Dlaczego chce kogoś poza tobą, skoro nie chciał mnie?

Craig

Leżę w łóżku z Aną. Czuję jej zapach. Patrzę jej w oczy. Chcę, żeby ta chwila trwała wiecznie. Południowe słońce prześwieca przez zasłony i przypomina mi, że za nimi jest jakiś świat.

- Kiedy jej powiesz? – pyta Ana.

- Daj mi dwa tygodnie. Powiem jej, jak chłopcy pojedą do dziadka na przerwę semestralną. Lepiej, żebym to załatwił, jak ich nie będzie. Dostała szału z powodu Carly, której nie kochałem. Tym razem... – milknę na chwilę – mnie ukrzyżuje. Albo pośle do piekła, żebym tam spłonął.

- Naprawdę uważasz, że jest niebezpieczna?

Śmieję się.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Nie mówisz tego przekonująco. I co z tą drugą, z Carly? Długo ci się narzucała, od kiedy z nią zerwałeś. Ona też jest niebezpieczna?

Carly

Pippa pomaga mojej matce nakryć do stołu. Ma już prawie dziewięć lat. Jest wysoka, jak na swój wiek, długonoga i wygląda strasznie dorosłe w lewisach i bluzie Victoria's Secret, którą

babcia kupiła jej na Gwiazdkę. Gotuję makaron, podgrzewam kupny sos i już mam zawołać chłopców z ogrodu, gdy pojawia się Rob. Przechodzi przez kuchnię, żeby mnie pocałować. Zawsze tak robi. Pachnie drzewem sandałowym. Jest taki dobry. Zawsze był. I zawsze będzie. Jego dobroć pomogła mi przetrwać. Po pocałunku kieruje uwagę na moją matkę i Pippę.

Wkrótce makaron paruje na stole. Chłopcy zostali odciągnięci od wiecznej gry w siatkówkę przez siatkę, którą rozciągnęli na całą szerokość ogrodu. Pippa zmusiła ich do umycia rąk, zanim usiedli. Nakładam wszystkim makaron i z końca stołu, gdzie siedzę, mówię do Roba:

– Dzwoniłam dziś do Jenni.

Atmosfera w pokoju gęstnieje.

– I co u niej? – pyta Rob.

– Coś jest nie tak.

Rob patrzy na mnie z niepokojem. Niepokoi się o mnie, czy o Jenni?

– Skąd wiesz? Co mówiła?

– Nic. Po prostu wiem.

Ma poważną minę.

– Skoro nic nie mówiła, to skąd wiesz?

– Po prostu wiem – odpowiadam z naciskiem.

Siedzi i gapi się na mnie, a makaron stygnie.

– Tak mówiłaś, kiedy... no, wiesz...

Kiedy uważałam, że ona mnie otruła – o to mu chodzi. Ale nie chce tego powtarzać przy dzieciach.

– Musisz skończyć z tym swoim: „po prostu wiem” – ciągnie, dziobiąc wściekle makaron widelcem.

– Już jestem zdrowa, Rob. Nie wszystko, co mówię i robię, jest wymysłem.

Jenni

Judasz. Wróciłeś z szybkiego piwka ze strażakami z twojej zmiany – w samą porę, żeby zająć się dziećmi. Wychodzę na

przyjęcie rady parafialnej w zakrystii i zostawiam ci wieczorne pstrykanie pilotem telewizora. Ale nie znajdziesz nic dla siebie – zablokowałam kanały porno.

– Wydaje mi się, że widziałam dziś Carly – mówię i sięgam po płaszcz na wieszaku przy drzwiach.

Podnosisz wzrok, zaskoczony.

– Naprawdę?

– Szłam za nią z parkingu. Maszerowała w kierunku pubu. Spotkanie przy lunchu, jak przypuszczam. Biegła tak szybko, że nie mogłam jej dogonić. Zawołałam ją kilka razy po imieniu i odwróciła się. Dopiero wtedy zobaczyłam, że to chyba ta wysoka kobieta ze szkoły – Ana, jak mi się zdaje. Z daleka przypomina Carly. Tak naprawdę nie widziałam, która z nich to była, ale Carly nie przyjechałaby taki kawał drogi bez powodu, więc to nie mogła być ona.

Obserwuję go jak sęp. Jego mina się nie zmienia.

Judasz.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. Uznałam, że jestem głupia, bo to nie może być Carly, skrzyłam i poszłam w inną stronę.

Wkładam płaszcz, przechodzę przez pokój i całuję go na pożegnanie.

– Nie będę tam długo. W piecyku jest wołowina po burgundzku. I przelałam do karafki butelkę Louis Jadot. Beaujolais Villages. Twoje ulubione. Baw się dobrze.

Posyłam ci całusa i wychodzę.

Craig

Wychodzisz w noc. Słyszę, jak drzwi zamykają się za tobą. Bawisz się ze mną, wspominając o Carly i Anie. Nie są aż tak podobne do siebie. Chyba że w twojej głowie. Sygnalizujesz mi, że wiesz? Wkrótce wszyscy poznają prawdę. Będę musiał stawić temu czoło. Ty też. Jeśli już wiesz, jestem w stanie ci się przeciwstawić. Poradzę sobie z twoim gniewem. Czekałem

trochę dłużej tylko dlatego, żeby chłopcom było łatwiej. Ekran telewizora migocze przede mną. Niczego nie oglądam, nic nie jest ważne. Badam swoje uczucia wobec ciebie, Jenni. Ale nic nie czuję. Jestem otępiały. Myślałem, że cię Kocham, ale tak naprawdę chyba po prostu chciałem cię chronić.

Wyszasz mnie. A Ana mnie nasycyca.

Ana, Ana, Ana. Szkoda, że nie spotkałem jej dziesięć lat temu. Moglibyśmy zrobić razem tyle rzeczy. Ana mnie słucha. Rozśmiesza. Śmiech to potęga. Wie, że nie jestem doskonały i nie przeszkadza jej to. Wybacz mi. Żyje dla siebie, nie dla Jezusa.

Jezus.

Twoja fiksacja religijna się nasila, Jenni. Chodzisz teraz do kościoła codziennie. Modlisz się godzinę co rano i co wieczór. Siedzisz w pozycji kwiatu lotosu, palisz kadzidełka, słuchasz śpiewu zakonników i szepczesz dziwacznie. To w tobie, co kiedyś wydawało się sympatyczne i oryginalne, teraz stało się pozaziemskie, jakby twoje życie zatrzymało się w oczekiwaniu na dalszy ciąg w niebie. Ana jest taka jak ja, żyje chwilą. Muszę się od ciebie uwolnić, Jenni, żeby zaczynać każdy dzień jak należy. Pomyliłem zauroczenie z miłością i teraz muszę odejść. Jak ci to powiem? Jak wytłumaczę? Zaczynam to sobie wyobrażać.

– Musimy porozmawiać.

Spokojny głos. Kamienna twarz. Głęboki oddech.

– Musimy porozmawiać, Jenni. Obawiam się, że popełniłem straszny błąd, wracając do ciebie. Oddaliliśmy się od siebie. Najuczciwiej dla nas obojga będzie sprawować wspólną opiekę nad chłopcami i rozstać się.

– Ja też tak uważam, Craig. Oboje potrzebujemy swobody.

Kładziesz mi rękę na ramieniu. Uśmiechasz się smutno.

– Nie musimy zatrudniać adwokatów, możemy załatwić sprawę z mediatorem.

Albo drugi scenariusz.

– Musimy porozmawiać, Jenni. Obawiam się, że popełniłem straszny błąd, wracając do ciebie. Oddaliliśmy się od siebie. Najuczciwiej dla nas obojga będzie sprawować wspólną opiekę nad chłopcami i rozstać się.

– Zatłukę cię, Craig!

Czerwona twarz. Zaciśnięte pięści.

Odsuwam od siebie obraz wściekłego spojrzenia Jenni i zaczynam czuć mocny zapach wołowiny po burgundzku, włoszczyzny i liścia laurowego. Jenni przygotowała moją ulubioną potrawę. Kiedy nalewam sobie kieliszek wina, ogarnia mnie poczucie winy. Rozwalam się na kanapie, sączę wino i staram skupić na telewizji. *Morderstwa w Midsomer*. Nakręcone pośrodku wioski z domkami krytymi strzechą. Ciało znalezione przy cisowym żywopłocie przez starszą panią na rowerze z koszykiem z przodu. Wino, które piję, smakuje trochę cierpko. Trochę cytrynowo. Jakbym przed chwilą umył zęby. Może po prostu jest za zimne. Może powinienem je włożyć do piecyka, żeby się ogrzało. Wstaję i świat się rozpada.

Rob

Jedziemy samochodem przez noc. Carly siedzi obok mnie, ma zaczerwienione oczy i zaciśnięte usta. Jej nastrój udziela mi się, jest dla mnie groźny. Pogodziłem się z tym, co zaszło między nią i Craigiem. To nieistotne.

Ale śmierć Craiga uwydatniła tego znaczenie.

Fakty apologizują śmierć.

Co jest dziś ze mną nie tak? Myślałem, że mam to już za sobą.

– Jak myślisz, Jenni się trzyma? – pyta Carly, pociągając nosem.

– Znasz moją teorię. Będzie teraz otępiała.

Mijają godziny w podróży. Carly zasypia. Włączam radio. Przyjeżdżamy o drugiej w nocy, za późno, żeby zameldować się w pubie. Ale mamy śpiwory, a Jenni się nas spodziewa, więc pukamy. Otwiera drzwi w szlafroku, twarz ma napuchniętą od płaczu.

– Dzięki Bogu, że jesteście – szepcze i przytula najpierw Carly, a potem mnie.

Mnie przytula jak kiedyś, jakbym był bezcenny. Wchodzimy do domku i zostawiamy bagaże przy drzwiach. Jenni i Carly siadają obok siebie na kanapie. Jenni bierze szklankę whisky z podłogi.

– Poczęstujcie się – mówi, wskazując karafkę i szklanki na kredensie.

Nalewam Carly i sobie solidne porcje i siadam przy Jenni na kanapie. – Co się stało? – pytam.

– Powiedziałam wam przez telefon. Jak wróciłam z posiedzenia rady parafialnej, zastałam go na podłodze martwego. Dokładnie tutaj.

Wskazuje dywan przed sobą. Szłocha. Ramiona jej się trzęsą, z trudem łapie oddech. Carly i ja obejmujemy ją z obu stron i przytulamy.

Jenni

Inspektor Browning siedzi w rogu kanapy. Na miejscu Craiga. Stał musiał wstać tuż przed upadkiem. Siedzę naprzeciwko niego w fotelu w kwiatowe wzory. Inspektor Browning znów tu jest, nachodzi mnie. To jego trzecia wizyta w tym tygodniu. Nie zdaje sobie sprawy, co przeżywam? Co on wie o traumie? Zastałam męża na podłodze sinego, sztywnego. Co on wie o zespole stresu pourazowego, który mi grozi? Technicy kryminalistyczni kręcą się po całym domu, co mi nie pomaga, podobnie jak koszmarne powolny przebieg autopsji. Jediną osobą, która mi pomaga, jest Rob. Carly też próbuje, ale mam wrażenie, że sama ledwo się trzyma. Jest jakby nieobecna, wzdycha tęsknie i wygląda przez okno. Moja komórka dzwoni. Patrzę na ekran.

– Muszę odebrać, inspektorze.

Jesteśmy w strefie słabego zasięgu, więc głos mojego ojca słyszę przez trzaski.

– Jak się czujesz, Jenni? – pyta.

– Na tyle dobrze, na ile mogę – mówię.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że z dziećmi wszystko w porządku. Są trochę ciche, ale zabawiam je. Pieczemy.

– Dzięki, tato. Jest tu inspektor Browning, więc zadzwonię do ciebie później. Ze stacjonarnego telefonu.

– Inspektor Browning? Znowu?

– Tak.

– Głowa do góry. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Wyłączam komórkę i obraz moich chłopców lukrujących babeczki znika. Zamiast nich widzę krople potu na czole inspektora Browninga. Marszczy brwi.

– To musi być dla pani bardzo trudne – mówi zrzędlivym głosem z północnym akcentem.

– Trudne to za mało powiedziane – odpowiadam.

– Przykro mi, pani Rossiter, ale muszę zadać pani jeszcze kilka pytań.

– Śmiało.

– Niech pani powtórzy, gdzie znalazła pani list pożegnalny.

– Na kredensie za kanapą, za miejscem, gdzie mój mąż upadł.

Patrzy na mnie badawczo.

– Dlaczego nie dała nam go pani od razu?

Wzdycham. Znów to samo, po raz piąty.

– Byłam zdruzgotana, kiedy znalazłam zwłoki. Dopiero po jakimś czasie zauważyłam list na kredensie. Po przeczytaniu go byłam zrozpaczona i rozproszona. Za bardzo zdenerwowana przyjazdem służb ratowniczych i tak dalej, żeby myśleć o zasadach postępowania. Złożyłam go i wsadziłam do kieszeni.

Wzdycham.

Inspektor przygląda mi się spode łba.

– I co w końcu przypomniało pani, że możemy być nim zainteresowani?

– Kiedy zabrali ciało Craiga i szycowałam się do łóżka, zdjęłam džinsy i uświadomiłam sobie, że jest w kieszeni. Przypomniałam sobie o nim. Przedtem myślałam tylko o tym, że Craig nie żyje. – Robię pauzę. – I wtedy natychmiast zadzwoniłam do was.

– Zaszokowała panią treść?

– Oczywiście. Nie miałam pojęcia, że mój mąż był rozdarty między mną a Anastasią Donaldson.

Carly

Trudno jest teraz mieszkać u ciebie, Jenni. Patrząc, jaka jesteś zboląła, osamotniona, widzieć żałosny wyraz twoich oczu jak spodki. Tęsknię za moimi dziećmi. Ty przynajmniej oszczędziłaś swoim przygotowań do pogrzebu, bo wysłałaś je do ojca. Nie mam tu prywatności, czasu dla siebie ani możliwości, żeby być sama z Robem. Roi się od policji i trwa organizowanie pogrzebu. Mam nadzieję, że nabierze tempa, kiedy śledztwo się skończy.

Policja przesłuchała cię w sprawie śmierci twojego męża. Jak się

wtedy czułaś, Jenni? A teraz inspektor Browning przesłuchuje mnie w salonie twojego domku. Ma krople potu na czole i wyciera je dużą białą bawełnianą chusteczką do nosa.

– Przynieść panu szklanek wody? – pytam.

– Nie, dzięki, pani Burton, to nie potrwa długo. Przejdę od razu do rzeczy – mówi i chowa chusteczkę do kieszeni. – Miała pani romans z panem Rossiterem?

Czuję się tak, jakbym dostała cios w brzuch. Nie spodziewałam się, że będę pytana o Craiga.

– Tak – potwierdzam.

Wolałabym, żeby to zostawił. Mój związek z Craigiem to zamierzchnia przeszłość.

– Jak długo?

– Krótko. – Wzdycham. – To było dawno temu. Nie miało żadnego znaczenia.

Mruży oczy.

– Jak romans może nie mieć żadnego znaczenia? – pyta.

– Bo chodziło tylko o seks. Zna pan wyrażenie „kumpel do bzykania”, inspektorze? To było to.

Sztywnieje, kiedy mówię „kumpel do bzykania”. Inspektor Browning – facet, który nigdy nie bzyka, tylko zawsze uprawia miłość.

– A wiedziała pani o Anastasii?

– Zorientowałam się, że kogoś ma, bo widziałam, jak całował długonogą blondynkę, kiedy byliśmy tu z wizytą kilka miesięcy temu, ale nie znałam jej imienia.

– Widziała to pani? – Robi pauzę. – Gdzie?

– Byliśmy wszyscy w pubie – tym w środku Trethynion – ich rodzina i moja. Przyjechaliśmy na weekend. Poszłam do ubikacji, a potem źle się poczułam. Potrzebowałam trochę świeżego powietrza, więc wyszłam na dwór. Wtedy go zobaczyłam. Na murze portu z blondynką.

– Powiedziała pani Jenni o tej kobiecie?

– Nie. Nie chciałam jej denerwować.

– Jenni nigdy o niej nie mówiła?

– Nie.

– I co było potem? Zapytała pani o to Craiga? Wspomniała pani o tym Robowi?

– Nie. Wróciliśmy do domu, do Stansfield, i nie widzieliśmy Jenni ani Craiga do czasu, kiedy Jenni zadzwoniła, że Craig nie żyje. – Urywam, żeby złapać oddech. – To był szok.

Siedzę i rozglądam się po maleńkim domku, gdzie inspektor zajmuje miejsce, w którym siadał Craig, i czuję żal.

Może inspektor ma rację.

Nie ma czegoś takiego jak romans bez żadnego znaczenia.

Rob

Godzinna podróż do sądu. Ręce na kierownicy. Wzrok na drodze. Zbyt wiele ciężarówek, które jadą za blisko siebie, wyprzedzają się na wzniesieniach i spowalniają nas. Jenni na przednim siedzeniu pasażera, Carly bezpośrednio za nią. Całkowite milczenie. Prawie namacalne. Ostatniego wieczoru długo rozmawialiśmy i dużo wypiliśmy, dlatego muszę pokonywać zmęczenie i ból głowy. Włączam radio. FM Classic. Kiedy podniosłe dźwięki skrzypiec i oboju wypełniają samochód, atmosfera gęstnieje.

Na moment odrywam wzrok od drogi i patrzę na Jenni. Jej opuszczone powieki wydają się mocno zaciśnięte, a skóra drżąca. Ręce ma złożone jak do modlitwy. Jenni Rossiter, modliszka. Tak mawiała Carly przed swoim pierwszym załamaniem nerwowym. Cóż, Jenni tak dziś wygląda. W dniu ogłoszenia końcowych wniosków, przystawienia pieczętek i wydania ciała, dniu, który musimy przeżyć.

Patrzę w lusterko wsteczne i widzę spojrzenie jasnoniebieskich oczu Carly. Mówi mi wzrokiem, że chce wrócić do domu. Że ma dosyć pobytu w małym, ciasnym domku Jenni pełnym wspomnień o Craigu. Chce wrócić do domu i otrząsnąć się z szoku w naszym otoczeniu. Chce wrócić do matki i dzieci. Jest zmęczona niekończącymi się wizytami poważnych małomównych przedsiębiorców pogrzebowych bez względu na

pogodę ubranych w czarne wełniane garnitury. Ludzi zbyt obytych ze śmiercią, noszących na sobie jej piętno.

Craig. Zwykły facet, którego uwzniośliła śmierć. Jenni i Carly są zdruzgotane, że umarł. A co z Anastasią, tajemniczą kochanką? Craig zostawił po sobie złamane serca. Czy gdybym ja wykitował w ten sposób, ktoś by się tak tym przejął? Czuję ukłucie zazdrości. Bezsensowne, bo jak można zazdrościć facetowi, którego rozkładające się ciało zostanie niedługo pochowane? Facetowi, który dożył zaledwie czterdziestki.

W końcu wjeżdżamy na parking urzędu hrabstwa, nowoczesnego monstrum z betonu i szkła otoczonego trawą. Żadnych drzew. Żadnych kwiatów. Żadnego uroku. Wsiadamy z samochodu. Carly i Jenni biorą się pod rękę i idą wolno przez parking jak dwie zgarbione, połamane i pokręcone starsze panie, które podtrzymują się nawzajem i patrzą pod nogi, zamiast przed siebie, żeby się nie potknąć. Idę za nimi. Czy śmierć Craiga zbliżyła je do siebie?

Wchodzimy przez obrotowe szklane drzwi. Ochrona nas sprawdza. Woźny kieruje nas do sądu czwartego na pierwszym piętrze. Idziemy do toalety. Podchodzimy do automatu z kawą. Siadamy i czekamy, podnosząc do ust plastikowe kubki z ciepłym płynem bez smaku. Patrzymy na magnoliową ścianę. Na podłogę. Wreszcie, po czasie, który wydaje się godzinami, przychodzi nasza kolej.

Biorę kobiety za rękę. Obie się trzęsą, jakby miały chorobę Parkinsona.

Wbrew brutalistycznej nowoczesności urzędu hrabstwa, sąd koronera jest typowy, nijaki, jak miniatura sądu magistrackiego. Siadamy z przodu, wciąż trzymając się za rękę. Wstajemy z szacunkiem, kiedy wchodzi koroner. Ma około sześćdziesiątki, rumianą twarz i siwe włosy. Przypomina Świętego Mikołaja. Siada. My też. Patrzy prosto na nas.

- Nie ma potrzeby zajmować się dłużej tą sprawą - mówi. - Zapoznałem się z materiałem dowodowym. Przystudiowałem raport z autopsji. Mój wniosek końcowy jest taki: samobójstwo przez przedawkowanie leków.

Carly

W dniu pogrzebu Craiga leje jak z cebra. Strugi deszczu walą w maskę samochodu jak serie pocisków, gdy jedziemy za konduktem żałobnym główną ulicą do kościoła. Jenni uparła się, że pójdzie tam ścieżką wzdłuż klifu. Sama. Wszyscy proponowaliśmy, że będziemy jej towarzyszyć: ja, Rob, jej ojciec, dzieci, kilku kolegów Craiga ze straży pożarnej. Ale nie. Chciała mieć czas dla siebie. Ubrała się w gore-tex i włożyła skórzane buty turystyczne z cholewką. Do plecaka wzięła coś miękkiego i czarnego na zmianę i wyruszyła pół godziny przed nami.

Karawan jedzie pierwszy. W drugim aucie są rodzice Craiga, ojciec Jenni i dzieci. Rob i ja jesteśmy sami w trzecim. Konwój lśniących czarnych pojazdów, symbol śmierci. Rob patrzy prosto przed siebie na tył głowy kierowcy. Ma tak kamienną twarz, jakiej jeszcze nie widziałam. Jakby otoczył się jakąś warstwą ochronną i udawał, że go tu nie ma. W samochodzie pachnie politurą do mebli. Czuć smutek i powstrzymywane łzy. Pogrzeby to piekło na ziemi. Nie chcę, żeby mnie tak chowano. Wolę kremację bez pogrzebu. Słyszałam o tym w radiu. Trumna trafia prosto do pieca i po wszystkim. Bez pieśni, modlitw, pastora, wiernych i zamieszania. Nawet rodzina nie musi być obecna. Idealne rozwiązanie dla ludzi niewierzących, takich jak ja. Kiedy powiedziałam o tym Robowi, odrzekł:

– Pogrzeby nie są dla zmarłych, tylko dla tych, co zostają.
– Więc uważasz, że jak ktoś nie chce pogrzebu, to jest samolubny?

– Tak. O ile można być samolubnym po śmierci.

Pogrzeb Craiga ma być bardzo niesamolubny. Pieśni, muzyka organowa i lilie. Mowa pogrzebowa. Żałobnicy niosący trumnę. Mistrz ceremonii. Nabożeństwo. Zdjęcie Craiga z przodu. Godzinami dopracowywaliśmy najdrobniejsze szczegóły. I nikt nie zrobił więcej niż Jenni.

Kondukt żałobny skręca z głównej ulicy i zaczyna się wspinać

trasą między bujnymi żywopłotami. Wzniesienie jest strome. Samochody zwalniają. Rob bierze mnie za rękę.

– Już niedaleko – mamrocze.

Kiedy lśniące czarne auta zatrzymują się w rzędzie, wysiadamy. Deszcz i wiatr uderzają nas w twarze. Wzdrygamy się, schylamy głowy i biegniemy do kościoła. Gdy tylko wchodzimy, widzę Jenni. Klęczy pośrodku pierwszej ławki, przebrana w czarny jedwab. Na szyi ma sznur białych pereł, ręce złożone. Modli się. Jej rodzina podchodzi do niej, ale ona nie otwiera oczu. Nie przestaje się modlić. Jej ojciec, Stuart, przytula chłopców do siebie, jakby chciał ich wchłonąć. Widzę tylko ich głowy. Lśniące włosy.

Rob i ja siadamy pośrodku kościoła. Zamykam na moment oczy, ale się nie modlę. Otwieram je szybko, czekam i obserwuję. Starzy rodzice Craiga idą wolno przejściem, podpierając się laskami. Chudzi, delikatni. Czy jakiś rodzic może kiedykolwiek pogodzić się z takim widokiem?

Zjawiają się kumple Craiga ze straży pożarnej. Szerokie bary, mocne rysy twarzy. Smutni, ale nie za bardzo. Powstrzymują żarty, które ich łączą, podobnie jak chłopięca negacja. Uśmiechają się do siebie ukradkiem. Właściciel pubu siedzi za strażakami i trzyma żonę za rękę.

Odwracam się, żeby zobaczyć, co dzieje się za mną. Widzę zaskoczeniem, że Anastasia Donaldson wchodzi do kościoła. Ma na głowie chustę w kwiaty, żeby się zamaskować. Siada z tyłu i schyla głowę, ale nie może ukryć przede mną wystających kości policzkowych i małych rozbieganych oczu.

Dlaczego Craig chciał ją, skoro nie chciał mnie? Staram się zmusić ją siłą woli, żeby sobie poszła, zanim Jenni ją zobaczy. Jenni, on ją kochał bardziej niż nas obie razem. Czy to cię boli tak samo jak mnie?

Organy zaczynają grać, odrywam więc wzrok od Anastasii i patrzę przed siebie. Pastor już przybył. Żałobnicy wnoszą trumnę, szurając nogami. Nagle przychodzi mi do głowy, że Jenni powinna wrócić do Stansfield. Potrzebujemy jeszcze jednej wykwalifikowanej pielęgniarki w przychodni. Dorastała w

Stansfield. Tam jest jej miejsce. Już mi lepiej. Kocham moją przyjaciółkę i pragnę ją chronić. Jeśli przeprowadzi się z powrotem do Stansfield, nie będzie narażona na upokorzenie z powodu romansu Craiga z Anastasią Donaldson. Rob i ja będziemy ją chronić.

Jenni

Po mojej bolesnej stracie wróciłam za namową Carly z Kornwalii do Stansfield, żeby być blisko starych przyjaciół. Zatrudniłam się jako wykwalifikowana pielęgniarka w przychodni Riverside. Mam moją wymarzoną pracę. Siedzę w moim dawnym mieszkaniu nad sklepem i piję kawę przed pójściem na dyżur. Na szczęście nie sprzedaliśmy tego mieszkania. Wynajęliśmy je. Ale teraz nie wygląda dobrze. Orientalne narzuty mniej lśnią. Dywan jest mniej puszysty. W wolnym czasie odmalowuję mozolnie mój dom. Kiedy mam takie zajęcia, mniej odczuwam samotność.

Moje życie jest zupełnie inne bez Craiga.

Nadal mam swoich chłopców. Dzieci powinny być pociechą. Ale w tej chwili tylko przypominają mi o mężu. Nadal mam ojca. I przyjaźń Roba i Carly. I oczywiście nadal mam Boga. Zawsze będę mieć Boga. Ale po tym wszystkim, co się stało, nawet Bóg wydaje się bardziej odległy.

Siedzę więc na starej sfatygowanej kanapie i głaszczę psa, który lekko merda ogonem. Dopijam kawę i cieszę się na pójście do pracy. Dziś przynajmniej nie muszę się martwić o chłopców, ostatniej nocy spali u przyjaciół i tamta matka odstawia ich do szkoły. Uwalniam się od psa, który obserwuje mnie tęsknie, gdy wstawiam kubek po kawie do zlewu i sięgam po torebkę i płaszcz. Słońce świeci przez okno salonu i czyni świat trochę mniej szarym.

Gdy idę przez Stansfield, wszystko wydaje się takie same. Z wyjątkiem tego, że zamknięto kilka sklepów. I gmina naprawiła chodniki. Studio tańca erotycznego naprzeciwko przychodni

stało się studiem paznokci. Nigdy nie wiedziałam, po co nam tutaj studio tańca erotycznego. Napisałam skargę do gminy, kiedy mieszkaliśmy tu przedtem. Rob też to zrobił. Carly nas ochrzaniła, że jesteśmy prowincjonalni. Prowincjonalni. Co miała na myśli? Najpierw była nastawiona przyjaźnie, ale teraz niepokoi ją mój powrót. Wiem to. Pilnuje Roba. Widzę, jak jej niepokój narasta z każdym dniem. Skręcam na światłach w prawo z głównej ulicy do przychodni.

- Dzień dobry - mówię do Sharon, która odpowiada mi skinieniem kudłatej głowy.

- Dzień dobry - rzucam do Carly.

Carly. Taka kształtna. Seksowna jak Marilyn Monroe. Nic dziwnego, że Craig uległ jej czarowi. Craig i Carly. Craig i Anastasia. Zaciskam zęby.

- Do zobaczenia później - mówię i idę dalej.

Przez poczekalnię, a potem korytarzem do nowiutkiego gabinetu z liliowymi ścianami i supernowoczesnym wyposażeniem. Zamykam drzwi i robię głęboki wdech. Siadam za biurkiem i włączam komputer, żeby sprawdzić listę pacjentów. Pierwszą pacjentką jest wdowa, tak jak ja. Tylko że jej mąż zmarł z przyczyn naturalnych.

Pięć minut później kobieta siedzi przede mną. Ma dziewięćdziesiąt lat. Jest w długiej spódnicy i zielonym swetrze. Palce sękaty jak powyginane pnie drzew. Skóra jak łupina ziemniaka. Próbowwała się upiększyć zielonym cieniem do powiek i czerwoną szminką. Ale traci wzrok i nie wyszło jej to. Nałożyła cień nad i pod oczami i wygląda jak zielonooka panda. Cerę ma tak pomarszczoną, że szminka nie zostaje na wargach, lecz wnika w bruzdy na twarzy.

Zaczyna opowiadać, co ją boli. Wymieniono jej już prawie wszystkie główne stawy: oba biodrowe, barkowy i oba kolanowe. Został tylko jeden. Ma łagodny nowotwór jajnika. Czuje ból w wielu miejscach. Jest tego tyle, że kiedy kończy mówić, muszę ją poprosić, żeby powtórzyła.

Zaczyna od początku. Ból w klatce piersiowej. Osłuchuję jej serce stetoskopem. Odgłos jest w porządku, ale na wszelki

wypadek robię jej EKG. Wynik jest dobry.

Ból pod lewymi żebrami. Nie mogę się w tym połapać.

Kładę rękę na jej ramieniu.

– Pani Wade, musimy skierować panią do kardiologa i ginekologa. Omówię pani przypadek z doktorem Burtonem i dam pani jutro znać telefonicznie, kto się z panią skontaktuje.

Patrzy na mnie z niepokojem szeroko otwartymi oczami. Wygląda, jakby miała się rozpląkać.

Dopiero przyzwyczajam się do stawiania diagnoz. Poczieszenie jest dużo trudniejsze. Próbuję.

– Proszę się nie martwić. Poradzimy sobie z tym.

Bierze głowę w dłonie. Wstaję i pochylam się nad nią. Otaczam ją ramieniem.

– Niech pani tu zaczeka. Pójdę porozmawiać z doktorem Burtonem.

Łapię Roba między pacjentami. Wysłuchuje mnie uważnie i wraca ze mną do mojego gabinetu. Pani Wade odczuwa ulgę na jego widok. Doktor Burton to najpopularniejszy lekarz rodzinny w Stansfield.

– Dziękuję, że się pan do mnie pofatygował, doktorze – mówi miękko pani Wade.

Rob klęka przy niej i bierze ją za rękę. Patrzy jej w oczy.

– Meg, zgadzam się z siostrą Rossiter. Kardiolog i ginekolog pomogą ci. Dopilnujemy, żebyś została przyjęta jak najszybciej. Zadzwoń do szpitala dziś po południu. A na razie masz przestać się martwić. Wszystko będzie dobrze. To jest uleczalne.

– Naprawdę, panie doktorze?

– Naprawdę.

– Dziękuję.

Rob podnosi się, wciąż uśmiechnięty. Pani Wade wpatruje się w niego.

Wstaje z trudem z krzesła.

– Dziękuję wam obojgu – mówi i wychodzi wolno z gabinetu, podpierając się laską.

Rob czeka, aż drzwi zamkną się za nią.

– Trudna pacjentka – mówi. – Zawsze się boi, że coś jeszcze jest

z nią nie tak. W jej wieku samotność musi być straszna.

– Jest straszna w każdym wieku.

Stoimy i patrzymy na siebie. Upajam się nim. Jego miną małego zagubionego chłopca. Jego dobrocią.

– Dzięki, że przyszedłeś mi pomóc – mówię. – Minie trochę czasu, zanim pacjenci nabiorą do mnie zaufania. – Patrzę mu prosto w oczy. – Nie wpadłbyś do mnie na drinka po pracy? Żeby porozmawiać o naszych pacjentach?

– Nie, Jenni. Nie chodzimy sami na drinki.

– Nie musisz być tak śmiertelnie poważny.

– Jenni. To nie jest żart.

Rob

Stoimy i patrzymy na siebie jak kiedyś. Masz krótsze włosy niż dawniej. Ufarbowane na odlotowy miedziany kolor. Wyglądasz w nich młodo i modnie.

– Nie, Jenni. Nie chodzimy sami na drinki – mówię, starając się, żeby tym razem zabrzmiało to serio.

– Nie musisz być tak śmiertelnie poważny.

– Jenni, to nie jest żart. Cieszę się, że wróciłaś. Brakowało mi cię.

– Biorę głęboki oddech. – Ale wiesz, że przez naszą... przyjaźń... Carly była skołowana ostatnim razem.

– Skołowana? – Pauza. – Tak byś nazwał jej stan, kiedy pieprzyła się z Craigiem? Skołowana przez nas? Przez nasze wzajemne stosunki?

– Nie chcę rozmawiać o przeszłości. O Carly i Craigu.

– Bo to wciąż boli, tak? – naciska.

– Jenni, proszę. Było, minęło.

– Nie. Wciąż mnie dręczy tamta noc.

– Która noc?

Tyle tych dręczących nocy.

– Kiedy Carly przedawkowała. Może wcale nie usiłowała popełnić samobójstwa. Może chciała zabić mnie.

– Co masz na myśli?

- Ciągle wracam pamięcią do jej drugiej próby samobójczej. Przyszła do mnie zła, że przyjaźnię się z tobą. Przypuśćmy, że dodała mi coś do drinka.

Zamykam oczy. Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Daj spokój, Jenni. O czym ty mówisz?

Wzrusza chudymi ramionami.

- Przypuśćmy, że dodała mi coś do drinka i przez pomyłkę wzięła mój kieliszek.

- Jak to?

- Przypadkowo.

- Ale... ale... - jąkam się - przecież wszyscy wiemy, co się stało. Carly zażyła mnóstwo leków, zanim przyszła do ciebie. Czemu teraz to drążysz?

- Jestem przewrażliwiona. - Wybucha płaczem. - Wiem, że muszę przestać. Muszę się opanować. Ale wciąż powracają wszystkie moje lęki z przeszłości.

Biorę ją w ramiona. Głaszczę po plecach i szepczę:

- Tym razem wszystko będzie dobrze.

Sam nie wiem, czy w to wierzę. Czy Carly nie popełniła wielkiego błędu, namawiając Jenni do powrotu? Dawaliśmy sobie radę sami.

Jenni

Wchodzę przez zadaszoną furtkę na dziedziniec kościoła. Mijam omszały kamień i sękate cisy. Otwieram ciężkie dębowe drzwi. Jest środek tygodnia, nie ma mszy, ludzie po prostu przychodzą się pomodlić, tak jak ja. Światła się palą, ale choć to późne lato, w kościele jest zimno. Jak zawsze. Wzdrygam się lekko, gdy idę przejściem. Craig i ja pobraliśmy się tutaj dawno temu. Tak dawno, że już ledwo pamiętam zakochaną w nim ślepo dziewczynę, jaką wtedy byłam. Zupełnie niepodobną do kobiety, którą się przez niego stałam.

Siadam tam, gdzie zawsze, w pierwszym rzędzie po prawej, blisko kazalnicy, i patrzę w górę na miejsca dla chóru. Klękam,

schylam głowę, zamykam oczy. Chcę, żeby Bóg znów się zwrócił ku mnie. Po tym wszystkim, co się stało, proszę, Boże – proszę, Boże, wróć do mnie. Zaciskam powieki. Wstaję, wyciągam ręce i rozstawiam nogi. Stoję i czekam w zimnie i ciszy. Proszę, Boże, wróć do mnie, modlę się. Atmosfera kościoła działa na mnie. Czuję ją. Cisza dzwoni mi w uszach tak głośno, jakby ktoś kuł żelazo, i wiem, że w dźwięku tej ciszy Bóg do mnie wraca. Przebacza mi moje grzechy.

Rob

Jeszcze nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego. Cokolwiek robię, dokądkolwiek idę, ona mnie obserwuje, prześladuje swoim spojrzeniem. Odwróc wzrok. Proszę, Jenni. Proszę. Na koniec dyżuru przychodzi do mnie porozmawiać o swoich pacjentach.

Dziś znów stoi przede mną w gabinecie. Schudła. Na pewno. Strój pielęgniarski wisi na niej jak worek. Kiedy siada, po raz pierwszy zauważam, że ma tatuaż na wewnętrznej stronie prawego nadgarstka – czerwone serce o czarnym konturze wielkości mniej więcej pięćdziesięciopensówki. Musiała go zrobić niedawno, bo skóra wokół niego jest zaczerwieniona od nakłuwania i tuszu. Jenni widzi, że patrzę na to, i nasze spojrzenia się spotykają.

– To symbolizuje wieczną miłość – wyjaśnia i wyciąga ramię, żeby pokazać mi tatuaż. – Podoba ci się?

Nie odpowiadam. Biorę ją za nadgarstek i przyciągam jej ramię do siebie, żeby się lepiej przyjrzeć. Skóra jest mocno zaczerwieniona.

– Posmarowałbym to na noc maścią przeciwświądową, bo będzie swędziało.

– Wiem. Mam taką. Podoba ci się? – powtarza.

– Tak – kłamię, puszczam jej rękę i uśmiecham się z przymusem. – Jenni, mam pacjentów. O co chodzi? Po co chciałaś się ze mną zobaczyć?

– Chodzi o panią Mulberry. Jestem zdezorientowana. Ma

tachykardię i bradykardię.

– Przestań kręcić. Wiesz, że nie ma ani jednego, ani drugiego.

Siada na krześle dla pacjentów, złącza kolana i kładzie na nich ręce. Pochyla się do przodu i wpatruje we mnie.

– Po prostu chciałam cię zobaczyć. Brakowało mi twojego widoku. Brakowało mi tego, żeby mieć cię dla siebie.

– Jenni, nigdy nie miałaś mnie dla siebie. Oboje o tym wiemy.

Rob

Kiedy idę kupić sobie kanapkę na lunch, odwracam głowę i widzę ją tuż za sobą. Zawsze jest tuż za mną albo tuż przede mną i pożera mnie wzrokiem.

Jenni

Rob jest kilka minut drogi przede mną na głównej ulicy. Widzę jego niesforne brązowe włosy i szerokie ramiona w lnianej marynarce. Właśnie przechodzi między starszą parą a kobietą z psem. Zawsze wkłada marynarkę do przychodni – bez względu na porę roku i pogodę. Powiedziałybym, że wygląda jednocześnie elegancko i swobodnie, ale nigdy sztywno. Zawsze też w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, bez krawata. Spodnie bez kantów. Żeglarskie buty od Marksa & Spencera. Nic zbyt modnego. Żadnych butów w szpic. Nic Hugo Bossa.

Jest pogodny wrześnieowy dzień. Czuć jeszcze resztkę letniego ciepła, ale pierwszy chłód już się czai w powietrzu i gdy tylko słońce chowa się za chmurą, robi się zimno. Rob mijają sklep rybny i warzywniak. Na rogu, przy piekarni, skręca w lewo z głównej ulicy w boczną. Przecina jezdnię i wchodzi do nowo otwartej kawiarni, gdzie jeszcze nie bywa reszta personelu przychodni. Dlatego tam się spotykamy, prawda? Patrzą na zegarek. Mijam kawiarnię i zaczynam spacerować tam i z powrotem. W wyobraźni zaglądam do domów innych ludzi i wkraczam w ich

życie. Dokładnie pięć minut później wchodzę do kawiarni.

Jest urządzona dość odważnie. Błękit i oranż. Na pierwszy rzut oka kolory są krzykliwe. Carly lubi spokojne. Jestem jej całkowitym przeciwieństwem. Stosuję odważne kolory, ale mam poczucie estetyki. Carly Burton i ja bardzo się różnimy.

Rob siedzi w głębi, w najdalszym rogu od okna. Ma czteroosobowy stolik tylko dla siebie i mnóstwo miejsca na rozłożenie gazety, którą czyta. Kiedy idę w jego kierunku, rozpromienia się.

– Jenni. Co za miła niespodzianka – mówi, wstaje i całuje mnie w policzki.

Wystarczy, Rob. Nie musisz aż tak udawać.

Carly

Porozumienie. Porozumienie. Porozumienie. Moja matka zawsze mówi, że właśnie to jest potrzebne do dobrych stosunków. Doktor Willis zgadza się z nią. Idę więc teraz porozumieć się z tobą, Jenni. Jestem w drodze do twojego gabinetu, a Sharon przetrzymuje naszych pacjentów, dopóki nie załatwimy sprawy. Wiem, że jesteś sama, nie muszę pukać.

Wchodzę do twojego pokoju i zastaję cię przy wprowadzaniu danych pacjenta do komputera. Jesteś przysunięta o wiele za blisko do ekranu i mrużysz oczy. Co z tobą, Jenni, potrzebne ci okulary? Szkoda. Popsują ci wygląd.

Na mój widok odsuwasz się od monitora, podnosisz ręce i przeciągasz się.

– Carly. Miło cię widzieć. Czym mogę służyć? – pytasz.

– Musimy porozmawiać.

– W środku dyżuru?

– To nie potrwa długo.

Patrzysz na mnie brązowymi, wielkimi jak u kosmity oczami z wyrazem smutku, którego nie cierpię.

– W takim razie, siadaj – mówisz.

– Nie, dzięki – odpowiadam i biorę głęboki oddech. – Jenni,

wiem, że byłam chora i wszyscy się obawiają, że mogę mieć jeszcze lekką paranoję, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie mam. Od dawna jestem zdrowa. – Milknę. – Robisz cielece oczy do Roba. To mnie wkurza. Masz przestać.

Wstajesz z krzesła i podchodzisz do mnie. Nasze pozy to lustrzane odbicie. Nogi rozstawione, ręce na biodrach.

Twoje brązowe oczy przybierają barwę bursztynu.

– Nie robię oczu do Roba, Carly.

– To co robisz?

– Lubię twojego męża. Szanuję go. Jest moim przyjacielem. Jestem z nim w dobrych stosunkach. To wszystko. Na tym koniec. – Opryskujesz mi twarz śliną. – Co najwyżej uśmiecham się do niego. Jak możesz być taka po tym, co robiłaś z Craigiem?

Mówisz jęczącym, niepewnym głosem. Twoje oczy są jak wielkie błotniste kałuże – bagna, które chcą mnie wciągnąć. Patrzę ci w oczy i cofam się w przeszłość. Przypominam sobie dzień, kiedy spaliłam twoje zdjęcie w szpitalnej toalecie. Gryzący zapach płonącego papieru fotograficznego. Przeraźliwy dźwięk alarmu przeciwpożarowego. Rozpacz w sercu. Odsuwam od siebie wspomnienia. Nie chcę tam wracać.

Jenni

Carly, wtargnęłaś do mojego gabinetu i dałaś pokaz chamstwa. Zepsułaś mi dzień. Wróciłam do Stansfield za twoją namową. Co z tobą? Mówisz mi, że to nie wypaliło? Że mam wrócić do Trethynion? Oskarżasz mnie o flirt z Robem?

Jesteś strasznie trudna. Strasznie porywcza. Ale w trakcie tej swojej tyrady nagle się pohamowałaś. Mina ci złagodniała, zrobiła się tęskna. Położyłaś mi rękę na ramieniu.

– Przepraszam, Jenni – powiedziałaś. – Tyle wszyscy razem przeszliśmy. Nie powinnam się na tobie wyładowywać.

Rozpłakałaś się. Przytuliłyśmy się do siebie.

– Przepraszam, przepraszam – mówiłaś. – Po prostu bardzo potrzebuję Roba.

Rob

Jenni wślizguje się do mojego gabinetu między pacjentami. Siada na krześle dla nich, jak zwykle. Ale tym razem coś z nią nie tak. Jest śmiertelnie blada. Oczy ma szkliste jak nigdy. Wydaje się nieobecna.

– O co chodzi, Jenni? – pytam łagodnie.

Krzyżuje opalone, chłopiące nogi. Nie nosi rajstop. Patrzy niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i stuka paznokciami w paznokcie. Są szpiczaste i starannie wymanikiurowane, tak jak paznokcie u nóg.

– O Anastasię – mówi prawie szeptem.

– O Anastasię?

– Tak. Anastasię. Kochankę Craiga.

Nadal patrzy w przestrzeń i stuka paznokciami.

– Anastasia nie żyje.

Znowu śmierć. Znowu destrukcja. Jej słowa mkną ku mnie jak pociski.

Mówię ci o śmierci kochanki twojego kochanka, Carly, kiedy stoisz przy mikrofalówce i odgrzewasz naszą piątkową kolację.

– Jak to się stało? Kiedy? – pytasz.

– Nie wiem. Jenni mi dziś powiedziała, ale bez szczegółów. Najwyraźniej jest to dla niej zbyt bolesne, żeby o tym mówić.

– Zbyt bolesne, żeby o tym mówić?

Siadamy przy stole kuchennym, żeby zjeść tę kupną kolację. Wydajesz się spokojna, opanowana. Czy tak się czujesz?

– Nie mogę uwierzyć, że znów ktoś nie żyje.

– Może znajdziemy coś w Internecie. Jenni mówiła, że było o tym w gazetach.

Zostawiam jedzenie i biorę iPada z blatu kuchennego.

Stukam w klawisze i natrafiam na artykuł w „Cornish Gazette”. Wkładam iPada do stojaka na stole, żebyśmy mogli razem czytać.

Zmarła w swoim domu w Kornwalii najwyraźniej na skutek przedawkowania przepisanych jej leków. Samobójstwo z powodu śmierci Craiga Rossitera. Tak jak on, zostawiła list pożegnalny. Jej syn, Rupert, znalazł ciało i wezwał policję.

– Znowu przedawkowanie, jak u mnie, jak u Craiga – szepcesz.
– Popełniła samobójstwo, tak jak ja podobno próbowałam. – Masz zaciśnięte zęby. Twoje niebieskie oczy ciemnieją i stają się czarne. – Zrobiła to. Mówił mi, że się odgrażała. Powiedziała, że go zabije, jeśli znów ją zdradzi.

Jej słowa przeszywają mnie na wylot.

– Skąd wiesz? Nadal kontaktowaliście się? – szepczę.

– Widziałam się z nim tylko raz.

Prawie płaczesz, ukrywasz twarz w dłoniach.

– Poszłam się z nim zobaczyć, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest.

Starasz się rozplakać, pierś ci faluje, ale łzy nie płyną z oczu. Same kłamstwa, Carly. Tyle kłamstw.

Obserwuję, jak oddychasz głęboko, jakbyś nie mogła nabrać powietrza.

– Jenni to zrobiła. Była moją przyjaciółką, dałam się nabrać, ale teraz znów widzę, jak się zachowuje. I ta sama rzecz stała się zbyt wiele razy. Wiem, że jest niebezpieczna. – Przerzywasz. – Uwierz mi, Rob, proszę.

Carly

Moja bezsenna noc jest torturą, Jenni, niekończącą się i bolesną, bo wiem, co zrobiłaś. Moja bezsenność to piekło. Odgłosy nocy parzą mi skórę. Przerażające krakanie wrony. Niemowlęcy skowyt zdychającego lisa. Ale najgłośniejsze są moje wspomnienia. Pamiętam twoje słowa wśród zapachu płonących świec i kadzidła, że Rob jest w tobie zakochany. Obserwuję, jak wrzucasz tabletki do mojego drinka. Podnoszę kieliszek do ust i wino ma słono-słodki smak. A teraz upadam, Jenni, ale tym razem nie możesz mi nic zrobić. Nie tracę przytomności.

Idę do twojego domku, gdzie zamordowałaś Craiga. Gdzie jest sztuczna przytulność i prywatność. A teraz widzę, gdzie zamordowałaś Anę. Widzę to miejsce tak wyraźnie jak na zdjęciu w gazecie. Piękny georgiański dom – zbalansowana architektura, okna na całą wysokość ścian i jedwabne falbanki wokół nich. Lśniące drzwi frontowe z mosiężną kołatką w kształcie głowy lwa. Wiekowe cegły w piaskowym kolorze. Otwieram drzwi i idę przez hol z czarno-białą marmurową podłogą. Lamy z połacanego brązu i ciemne obrazy olejne. Skręcam do salonu. Kominek z białego marmuru otoczony masą złota. Lambrekiny. Jedwab i adamaszek. Jak strona z katalogu Christie's. A na środku największej kanapy leży sztywna Anastasia o alabastrowej skórze.

On ją kochał, wiesz o tym, Jenni, prawda? Kochał ją bardziej niż którąkolwiek z nas.

W końcu nadchodzi poranek. Światło przebija przez zasłony i zaczynają do mnie docierać dźwięki dnia. Dudnienie przejeżdżającego autobusu. Głosy ludzi wyprowadzających psy na spacer. Nie zmrużyłam oka. Leżę w łóżku i czekam, aż Rob się poruszy. Obserwuję, jak jego powieki zaczynają drgać, kiedy się budzi. Przyglądam się, jak miękkie brązowe włosy opadają mu na czoło. Patrzę, jak lekko oddycha. Przysuwam się do niego, obejmuję go i głaszczę po plecach. Otwiera oczy i uśmiecha się leniwie jak wtedy, gdy jest zmęczony.

– Daj spokój, Carly, która godzina? – pyta i ziewa.

– Szósta.

Jęczy i naciąga kołdrę na głowę.

– Śpię dalej.

– Rob, nie spałam całą noc. Muszę z tobą porozmawiać.

Nie odzywa się. Nie rusza. Chowa się pod kołdrę i udaje, że mnie nie słyszy.

Zdzieram z niego kołdrę.

– Słyszałeś? Muszę z tobą porozmawiać.

Siada i wyciąga ręce przed siebie, żeby zasłonić oczy przed światłem.

– Dobra, dobra. O co chodzi?

- Idę na policję. Wiem, że ona to zrobiła.
- Opuszcza ramiona i mruga.
- Chwileczkę. Skąd ten wniosek?
- Wiesz, że tak uważam. Powiedziałam ci o tym wczoraj wieczorem – mówię ostro.
- Patrzy na mnie krytycznie. Protekcyjnie.
- Uważać coś to jedno, a zgłosić to policji to zupełnie co innego.
- Musisz być tego pewna, nie mieć żadnych wątpliwość.
- Jestem pewna – warczę.
- Ma czelność się roześmiać.
- Naprawdę myślisz, że Jenni zabiłaby Craiga? – pyta.
- Zakochał się w Anastasii, a Jenni jest zazdrosna.
- Skąd wiesz? Powiedział ci?
- Nie.
- To skąd?
- To oczywiste!! – krzyczę. – Zrobiła jej to samo, co mnie. Nie rozumiesz, że te zbrodnie się wiążą?

Komenda policji jest na rogu Green Hill Road i Quarry Street. Wiktoriański budynek z czerwonej cegły ma wejścia i gzymsy z wapienia portlandzkiego. Nie jest piękny, ale historyczny, i figuruje na liście zabytków. Wchodzę wielkimi granatowymi drzwiami i jestem rozczarowana długim wąskim korytarzem bez okien, gdzie pachnie środkiem odkażającym i trocinami. Korytarz prowadzi do stanowiska dyżurnego, który siedzi za kratą. Przedemną są dwie osoby. Słyszę, jak pierwszy mężczyzna w kolejce zgłasza incydent w lokalnym pubie wczorajszego wieczoru. Został pobity, opisuje każdy cios i kopniak. Kiedy się odwraca, widzę, że ma pokiereszowaną, spuchniętą twarz i szparki zamiast oczu. Wychodzi, a drugi czekający zajmuje jego miejsce. Stracił paszport. Został okradziony. Ten meldunek nie trwa tak długo.

Nie podoba mi się tutaj. Spodziewałam się więcej prywatności. Kiedy wreszcie przychodzi moja kolej, występuję naprzód i nachyliłam się do policjanta. Jest kościsty, ma ostry nos, szpiczasty podbródek i znudzone spojrzenie.

– Muszę porozmawiać z kimś o czymś, co mnie spotkało dawno temu, na osobności – mówię przez ladę najciszej jak mogę.

Ożywia się. Jego umysł wyraźnie wchodzi na wyższe obroty. Może myśli, że jestem ofiarą gwałtu. I dobrze, chciałam być potraktowana poważnie. Naciska żółty przycisk na biurku i uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Ktoś przyjdzie do pani do domu.

Sierżant Anita Berry siedzi na naszej ustawionej przodem do okna kanapie, a ja naprzeciwko niej. Ma kwadratową szczękę i zbyt prostokątną twarz, żeby być ładna, ale jest przystojna w męski sposób. Nosi sensownie wycieniowane włosy. Kiedy porusza głową, falują i łagodzą jej rysy.

– Zaczynamy, Carly? Co chciałyby mi pani powiedzieć?

Sączy herbatę earl grey, którą jej zrobiłam.

Mówię jej o Craigu, Anastasii, o tym, co się z nimi stało i co spotkało mnie. Słucha cierpliwie z przechyloną głową i zmrużonymi oczami. Kończę efektownie:

– Jeśli się tym odpowiednio nie zajmiecie, może być więcej zgonów. Ta kobieta to seryjna truciicielka.

Mruga lekko. Przesadziłam. Odstawia filiżankę na stolik, zakłada nogę na nogę.

– Zgłosiła nam już pani swoje podejrzenia, kiedy była pani w szpitalu. Sprawdziliśmy je wtedy i nie znaleźliśmy żadnych dowodów na ich poparcie.

– Musicie się przyjrzeć sprawie o wiele dokładniej. Tym dwóm ostatnim zgonom. Mówię pani, że chciała mnie zabić, bo miałam romans z Craigiem. Potem on znów ją zdradził, zabiła więc najpierw jego, a potem jego nową dziewczynę. I stara się uwieść mojego męża.

Pochyla się do przodu i przygląda mi się uważnie.

– Naprawdę? Nie wspominała pani o tym wcześniej.

– Proszę mnie wysłuchać – błagam.

– Wysłuchałam panią. Porozmawiam o tym z nadinspektorem i odezwę się.

Opuszczam ramiona z ulgą.

– Dzięki.

Rob

Siedzę za biurkiem i kończę wpisywać uwagi o kilku pacjentach, póki jeszcze je pamiętam. Nagle wślizgujesz się do mojego gabinetu. Uświadamiam sobie z zaskoczeniem, jak jest już późno. Parking opustoszał i słońce zachodzi.

– Wprowadzam dane – mówię. – Streszczaj się, Jenni, albo odłóżmy to do jutra.

– Postaram się streszczać, ale to ważne – odpowiadasz.

Wzdycham.

– Tylko skończę.

– W porządku, zaczekam.

Przechodzisz przez pokój, stajesz za biurkiem i wyglądasz przez okno. Domyślam się, że obserwujesz zachód słońca. Kiedy ostatni raz wyglądałem przez okno, ciemnopomarańczowe niebo było wspaniałe. Skupiam się na ostatniej wizycie domowej i wpisuję uwagi o pacjencie. To skomplikowany przypadek, ale uważam, że mógłbym bardziej pomóc. Chyba przedyskutuję to z personelem na jutrzejszym zebraniu. Niektórzy młodszy lekarze mogą być innego zdania. Ponieważ myślę o pacjencie, nie bardzo widzę, co się dzieje. Zaciągnęłaś zasłony i teraz przykuwasz mi kajdankami ręce i nogi do krzesła. Zimny metal wrzyna mi się w ciało.

Usiłuję się oswobodzić, ale jestem unieruchomiony. Obezwładniasz mnie swoimi oczami i zapachem. Jedwabiste włosy muskają mi twarz, kiedy się pochylasz, żeby mnie pocałować ustami jak dojrzałe wiśnie.

Ściągasz mi spodnie i majtki, odstawiając erekcję. Koniuszek członka pulsuje.

– Viagra w popołudniowej herbatce?

Staram się zwalczyć podniecenie, ale ono narasta. A ty, już wilgotna, nadziewasz się na mnie, twoja pochwa zaciska się wokół mnie. Siedzisz mi okrakiem na kolanie, twój biust przywiera do mojej piersi. Bawisz się ze sobą, poruszając się w górę i w dół. Nie mogę nic zrobić, żeby cię powstrzymać. Nie

mogę ruszać rękami ani nogami. Oddychasz coraz szybciej. Pamiętaj, Jenni, zmuszasz mnie do tego.

Nie jestem niewierny, Jenni, pamiętaj o tym. Proszę.

Carly

Przestałaś ze mną rozmawiać, Jenni. Domyśliłaś się, że doniosłam policji na ciebie? Ignorujesz mnie w przychodni. Nie obchodzi mnie to, że mnie lekceważysz. Czuję się teraz dobrze. Już się ciebie nie boję.

Nie boję się ciebie nawet wtedy, gdy widzę, jak wychodzisz o dziwnych porach z gabinetu Roba i celowo wygładzasz spódnicę, kiedy mijasz mnie na korytarzu. Wiem, że mnie podpuszczasz. Dlaczego Rob miałby romansować z takim chuchrem jak ty? Bawmy się w to dalej. Nie zauważajmy się nawzajem. Nie zauważasz mnie nawet rano, kiedy obie przychodzimy do pracy i recepcjonistki nas obserwują. Nawet na mnie nie patrzysz. Kiedy wróciłaś do przychodni, przez jakiś czas machałaś do mnie, uśmiechałaś się i z automatyczną uprzejmością mówiłaś: „Dzień dobry”.

Ale ignorowanie się nawzajem jest prostsze. Jest w nim szczerłość, którą lubię.

Jenni

Co wieczór pod koniec dyżuru przychodzę do ciebie z uwagami o pacjentach, na wypadek gdyby ktoś spytał, co robimy. Bo jeszcze nie chcemy, żeby ktoś wiedział o naszym związku, prawda? Jak to dobrze, że lubimy eksperymentować, prawda, Rob? Jak to dobrze, że odkryliśmy, że lubisz być skutym. Znow to zmienimy w przyszłym tygodniu. Wypróbujemy inny sposób zabawy.

Carly

Obserwujemy się nawzajem, Jenni, okrążamy jak drapieżne ptaki. Ja to wytrzymuję, fascynuje mnie to, ale Rob miał koszmarne sen, że go zgwałciłaś. Proszę, Jenni, zostaw go w spokoju, on tego pragnie. Teraz ja jestem silna. Spróbuj się ze mną, ale jemu daj spokój.

Po kolejnym męczącym dniu w przychodni, gdzie miałam zbyt wielu pacjentów i ciebie stale na oku, robię na kolację lazanie. Ciężka praca po długim dniu, ale chciałam przygotować coś dobrego. Nasze wspólne rodzinne posiłki zawsze były drogocenne. Już mam włożyć swoje dzieło do piecyka, pozostawiając na blacie kuchennym szczątki moich kulinarnych zmagani, gdy matka wchodzi do kuchni z jadalni, gdzie nadzorowała zbiorowe odrabianie lekcji.

- Martwię się o Roba - mówi. - Uważam, że Jenni go prześladuje. Bardzo ją lubiłam, kiedy dzieci były młodsze. Ale teraz już sama nie wiem.

Co znów zrobiłaś, wredna suko?

- Wczoraj w porze lunchu widziałam ich oboje w banku. Nie zauważyli mnie. Albo udawali. Szła za nim główną ulicą. Śledziła go.

- Śledziła go?

- To oczywiście. Szła tam, gdzie on. Chyba że się umówili na niby przypadkowe spotkanie, wiesz, o co chodzi.

Wnętrznosci wywracają mi się do góry nogami.

Rob już jest. Słyszę zgrzyt klucza w zamku i kliknięcie otwierających się drzwi. Wchodzi do kuchni, schyla się i całuje mnie. Odejdź, wredna suko, daj nam spokój.

Siadamy do kolacji przy dużym sosnowym stole kuchennym. Lazanie warta była wysiłku. Wygląda na to, że wszystkim smakuje. Jem niedużo. Dbam o figurę. Wokół mnie toczą się rozmowy, raz głośniejsze, raz ciszsze. Dzieci kłócą się o kogoś w szkole, o kim nigdy nie słyszałam - matka chyba wie, o kogo chodzi. Drażni się z Pippą na temat jakiegoś chłopca, który rozmawia z nią na przerwach. Pippa się czerwieni. Kto to jest?

Chyba ona jest za młoda na miłość?

Patrzę przez stół na Roba. On też nie słucha, popycha widelcem resztki lasanii na talerzu. Odkłada widelec i sięga po kieliszek wina. Jest pusty, sięga więc przez stół w stronę butelki. Wygląda na zmęczonego. Ma podkrążone oczy. Wiem, że nie spał w nocy, wyczuwałam to, leżąc obok niego. Nasze spojrzenia się spotykają i wzrokiem mówię mu, żeby się nie martwił. Musi mi zaufać. Wszystko będzie dobrze. Ochronię naszą rodzinę.

Rob

Jenni, jak Carly cię nazywała? Wredną suką? Nigdy nie lubiłem tego określenia, ale teraz wiem, że jest trafne. Wredna suka Jenni. Nikomu nie mogę powiedzieć o tobie.

Carly

Nie mam dziś pacjentów, wpadam więc do recepcji w nowiutkim stroju. Niebiesko-żółty. Wiem, że wyglądam radośnie, ale się tak nie czuję. Muszę wyglądać radośnie, żeby zbić cię z tropu. Już cię minęłam na korytarzu, kiedy prawie gryzłaś Roba w ucho, udając, że do niego szepczesz. Uśmiechnęłam się do was promiennie i poszłam dalej. Jak myślisz, Jenni, długo jeszcze będzie ci to uchodziło na sucho? W tym rzecz. To wszystko.

Recepcjonistki są w komplecie, odbierają telefony i witają pacjentów. Sharon siedzi przy stole i przerzuca powtarzalne recepty. Podchodzę do niej.

– Masz chwilę? – pytam. – Potrzebuję pomocy przy komputerze w dyżurce pielęgniarek. Prywatnie.

Obie możemy prowadzić tę grę, Jenni – mieć tajemnice i szeptać. Mina Sharon łagodnieje na mój widok. Jest tu moja opiekunką od lat.

– Wyjmę tylko powtórki i przyjdę.

Siedzimy razem w dyżurce pielęgniarek. Sharon w starym fotelu z końskiego włosia, a ja nad nią na niewygodnym stołku z laboratorium, napinając mięśnie pleców. Pokój jest duży, obskurny i trochę zabałaganiony, bo ma wiele funkcji. Przepracowałam tu pół życia i to znajome otoczenie mnie uspokaja. Nie dla mnie nowomodny gabinet z supernowoczesnym wyposażeniem, jaki masz ty, Jenni. Mogłabym awansować na twoje stanowisko, gdybym naciskała.

Sharon zbliża się do emerytury. Pracuje w tej przychodni od trzydziestu pięciu lat. Zaczęła, zanim my tu przyszliśmy. Nasza podpora od samego początku. Ilekroć widzi Roba, rozpromienia się. Dawno temu drażniłam się z nim na ten temat, ale teraz drażnienie się z nim na temat zabujanych w nim kobiet byłoby dość niesmaczne. Sharon ma siwiejące kręcone włosy. Jest w jednym ze swoich kardiganów, które nie dopinają się na jej wystającym brzuchu. Wiele jej zawdzięczam. Od pierwszego dnia mojej pracy w charakterze młodszej pielęgniarki opowiadała mi o słabostkach lekarzy i ostrzegała przed trudnymi pacjentami.

– Wszystko w porządku, Carly?

Kładę rękę na ramieniu Sharon i patrzę w znajome szare oczy.

– Rob jest zdenerwowany. Potrzebuje odpoczynku. Ciężko pracuje. Oboje musimy zrobić sobie przerwę na rodzinne wakacje. Potrzebuję twojej pomocy. – Obserwuję, jak jej szare oczy stają się czarne. – Załatw pilnie dwa zastępstwa, jedno za Roba, drugie za mnie. Idę do domu zorganizować urlop. Jutro wyjeżdżamy na kilka tygodni – całą rodziną, z moją matką.

– Jutro?

– Wiem, że to nagle, ale na pewno sobie z tym poradzisz. Proszę, Sharon. Zostawię ci namiar. Tylko nie mów nikomu, gdzie jesteśmy. Pod żadnym pozorem. Rob naprawdę musi odpocząć. Nie chcę, żeby ktoś mu przeszkadzał.

Jenni

Carly, ty obserwujesz mnie, a ja ciebie. Prowadzimy grę i nie masz pojęcia, jak mi się to podoba. Przyglądam się twoim rozpaczliwym staraniom, żeby twój mąż nie stracił zainteresowania tobą. Ale powiem ci, Carly, że mężczyźni są jak psy: lubią świeże mięso. No i nie pomaga ci to, że nie wyglądasz już tak dobrze jak kiedyś. Przytyłaś. Wpadnij do mojego gabinetu, dam ci plan diety. Wiele to nie pomoże. Twój mąż jest zadurzony we mnie. Dyszy moje imię, kiedy szczytuje. Dyszy moje imię przez sen.

Carly

Wychodzę z przychodni, czując na plecach twój wzrok. Wiem, że mnie obserwujesz ze swojego lśniącego gabinetu, Jenni, widzę drganie żaluzji.

Idę przez Stansfield do domu. Mijam dziewczynę w spłowiełym czerwonym uniformie, która ma tak smutne oczy jak ty i próbuje wydostać ode mnie numer mojego konta bankowego na cele dobroczynne. Wolontariusze zawsze się czają na tym samym rogu między Lloydsem a NatWestem. Co dzień jest to ktoś inny i używa innej sztuczki, żeby zwrócić moją uwagę. Organizacji charytatywnych jest za dużo. Przechodzę szybko obok nich ze spuszczoną głową.

W domu zastaję moją matkę. Sprząta po śniadaniu. W tle brzęczy Radio 4.

– Myślałam, że wyszłaś na cały dzień – mówi matka i wyłącza radio.

Zapełnia zmywarke w swoim długim kwiecistym fartuszk, który Pippa dała jej na gwiazdkę.

– Posłuchaj, mam, muszę z tobą porozmawiać. Jutro wszyscy wyjeżdżamy na wakacje niespodziankę. To niespodzianka dla Roba. Zabieramy cię ze sobą. Sharon załatwia sprawy w przychodni. Wróciłam do domu, żeby to zorganizować. –

Wygląda na zaskoczoną. – To tajemnica. – Kładę palec na ustach.
– Masz wrócić do domu i spakować się.

W jej oczach błyszczy podniecenie.

– Dokąd jedziemy? – pyta.

– Tam, gdzie jest ciepło. – Wyjmuję jej z ręki naczynia i stawiam na blacie. – Zostaw to mnie. Zadzwoń do ciebie później i powiem, o której cię zabieramy na lotnisko.

Zdejmuje jaskrawy fartuszek i wiesza go na haczyku przy drzwiach. Jej dziecięca mina przypomina mi, że prawdopodobnie od śmierci mojego ojca nie miała porządnych wakacji. Idę za nią do holu, skąd bierze swoją kurtkę i torebkę. Otwieram drzwi frontowe. Całuje mnie i biegnie do swojego samochodu jak we śnie.

Wzdycham i człapię z powrotem do kuchni. Ramiona mnie bolą, bo czuję się odpowiedzialna za wszystkich. Robię sobie kawę i siadam do komputera. Ręce mi się trzęsą. Kończę kawę i robię następną. Wolę teraz kawę od valium i alkoholu. Kawa pomaga mi się skoncentrować. W Internecie słońce, hotele i wille. Wykorzystuję Avios, program lojalnościowy British Airways i Iberii, członkostwo w biurze podróży Secret Escapes i elastyczne budżetowanie, żeby zarezerwować apartament na Barbados i lot wcześniej rano z Gatwick. Resztę dnia zajmuje mi sprzątanie domu i pakowanie.

Słyszę klucz Roba w drzwiach i biegnę go przywitać. Całujemy się i czuję, że ma ściągnięte wargi. Jest cieniem człowieka, którym kiedyś był. Rob, ale nie Rob. Co Jenni mu robi? Rob tego nie powie, wyrzuca to z siebie tylko we śnie. Bije, kopie i wrzeszczy twoje imię, Jenni, jakby walczył z tobą. Budzi się zlany zimnym potem.

Tego wieczoru przechodzi przez hol i idzie na górę wziąć prysznic, jak zwykle. Żartuje, że zmywa z siebie zarazki Stansfield.

Słucham muzyki z odtwarzacza kasetowego i odgrzewam mu kolację, gdy wchodzi do kuchni w džinsach i koszulce. Włosy ma

jeszcze wilgotne po prysznicu.

– Co to za harmider? – pyta, kiedy stawiam przed nim jedzenie. Nic specjalnego: schabowy, fasolka w sosie pomidorowym i purée ziemniaczane, doprawione lekko domowym sosem cytrynowym matki – ale tylko lekko. Wyłączam pilotem odtwarzacz, siadam obok niego i patrzę, jak bez zapału wkłada jedzenie do ust.

– O co chodzi z tymi walizkami? – pyta.

Rob

W raju kołyszą się palmy. Wiem, bo tam jestem. Siedzę na balkonie naszego wakacyjnego apartamentu i słucham szumu morza.

Staram się o tobie zapomnieć, Jenni.

Staram się nie czuć winny.

Poczucie winy jest bez sensu, dołuje cię, marnuje twój czas i energię.

Przeciągam się, schodzę z balkonu i idę na białą plażę, gdzie młody człowiek przynosi mi leżak i mrożone napoje. Nie mam dziś nic do roboty poza czytaniem kryminału, drzemaniem i pływaniem w morzu, gdzie woda jest ciepła jak w wannie. Prawdziwy raj.

Carly wstaje, opalona na kolor toffi, i dołącza do mnie. Brniemy razem przez wodę, miękką jak aksamit. Carly nagle się męczy, staje, śmieje i odgarnia mokre włosy z twarzy. Jest w moich ramionach, śliska i słona, jej jędrne gorące piersi przywierają do mojego torsu.

– Wracajmy do apartamentu, mama pilnuje dzieci – mówi, odpycha mnie i uśmiecha się jak zawsze, kiedy chce uprawiać seks. Ten uśmiech mnie przeraża.

Biegniemy przez morze, rozchlapując spienioną wodę, a potem przez plażę do pustego apartamentu. Słyszę szum morza i wesołe głosy dzieci, które bawią się na plaży. Stapiamy się ze sobą, ale ja się wstrzymuję. Carly patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i

przez moment mam wrażenie, że jest bliska płaczu. Ale potem wtacza się na mnie i szepcze:

– Dobrze, że uciekliśmy, zanim wredna suka stała się jeszcze gorsza.

Carly

Kawał świata od komendy policji w Stansfield, pełnej pijaczków w sobotnie noce i zakurzonej przez przejeżdżające samochody, siedzimy naprzeciwko sierżant Anity Berry w wakacyjnej sypialni. W tym świecie są zwiewne zasłony i łagodna morską bryza. Policjantka patrzy na nas z ekranu iPada opartego na toalecie, a my na nią z krzeseł, które wzięliśmy z kuchni.

Promienny uśmiech Anity Berry dociera do nas na falach eteru. Jej pięknie ostrzyżone włosy poruszają się lekko wokół twarzy, kiedy pochyla się do przodu, żeby napić się wody ze szklanki. Odstawia ją i zwraca się do nas:

– Przyjrzałam się sprawie bardzo dokładnie i nie ma dość dowodów, żeby wszcząć śledztwo.

Słońce praży przez okno za nami i powoduje u mnie ból głowy.

– Musi coś być, Jenni jest niebezpieczna – wyrzucam z siebie.

– Nie mamy na to żadnego dowodu.

– A podobieństwo mojego „wypadku” do tego, co się stało z Craigiem i jego dziewczyną?

Ręka mi się trzęsie.

– Koroner orzekł, że to była umowa samobójcza między nimi i zgadzamy się z jego opinią.

– Ale oni nie umarli w tym samym czasie.

– Wiemy o tym, pani Burton, lecz jesteśmy pewni, że popełnili samobójstwo. Oboje zostawili listy pożegnalne.

– Jak dokładnie sprawdziliście je?

– Proszę nas nie obrażać, pani Burton. Postąpiliśmy zgodnie z procedurami. Wiemy, co robimy.

– Sprawdziliście charakter pisma?

– Dowody są bezsprzeczne. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Ale Craig zdradzał Jenni, miała wyraźny motyw.

– Nie ona jedna, pani Burton.

– Co pani ma na myśli?

Wierci się na krześle.

– Może chce pani kontynuować tę rozmowę w cztery oczy?

Rob nachyla się do iPada.

– Carly i ja nie mamy przed sobą tajemnic, ale chętnie wyjdę z pokoju i wrócę na plażę.

Wstaje. Jego sandały stukają na trawertynowej posadzce.

Berry mówi:

– Miała pani romans z Craigiem. Rzucił panią, żeby wrócić do żony, a potem związał się z nową dziewczyną.

Pauza.

– A więc pani też miała motyw – ciągnie. – Może pani dowieść, że go nie kochała?

– Jak można dowieść, że się kogoś nie kocha? I jakie to ma znaczenie, czy go kochałam, czy nie?

Jak ona śmie odgrzebywać dawne uczucie?

– Mogła pani być rozgoryczona, dlatego że wrócił do Jenni. A nowa dziewczyna mogła być kroplą, która przepełniła czarę. To, co nam pani mówiła o seksie, mogło być tylko zasłoną dymną, żeby nas zmylić. Obie miałyście w pracy dostęp do leków na receptę.

Siedzę z głową w dłoniach, upał mnie męczy i pocę się. Mam mokre kolana z tyłu i dół pleców.

Podnoszę wzrok i staram się powstrzymać łzy, które szczypią mnie w powieki.

– Naprawdę pani tak myśli?

– Nie. Gdybym tak myślała, rozmawialibyśmy z panią o wiele poważniej. Podkreślam tylko, że obie mogłyście to zrobić. Koroner uważa, że była to umowa samobójcza ze zwłoką między jednym aktem a drugim. Mamy na to wystarczające dowody. Proszę przyjąć do wiadomości to, co mówię, pani Burton.

– W porządku. Trudno mi się z tym pogodzić, ale dziękuję.

– Nie ma za co. To nasza praca, od tego jesteśmy.

– Do widzenia.

Dotykam ekranu iPada i sierżant Berry znika na szczęście. Czemu wraca do mojej przygody z Craigiem? Z lodowatym spokojem postanawiam kontynuować walkę bez pomocy policji. Jestem teraz silna. Dam radę.

Rob

Idziemy, trzymając się za ręce, wzdłuż plaży, piasek chrzęści mi pod stopami jak cukier. Słońce praży tak mocno, że mam zawroty głowy. Carly, jesteś strasznie zdenerwowana po telefonie Anity Berry. Agresywna. Zupełnie nie ufasz Jenni. A tak już było dobrze. Po tych wszystkich problemach, które udało nam się razem rozwiązać. No cóż, jesteś moją żoną. Muszę cię szanować.

– Po powrocie poproszę ją, żeby odeszła – mówię najsilniejszym głosem, na jaki mogę się zdobyć.

Kręcisz głową.

– Ona nie odejdzie. A jeśli nawet, będzie nas dalej prześladować.

– Dostaję skurczu żołądka. – Rob, musimy traktować to poważnie. Dokądkolwiek się wybierzemy, Jenni nas wyśledzi.

– Ona nie jest niebezpieczna. Gdyby była, policja dalej prowadziłaby śledztwo.

– Naprawdę myślisz, że tak to działa? – pytasz.

– Chyba tak.

– Musimy żyć z nią w przyjaźni. Okazywać jej sympatię. Jeśli zrozumiemy, jak się czujemy, może da nam spokój.

– Zdumiewasz mnie, Carly. Raz ucieczka na Barbados, teraz znowu życie w przyjaźni... Co ty knujesz?

Puszczasz moją rękę. Podnosisz z piasku okrągły różowy kamyk i ciskasz go płasko do morza. Odbija się trzy razy od powierzchni wody i tonie. Odwracasz się do mnie z determinacją w oczach.

– Wiem, co robię. Działajmy razem, proszę cię.

Carly

Zostawiam cię śpiącego na łóżku w popołudniowym upale. Kiedy śpisz, nie masz na twarzy zmarszczek, które cię postarzają. Jesteś tym, w którym się zakochałam lata temu. Opaliłeś się na brąz. Wargi masz rozchylone. Chcę cię obudzić, pocałować i zacząć od nowa. Ale muszę być sama, żeby pomyśleć, więc pozwalam ci spać.

Wkładam cienki szlafroczek, podchodzę do okna i uchylam zasłony, żeby widzieć biały piasek i kobaltowe morze. Przed naszym oknem kołyszają się palmy. Zamykam oczy i słucham szumu morza, uspokaja mnie.

Na plaży bawią się Matt i John. Kąpią się, rzucają do siebie piłkę, pającują i śmieją, kiedy fale ochlapują im nogi. Pippa biega za nimi i stara się ich pilnować. Próbuje ich nakłonić, żeby wyszli z wody i pomogli jej budować zamek z piasku.

Moja matka czyta jakąś powieść na leżaku. Prawie się nie rusza od blisko dwóch tygodni. Nie chce jej się nawet wejść do morza. Mówi, że daje odpocząć stawom, żeby nadal być sprawną, kiedy będzie starsza.

– Nie przejmuj się stawami. Jak nie zaczniesz ćwiczyć, to żyły ci się zablokują i dostaniesz ataku serca – poucza ją Pippa z wyceLOWANYM w nią palcem i przechyloną głową.

Pobyt tutaj to dla mojej matki pełny relaks, na który zasługuje po latach ciężkiej pracy. Tobie też pomagała, prawda, Jenni?

A ja przede wszystkim mam czas na myślenie o tobie, Jenni. Przeszłość, naszą przyjaźń, różne momenty, najważniejsze wydarzenia widzę wyraźnie jak na ekranie kinowym.

Nasza „przyjaźń” w wyższej szkole pielęgniarstwa była tylko znajomością na odległość; ja robiłam magisterium, a ty licencjat. Mocno się podciągnęłaś od tamtej pory, prawda? Dziewczyny na studiach magisterskich zwykle nie kolegowały się z dziewczynami ze studiów licencjackich. Ale z jakiejś przyczyny wylądowałaś na tym samym korytarzu ohydneho akademika, co ja. Pamiętasz? Sypialnie były tak małe, że gdy stanęłaś na środku, mogłaś dosięgnąć obu ścian. Kuchni nie sprzątał nikt oprócz

ciebie. Sterta śmieci rosła na dworze.

Bardzo różniłyśmy się od siebie. Nie piłaś. Nie pieprzyłaś się z nikim. Nic dziwnego, że się nie kumplowałyśmy. Już wtedy prześladowały mnie twoje oczy, spojrzenie pełne dezaprobaty, kiedy wracałam późną nocą z jakimś facetem i zastawałam cię w kuchni przy robieniu dżemu, modlitwie albo innym równie ambitnym i ekscytującym zajęciu. Nigdy nie wychodziłaś na miasto, nawet w sobotnie wieczory.

Reszta, jak to mówią, należy do przeszłości. Stansfield, miejscowa szkoła rodzenia, gdzie w końcu się spotkałyśmy. Ja nosiłam Johna, ty spodziewałaś się Marka. Gdy tylko spojrzełaś na mnie, rozpoznałam twoje brązowe oczy, ale już nie zobaczyłam w nich dezaprobaty – ostatecznie, obie byłyśmy wtedy mężatkami. Łączył nas strach przed urodzeniem dziecka, miałyśmy przejść przez to razem. Nic poza tym.

Pamiętasz szpitalny kurs rodzenia? Wykłady położnych? Leżałyśmy na matach na podłodze jak wyrzucone na brzeg wieloryby i nie bardzo wiedziałyśmy, dlaczego musimy się tak męczyć, żeby się odprężyć. Pamiętasz, jak nowe matki na oddziale położniczym, w kapciach i szlafrokach, kuśtykały do szpitalnego sklepu na oczach pacjentów ambulatoryjnych, zbolące i zaniedbane? Gdy w końcu przyszła moja kolej, nawet nie miałam siły wybrać się do sklepu.

Pamiętasz rozmowę z jakąś nową matką, która przyjechała samochodem do szpitala sama, kiedy już rodziła? Zatkało nas.

– Spoko – powiedziała. – Przeleciałam wiaduktem między skurczami, a na wypadek awarii miałam rower.

Pamiętasz tamten przerażający plac zabaw, gdzie zabierałyśmy dzieci? Opary akrylu z mokrej nawierzchni dostawały się do nozdrzy i niszczyły błony śluzowe nosa. Miejsce miało być dobre dla koordynacji ruchowej dzieci. Nie wiem. Myślę, że po prostu służyło właścicielom do wyciągania pieniędzy od znużonych rodziców. Na pewno nie było zabawnie słuchać krzyków szkrabów, kiedy spadały z ławek i czołgały się przez plastikowe rury i obręcze przy rymowankach z kiepskiego systemu nagłośnienia. Uciszały się tylko w czasie przerwy, gdy piły napój

owocowy z nadmiarem cukru i opychały tanimi herbatnikami. No i ten trener. Pamiętasz go? Nabity blondyn z muskularnymi udami. Ale ciebie on nie kręcił, prawda? Nigdy nie miałaś ochoty na innego faceta, dopóki nie zakochałaś się w Robie.

Pamiętam tamto wspaniałe uczucie wolności, kiedy następował koniec i uciekałyśmy na dwór, żeby postać i pogadać. Kładłam ci rękę na ramieniu i śmiałyśmy się razem z tych wszystkich głupich rzeczy, jakie musiałyśmy robić z powodu naszych dzieci.

Tylko tak naprawdę wyglądała nasza przyjaźń. Przyjaźń sprzed bramy szkoły, nic więcej. Przejściowa i nieważna. Tak nieważna, że nie ma znaczenia, Jenni, że ją zniszczyłaś. Nasza przyjaźń przepadła. Ale to tylko część tego wszystkiego. Teraz, żeby chronić moją rodzinę, ja zniszczę ciebie, uprzedzam cię, Jenni.

Rob

Powrót do domu. Do świata pozbawionego kolorów. Do szarości Stansfield. Do stosów ulotek reklamowych i rachunków, które piętrzą się tak, że z trudem możemy otworzyć drzwi frontowe. Do niekończących się list pacjentów i wizyt domowych. I do Jenni. Do jej czekoladowych oczu. Obserwują mnie, kiedy pierwszy raz przyjeżdżam do przychodni. Kiedy całuję Sharon w policzek i daję jej prezent z Barbados: koronkowy obrus. Obserwują, kiedy wręczam wszystkim pozostałym butelki rumu Mount Gay. Jej brązowe oczy stają się czarne na widok Carly.

Plażowy obibok, którym byłem jeszcze wczoraj, przeistacza się z powrotem w doktora Burtona. Znowu siada na spłowiałym skórzanym krześle za porysowanym biurkiem w swoim gabinecie. Współczuje Lily Appleton, która ma dziewięćdziesiąt lat i traci pamięć. Jest cierpliwy wobec młodego mężczyzny, który próbuje dostać zwolnienie z pracy na bolące plecy. Będzie zawiedziony. Nie mogę mu go wystawić, nie wymiga się od roboty.

Następna jest Shelly Barr. Zawsze na bakier z antykoncepcją – czworo dzieci, każde z innym facetem, a ma dopiero dwadzieścia dwa lata. Mieszka w domu komunalnym ze swoim ostatnim chłopakiem. Postanawiam dać jej kilka lśniących broszurek z poradami antykoncepcyjnymi. Jeśli umie czytać, może któraś jej pomoże. Idę korytarzem, żeby wziąć jedną z szafki za recepcją. Mijam dyżurkę pielęgniarek. Drzwi są otwarte i widzę Carly i Jenni. Siedzą i sprawdzają razem próbki do wysłania. Gawędzą. Śmieją się. Dziewczyny znowu razem. Carly, Jenni i ich schizofreniczna przyjaźń. Kiedy przechodzę obok nich w drodze powrotnej, zachowują się ciszej i pracują zgodnie. Carly zauważa mnie i przywołuje gestem. Wchodzę do dyżurki. Trzeba tu

posprzątać, jak zwykle. Broszurki, notatki o pacjentach i zarządzenia resortowe piętrzą się na stołach laboratoryjnych. Długopisy. Ołówki. Bloczki. Przyciski do papieru. Zielony plastikowy pojemnik na spinacze w kształcie nosorożca. Skarby Carly i jej bałagan.

W pokoju pachną perfumy, które kupiłem jej na lotnisku przed odlotem do domu. Gardenie zabijają woń kurzu i środka odkażającego. Carly wydyma do mnie wargi spod swoich loków jak na obrazach Botticellego. Jenni patrzy mi w oczy odrobinę za długo.

Bądź ostrożna, Jenni.

Teraz obie patrzą na mnie i uśmiechają się. Uśmiech Carly jest zuchwały, pełen pewności siebie. Jenni nieśmiały, przez moment szeroki, potem znika.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Carly właśnie mi mówiła o waszych wakacjach – odpowiada Jenni i robi pauzę. – I o przyjęciu.

– O jakim przyjęciu?

– W noc ognisk.

– Wtajemniczę cię w domu – mówi Carly i dalej zaciska przykrywkę pudełek z moczem.

Zostawiam je same i wracam do siebie, żeby wezwać biedną Shelly Barr. Dzień mija powoli, wypełniony notatkami o pacjentach, skierowaniami, złymi wiadomościami z oddziałów onkologicznych i niepokojem o pieniądze. Dzwoni miejscowy farmaceuta i kwestionuje prawidłowość jednej z moich recept. Jakiś przedstawiciel medyczny czeka, żeby zobaczyć się ze mną. Telefonuję do Sharon.

– Sharon, pozbądź się go. Jestem dziś zawałony robotą i nie interesuje mnie zamiennik penicyliny. Ale zrób to grzecznie.

Wreszcie, w samą porę, popołudniowy dyżur się kończy. Pusty parking wskazuje, że wszyscy poza mną pojechali już do domu. Światło dnia gaśnie, opuszczam więc żaluzje, siadam za biurkiem i czekam.

Kroki na korytarzu. Klamka drzwi obraca się wolno. Brązowe oczy.

- Tęskniłam za tobą, Rob. Nawet nie powiedziałeś mi, że wyjeżdżasz. Odciąłeś się ode mnie, i to było bolesne.
- Musiałem, Jenni. Dla dobra rodziny. Na pewno wiesz, jakie to dla mnie trudne – mówię, kiedy biorę cię w ramiona.
- To było zawsze trudne dla nas obojga – szepczesz i całujesz mnie. Ja też cię całuję, pożądliwie.

Jenni

Zbliża się przyjęcie przy ognisku i już nie mogę się go doczekać. Specjalnie dla ciebie, Rob, kupiłam sobie nową sukienkę, która podkreśla moją figurę. Wełnianą sukienkę w kolorze toffi, pasuje do moich oczu. Jak dobrze wiesz, czekolada i toffi razem są pyszne. Bardzo ci współczuję zachowania Carly. Jej hałaśliwego śmiechu i przesadnej żywiołowości. Carly Burton. Loki i głupota. Jak spasiony golden retriever. Jesteś ze swoją pulchną żoną o wątpliwym intelekcie tylko z powodu twoich przekonań religijnych. Długotrwała miłość do mnie utrudnia ci życie. Bardzo mi przykro, Rob, naprawdę.

Rob

Przygotowujemy ognisko w naszym ogrodzie. Największe, jakie kiedykolwiek tu było. Mamy fajerwerki i zimne ognie. Domowe krówki, toffi z melasy i wiszące lampiony. Zrobiliśmy dużą kukłę wypchaną gazetami, żeby móc łatwiej rozpalić ogień. Głowa jej ciągle odpada i musimy to w kółko naprawiać. Carly zagoniła wszystkich do pomocy: Pippe, Matta, Johna i twoich chłopców, Jenni. Wyglądają jak klony Craiga z mocną budową i topornymi rysami – sam ich widok przyprawia mnie o skurcz żołądka z powodu tego, co się z nim stało. Za kilka dni przyjdiesz do nas na przyjęcie, Jenni, i będziesz korzystała z wysiłków Carly.

Z powodu tego, co jest między nami, co dzień chodzę do kościoła i modlę się o zbawienie. W kościele, gdzie poślubiłaś

Craig. Kiedy tam jestem, hałas świata cichnie. Zawsze byliśmy religijni, prawda? Uważasz, że religia pomaga? Muszę przyznać, że czasami się nad tym zastanawiam. Wierność swojej religii nie jest łatwa. Przynajmniej tak mi się teraz wydaje. Wiem, że nasz romans nie może trwać. W ogóle nie powinien się zacząć. Modłę się o wybaczenie. O siłę, żeby to zakończyć.

Carly

Przyszłaś na przyjęcie wcześniej, tak jak cię prosiłam, i gawędzimy wesoło w ogrodzie. Rob obserwuje nas z kuchni. Widzę jego twarz przy oknie obok zlewu. Lśniące włosy i szerokie ramiona. Jenni, on należy do mnie. Wiesz o tym, prawda? Kładziesz mi rękę na ramieniu i mówisz, jak miło jest znów być razem.

– Jak za dawnych czasów – dodajesz.

Jest rześki listopadowy wieczór i ciemność już zapadła. Lampiony na drzewie nad nami rzucają na ciebie łagodne światło, w którym twoje zmarszczki mimiczne są trochę mniej widoczne. Bo nie jesteśmy coraz młodsze, prawda, Jenni? Zapach sosny dolatuje do nas od niezapalonego stosu polan.

– Rozpalmy ognisko, zanim wszyscy przyjdą – proponuję. – Wiesz co? Ty to zrób. – Wręczam jej zapalnik i naftę. – Polej nią drewno, jest bardzo mokre po wczorajszym deszczu. – Robię pauzę. – Przyniosę nam po kieliszku wina. Czerwone czy białe?

– Czerwone – odpowiadasz i zaczynasz odkręcać korek zielonej puszkę z naftą.

– Zaczekaj chwilę. Zapal, jak wejdziesz do środka. Od zapachu nafty astma mi się nasila.

– Nie wiedziałam, że masz astmę.

– Nie wiemy o sobie nawzajem wielu rzeczy, Jenni.

Kładziesz mi rękę na ramieniu i patrzysz mi w oczy.

– Mamy całą resztę życia na to, żeby się dowiedzieć, skoro znów jesteśmy bliskimi przyjaciółkami, bo przeszłość została zapomniana i wybaczona.

Wybaczona, ale nie zapomniana. Wybaczona. Zapomniana. Jak to jest, Jenni? Jedno i drugie? Twoje słowa dźwięczą mi w głowie.

– Pamiętaj, żeby porządnie rozlać naftę! – krzyczę, idąc do domu po wino.

Rob

Zmywam w kuchni i patrzę, jak stoicie razem i śmiejecie się, dwie ciemne postaci w mglistym świetle lampionów. Carly wręcza ci naftę i zapałki, Jenni, całuje cię w policzki i odwraca się, żeby przejść przez ogród. Drzwi kuchni otwierają się i zamykają.

– Otworzyłeś wino? – pyta Carly.

– Tak. Stoi przy...

Ogród eksploduje. Żółte płomienie strzelają pod niebo i ogarniają cię, Jenni. Łapię ręcznik kąpielowy i wypadam na dwór. Biegnę do ciebie, zbliżam się do ognia, który cię pochłania. Zatrzymuje mnie odór płonącego mięsa i mocny zapach benzyny. Muszę się cofnąć, nie mogę cię dosięgnąć, Jenni. Mam poparzoną twarz i osmalone włosy. Czuję to. Ogień przygasa i widzę twoje zwęglone ciało. Wracam do kuchni, jakbym szedł przez próżnię, i drżącymi rękami telefonuję po pomoc.

Opadam na skórzany fotel w kuchni i zastanawiam się półprzytomnie, gdzie jest Carly. Ale nie mogę iść jej szukać, bo jak się ruszę, to zwymiotuję.

Po kilku minutach przyjeżdża policja i straż pożarna. Nie jestem pewien, kto pierwszy. Kogut karetki pogotowia błyska na dworze. Kursują między ogrodem a domem. Strażacy przeciągnęli wąż bocznym przejściem i gaszą ognisko pianą. Już prawie zgasło. Twoje ciało otaczają ratownicy medyczni i policjanci. Policjanci są wszędzie, przeszukują dom i szopę. Nie udaje mi się dłużej powstrzymywać wymiotów. Pędzę do łazienki na dole – w samą porę. Kiedy jest po wszystkim, czuję uderzenie gorąca. Ochlapuję twarz zimną wodą z umywalki. Zaczynam drżeć, a potem się trząść, coraz bardziej niekontrolowanie. Stoję w toalecie i czekam, aż się uspokoję.

W końcu atak przechodzi i wracam do kuchni. Dom jest teraz miejscem zbrodni. Taśma w poprzek frontowych drzwi, policjant na straży. Pippa idzie do domu za ręce z chłopcami. A gdzie twoje dzieci, Jenni? Nie wolno im oglądać tego horroru, bo pozostanie w ich pamięci na zawsze i wypaczy obraz prawdziwej ciebie. Nie ma ich. Policja musiała ich zawrócić. Muszą być u Stuarta. Na myśl, że Stuart stracił ukochaną córkę, znów dostaję skurczu żołądka. Policjantka odprawia gestem dzieci. Czuję, że Heather już po nie jedzie. Nasza podpora.

Carly staje przy mnie. Cuchnie ogniskiem, twarz ma mokrą od łez i ubrudzoną węglem drzewnym. Idziemy oboje do salonu i opadamy na kanapę. Carly przywiera do mnie, przytula pachnącą dymem głowę do mojej twarzy, a ja duszę się. Policjant zjawia się jakby znikąd i siada w fotelu naprzeciwko nas. Kawał chłopca. Ma jasne włosy i jasne oczy, co nadaje mu łagodny wygląd.

– Wygląda na to, że Jenni próbowała rozpać ogień benzyną zamiast naftą i puszka eksplodowała – mówi. – Biedna dziewczyna nie miała szans.

– Dałam jej naftę – odpowiada gwałtownie Carly.

– Czerwoną puszkę, której zawsze używamy? – pytam.

Policjant pochyła się do przodu.

– Czerwona puszka z naftą stoi w szopie.

Carly robi gwałtowny wdech.

– Myśli pani, że dała jej złą puszkę?

Carly wybuch płaczem. Nie odpowiada.

Zabierają Carly na komendę, żeby złożyła zeznanie. Ja zostaję w domu i pocieszam się szklaneczką whisky. Policjanci w gumowych rękawiczkach są wszędzie: w szopie, w kuchni, w naszej sypialni. Skądś przez ciemność, w której się poruszam, widzę dzieci wracające do domu, podchodzą do mnie w salonie. Jestem zbyt przybity, żeby z nimi rozmawiać. Przytulam Pippę, która pachnie kwiatem jabłoni, i chłopców. Siadamy razem i włączamy telewizor. Kolorowe cienie migoczą przede mną i nawet nie wiem, co oglądamy. Może jakiś film, może wiadomości. Nie mam pojęcia i nie obchodzi mnie to. Wiem tylko, że Pippa i chłopcy są przy mnie. Ich obecność uspokaja mnie. Pippa trzyma

mnie za rękę.

W pewnym momencie, nie jestem całkiem pewien kiedy, Carly wraca do domu, który jest teraz miejscem zbrodni. Twoje ciało, Jenni, leży w namiocie i czeka na dalsze badania. Musimy natychmiast opuścić miejsce zbrodni.

– Tylko na kilka dni – zapewnia jasnowłosy policjant, obserwuje, jak pakujemy trochę rzeczy na noc. Notuje, co bierzemy.

– Co było na komendzie? – pytam Carly, kiedy staje przede mną drżąca i błada.

– Złożyłam zeznanie. Wyjaśniłam, że to był wypadek. – Wybucham płaczem i przytula się do mnie. – Chyba mi nie uwierzyli. Powiedzieli, że w takiej sprawie jak ta konieczne jest dochodzenie.

– Oczywiście. To rutynowe postępowanie.

Czy ona naprawdę myśli, że w takiej sprawie może nie być śledztwa?

Nie jestem w stanie prowadzić, policja zamawia nam radiotaxi. Heather przyjechała, przynajmniej z dziećmi wszystko będzie w porządku. Trochę mi ulżyło. Ładujemy się w milczeniu do taksówki i jedziemy do miejscowego hotelu Travelodge, gdzie Heather i dzieci znikają w dużej sypialni. Carly i ja bierzemy pokój dwuosobowy. Jesteśmy sami pierwszy raz, odkąd cię straciłem, Jenni. Gdzie jesteś? Dokąd Bóg cię zabrał?

W plastikowej prywatności Travelodge, w otoczeniu kremowych ścian i mebli z płyty spilśnionej, rzucam na łóżko torbę podróżną, wyciągam butelkę whisky i nalewam solidną porcję do szklanki z łazienki. Whisky z posmakiem zaschłej pasty do zębów.

– Napijesz się, Carly? – pytam.

Kręci głową, zdejmuje buty, siada na łóżku i podpira plecy poduszkami. Siadam obok niej i pociągam whisky. Kiwa się do przodu i do tyłu, udręczona, i płacze przeraźliwie, upiornie. Staram się ją uspokoić, otaczam ramionami, głaszczę po plecach, mówię do niej. Ale nie przestaje szlochać i kiwa się coraz bardziej. Czuję od niej swąd spalenizny, który piecze mnie w

płucach i przetyku, dusi i przyprawia o mdłości.

– Co się stało? – pytam, ale Carly nie jest w stanie odpowiedzieć.

Zostawiam ją z jej rozpaczą i idę wziąć prysznic. Odwracam się w drzwiach i patrzę na nią. Ma zamknięte oczy, chyba nie zauważyła, że odszedłem.

W łazience, mimo stukającego kaloryfera, jest wilgotno i zimno. Szare kafelki, które kiedyś były białe. Zmatowiałe lustro. Poplamiona wanna. Zdejmuję przesiąknięte dymem ubranie i wchodzę pod prysznic. Woda jest letnia, a żel do kąpieli rzadki i pachnie jak płyn do zmywania. Z trudem udaje mi się namydlić, żeby zmyć z siebie swąd. Trę coraz mocniej, ale nie mogę pozbyć się odoru twojego płonącego ciała, Jenni, ani zapomnieć o żarze ogniska. Stoję w strugach wody i żałuję, że nie mogę cofnąć czasu. Zostaję pod prysznicem, aż robi się zimny, a moja skóra różowa i pomarszczona. Wracam do sypialni, żeby włożyć świeże ubranie z torby. Carly nadal się kiwa i płacze, ale teraz cicho. Nie słyszy mnie. Nie otwiera oczu. Ubieram się i myję zęby tak obsesyjnie, jak się szorowałem. Potem obejmuję ją i czekam, aż dojdzie do siebie i odezwie się.

Przytula się do mnie i zasypia. Nadal czuję od niej duszący swąd. Uwalniam się, kładę jej głowę na poduszce i nalewam sobie następną whisky.

Energiczne, głośne pukanie do drzwi. Odstawiam szklanekę na nocny stolik i idę otworzyć, spodziewając się, że to któreś z dzieci. Ale nie. Para policjantów stoi za progiem. Mężczyzna i kobieta – młoda, szczupła i blada.

– Możemy wejść? – pyta bardziej groźnie, niż wygląda. Mężczyzna u jej boku ma minę bez wyrazu.

Słyszę za sobą, jak Carly zaczyna się wiercić. Policjanci wchodzą do pokoju – sztywni, władczy i pachnący zimnym nocnym powietrzem.

– O co chodzi? – pytam. – Już ją przesłuchiwaliście.

– To był wypadek – mówi Carly łamiącym się z wyczerpania głosem.

– Mamy więcej dowodów.

Patrzy na mnie z przerażeniem, prosi mnie wzrokiem o pomoc.

Podnosi się z łóżka i staje obok mnie. Otaczam ją ramieniem. Jasnowłosa policjantka podchodzi do niej. Otwiera usta i zaczyna mówić jak automat. Początkowo jestem tak zaszokowany, że nie słucham uważnie. Dopiero potem sens jej słów dociera do mnie i zaczynam sobie uświadamiać, że aresztują Carly. Znam te słowa tylko z kryminałów w telewizji, których oglądałam za dużo. Formułka kończy się ostrzeżeniem:

- ...może to zaszkodzić potem pani obronie w sądzie, jeśli powoła się pani na fakty, o których nie wspomniała pani podczas przesłuchania. Wszystko, co pani zrobi lub powie, może być wykorzystane jako dowód.

- Pójdzie pani dobrowolnie, czy będziemy musieli panią skuć? - pyta policjant.

Carly nie odpowiada od razu, więc policjant odciąga jej ręce do tyłu i zakłada jej kajdanki. Musi być dobrze wyszkolony. Jest stanowczy, ale nie brutalny. Nadal ją obejmuję i usiłuję chronić.

- Niech pan się odsunie - rozkazuje policjant. - Niestety nie zaprosimy pana do nas.

Puszczam moją żonę i cofam się. Blondynka wręcza mi wizytówkę.

- Informacje dla pana.

Biorą Carly między siebie i prowadzą do drzwi.

- Pomóż mi, Rob, to jakaś pomyłka - błaga.

W głębi duszy nie wierzę, że to pomyłka. Policjanci są zbyt pewni siebie, zbyt pewni swego. Brakuje mi słów, żeby powiedzieć coś pocieszającego, zanim ją zabiorą. Zostaję sam w tym obskurnym hotelu, który wymaga odnowienia. Patrzą na szare ściany i czuję w sobie pustkę. Podchodzę do okna, żeby ostatni raz spojrzeć na Carly. W samą porę, żeby zobaczyć, jak potyka się przy wsiadaniu do radiowozu. Macham do niej, ale nie widzi mnie. Samochód odjeżdża, błyski kogutów rozświetlają ciemność. Siadam na łóżku, żeby się znieczulić whisky. Piję, aż przestaję widzieć i myśleć, i zapadam w sen.

Carly

Jako tymczasowa aresztantka oskarżona o zamordowanie Jenni Rossiter siedzę w klitce w więźniarce, która wiezie mnie do zakładu karnego Moormead. Nikt mi nie wierzy, że się pomyliłam, nawet Rob. Jego postawa boli mnie najbardziej.

Wyglądał jeszcze bardziej niechłujnie niż ja, kiedy pozwolono mu zobaczyć się ze mną w komendzie policji, zanim wpakowano mnie do tego koniowozu. To niedopuszczalne, żeby traktować ludzi jak zwierzęta. Mogłam z nim porozmawiać tylko przez szybę i przyciskałam do niej twarz, żeby być jak najbliżej niego.

– Co to za nowy dowód? – zapytał.

– Mają nagranie z kamery monitoringu, na którym nalewam benzynę do zielonej puszkii na stacji benzynowej na tydzień przed ogniskiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nie pamiętasz? Bałeś się, że może nie wystarczyć, jeśli trzeba będzie dotankować dmuchawę do liści do pełna. – Urwałam. – Poprosiłeś mnie, żebym dokupiła, więc to zrobiłam. To niczego nie dowodzi. Nie zrobiłam nic celowo.

Przez moment widziałam strach w cętkowanych oczach Roba.

– Najwyraźniej uważają, że czegoś to dowodzi, bo inaczej by cię nie oskarżyli.

– Jestem tylko oskarżona, nie skazana. Jak myślisz, po co są procesy?

Rob, jak możesz być taki szorstki?

– Dobrze, dobrze, uspokój się – powiedział. – Nie warcz. – Wydawał się nieobecny. – Wiem, że to dla ciebie trudne, ale dla mnie to też był szok.

Przyłożył rękę do szyby, jakby chciał być bliżej mnie.

– Kiedy wracasz do domu? – spytał.

– Nie wypuszczą mnie za kaucją.

– Dlaczego?

– Uważają, że jestem niebezpieczna.

– Dla kogo? Dla siebie czy dla innych?

– Jedno i drugie.

Siedział i patrzył na mnie. Na moją zapadniętą twarz,

pogniecione ubranie, opuszczone ramiona, splecione dłonie i obgryzione paznokcie. A ja patrzyłam na mężczyznę o cerze białej jak płatków róży, prawie półprzezroczystej w elektrycznym świetle. Na nieogolonego, mocno skacowanego mężczyznę, cień człowieka.

– Umyślnie podpałałaś Jenni? – zapytał.

Zaskowyczałam jak bity pies, wstałam i wyszłam z boksu. To ma być podziękowanie za to, że jestem jego żoną i matką jego dzieci? Nie ufa mi. Nie wierzy, że jestem niewinna. Jego słowa były jak cios nożem w serce. Czego chciał? Żebym to ja gasiła pożar benzyną? Żebym ja zginęła zamiast Jenni?

Więźniarka jedzie przez Stansfield, mijając wszystkie znajome miejsca. Szkołę. Nasz bliźniak z lat trzydziestych. Przychodnię, gdzie Jenni mnie dręczyła. Drogą A70 do autostrady. Jest mi niedobrze i ręce mi się trzęsą, ale nie zamierzam się przejmować – moje „papugi”, jak nazywa ich policja, wszystko załatwią. Jak tylko będę miała okazję, zadzwonię do Roba i każę mu wynająć najlepszego adwokata.

To wszystko nieporozumienie. Wszystko. Nawet odmowa zwolnienia mnie za kaucją. Skąd to się wzięło? Wiem, że przejdę przez to do jakiegoś lepszego miejsca. Nie jestem wierząca tak jak Rob, ale odkąd wyleczyłam się z depresji, wiem, że zawsze będę szła do przodu, cokolwiek się stanie. Jenni Rossiter nie zrujnuje mi już życia bez względu na to, jak bardzo się stara. Niczego już nie zniszczy.

Więźniarka jedzie autostradą. Wysokie skarpy, szarość. Kiedy docieramy do krętych wiejskich dróg, mdłości się nasilają. Wreszcie, po kilku upiornych godzinach, dojeżdżamy do Moormead. Prawie natychmiast gdy więźniarka zaczyna zwalniać, mdłości ustępują. Widzę przez okienko, jak żelazna brama otwiera się automatycznie. Więźniarka wjeżdża na asfaltowy plac otoczony murem z drutem kolczastym na szczycie. Koszmar.

Drzwi mojej klitki otwiera strażnik więzienny. Prowadzi mnie przez podwórze do budynku z betonu zmieszanego z małymi kamieniami. Wszędzie beton w dwóch odcieniach szarości:

podłoga, ściany, sufit. Z więźniarki wyszły chyba jeszcze dwie aresztantki, ale widzę je niewyraźnie kątem oka. Strażnik stoi obok i nie odrywa ode mnie wzroku, jakbym miała rzucić się do ucieczki. Mam ochotę położyć mu rękę na ramieniu i zapewnić, że nie jestem niebezpieczna. Powiedzieć mu prawdę:

– Nazywam się Carly Burton i jestem powszechnie szanowaną pielęgniarką, żoną lekarza rodzinnego i matką trojga dzieci. Proszę się mnie nie bać.

Ale nie mogę, bo nadal jestem skuta, a on nie będzie chciał mnie słuchać. Stojąca za szybą strażniczka każe nam wypełnić i podpisać formularze. Podsuwa je nam razem z giętkimi plastikowymi długopisami przez szczelinę w szklanej przegrodzie. Teraz strażnik musi mi zdjąć kajdanki. Potrząsam nadgarstkami, żeby pobudzić dopływ krwi do rąk. Otwieram usta, żeby się do niego odezwać, ale ucisza mnie gestem. Ma taką minę, że wolę go posłuchać. Staję obok niego przy ladzie pod prawą ścianą i wypełniam formularz – imię, nazwisko, adres, data urodzenia, wzrost i waga. Nic skomplikowanego. Widzę kątem oka, jak kobieta, która przyjechała ze mną, usiłuje przeczytać formularz i trzyma niezdarnie długopis. Kończę i zostaję wprowadzona do małego bocznego pokoju, gdzie czekają dwie strażniczki. Stoją po dwóch stronach drewnianego biurka. Strażnik wychodzi.

Patrzą na nie, a one na mnie. Świdrują mnie wzrokiem. Wyglądają elegancko i groźnie w czarno-białych mundurach. Władczo. Lepiej z nimi nie zadzierać. Jedna bierze i przetrząsa torebkę. Druga obszukuje mnie wykrywaczem metali, który dźwięczy cyklicznie.

– W porządku – warczy. – Teraz do lekarki.

Gabinet lekarski o jasnofioletowych ceglanych ścianach nie ma okien. Siwa szarooka kobieta około pięćdziesiątki siedzi za metalowym biurkiem. To pierwsza osoba bez munduru, jaką widzę.

– Pali pani? – pyta.

– Nie.

– Pije?

- Przestałam wiele lat temu.
- Miała pani problem alkoholowy w przeszłości?
- Nie. Dlaczego pani pyta?

Przeszywa mnie wzrokiem.

- Kłamstwo tu pani nie pomoże.
- Dlaczego pani uważa, że kłamię?
- Domyślam się.
- Nie kłamię. Zapewniam panią.

Opiera się wygodnie na krześle i zakłada nogę na nogę.

- Bierze pani jakieś leki?
- Nie.
- Nawet pigułek antykoncepcyjnych?
- Trudno uznać je za lek.

Wpisuje coś do komputera.

- Leczyła się pani psychiatrycznie?
- Z dobrym skutkiem.
- W takim razie może pani iść prosto do swojej celi.

Idę za strażniczką o dużych pośladkach niekończącymi się białymi korytarzami, a potem wspinam się po kondygnacjach zielonych metalowych schodów, słuchając brzęku kluczy przy jej pasie. Zatrzymuje się przed drzwiami celi, otwiera je i wchodzi. Ja za nią. Jasnofioletowe ściany i okno z widokiem na beton.

- Nowa współlokatorka - mówi strażniczka w kierunku górnej pryczy i wychodzi.

Metal zgrzyta o metal, kiedy rygluje drzwi za sobą.

Na górnej pryczy porusza się koc i wyłania się jasnoruda głowa. Dziewczyna o chudej twarzy byłaby ładna, gdyby miała szerzej rozstawione oczy i szerszy nos.

- Sarah Jane Moore - przedstawia się. - Skok na bank. - Chwila ciszy. - A ty?

- Carly Burton. Niesłusznie oskarżona.

Odchyła głowę i śmieje się jak hiena.

- Wszystkie tak mówimy. Tutaj każda jest niesłusznie oskarżona.

Rob

Pora odwiedzin w więzieniu Moormead. Carly i ja siedzimy naprzeciwko siebie przy szarym, brudnym plastikowym stole i staramy się zachowywać naturalnie – Pippa siedzi na końcu stołu.

– Wszystko w porządku? – pytam, sięgam po rękę Carly i przypominam sobie, że ją przytuliłem, kiedy przyszła. Wyczerpałem limit. Nie wolno mi jej więcej dotknąć podczas tej wizyty. Cofam rękę.

Carly spuszcza głowę.

– Nie – odpowiada. – Nic nie jest w porządku.

– Sypiasz?

– Tu nikt dobrze nie sypia. Jest za głośno.

Patrzy niewidzącym wzrokiem w przestrzeń za mną.

– Robimy wszystko, co możemy, żeby cię stąd wydostać.

Jej spojrzenie staje się ostre.

– Wszystko?

– Tak.

Pippa wstaje, a ja aż podskakuję. Byłem tak zajęty rozmową z Carly, że prawie o niej zapomniałem.

– Jesteś głodna, mam? – pyta. – Chcesz coś z automatu?

– Tak, poproszę. Czekoladę.

Pippa odchodzi i zostawia nas samych. Carly to nie Carly. To jakaś kobieta w pogniecionym ubraniu, którą ledwo rozpoznaję. Nie wiem, co mam mówić.

– Co robisz przez cały dzień? – pytam w końcu niemrawo.

– Przecież nie chcesz wiedzieć.

– Gdyby tak było, to bym nie zapytał.

– Jesteś lekarzem, nauczono cię okazywać zainteresowanie i uprzejmość.

– Daj spokój, Carly, przestań. Powiedz mi, jak tu jest.

Półśmiech.

– Na pewno nie chcesz wiedzieć.

– Więc jest seks, prochy i rock and roll, tak?

Śmieje się.

– Coś w tym rodzaju.

Pippa wraca, słysząc stuk jej butów na betonowej posadzce. Carly patrzy łakomie na kubek gorącej czekolady i dużego Kit Kata, które wręcza jej Pippa. Pożera Kit Kata i wypija czekoladę.

– Kiedy wracasz do domu, mamusiu? – pyta Pippa.

Pippa. Dolna warga wysunięta, noga założona na nogę, stopa podryguje niecierpliwie.

Carly zgniata pusty kubek w prawej dłoni.

– Nie wiem, kiedy to wszystko się skończy. Jeszcze nawet nie ustalili daty procesu. W najbliższych dniach mam się zobaczyć z adwokatami.

Pochyla się do przodu, jakby chciała położyć mi rękę na ramieniu, ale się powstrzymuje. Siedzi, obgryza paznokcie, łyżki lśnią w jej oczach.

– Nie zrobiłam nic złego. Wydostań mnie stąd jak najszybciej. Proszę.

Rob

Przychodnia działa dalej. Bez Carly. Bez ciebie, Jenni. Bez mojego dawnego zaangażowania. Heather i Sharon zasługują na beatyfikację. Heather, choć wydaje się załamana tym, co się stało, nadal mnie wspiera i pomaga prowadzić dom. Sharon kieruje przychodnią, a ja udaję przed obiema, że sobie radzę.

Pora lunchu. Ponury dzień, wilgoć wisi w powietrzu, ale nie pada. Idę główną ulicą ze spuszczoną głową, bo nie chcę z nikim rozmawiać. Wstępuję do M&S i kupuję kwiaty. Z bukietem w ręku, skręcam w Church Street z kocimi łbami, pojedynczymi sklepami i osobowością. W kierunku kościoła.

Kościół, gdzie spoczywasz. Świeży granit leży brutalnie na ziemi nad tobą. Lilie, które wczoraj przyniosłem, jeszcze nie uschły. Kładę nowy bukiet obok nich. Róże i lilie. Efemeryczne piękno. Jesteś teraz u Boga, Jenni. Twoja uroda nigdy nie

przemianie. Czuję cię. Wdycham twój zapach. Jesteś tutaj i patrzysz na mnie jak zawsze.

Przerwa na lunch się kończy. Wracam Church Street do głównej ulicy. Mijam nieczynne studio tańca erotycznego. Wszystko jest takie bliskie, a jednak takie odległe. Jestem znowu w przychodni, której poświęciłem życie. Jest tu czysto, przyjemnie, ciepło i bezpiecznie, daje mi to poczucie celu. Potrzeby moich pacjentów każą mi iść naprzód, pozwalają pozbyć się strachu, który ogarnia mnie na zewnątrz. Odpędzam od siebie duchy Jenni i Carly, ignoruję zapach ich perfum i dalekie odgłosy ich kłótni i śmiechu. Przechodzę przez recepcję, gdzie zebrało się już kilkoro popołudniowych pacjentów, i uśmiecham się do dyżurnej recepcjonistki. Wchodzę do gabinetu. Gdy tylko siadam za biurkiem, dzwoni telefon. Odbieram.

– Policjant do ciebie – mówi Sharon.

Robię się bezwładny.

– Przyślij go.

Kilka minut później do gabinetu wchodzi rumiany mężczyzna, który wygląda, jakby był w siódmym miesiącu ciąży, i wyciąga do mnie rękę. Ściskamy sobie dłonie.

– Inspektor Johnson – przedstawia się.

Patrzy na mnie i siada na krześle dla pacjentów.

– Czym mogę służyć? – pytam.

– Wpadłem, żeby zerknąć na grafik dyżurów personelu w ostatnim roku. Muszę sprawdzić ponownie, gdzie przebywała Carly.

Sprawdzić ponownie, gdzie przebywała Carly. Przełykam wolno. Czuję ślinę w przełyku, ale mam sucho w gardle.

– Przypuszczam, że kiedy miała wolne, była w domu i opiekowała się dziećmi. Nie wychodziła nigdzie, poza wieczornymi spotkaniami z kilkorgiem przyjaciół.

– Tak, z pewnością, ale musimy to sprawdzić.

– I czego pan ode mnie oczekuje?

– Niczego skomplikowanego. Niech pan zajrzy do swojego dziennika. Służbowy już sprawdziłem z Sharon. Carly nie pracowała w dni, o które nam chodzi. Wiem od Sharon, że

prowadzi pan prywatny dziennik, więc chciałbym, żeby go pan dokładnie przejrzał i jeśli to możliwe, podał mi jutro rano, gdzie była Carly w interesujące nas dni.

– Jakie to daty i dlaczego was interesują?

– Dziewiąty lipca i siedemnasty września – soboty, jeśli to pomoże. Daty śmierci Craiga i Anastasii.

– Ale chyba pan nie myśli...? – jąkam się. Wpatruje się we mnie szarymi oczami. – Carly nigdy nie pracowała w soboty – ciągnę. Ręce mi się trzęsą. – Przejrzę wieczorem dziennik i dam panu znać.

Rozpiera się na krześle.

– Dziękuję.

Nadal mi się przygląda. Pachnie zimnym powietrzem z komendy policji. Dostaję dreszczy na wspomnienie odwiedzin u Carly. Cuchnęło środkiem dezynfekującym i starymi wymiocinami. Carly zamknęli razem z sobotnimi pijaczkami. Zaskowyczała żałośnie, kiedy zapytałem ją o Jenni.

– Kochała Craiga? – pyta inspektor.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Ale miała z nim romans, prawda?

– Jeśli można to tak nazwać. To był raczej wyskok seksualny. Dawno temu, gdy chorowała.

Zakłada nogę na nogę. Ma granatowe skarpetki w czerwone kropki.

– Nienawidziła Jenni Rossiter?

– Kiedy chorowała, była wobec niej podejrzliwa. Ale bardzo się przyjaźniły przed śmiercią Jenni.

– Ale poskarżyła się policji na Jenni krótko przed jej śmiercią, prawda? – naciska.

– Tak, lecz policja zapewniła nas, że Carly się myli, więc dała temu spokój.

– Musiała to zrobić bardzo szybko. Poskarżyła się we wrześniu, a na początku listopada Jenni nie żyła. – Urywa. – A czy Carly podejrzewała pana o romans z Jenni?

Wzdycham wewnętrznym.

– Inspektorze, Carly miała kiedyś paranoję, ale teraz jest

zdrowa, więc oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby mnie podejrzewać o coś takiego?

– Może na przykład dlatego, że tak było?

Czuję ciężar w środku.

– Pańska sugestia mnie obraża. Jestem religijnym człowiekiem, inspektorze.

Nachyla się do mnie. Oczy ma jak marmurowe kulki.

Carly

Jenni, co ty mi robisz? Jestem tu zamknięta przez tamten głupi wypadek. Wiem, że kazałam ci rozlać paliwo, ale naprawdę myślałam, że to nafta. To nie moja wina, że to była benzyna, tylko Roba. Poprosił mnie o napełnienie zapasowej puszki benzyną tydzień przed przyjęciem. Pomyliłam kolory, to wszystko. Dlaczego nikt mi nie wierzy, skoro tak długo się przyjaźniłyśmy? I dlaczego policja wciąż mnie pyta o Craiga i Anastasię? Jenni, co ty zrobiłaś? Udało ci się zrobić mnie z za grobu?

Rob

Cisza miejsca, które kiedyś było moim domem, przytłacza mnie. To już nie dom, tylko po prostu miejsce, gdzie mieszkam. Heather zabrała dzieci do siebie. Brodzę w ciszy. Biorę szklankę whisky i rozwalam się na kanapie. Zamykam oczy i czuję, jak Carly przysuwa się do mnie. Jej dawny dotyk. Taki jak wtedy, kiedy ją poznałem. Twarz Carly staje się twarzą Jenni. Twarzą Jenni z jej oczami jak krówki waniliowe. Moje dziewczyny. Waniliowe krówki i lody kokosowe przysuwają się do mnie i mówią, że mnie kochają. Próbuję je objąć w myślach, ale nie mogę ich dosięgnąć. Odsuwają się ode mnie. Otwieram oczy. Jestem zmęczony, potwornie zmęczony. Dopijam whisky. Jęczę i zmuszam się do wstania. Pamiętam, co obiecałem inspektorowi – mam przejrzeć dziennik. Muszę go poszukać. Ostatni raz wypełniałem go tuż

przed pożarem. Gdzie ja go zostawiłem? W szufladzie nocnego stolika? W kredensie kuchennym? Jestem metodyczny. Nie kładę niczego byle gdzie, tak jak Carly. Dziennik na pewno jest w jednym ze stałych miejsc.

Stałe miejsca. Stolik nocny. Prawa dolna szuflada komody. Kredens kuchenny na dole. Szukanie w stałych miejscach nic nie daje. Zaczynam od góry domu i przetrząsam wszystko. Szperam wszędzie. W szufladach z bielizną, splątanymi rajstopami i koronkowymi majtkami. W szafkach z zabawkami dzieci. W ich ubraniach. Na półkach z książkami i stosami korespondencji. W przepełnionej szafce z dokumentami. Zaglądam nawet do lodówki. Do zamrażarki. Do brudnych rzeczy.

Carly musiała go zniszczyć. Nigdzie go nie ma.

Carly

Pora odwiedzin. Siedzę przy plastikowym stole i czekam na matkę. Dookoła klawisze. Patrzą na mnie bez mrugnięcia okiem i czekają, aż zrobię fałszywy ruch. Bardzo się starałam, żeby dziś ładnie wyglądać. Dla mojej matki. Kiedy jestem zaniedbana, martwi się o mnie jeszcze bardziej, a już i tak za bardzo się o mnie martwi. Wolno nam dostawać tak małe kieszonkowe, że trudno jest nawet o dobre mydło czy szampon. Więc jeśli nie jest się wyjątkową naturalną piękną, nie da się porządnie wyglądać. Ale dzisiaj, z niewielką pomocą mojej współwięźniarki, Sarah Jane, która wymieniła fajki na drogi szampon, udało mi się zminimalizować szkody, jakie to miejsce wyrządza mojej urodzie. Kiedy kręcę głową, świeżo umyte, miękkie loki poruszają się wokół twarzy.

Wchodzi matka i idzie do mnie. Schudła, nadal ma kształt beczki, ale węższej. Przytulamy się na powitanie, siada naprzeciwko mnie. Jest zmęczona, ma podkrążone oczy. Sięga pod stołem po moją rękę i czuję ciepło jej dłoni w swojej. Ale nie wolno nam się dotykać, więc po szybkim uścisku i zerknięciu na strażnika, który na nas patrzy, przerywamy kontakt fizyczny.

- Wredna suka mnie wrobiła. Słyszałaś o tym?
- Oczywiście. W domu jest pełno policji.
- Jak mogą oskarżać mnie o zabójstwo Craiga i Anastasii? Twierdzą, że sfalszowałam oba listy pożegnalne. Pieprzone nagranie z kamery monitoringu. Jakaś blondynka w letniej żółtej sukience i butach tego samego koloru, która faktycznie wygląda jak ja, została sfilmowana dziewiątego lipca, kiedy szła przez mały parking w Trethynion, ten przy domu Craiga i Jenni. A siedemnastego września miała na sobie jaskrawoczerwony płaszcz przeciwdeszczowy, taki jak mój. To były dni ich śmierci. Więc to najwyraźniej ja. Ha! Ha! Założę się, że na tym nagraniu jest ona, w staniku wypchanym skarpetkami i w blond peruce. I założę się, że miała frajdę, próbując godzinami podrobić mój charakter pisma. Musiała wiele razy widzieć moje pismo w rejestrze w przychodni. Pieprzona wredna suka była cwańsza, niż wszyscy myśleli.
- Uspokój się, Carly, nie przeklinaj.
- Ale ja się boję. Policja chce wiedzieć, gdzie byłam w tamte dni, a ja nie pamiętam. Ona była sprytniejsza, niż się wydawała. Chciała się mnie pozbyć, żeby mieć Roba dla siebie. Pieprzona wredna suka była jędzą. Pieprzoną jędzą.
- Przestań przeklinać, proszę cię.
- Przeklinanie to najmniejszy problem tej rodziny.
- Nie cierpię, jak przeklinasz. Proszę, przestań. To nie pomaga. Matka, nie zwracając uwagi na zakaz, kładzie mi rękę na ramieniu. Jej dotyk mnie uspokaja.
- Dużo myślałam – mówi. – W tamte dwie soboty musiałyśmy być razem na zakupach.
- Na zakupach?
- Tak. W weekendy zawsze robiłyśmy zakupy razem, prawda, Carly?
- A dzieci?
- Nie pamiętasz? Były z nami.
- Będą to pamiętały?
- Nie komplikuj sprawy. Dzieci w ich wieku nie są w stanie pamiętać wszystkiego. Przypomniałam ci, gdzie byłyśmy, a teraz

powiem to policji. – Jej zdecydowana mina powstrzymuje mnie od dyskusji. – Możesz już przestać przeklinać, Carly. Uspokój się.

Rob

Otoczenie przypomina dużą prywatną szkołę albo uniwersytet w Oksfordzie lub Cambridge. Mijam kaplicę. Bibliotekę. Fontannę. Georgiańskie budynki o wyważonej architekturze. Wielką salę, której przeznaczenia nie jestem całkiem pewien. Skręcam w prawo obok starego ceglanego muru i uśpionych zimowych klombów, gdzie latem musi się roić od kolorów. Znam te rośliny. Ostróżki ogrodowe. Hibiskusy i hortensje. Liliowce. Ubiorki. Rudbekie. Słoneczniki. Nagietki. Trawy ozdobne. Nawet dziś, mimo nagich drzew i kwietników, jest to oaza spokoju z minionej epoki, gdzie ledwo dochodzą odgłosy miasta.

Drzwi do królestwa pana Hockermana są otwarte. Wchodzę z wahaniem do środka i idę krętym korytarzem z nowoczesnymi obrazami na ścianach – plamami, chlapnięciami i liniami. Dochodzę do pomieszczenia biurowego. Jest surowe i funkcjonalne. Rzędy krawacıarzy w błyszczących czarnych garniturach siedzą przy komputerach. Jeden z nich patrzy na mnie i uśmiecha się.

– Doktor Burton? – pyta, wstaje od komputera i podchodzi do mnie z uśmiechem. Staram się odwzajemnić uśmiech, ale bez skutku.

– Pan Hockerman jest w sali konferencyjnej z adwokatem pańskiej żony.

Idę kolejnym wąskim krętym korytarzem do wejścia w najdalszym zakątku podziemia, gdzie czeka na mnie schludny mężczyzna z ciemnymi włosami. Siedzi przy okrągłym plastikowym stole konferencyjnym, który prawie wypełnia pokój. Rozłożone papiery leżą przed nim. Adwokat Carly, pan Ward, ponury młody człowiek, siedzi obok niego. Ma tak krótkie włosy, że musiał ustawić maszynkę do strzyżenia na czwórkę i przejechać nią po głowie jak kosiarką. Wygląda jak twardy,

agresywny bramkarz w nocnym klubie. Zapewne tak się chce prezentować. Siedzi obok pana Hockermana, honorowego członka palestry brytyjskiej, jak jego ochroniarz. Pan Hockerman podnosi się na mój widok i wskazuje mi krzesło naprzeciwko siebie. Pan Ward się nie rusza. Urzędnik znika jak duch. Wyobrażałem sobie skórzane fotele uszaki i regały z książkami. Jestem rozczarowany białymi ścianami i plastikowymi meblami.

Pan Hockerman pochyła się do przodu i czyta dokument z wierzchu sterty przed nim. Trwa to tylko kilka sekund, jakby coś sprawdzał. Powinien przyciąć sobie baki i włosy w nosie. Podnosi wzrok i patrzy na mnie nad połówkami okularów. Ma jasnyniebieskie wodniste oczy.

– Dzień dobry, doktorze Burton. Dziękuję za przybycie – mówi głosem wykształconego człowieka. Przeciąga samogłoski i ucina spółgłoski. – Wiem, że oskarżenie pańskiej żony o zabójstwo Craiga Rossitera, Anastasii Donaldson i Jenni było dla pana szokiem.

Słowo „szok” nie oddaje nawet małej części tego, przez co przeszedłem. Moje życie stało się torturą. Piekłem na ziemi. Ale nie dzielę się tym z panem Hockermanem. Pozwalam mu kontynuować.

– Dostaliśmy materiał dowodowy od oskarżenia i uznaliśmy, że należy pana z tym zapoznać.

Pan Hockerman wierci się na krześle i tryska energią. Pan Ward siedzi nieruchomo jak posąg. Pan Hockerman odchyła się do tyłu. Nogawki mu się podciągają i odsłaniają jaskrawoczerwone skarpetki. Absolutnie nie dla niego, honorowego członka palestry.

– Chcę panu powiedzieć – kontynuuje – że dowody przeciwko pańskiej żonie są słabe. Pokażę panu – mamy kopię nagrania z kamery monitoringu.

Grzebie w kieszeni. Po chwili spogląda na mnie i wymachuje kartą pamięci. Wsuwa ją do portu w swoim komputerze.

– Stańcie za mną i spójrzcie na to – instruuje.

Pan Ward i ja wykonujemy polecenie. Włącza odtwarzanie i zaczyna się nagranie z kamery monitoringu. Pulchna blondynka

w żółtej sukience kuśtyka przez parking blisko domu Craiga i Jenni. Obraz jest bardzo ciemny, niewyraźny. Kobieta jest na ekranie tylko przez moment i znika, zanim mam czas się przyjrzeć, jak wygląda. Zastępuje ją inna, w workowatym czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym. Teraz obraz jest jeszcze gorszy, bardziej ziarnisty. Mrugam i ta też znika.

– Pokażę wam to jeszcze raz, w zwolnionym tempie.

Oglądamy to ponownie w milczeniu. Pan Hockerman wyłącza komputer.

– I co pan o tym myśli, doktorze Burton? To pańska żona?

– Widać ją tak źle, że nie mam pewności.

– Otóż to – parska pan Hockerman. – Nikt nie ma. Sędziowie nie są głupi. Ten dowód zostanie odrzucony. Pozostaje tylko przeróbka charakteru pisma. – Bierze głęboki oddech. – Nigdy się nie dowiemy, jak zdołali to wypaczyć.

Robi zniesmaczoną minę. Przysuwa do siebie papiery na plastikowym stole przed sobą i prycha z oburzenia.

Pan Ward przygląda mu się i kręci lekko głową. Porusza ustami. Coś na kształt uśmiechu błąka się na jego wargach.

Odcinam się od otoczenia. Od pana Hockermana i pana Warda. Od energii i pewności siebie pana Hockermana. Od biernej agresji pana Warda. Muszę się skupić. To wszystko bardzo się różni od tego, co sobie wyobrażałem. Od wyraźnego potępienia mojej żony przez inspektora Johnsona, kiedy przyszedł mi oznajmić, że jest oskarżona o zamordowanie Craiga i Anastasii. Powiedział to tak, jakby wynik był pewny. A przynajmniej tak to zrozumiałem. Tragedia. Moja żona – kobieta, którą poślubiłem – seryjną zabójczynią. Nawet modlitwy nic nie dawały. Po prostu pomagałem Heather zajmować się dziećmi i usiłowałem prowadzić przychodnię, ale nie jak ja, tylko jak mój cień. Jak zwiędły liść na wietrze.

Otwieram oczy. Pan Hockerman i pan Ward siedzą i patrzą na mnie z lekko zatroskanymi minami.

– Jak to, wypaczyć? Co się stało? – pytam.

Pan Hockerman uśmiecha się.

– Po aresztowaniu Carly pod zarzutem zabójstwa Jenni wrócili

do tamtych dwóch samobójstw. Zlecieli jakiemuś miejscowemu ekspertowi zbadanie listów pożegnalnych i dowiedzieli się od niego, że pismo jest trochę podobne do pisma Carli. Jeszcze nie widziałem tak kiepsko wykonanej pracy. Pokażę panu.

Wręcza mi kawałek papieru. Czytam list Anastasii. Jej pismo jest mniej okrągłe, bardziej pająkowate. Okrągłe litery są trochę podobne do zawijasów Carly, ale pająkowate nie. Podnoszę wzrok.

– I co? – pyta.

– Nie jestem w tym dobry, ale nie wydaje się to definitywne.

– Otóż to. Nie definitywne. W tym rzecz. Powinien pan zostać prawnikiem, doktorze Burton.

– Carly czasem mówi mi to samo.

Nie zdradzam, że w jej ustach to obraza, nie komplement.

– Nasza grafolog kryminalistyczna zrobi tego ekspertyzę – ciągnie pan Hockerman. – Melissa Barrington. Ma najnowocześniejszy sprzęt. Jest najlepsza. Listy najwyraźniej zostały sfalszowane, ale dopiero dokładne testy wykażą przez kogo. Na razie nie wygląda na to, że napisała je Carly.

Uśmiecha się do mnie promiennie. Nie spodziewałem się takiego uśmiechu na jego pociągłej twarzy. Pan Ward też szczerzy zęby, co kompletnie zmienia rysy jego twarzy. Może mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Kiedy się uśmiecha, wygląda w porządku – nie jak facet od brudnej roboty.

Pan Hockerman stuka długopisem w biurko.

– Poza tym, pańska teściowa mówi, że była z Carly na zakupach w obie soboty, o które chodzi. Mimo że nie może pan tego potwierdzić, bo zapomniał pan gdzieś swój dziennik, to też jest mocne alibi – kończy, wykonując wymach długopisem.

Wydaje się bardzo pewny siebie i nastawiony optymistycznie, ale wciąż drzę na myśl o tym, co się może stać z moją żoną, z moją rodziną. O tym, co spotkało Jenni, Craiga i Anastasię. O tym, gdzie jest mój dziennik. O tym, czy Heather kłamie. O tym, czy Carly jest winna.

Carly.

Jestem naprawdę zdołowany, kiedy o niej myślę. Jakbym miał

stanąć przed plutonem egzekucyjnym albo usiąść na krześle elektrycznym. Smutno mi, bo obawiam się, że moja żona kłamie. Nie ufam jej, a jednak nie chcę tego przyznać. Jeśli Carly tego nie zrobiła, to kto? Nie Jenni. Ona miała Boga w sercu. Nigdy by tego nie zrobiła. Cofam się w przeszłość. Stoję w sądzie koronera i trzymam za ręce dwie drżące dziewczyny.

– A co z orzeczeniem koronera? – pytam.

– Zatrudnili jakiegoś miejscowego grafologa, który nawet nie miał mikroskopu elektronowego.

Pan Hockerman podnosi ręce.

– Każdy, kto się na tym zna choć trochę, wie, że bez tego ten dowód jest bezużyteczny.

– Więc jak sądowi koronera uszło to na sucho? – parskam.

– A jak uchodzi komukolwiek z nas? – pyta.

Wstaje i nad stołem podaje mi rękę na pożegnanie. Na dziś załatwił sprawę Carly Burton. Musi się zająć następną. Kończy nasze spotkanie uśmiechem. Pan Ward naśladuje go. Staram się odwzajemnić ich uśmiechy, ale nie bardzo mi się udaje.

Wychodzę z sali konferencyjnej i idę z powrotem wąskimi krętymi korytarzami. Kilka razy źle skręcam, ale w końcu trafiam do pomieszczenia biurowego i znajduję stamtąd drogę na świeże powietrze. Ale na dworze nie czuję się lepiej. Nic mi nie pomaga. Przemykam przez siedzibę stowarzyszenia adwokackiego Lincoln's Inn i przecinam wypiełgnowany trawnik otoczony zabytkami. Sam czuję się jak zabytek.

Carly

Duszę się tutaj. Przyjemnie jest tylko w towarzystwie, kiedy wolno nam chodzić po spacerniaku i pogadać. Lubię iść pod rękę z ekscentryczną, niebrzydką Sarah Jane. Nawet za betonowymi murami z drutem kolczastym na szczycie czuję zapach wiosny w powietrzu, który przypomina mi przelotnie lepsze czasy.

Lepsze czasy, gdy mój mąż i ja spacerowaliśmy nad rzeką, trzymając się za ręce. Chciało mi się śpiewać ze szczęścia, kiedy

tak przechadzaliśmy się pod kopułą drzew, przez którą przeświecało słońce. Pippa jechała przed nami na łyżworolkach, pęd powietrza rozwiewał jej włosy. Omijała zgrabnie ludzi na flisackiej ścieżce – rodziny na popołudniowych niedzielnych spacerach dla zdrowia i podtrzymujące się nawzajem, przygarbione starsze małżeństwa. Osoby z psami i biegaczy. Ludzi rozkoszujących się spokojem nad wolno płynącą rzeką i śpiewem wodnych ptaków.

Pamiętam Matta i Johna przed nami na rowerkach. Idziemy do kawiarni przy moście. Podają tam ciasto milionera. Idealna niedziela nad rzeką ze słońcem odbijającym się w wodzie.

Dochodzimy do kawiarni. Żelazne stoliki i krzesła na trawniku od frontu. Cisy i gołębie. Kamienny pomnik jakiegoś generała z Indii, o którym nigdy nie słyszałam. Lada i kuchnia kawiarni są wciśnięte w łuk mostu. Nasze dzieci zawsze czekały na nas przy stoliku obok pomnika. Buzie miały czerwone z wysiłku, a przed sobą herbatę, ciastka i moje ulubione ciasto milionera. Usiądziemy, napijemy się, pogadamy i pojemy. W mojej wyobraźni miękkie toffi w cieście milionera przykleja mi się do zębów. Delektuję się tym.

Ale tutaj tak nie jest, Jenni. Zabrałaś mi życie. Czy jeszcze kiedykolwiek pójdę na taki spacer, będę się cieszyć rodziną, po tym, co mi zrobiłaś? Zabiłaś mojego kochanka i jego dziewczynę, a potem wrobiłaś mnie w te morderstwa.

Widzę cię w twoim domku. Wrzucasz rozgniecione tabletki do wina Craiga. Wiesz, co zrobić z lekami, Jenni – mnie załatwiłaś tak samo! Teraz wychodzisz, a on zostaje. Siedzi, ogląda telewizję i popija twoją miksturę. Nie miał szans, prawda? Przecież wypróbowałaś to na mnie. A teraz widzę, jak piszesz jego list pożegnalny. Dlaczego to robisz? Na wypadek gdyby nie udało ci się mnie wrobić?

Powiedziałam policji, co zrobiłaś, ale mi nie wierzą. Uważają mnie za zabójczynię. Uważają, że zabiłam cię z rozmysłem. Nawet gdybym to zrobiła, Jenni, to czy nie byłoby w porządku, gdyby wszyscy wreszcie sobie uświadomili, jaka byłaś groźna, i że w końcu musiałam się zabezpieczyć?

Rob

Kiedy żyłaś, wiedziałem, że będę musiał od ciebie odejść. Z powodu mojej wiary. Ze względu na moje małżeństwo. I pogodziłem się z tym. Po twojej śmierci nie mogę. Nie mogę od ciebie odejść i zostawić tego, co ci zrobiła moja żona. Co dzień odwiedzam twój grób, żeby porozmawiać z tobą. Słyszysz mnie, Jenni?

Wracam do wszystkich naszych dawnych miejsc. Do kościoła. Nad rzekę. Na trasę popołudniowych niedzielnych spacerów w słońcu. Odwiedzam Stuarta i twoich chłopców. Twój tata to równy gość. Ale przecież zawsze to wiedziałaś. A teraz, wciąż nie mogę znaleźć sobie miejsca bez ciebie, wsiadłem do pociągu do Kornwalii, do Trethynion, gdzie mieszkałaś, żeby poczuć się tam bliżej ciebie. Kiedy wychodzę z wagonu, podchodzisz do mnie jak ostatnim razem, gdy przyjechaliśmy z Carly. Pachniesz piżmem i olejkiem paczulowym. Balsam twoich oczu. Idę krętymi uliczkami wioski wśród melancholijnych głosów morskich ptaków i czuję na twarzy słone powietrze, którym oddychałaś. Mijam twój domek. Nadal jest otaśmowany. Zniszczona niebieska taśma policyjna wciąż trzepocze na wietrze. Opuszczam wioskę i wspinam się ścieżką nad urwiskiem. Szlakiem, którym tak często chodziłaś. Jestem coraz wyżej. Kruszejące białe klify i niebieskie morze zostają z tyłu. Idę do twojego kościoła na górze, żeby pomodlić się za ciebie.

Carly

Leżę na pryczy w celi i staram się odprężyć. Sarah Jane słucha swojego iPod'a na wyrku nade mną. Jego odległy dźwięk dociera do mnie, gdy klawisz puka do drzwi. Otwiera je i zamyka. Młody facet w szarym mundurze staje przede mną z poważną miną.

– Carly Burton, ze mną. Widzenie z papugami.

Bez uprzedzenia. Bez czasu do namysłu. Bez czasu na wygładzenie odpowiedzi. Czego teraz chcą? Przeczesałem palcami potargane włosy i próbuję ułożyć je paznokciami. Zwilżam śliną usta i idę korytarzem za klawiszem. Przynajmniej tym razem mnie nie skuł.

Pan Hockerman i mój adwokat, pan Ward, czekają na mnie w małym, przeznaczonym do wizyt poza godzinami odwiedzin pokoju na końcu bloku więziennego. Klawisz wpuszcza mnie do środka i rygluje za nami drzwi. Pan Hockerman i pan Ward pachną londyńskim City, czysti i elegancko ubrani. Siadam na plastikowym krześle naprzeciwko nich, po drugiej stronie plastikowego stołu. Nie jestem w celi, ale nadal tkwię zamknięta w szarym plastikowym świetle.

– Dobra wiadomość – mówi pan Hockerman. – Przyjechaliśmy natychmiast, żeby to pani powiedzieć.

Czuję się tak, jakby zdjęto ze mnie worek cementu, który położono mi na barkach, kiedy wychodziłam z celi.

– Wycofują oskarżenie przeciwko pani o zabójstwo Craiga i Anastasii.

Robi mi się słabo. Mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Przytrzymuję się stołu.

– Co się stało? – pytam.

– Właściwa osoba przyjrzała się listom pożegnalnym. Grafolog kryminalistyczna Melissa Barrington, dużo bardziej doświadczona od eksperta, którego zatrudniła policja. Cieszy się międzynarodowym uznaniem w swojej dziedzinie. Stwierdziła, że pani charakter pisma wcale nie jest podobny do tamtego w listach. Jej badania są rozstrzygające. Uważa, że listy napisała Jenni. – Urywa, bierze oddech i uśmiecha się do mnie triumfalnie. – Toteż oskarżenie wycofało zarzuty przeciwko pani. Musi pani stanąć przed sądem tylko w sprawie ogniska.

Wciągam i wypuszczam powietrze.

– W końcu ktoś mi uwierzył.

Pan Hockerman bierze mnie za rękę.

– Carly, zawsze pani wierzyłem. Musieliśmy po prostu poczekać, aż zrobi to policja.

Łzy napływają mi do oczu.
– A co z Robem? – pytam.
Pan Hockerman nie odpowiada.

Rob

Kłęczę przy twoim grobie, rozmawiam z tobą i modłę się za ciebie. Widzisz mnie? Słyszysz mnie? Proszę cię, Jenni, powiedz mi prawdę. Powiedz, że tego nie zrobiłaś. Że policja się pomyliła. Wszyscy się czasem mylimy, prawda, Jenni? Prawda?

Rob

Twój proces zaczyna się dzisiaj, a więc Heather i ja stawiamy razem czoło Londynowi, żeby cię wesprzeć.

Londyn. Ludzie poruszają się ramię przy ramieniu. Chodzą szybko w garniturach i adidasach, a półbuty noszą w plecakach. Jedzą w biegu. W marszu mają spuszczone głowy i sprawdzają mejle. Ruch, ruch, wszystko jest w ruchu. Z wyjątkiem autobusów, które stoją w korkach na Waterloo Bridge. Rzeka. Chmury. Millennium Eye. Ruch. Ruch. Ruch.

Na końcu Waterloo Brigde chmara rowerzystów olewa światła. Chronią ich kaski i odblaskowe kurtki. W życiu nie widziałem tylu rowerów. Przejście przez jezdnię zajmuje wieki, ale Heather i ja trzymamy się razem i w końcu nam się udaje. Na chodniku po drugiej stronie jest trochę więcej miejsca. Możemy skręcić w Strand i iść normalnym krokiem w kierunku Fleet Street i Old Bailey. Old Bailey. Filary z kamienia portlandzkiego i majestatyczna kopuła. Złota Temida straszy nas z góry.

Przepycham torbę i płaszcz przez rentgen w wejściu. Heather robi to samo. Heather. Jedyna osoba, która wie, gdzie byłaś w dniach śmierci Craiga i Anastasii. Czy ja ci wierzę, Heather? Czy ja ci wierzę, Carly? Mimo że wycofano część zarzutów przeciwko tobie, wciąż szukam swojego dziennika, żeby pozbyć się

wątpliwości. Nie mogę go nigdzie znaleźć i nadal cię podejrzewam.

Dziś przechodzę przez bramkę bezpieczeństwa i otyły ochroniarz przygląda mi się uważnie. Patrzy w dół i przepuszcza mnie. Łapię leżącą na boku i dygoczącą torbę, która wysuwa się z rentgena, i czekam. Heather jest rewidowana. Ma rozpostarte ręce i rozstawione nogi, a otyły ochroniarz obszukuje ją delikatnie. Kiwa głową i pozwala jej wejść. Idziemy razem przez hol Old Bailey.

To współczesny hol, nie tamten oryginalny, okazały, z marmurową podłogą, znany z Internetu i kryminałów BBC i używany tylko od święta. Zostajemy zaprowadzeni do sali sądowej, gdzie pan Hockerman w peruce i todze kwituje naszą obecność skinieniem głowy. Sala sądowa. Cisza. Powaga. Przybywają prawnicy i witają się lekkimi uśmiechami. Urzędnicy sądowi w togach spacerują tam i z powrotem. Nie jestem pewien, kim są ani dlaczego przechadzają się tak dumnie. Ta atmosfera mnie przytłacza. Czuję się tak, jakbym potrzebował pozwolenia na myślenie i oddychanie.

Drzwi na prawo się otwierają, odwracamy głowy w kierunku hałasu. Wchodzi strażnik, kawał byka. Jesteś do niego przykuta. Po co? Gdybyś teraz uciekła, jak daleko byś dobiegła? Rozkuwa cię i siadacie obok siebie w przestrzeni zarezerwowanej dla obrony – z tyłu środkowej części sali, za szybą. Masz na sobie różową sukienkę. Jesteś chuda i blada. Z szeroko otwartymi oczami wyglądasz jak uosobienie niewinności. Masujesz nadgarstek, jakby cię bolał po kajdankach. Usadawiasz się wygodnie i patrzysz najpierw na matkę, a potem na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, pytam cię bezgłośnie:

– Czy to wszystko było konieczne, Carly?

Spuszczasz wzrok.

Sędzia wchodzi drzwiami za swoim krzesłem. Siada wysoko pośrodku, w centralnym punkcie. Wstajemy, kiedy wchodzi. Kiedy siada, robimy to samo. Patrzy na urzędnika sądowego.

– Proszę wezwać ławników.

Obserwuję cię, Carly. Przyglądasz się wchodzącym członkom

ławy przysięgłych nieobecny wzrokiem z obojętną miną. Przeszujesz palcami krótkie falujące włosy. Nie sprawiasz wrażenia przestraszonej ani onieśmiałej, tylko zaciekawionej. Jest w tobie chłodna pewność siebie, dzięki której daleko zajdziesz. Kiedy patrzę, jak siedzisz w niewinnym różu o odcieniu waty cukrowej, znów czuję gryzący zapach śmierci, który nigdy nie zniknie.

Carly

Godzinami nakładam na twarz naturalny makijaż. Mama wybrała mi gustowne skromne ubrania – Brorę, Monsoon, M&S. Nic krzykliwego. Nic obcisłego. Wszystko pastelowe. Siedzę na ławie oskarżonych, skupiona na procesie i swojej mimice. Staram się pamiętać o mowie ciała i „aparycji”, jak to określił pan Hockerman. Aparycja. To typowe dla niego. Kto dziś używa takich słów? Stopy mam rozsunięte, ręce na podołku, ramiona wyprostowane, plecy płaskie. Nie patrzę gniewnie, nie marszczę brwi. Nie unoszę dłoni do ust.

W sądzie jest za gorąco. Mam spoczone czoło, dół pleców i kolana z tyłu. Wszystko mokre. Nie mogę się wycierać, bo będę zwracać na siebie uwagę. Muszę siedzieć prosto i cierpieć.

Obserwuję, jak sędzia popija wodę ze szklanki. Jabłko Adama mu się rusza. Wertuje papiery ze znudzoną miną. Ilekroć się odzywa, ławnicy odwracają głowy w jego kierunku jak rząd marionetek i patrzą na niego.

Godziny stają się dniami.

Niekończący się transport między Old Bailey i aresztem śledczym, gdzie mnie umieszczono na czas procesu, wożą mnie tam i z powrotem, skutą w więźniarce. Patrzę, jak ławnicy słuchają, wiercą się, ziewają, notują. Robią gwałtowny wdech na widok zdjęcia twojego zwęglonego ciała, Jenni. Fascynacja śmiercią.

Im bliżej końca procesu, tym bardziej czas się dłuży. Tym mocniej kurczy mi się żołądek. Tym słodziej się uśmiecham. Tym

częściej naśladowę spojrzenie twoich cielecych oczu, Jenni. Bo stale je widzę. Nigdy ich nie zapomnę.

Rob

Siedzisz na ławie oskarżonych w fioletowym jedwabiu z rękami złączonymi przed sobą. Ławnicy siedzą wyprostowani i patrzą na prokurator Sally Jennings, która zaraz wygłosi mowę końcową. Powietrze jest tak ciężkie, że trudno mi oddychać. Sally Jennings jest chuda i agresywna. Wszystko ma szpiczaste – twarz, paznokcie, nawet fryzurę. Wiem, że pan Hockerman nie lubi tej kobiety.

– Carly Burton jest bardzo inteligentna – zaczyna prokuratorka.
– Bardzo sprytna. Wiedziała, że Jenni jest niebezpieczna, kiedy zapraszała ją na przyjęcie przy ognisku. I chyba tylko Carly to wiedziała – można śmiało powiedzieć, że była dwa kroki przed wszystkimi, nawet przed policją. Wiemy już, że Jenni istotnie zabiła swojego męża i jego kochankę w podobny sposób jak według Carly próbowała otruć ją. Toteż Carly, której policja nie wierzyła, postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce i celowo dała Jenni benzynę zamiast nafty do rozpalenia ognia. Potem oddaliła się i zaczęła, aż buchną płomienie. To oczywiste, że Carly chciała się pozbyć Jenni, bo uważała, że Jenni zaleca się do jej męża, Roba. Kierowniczka administracyjna, Sharon, potwierdziła w swoich zeznaniach świadka, że Jenni istotnie zalecała się do Roba.

Widzę, jak bledniesz na wzmiankę o Sharon. Ona świadczy przeciwko tobie.

– Carly miała zatem motyw i sposobność – ciągnie oskarżycielka. – Może zapaść tylko jeden wyrok: winna.

– Nie – mówisz głośniej niż ci wolno.

Ale sędzia okazuje ci trochę litości, nie upomina cię publicznie.

Prokurator Sally Jennings siada i wstaje pan Hockerman. Poprawia okulary. Przetyka, prostuje się i zwraca do ławy przysięgłych:

– Materiał dowodowy wskazuje, że moja klientka, Carly Burton, cierpiała na ostrą depresję kliniczną, co wyczerpywało ją i doprowadziło do romansu z panem Rossiter, czego głęboko żałuje. Cieszyła się, że się pogodziła ze swoją najlepszą przyjaciółką Jenni i bardzo jej pomagała, kiedy mąż Jenni zmarł w lipcu. Carly jest dobrą i troskliwą pielęgniarzką, żoną i matką, którą załamała śmierć jej przyjaciółki. Popełniła fatalną pomyłkę, dając swojej drogiej przyjaciółce benzynę zamiast nafty do rozpalenia ogniska. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że rodzina trzymała zapas benzyny w szopie w podobnej puszcze. Carly po prostu pomyliła puszki i drogo już za to zapłaciła – stratą najlepszej przyjaciółki i długą rozłąką z rodziną. Ta pomyłka podzieliła jej życie na dwie części. Sąd ma obowiązek uwolnić tę kobietę i zwrócić ją rodzinie, która pragnie jej powrotu do domu.

Usiłujesz powstrzymać płacz, przygryzając dolną wargę. Nie udaje ci się. Łza spływa wolno po prawym policzku. Ścierasz ją palcami.

Słowa pani Jennings i pana Hockermana zapadają mi w pamięć. Dlaczego nie jest oczywiste, komu wierzyć? Jak prawda może być kompromisem? Pomóż mi, Carly. Powiedz mi prawdę. Proszę.

Carly

Adwokat zakończył mowę obrończą. Ława przysięgłych się naradza. O moim losie zdecydują ludzie, którzy mnie nie znają. Siedzę na ławce z drewnianych listew w celi pod Sądem Koronnym i czekam. Cała moja rodzina była dziś w sądzie: Rob, mama, Matt, John i Pippa. Tak się cieszyłam z ich obecności, że nie słuchałam wszystkiego, co mówiono. Przez większość czasu po prostu przyglądałam się im. Widziałam, jak matka stara się nie patrzeć na mnie zbyt długo, uśmiecha się do mnie i mówi mi oczami, że mnie kocha. Jak Pippa trzyma Matta za rękę. Jak John i Matt się wiercą. Jak Rob siedzi nieruchomo, obojętny niczym postać wycięta z tektury. Obcy, którego kiedyś znałam.

Kiedy siedzę na tej twardej ławce, mam wrażenie, że czas się

zatrzymał. Może to koniec mojego życia. Bo żeby dalej żyć, żeby czas znów ruszył, muszę wrócić do domu. Próbuję się modlić. Błagać jakieś nieznane bóstwo, żeby mi pomogło. Ale przestaję. Nie wierzę w Boga. Nigdy nie wierzyłam. I nigdy nie będę wierzyła. Wierzę tylko w ruch i życie. A właśnie to mi zabrano. Zamykam oczy, oddycham wolniej i przygotowuję się na śmierć.

Jakiś hałas wdziera się do próżni. Strażnik otwiera drzwi i staje przede mną. Ten sam, który zabierał mnie z celi do sądu i z powrotem przez cały proces. Nie traktuje mnie jak kogoś znajomego i nie okazuje życzliwości. Nic z tych rzeczy. Zero wiary w moją niewinność. Dla niego jestem przestępczynią i tyle. Kimś niewidocznym, bez uczuć i człowieczeństwa.

Wjeżdżamy windą na górę. Nie skuł mnie, ale kajdanki zwisają z jego prawej ręki jak groźba. Mam mdłości. Ręce mi się trzęsą jak liście na wietrze.

Zostaję doprowadzona do ławy oskarżonych. Cała moja rodzina mnie obserwuje, wszyscy oprócz Roba. Mama posyła mi cierpki uśmiech. Pippa chłonie mnie wzrokiem. Matt i John patrzą na mnie jak afrykańskie lemury z okrągłymi oczami. Mam ochotę wziąć ich w ramiona i przytulić. Rob bawi się bezmyślnie swoim iPhone'm – zbyt przejęty, by podnieść wzrok.

Wchodzi sędzia. Wstajemy i kłaniamy się. Jest drobny, schludny, gładko ogolony, ma około sześćdziesiątki i oczy jak otoczaki. Prosi urzędnika o wezwanie ławników. Kościsty urzędnik o sympatycznym wyglądzie odpowiada skinieniem głowy i wychodzi. Sędzia siada, ale ja nadal stoję. Patrzą na tył głowy pana Hockermana, jego proste plecy i perukę. Staram się nie przyglądać wchodzącym przysięgłym. Spuszczam wzrok i patrzą na podłogę. Cienki niebieski dywan. Papierek od cukierka. Plastikowy kubek. Pozwalam sobie na jedno zerknięcie na ławników.

Na kobietę w średnim wieku z pomarszczoną twarzą. Na młodego mężczyznę z ogoloną głową.

Z powrotem przenoszę wzrok na plastikowy kubek. Jest pęknięty. Gdybym się z niego napiła, rozciąłabym sobie wargę.

– Czy ława przysięgłych uzgodniła werdykt? – pyta sędzia jakby

z daleka.

Przewodnicząca ławy przysięgłych, pomarszczona kobieta w średnim wieku, wstaje. Ma siwe włosy koloru druciaka kuchennego.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy wyraża on opinię wszystkich ławników?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy ława przysięgłych uznaje oskarżoną za winną, czy niewinną?

Czas się zatrzymuje. Tak jak w celi, tylko gorzej.

- Za niewinną.

Kolana uginają się pode mną. Świat staje się filmem puszczoneym w zwolnionym tempie. Policjant otwiera drzwi ławy oskarżonych.

- Podsądna jest wolna.

Wolna. Ale mam skurcz mięśni. Przez moment nie pamiętam, jak się chodzi. Potem powoli wychodzę zza szyby. Moja rodzina rusza ku mnie. Matka dociera do mnie pierwsza i przytula mnie. Tonę w miękkości jej kaszmiru. Dusi mnie zapach jej perfum. Pippa i chłopcy obejmują mi nogi. Pan Hockerman się zbliża, szeroko uśmiechnięty. Choć rodzina przywiera do mnie, jakoś udaje mi się uściskać mu dłoń i podziękować.

Wśród uścisków, całusów, uśmiechów i śmiechów zastanawiam się, jak mam odebrać z więzienia swoje rzeczy, jeśli w ogóle są tego warte, i chcę tylko jednego – przytulić się do Roba.

- Gdzie jest Rob? Gdzie jest Rob? – pytam spanikowanym głosem.

Matka puszcza mnie i odsuwa się na bok. Rob stoi tuż za nią.

- Dobrze mieć cię z powrotem, Carly – mówi uprzejmie, jakbym była obca.

Przyciąga mnie do siebie. Jest spięty. Przywieram do niego, ale go nie czuję.

Jedziemy do domu pociągiem. Podróż mija jak we mgle. Prywatna podróż, którą odbywamy publicznie. Siedzę obok Roba, pozwalam mu posłusznie trzymać mnie za rękę i wyglądam przez okno. Zielone drzewa i słońce. Wieżowce. Śmiecie i graffiti.

Rodzina najwyraźniej wyczuwa mój nastrój, Nie naciskają, żebym mówiła. Siedzą w milczeniu tak jak ja.

W domu Rob i ja pijemy. On piwo, ja czerwone wino. Heather robi sobie kanapkę i herbatę i zamawia pizzę dla dzieci. Teraz zasypują mnie pytaniami. Pytanie za pytaniem. Pytań jest tyle, że gardło mnie boli od odpowiadania. Pytają o moją celę. O współwięźniarkę. O jedzenie. O pryczę. O łazienki. O to, co robiłam. Są zbyt podekscytowani, żeby się uspokoić i zainteresować kimś innym poza mną. W końcu, kiedy pizza znika, matka zagania dzieci na górę do łóżka. Po mnóstwie uścisków na dobranoc Rob i ja zostajemy wreszcie sami.

Umysł mam przymulony przez alkohol. Pokój wokół mnie kołysze się łagodnie. Siedzimy razem na kanapie i dolewamy sobie nawzajem.

– Mówiłam ci, że Jenni jest niebezpieczna – bełkoczę.

Lekko zamazane kolory pokoju zaciskają się wokół mnie. Twarz Roba zbliża się do mnie i wyostrza. Jest tak blisko, że jego oddech zapiera mi dech.

– To, co spotkało Jenni, jest zbyt poważne na: „przecież ci mówiłam”.

– Daj spokój, Rob.

Długa pauza.

– Chyba nie myślisz, że specjalnie ją podpaliłam?

Rob

Chyba nie myślisz, że specjalnie ją podpaliłam? – pytasz, patrząc na mnie tak, jakbyś chciała mnie unicestwić.

Ale nie dam ci się zastraszyć, Carly.

Nie odpowiadam. Całe moje życie stało się kłamstwem. Pozostanie twoim mężem. Udawanie, że zmusiłaś mnie do powiedzenia, że „bardzo lubię” Jenni, skoro urzekła mnie od lat. Zostałem z tobą, bo jestem chrześcijaninem. Carly, gdybym tylko mógł cofnąć czas. Gdybym tylko tamtej chłodnej nocy na kempingu we Francji odpowiedział inaczej. Gdybym tylko

powiedział: „Carly, nigdy nie pokocham nikogo tak jak ciebie”.

Czy to by powstrzymało tę reakcję łańcuchową? Jedno kłamstwo więcej i Jenni by żyła?

Carly

Nie odpowiadasz.

Nawet dzisiejszej nocy, kiedy wypiłam tyle, że własne myśli i słowa wirują mi w głowie, poznaję po grymasie, po wykrzywieniu ust, po beznamiętnym spojrzeniu, że mi nie wierzysz.

– Proszę cię, Rob – błagam. – Proszę, powiedz mi, dlaczego nie przyjmujesz do wiadomości prawdy o Jenni?

– Nigdy tego nie powiedziałem.

– Nie musisz. Widzę to w twoich oczach.

Siedzisz i patrzysz na mnie świętoszkowato – naśladujesz ją.

Nienawidzę cię, Rob. Nienawidzę cię za to, że mi nie wierzysz.

– Nie chciałam zabić Jenni! – wrzeszczę.

Tracę panowanie nad sobą. Okładam cię pięściami. Wykorzystuję całą moją energię, żeby cię zniszczyć, zmasakrować ci ramiona, brzuch, nogi. Nienawidzę cię. Nienawidzę. Nienawidzę. Kochałam cię, ale od miłości do nienawiści jest jeden krok.

– I dobija mnie nie tylko twoja postawa w sprawie ogniska! – krzyczę – ale również to, że nie przyjmujesz do wiadomości, że Jenni była niebezpieczna. Że nigdy mi nie wierzyłeś. Że nie wierzysz nawet ustaleniom policji, co się stało z Craigiem i Aną. Bo chcesz, żeby to Jenni była niewinna, nie ja. Bo chciałeś Jenni, nie mme.

Cofasz się przede mną, kulisz, zasłaniasz rękami. I mówisz ni stąd, ni zowąd:

– Nie mogę nigdzie znaleźć swojego dziennika. Gdzie go położyłaś?

– Nigdzie go nie kładłam, draniu! – wrzeszczę.

Udaje ci się obezwładnić mnie. Wykręcasz mi ręce do tyłu i

przyciskasz mnie do siebie.

– Przepraszam cię, Carly. Przestańmy. To się wymknęło spod kontroli. Porozmawiamy o tym rano. Oboje za dużo wypiliśmy.

Rob

Prowadzę cię na górę, Carly. Jesteś pijana. Alkohol wywołał u ciebie większą agresję niż zwykle, ale już się uspokajasz. Jak się wyśpisz, może zdołamy porozmawiać. Jakoś się porozumieć. Już prawie śpisz, kiedy cię rozbieram, delikatnie opryskuję ci twarz odrobiną zimnej wody i kładę do łóżka. Gaszę światło i zwijam się w kłębek obok ciebie. Oddychasz wolno i głęboko, gdy zapadasz w stan półśpiączki.

Mijają godziny. Nie mogę się odprężyć i przyłączyć do ciebie. Dlaczego mnie okłamujesz? Gdzie schowałaś dziennik? Jestem pijany i wściekły, że mnie zaatakowałaś. Dziennika szukałem wszędzie, przetrząsałem chyba cały dom. Ale cokolwiek zrobię z tym, jak mnie potraktowałaś, muszę go teraz znaleźć. Nie mogę zasnąć. Muszę wstać. Odrzucam kołdrę. Sięgam po szlafrok. Księżyc prześwieca przez zasłony. Leżysz na plecach i cicho chrapiasz. Śpij dobrze. Śpij głęboko. Poranna rozmowa nie będzie łatwa. Omijam skrzypiący drugi stopień schodów i skradam się na dół.

Zapalam światło w kuchni i widzę znajome otoczenie, ciche i martwe w środku nocy jak scena w teatrze, która czeka, aż wejdą aktorzy i tchną w nią życie. Różowa opaska do włosów Pippy leży na komputerze. Rząd kaloszy stoi przy drzwiach. Pusty kubek do kawy obok zlewu czeka na umycie. W kuchni jest zimno, kiedy nikogo tu nie ma. Nastawiam czajnik, żeby zrobić sobie coś gorącego do picia. Wrząca woda hałasuje. W końcu udaje mi się zrobić kubek kawy. Siadam przy stole, popijam ją wolno i myślę o moim dzienniku. Co zawsze mówi Heather, kiedy dzieci coś zapodzieją? Jej słowa dźwięczą mi w głowie. Gdzie ostatni raz to widziałeś? Kiedy ostatni raz się tym bawiłeś, kochanie?

Miałem dziennik w rękach w nocy kilka dni przed ogniskiem.

Przed aresztowaniem Carly. Pisałem w nim. Tamtej nocy strasznie bolała mnie głowa. Ból rozsadzał mi skronie. Szukałem proszka przeciwbólowego. Torba lekarska była na górze i nie chciało mi się po nią iść, zacząłem więc grzebać w apteczce w kuchni. Zabezpieczony przed dziećmi słoiczek ibuprofenu, który zawsze tam trzymaliśmy, okazał się pusty. W głębi znalazłem stare opakowanie paracetamolu. Nie jest to mój ulubiony środek na ból głowy, ale wolałem nie szperać po ciemku na górze, żeby nie obudzić reszty. Połknąłem go z nadzieją, że mi pomoże. Wtedy ostatni raz widziałem dziennik. Tamtej nocy, kiedy tak cholernie bolała mnie głowa. Więc jeśli Carly go nie ukradła, to może nadal tu być. W kuchni.

Gdzie szukać? Gdzie szukać? Chyba szukałem już wszędzie. Szukam wszędzie jeszcze raz. W każdej szufladzie z garnkami. W każdej szafce. Sprawdzam nawet w apteczce. Ale ona jest za mała. Tam nigdy bym go nie włożył. Odsuwam palcami, odpycham, przewracam. Stare pudełka aspiryny, listki po ibuprofenu. Wyczuwam coś gładkiego jak skóra. Zaciskam na tym palce i ciągnę.

Mój dziennik.

Teraz cię mam, Carly. Sprytna Carly Burton.

Siadam przy stole kuchennym i przerzucam kartki do dni zakupów Heather, do dni, o które chodzi. Do dziewiątego lipca. Do siedemnastego września. Do dat, co do których zawsze byłem podejrzliwy.

9 lipca.

Spokojny dzień w domu. Pada. Dzieci oglądają jakiś film. Uaktualniłem kartoteki dwudziestu pacjentów. Carly rozmroziła zamrażarkę.

Heather kłamała, żeby ochronić córkę, ale niepotrzebnie. Carly nie była w Kornwalii.

17 września.

Carly na zakupach w Brighton z Heather i dziećmi. Zjedli

lunch w Pizza Hut. Matt podobno wsunął za dużo lodów. Carly kupiła mi prezent. Skórzane rękawiczki.

Więc były na zakupach. W drugą sobotę – kłamstwo okazuje się zatem tylko połowiczne. Wszystko udokumentowane. W moim dzienniku. Moim odręcznym pismem. Carly nawet się nie zbliżyła do Kornwalii. Serce mi zamiera.

Przepraszam, Carly. Przepraszam.

Wiem, że to nie wystarczy.

Jak mogłem się aż tak mylić co do ciebie? Co do matki moich dzieci. Co do mojej żony. Czy Jenni aż tak wypaczyła moje postrzeganie? Siedzę przy stole kuchennym ze świadomością, że potrzebuję pomocy Boga. Boże, pomóż mi. Boże, pomóż mi przebaczyć samemu sobie. Pomóż Carly przebaczyć mi. Pomóż mi jutro naprawić to wszystko. Kiedy się trochę prześpię. Bez względu na to, jak to będzie trudne, z twoją pomocą, Boże, znajdę jakoś właściwe słowa.

Wchodzę na palcach na górę. Otwieram wolno drzwi sypialni i wślizguję się do łóżka obok żony, która leży teraz na boku i już nie chrapie. Opasuję ją ramionami i całuję miękką ciepłą skórę na jej karku. Nawet dzisiejszej nocy, po tak długim pobycie w więzieniu, nadal pachnie wanilią.

Carly. Carly. Carly. Żona. Żona. Matka. Matka moich dzieci. Unoszę się ku Bogu, ku przebaczeniu. Zasypiam.

Carly

Budzę się, przez moment niepewna, gdzie jestem. Powoli sobie przypominam. Z powrotem w domu, w łóżku z Robem. W ustach mam nieprzyjemny smak, bo za dużo wypiałam wieczorem. Nie czuję się tak, jak sobie wyobrażałam. Spodziewałam się, że po powrocie będę się czuła rozgrzeszona. Niewinna. Gotowa zacząć nowe życie. Zawsze myślałam, że jeśli wygram proces, będę uradowana. Jak nastolatka, która opuszcza szkołę. Że otworzy się przede mną mnóstwo możliwości.

Ale jestem martwa w środku. Moje życie się zatrzymało.
I wtedy sobie przypominam dlaczego.

Przez Roba.

Werdykt ławy przysięgłych jest bez znaczenia. Rob ma odmienne zdanie niż jej dwunastu członków. Już we mnie nie wierzy. Okazuje to od jakiegoś czasu. Z bólem w oczach, odwraca ode mnie głowę. Im bardziej się staram do niego zbliżyć, tym mocniej mnie odpycha. Tym bardziej czci pamięć Jenni. Kiedyś byliśmy parą, prawda, Rob? Budziliśmy się w nocy i dotykaliśmy wzajemnie naszych ciał. Godzinami gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Pamiętasz, Rob? Nie wiem, kiedy zacząłeś się ode mnie odsuwać. Z powodu Jenni? Z powodu mojego załamania? Z powodu tego, że trudno mi było przystosować się do bycia matką? Z powodu mojego romansu z Craigiem? Bez względu na powód, przepraszam cię, Rob. Zawiodłam cię. A teraz zawiodłam się na sobie, bo dałam się zastraszyć Jenni. Ona mnie straszy zza grobu, bo w twoich oczach nigdy jej nie dorównam. Nie mogę żyć z twoją odrazą i nienawiścią do mnie. Nie mogę żyć bez twojego zaufania do mnie. Nie jestem religijna. Wiem, że po śmierci nie będę nic czuła. Odejdę w niebyt.

To uśmierzy mój ból.

Wymykam się wolno i cicho z sypialni bez zapalania światła. Widzę wystarczająco dobrze, bo światło księżyca przebija się przez zasłony. Biorę szlafrok z haczyka na drzwiach. Przekradam się przez podest do łazienki, wchodzę do środka i rygluję drzwi.

Rob

Sięgam ku tobie, Carly, żeby ci powiedzieć to, co wiem, że pragniesz usłyszeć. Żeby ci powiedzieć, że w końcu ci wierzę, i że bardzo przepraszam cię za to, że uświadomienie sobie tego zajęło mi tyle czasu. Sięgam ku tobie, żeby wziąć cię za rękę i przyciągnąć do siebie. Ale nie mogę cię znaleźć. Nie ma cię. Twoja połowa łóżka jest pusta. Zimna i pusta.

Gdzie jesteś, Carly? Dlaczego cię tu nie ma? Chcę cię wziąć w

ramiona i przytulić. Idę do łazienki. Wieczorem wypiliśmy tyle, że na pewno źle się czujesz. Drzwi są zamknięte. Pukam. Brak odpowiedzi.

– Carly!!! – krzyczę.

Żadnej odpowiedzi. Carly, nie rób mi cichych dni. Naciskam klamkę najmocniej jak mogę, przywieram ramieniem do drzwi i pcham je całym ciężarem ciała. Słyszę trzask drewna i drzwi ustępują. Robię krok do środka.

Twoje ciało zwisa z belki nad wanną.

Drętwieję z przerażenia. Martwe oczy wpatrują się w moje. Nie mogę się ruszyć. Oczy. Oczy. Oczy. Oskarżają mnie zimnym spojrzeniem śmierci. Krzyczą na mnie. Syczą. Plują. Oskarżają mnie, że nie kochałem cię tak, żeby ci wierzyć. Oskarżają mnie, że kochałem cię za mało.

Och, Carly, gdybym tylko mógł cofnąć czas. Czy gdybym tamtej chłodnej nocy na kempingu we Francji powiedział, że nigdy nie pokocham nikogo tak jak ciebie, powstrzymałoby to tę reakcję łańcuchową? Jedno niewinne kłamstwo, i żyłabyś? Jedno kłamstwo więcej, tylko jedno kłamstwo więcej, i obie moje dziewczyny by żyły. Czasami wystarczy niewinne kłamstwo.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować Phoebe Morgan, mojej redaktorce w wydawnictwie Avon HarperCollins, z którą miałam przyjemność pracować od początku do końca. Dziękuję również mojej agentce Ger Nichol z Book Bureau za to, że zauważyła moją pracę i uwierzyła we mnie.

Osoby, którym dziękuję za pomoc techniczną, to: Charles Owens – procedury policyjne; Lindsay Parr – medycyna; Carol Robson – farmaceutyka.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom, którzy są dla mnie oparciem. Moim rodzicom, Shirley i Peterowi, których na szczęście wciąż mam. Mojej matce Shirley i babci Marjorie (która zmarła, gdy miałam dwadzieścia jeden lat); zawsze najbardziej lubiłam, jak siedziałyśmy z nosami w książce. Z tego zamiłowania do czytania zrodziło się pragnienie pisania, więc matce i babci należą się szczególne podziękowania. Mój mąż Richard wspierał mnie całym sercem, kiedy pisałam tę książkę. Ale przecież on zawsze jest przy mnie i zawsze mnie wspiera. Dziękuję moim synom Peterowi i Markowi. Partnerce Petera, Meg. Bratu Chrisowi, który często dzwoni do mnie, żeby pogawędzić po całodziennym pisaniu i podnosi mnie na duchu. Mojemu szwagrowi Johnowi, który robi to samo. Moim przyjaciółkom, które kocham jak rodzinę, za zainteresowanie moją pracą. W szczególności Angie Fitzhenry, Jackie Westaway, Joannie Tempowski, Alison Buscaine, Rachel McCulloch i Gerry Fletcher.

Chcę podziękować moim kumplom z Sion Row Book Group, z którymi z przyjemnością spędzałam tyle czasu. Wspólne czytanie przez tyle lat pomogło mi wyrobić sobie gust i poglądy na literaturę. To też moi serdeczni przyjaciele, którzy są dla mnie jak rodzina.

Uczęszczanie na kurs powieściopisarstwa w Faber Academy w 2011 roku było wyjątkowym doświadczeniem. Mój nauczyciel

Richard Skinner zasługuje na wielkie uznanie i podziękowania. Cieszy się w pełni zasłużoną opinią znakomitego powieściopisarza, poety i dyrektora Programu Literatury Pięknej w Faber Academy. Uważam, że czyni cuda. Sprawdźcie jego osiągnięcia. Zrobicie wielkie oczy. Przyjaźnie na kursie też wiele dla mnie znaczyły. Zwłaszcza Tamsin Barrett, Julie Fischer i Colette Mcbeth zachęcały mnie do wytrwałości.

Chciałabym również cofnąć się dalej i podziękować moim szkolnym i uniwersyteckim nauczycielom angielskiego. Gdybym mogła przenieść się w przeszłość, podziękowałabym im i uściskała ich mocno. Szczególnie Paulowi Pascoe, mojemu nauczycielowi angielskiego w liceum Formby High School w latach siedemdziesiątych. Jeśli Paul lub ktoś, kto go zna, przeczyta to, proszę o kontakt. Chcę po prostu z dużym opóźnieniem podziękować.